

**„Jeden z 10 najwybitniejszych thrillerów  
ostatnich pięciu lat.” THE SUNDAY TIMES**

# **SEBASTIAN FITZEK**

**Autor bestsellera „Pasażer 23”**

# **ODPRYSK**

**SEBASTIAN FITZEK**

**ODPRYSK**

**Przekład  
BARBARA TARNAS**



Redaktor serii  
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna  
Ryszard Turczyn

Korekta  
Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce  
© FinePic®, München

Zdjęcie autora  
© FinePic®, München

Tytuł oryginału  
Splitter

Powieść poprzednio wydana w Polsce pod tytułem *Odlamek*

Copyright © 2009 by Verlagsgruppe Droemer Knaur GmbH & Co.  
KG, Munich, Germany  
[www.sebastianfitzek.de](http://www.sebastianfitzek.de)

The book has been negotiated through AVA international GmbH,  
Germany ([www.ava-international.de](http://www.ava-international.de)).

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana  
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu  
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition  
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5933-8

Warszawa 2016. Wydanie I  
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58  
tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego  
P.U. OPCJA  
juras@evbox.pl

*Jest albo prawda, albo jest sen  
Pomiędzy nie ma nic*

*Twilight, Electric Light Orchestra*

*Cel uświęca środki.*

mądrość życiowa



# Rozdział 1

Dzisiaj

**M**arc Lucas wahał się. Długo trzymał jedyny nienaruszony palec połamanej dłoni na mosiężnym przycisku staroświeckiego dzwonka, zanim się przemógł i nacisnął.

Nie miał pojęcia, która jest godzina. Przerażające wydarzenia ostatniej doby odebrały mu poczucie czasu. Ale tu, w środku lasu, wydawało się, że czas i tak nie ma żadnego znaczenia.

Lodowaty listopadowy wiatr i padający deszcz ze śniegiem właśnie nieco zelżały, nawet księżyc pokazał się na krótko przez porozrywaną pokrywę chmur. Był jedynym źródłem światła tej nocy, która wydawała się tyleż zimna, co ciemna. Nic nie wskazywało na to, żeby porośnięty bluszczem dwupiętrowy drewniany dom był zamieszkały. Wydawało się, że nawet nienaturalnie duży komin na szczycie dwuspadowego dachu nie jest używany. Marc nie poczuł również charakterystycznego zapachu drewna palonego w kominku, który obudził go dzisiaj przed południem w domu lekarza – krótko przed jedenastą, kiedy pierwszy raz przywieźli go do profesora, tu, w lesie. Już wtedy czuł się chory. Śmiertelnie chory. A od tamtej pory jego stan dramatycznie się pogorszył.

Jeszcze kilka godzin wcześniej zewnętrzne oznaki pogorszenia stanu jego zdrowia były ledwo widoczne. Teraz krew kapała mu z ust i nosa na ubłocone sportowe buty, potrzaskane żebra ocierały się o siebie przy każdym oddechu, a prawa ręka zwisała bezwładnie, jak źle przykręcona część zamienna.

Marc Lucas ponownie nacisnął mosiężny przycisk dzwonka i znów nie usłyszał dzwonienia, brzęczenia ani innego dźwięku. Zrobił krok do tyłu i spojrzał w górę na balkon z drzwiami do sypialni, z którego w ciągu dnia roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na małe leśne jezioro za domem. Jego powierzchnia w bezwietrzne chwile przypominała szklaną tafłę, ciemną i gładką, która rozprysłaby się na tysiąc kawałków, gdyby rzuciło się w nią kamieniem.

W sypialni było ciemno. Nawet pies (nie pamiętał już, jak się wabił) nie szczekał, nie było słyhać również innych hałasów zazwyczaj dochodzących z domu, którego mieszkańcy zostali wyrwani ze snu w środku nocy. Bosych stóp dudniących na schodach, kapci szurających po podłodze z desek, podczas gdy ich właściciel nerwowo chrząka i próbuje dłońmi i odrobiną śliny przygładzić zmierzwione włosy.

A mimo to Marc wcale się nie zdziwił, kiedy nagle drzwi się otworzyły, jakby za sprawą jakiejś niewidzialnej dłoni. W ostatnich dniach spotkało go tak wiele niewytłumaczalnych zdarzeń, że nawet przez chwilę nie zastanawiał się, dlaczego psychiatra stoi przed nim całkowicie ubrany, w garniturze i perfekcyjnie zawiązanym krawacie, jakby z zasady przeprowadzał sesje z pacjentami w środku nocy. Być może pracował gdzieś na tyłach swojego pełnego zakamarków domu, czytał stare akta pacjentów albo studiował grube tomiska o neuropsychologii, schizofrenii, praniu mózgow lub osobowości mnogiej, które wały się wszędzie, chociaż już od lat praktykował tylko jako biegły.

Marc nie zastanawiał się też, dlaczego dopiero teraz zauważył światło dochodzące z pokoju kominkowego. Odbijało się w lustrze nad komodą, tak że przez chwilę wydawało się, jakby profesor miał nad głową aureolę. W tym momencie jednak profesor cofnął się o krok i efekt znikł.

Marc westchnął, wyczerpany oparł się zdrowym ramieniem o futrynę drzwi i uniósł zdruzgotaną dłoń.

– Proszę... – powiedział błagalnym tonem. – Musi mi pan to wszystko wyjaśnić.

Kiedy mówił, uderzał językiem o ruszające się jedyki. Zakaszłał i z nosa popłynęła mu cienka strużka krwi.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Lekarz ledwo widocznie skinął głową, zupełnie jakby trudno mu było nią poruszyć. Każdy inny człowiek wzdrygnąłby się zszokowany na jego widok, ze strachu zatrzasnąłby drzwi albo przynajmniej natychmiast wezwał karetkę. Ale profesor Niclas Haberland nic takiego nie zrobił. Odsunął się tylko na bok i cichym, melancholijnym głosem powiedział:

– Przykro mi, ale przychodzi pan za późno. Nie mogę już panu pomóc.

Marc skinął głową. Liczył się z taką odpowiedzią. I był na nią przygotowany.

– Obawiam się, że nie ma pan wyboru! – powiedział i wyjął pistolet z podartej skórzanej kurtki.

# Rozdział 2

Profesor poszedł przodem, korytarzem prowadzącym do salonu. Marc trzymał się blisko za jego plecami, cały czas mierząc z broni w tułów Haberlanda. Był zadowolony, że stary człowiek się nie odwraca i nie może zobaczyć, że Marc lada moment zemdleje. Gdy tylko wszedł do domu, zaczęło mu się kręcić w głowie. Ból głowy, nudności, gwałtowne pocenie się... wszystkie objawy, spotęgowane jeszcze przez psychiczne męczarnie ostatnich godzin, nagle wróciły. Był zmęczony, niesamowicie zmęczony, a korytarz wydawał się dużo dłuższy, niż kiedy był tu pierwszy raz.

– Już panu powiedziałem, przykro mi – powtórzył Haberland, kiedy weszli do salonu, którego rzucającą się w oczy charakterystyczną cechą był otwarty kominek z dopalającym się słabym ogniem. Głos profesora brzmiał spokojnie, niemal współczująco. – Bardzo chciałem, żeby przyszedł pan wcześniej. Teraz nie mamy już zbyt wiele czasu.

Oczy Haberlanda były całkowicie pozbawione wyrazu. Jeśli się bał, to potrafił to ukryć równie dobrze, jak sędziwy pies, który spał w małym rattanowym koszu przy oknie. Kiedy weszli, kłębek sierści w piaskowym kolorze nawet nie uniósł głowy.

Marc stanął na środku pokoju i rozglądał się niezdecydowanie.

– Nie mamy zbyt wiele czasu? Przepraszam, ale co pan ma na myśli?

– Niech pan spojrzy na siebie. Jest pan w gorszym stanie niż mój dom.

Marc odwzajemnił uśmiech Haberlanda i nawet to sprawiło mu ból. Rzeczywiście, urządzenie wnętrza domu było równie niezwykle, jak jego położenie w środku lasu. Żaden mebel nie pasował do drugiego. Przeładowany książkami regał z Ikei stał obok eleganckiej komody w stylu biedermeier. Prawie cała podłoga była wyłożona dywanami, wśród których jeden do złudzenia przypominał chodnik łazienkowy i nawet kolorystycznie nie pasował do ręcznie tkanego chińskiego dywanu z jedwabiu. Pomieszczenie bezspornie przywoływało na myśl rupieciarnię, a mimo to nic w tym wystroju nie wydawało się przypadkowe. Wszystkie przedmioty, od gramofonu na stoliku na kółkach po skórzaną kanapę, od fotela po lniane zasłony, wyglądały na pamiątki z dawnych lat. Tak jakby profesor bał się pozbyć jakiegoś mebla, ponieważ wiązałoby się to z utratą wspomnienia z ważnego okresu jego życia. Książki i czasopisma medyczne, które leżały nie tylko na regałach i na biurku, lecz również na parapetach, podłodze, a nawet w koszu na drewno obok kominka, sprawiały wrażenie ogniwa łączącego ze sobą całą tę zbieraninę.

– Proszę, niech pan usiądzie – zaproponował Haberland, jakby Marc nadal był mile widzianym gościem. Tak jak dzisiaj przed południem, kiedy nieprzytomnego położyli go na wygodnej wyściełanej kanapie, w której poduszkach można było utonąć. Ale teraz najchętniej usiadłby przy samym kominku. Było mu zimno: tak zimno jak jeszcze nigdy w życiu.

– Czy mam dorzucić do ognia? – zapytał Haberland, jakby czytał w jego myślach.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do kosza z drewnem, wyjął jedno polano i wrzucił je do paleniska. Płomienie buchnęły w górę i Marc poczuł niemalże nieodpartą potrzebę włożenia rąk w ogień, żeby wreszcie wypędzić ziąb z ciała.



– Co się panu stało?

– Słucham? – Potrzebował chwili, żeby przestać patrzeć na kominek i znów skoncentrować się na Haberlandzie. Profesor zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

– Pana obrażenia. Jak do nich doszło?

– To ja sam.

Ku zdziwieniu Marca stary psychiatra tylko skinął głową.

– Tak właśnie myślałem.

– Dlaczego?

– Ponieważ zastanawia się pan, czy pan w ogóle istnieje.

Marc odniósł wrażenie, jakby prawda nieomal wgniotła go w poduszki kanapy. Haberland miał rację. Właśnie na tym polegał jego problem. Jeszcze dzisiaj przed południem profesor ograniczał się do niejasnych aluzji, ale teraz Marc chciał dokładnie wiedzieć. Dlatego właśnie znowu siedział na tej samej miękkiej kanapie.

– Chce pan wiedzieć, czy pan jest realny. Właśnie z tego powodu zadał pan sobie te obrażenia. Chciał pan się upewnić, że jeszcze coś czuje.

– Skąd pan to wie?

Haberland machnął ręką.

– Doświadczenie. Kiedyś znalazłem się w podobnym położeniu, jak pan.

Profesor spojrział na zegarek na ręce. Marc nie był tego pewny, ale wydawało mu się, że zauważył liczne blizny wokół paska od zegarka. Wyglądały, jakby pochodziły od oparzenia, a nie od noża.

– Oficjalnie już nie praktykuję, ale mój zmysł analityczny jeszcze mnie nie opuścił. Mogę zapytać, co pan teraz czuje?

– Zimno.

– Nic pana nie boli?

– Ból jest do wytrzymania. Wydaje mi się, że jeszcze jestem w głębokim szoku.

– Ale czy nie myśli pan, że byłoby lepiej, gdyby trafił pan nie tutaj, tylko na pogotowie? W domu nie mam nawet aspiryny.

Marc pokręcił głową.

– Nie chcę żadnych prosków. Chcę mieć pewność.

Położył pistolet na stoliku przy kanapie, lufę skierował na Haberlanda, który ciągle stał przed nim.

– Niech pan mi udowodni, że ja to rzeczywiście ja.

Profesor podrapał się po przeredzonym miejscu z tyłu posiwiałej głowy, które miało wielkość mniej więcej podstawki do piwa.

– Czy wie pan, co najogólniej rzecz biorąc, uznaje się za wyznacznik różnicy pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem? – Wskazał na psa w koszyku, który niespokojnie sapał przez sen. – Jest to świadomość. Podczas gdy my zastanawiamy się, po co żyjemy, kiedy umrzemy i co stanie się po śmierci, zwierzę nie marnuje czasu na myślenie o tym, że w ogóle jest na świecie.

Mówiąc te słowa, Haberland podszedł do swojego psa. Ukłękął i czule wziął kudłatą głowę w obie dłonie.

– Mój Tarzan nawet nie poznaje siebie w lustrze.

Marc stał odrobinę krwi z czoła, następnie skierował wzrok na okno. Przez krótką chwilę sądził, że na zewnątrz widzi jakieś światło w ciemności, ale potem uświadomił sobie, że to tylko migocący ogień w kominku odbija się w szybie. Chyba znowu padało, ponieważ szyba z zewnątrz była pokryta małymi kroplami. Po chwili zauważył daleko w ciemnościach nad jeziorem własne odbicie.

– No tak, jeszcze siebie widzę, ale skąd mogę wiedzieć, że lustro nie kłamie?

– Co skłoniło pana do przypuszczenia, że cierpi pan na halucynacje? – odpowiedział pytaniem na pytanie Haberland.

Marc znów skoncentrował się na kropelkach deszczu na szybie. Jego odbicie wyglądało tak, jakby się rozpląwało.

*Może na przykład wiezowiec, który rozpląnął się w powietrzu, krótko po tym jak z niego wyszedłem? Albo ludzie, których ktoś przetrzymuje w mojej piwnicy i którzy wręczają mi tekst, a w nim mogę przeczytać, co mnie spotka za kilka chwil? Aha, no i jeszcze zmarłe osoby, które nagle zmartwychwstają.*

– Ponieważ nie istnieje żadne logiczne wytłumaczenie tego wszystkiego, co mi się dzisiaj przydarzyło – powiedział cicho.

– Ależ nie, ono jak najbardziej istnieje.

Marc odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

– Jakie? Proszę mi powiedzieć.

– Obawiam się, że mamy na to za mało czasu. – Haberland znów spojrzał na zegarek. – Niedługo będzie pan musiał definitywnie stąd zniknąć.

– O czym pan mówi? – zapytał Marc, chwycił pistolet leżący na stoliku i wstał. – Czy pan też jest jednym z nich? Czy jest pan w to zamieszany?

Wycelował pistolet w głowę psychiatry. Haberland obronnym gestem wyciągnął obie ręce w jego stronę.

– To nie jest tak, jak pan myśli.

– Ach tak, a skąd pan to wie?

Profesor współczująco pokręcił głową.

– No niech pan to z siebie wreszcie wydusi! – Marc krzyknął tak głośno, że żyły wystąpiły mu na szyi. – Co pan o mnie wie?

Odpowiedź zapała mu dech w piersiach.

– Wszystko.

Ogień buchnął wysokim płomieniem. Marc musiał odwrócić wzrok, nagle jego oczy przestały tolerować jasne światło.

– Wiem wszystko, Marc. I pan również to wie. Tylko nie chce pan tego przyjąć do wiadomości.

– Niech, niech... – Oczy zaczęły mu łzawić. – Proszę, niech pan mi powie. Co się ze mną właściwie dzieje?

– Nie, nie, nie. – Haberland złożył dłonie jak do modlitwy. – Tak się nie da. Niech pan mi wierzy. Każde poznanie jest bezwartościowe, jeśli nie pochodzi z naszego wnętrza.

– Co mi pan tutaj pieprzy! – wrzasnął Marc i na krótko zamknął oczy, żeby lepiej skoncentrować się na bólu w ramieniu. Zanim znów coś powiedział, przełknął krew, która zebrała mu się w ustach. – Albo mi

pan natychmiast powie, co tu jest grane, albo, przysięgam na Boga, zabiję pana.

Teraz już nie celował w głowę, lecz w wątrobę profesora. Nawet gdyby źle trafił, pocisk zniszczyłby niezbędny do życia narząd, a na tym odludziu każda pomoc przybyłaby za późno.

Haberland ani drgnął.

– A więc dobrze – powiedział po chwili, podczas której, milcząc, wpatrywali się w siebie. – Chce pan znać prawdę?

– Tak.

Profesor usiadł powoli w fotelu i pochylił głowę w stronę kominka, w którym buchał coraz większy ogień. Jego głos zmienił się w ledwie słyszalny szept.

– Czy słyszał pan kiedyś jakąś opowieść i potem żałował, że dowiedział się, jak się skończyła?

Odwrócił się do Marca i popatrzył na niego ze współczuciem.

– Niech pan nie mówi, że pana nie ostrzegąłem.

# Rozdział 3

## Jedenaście dni wcześniej

Są ludzie, którzy miewają przecucia. Stoją na skraju chodnika, widzą przejeżdżający samochód i patrzą na niego jak zaczarowani. Samochód niczym się nie wyróżnia, nie jest ani świeżo umyty, ani specjalnie brudny. Również kierowca nie różni się od tych innych bezimiennych twarzy, które codziennie spotyka się na ulicy. Nie jest ani za stary, ani za młody, nie trzyma kurczowo kierownicy, ani nie rozmawia przez telefon, w dodatku jeszcze coś jedząc. Tylko umiarkowanie przekracza dozwoloną prędkość, wyłącznie na tyle, żeby dopasować się do reszty pojazdów. Nie widać żadnych oznak grożącej katastrofy. A mimo to niektórzy się odwracają – z powodu, którego później nie potrafią wyjaśnić policji – i wlepiają wzrok w samochód. Na długo zanim zobaczą przedszkolankę, upominającą krule istotki, które ma pod swoją opieką, żeby przechodząc przez jezdnię na zielonym świetle, trzymały się za ręce.

Marc Lucas zaliczał się do takich właśnie osób przeczuwających zrzędzenia losu, jak twierdziła zawsze jego żona Sandra, choć dar ten nie był u niego tak wyraźnie widoczny jak u jego brata. Być może gdyby było inaczej, mógłby uniknąć tragedii sprzed sześciu tygodni. Koszmaru, który wydawał się powtarzać w tym momencie.

– Stój, poczekaj chwilę! – krzyknął do dziewczynki na górze.

Trzynastolatka strasznie marzła. Stała na zewnętrznej krawędzi trampoliny pięć metrów nad basenem, rękami obejmując tułów. Przez cienki materiał kostiumu kąpielowego odznaczały się wszystkie żebra. Marc nie był pewny, czy dygotała z zimna, czy ze strachu przed skokiem. Z miejsca, gdzie stał, w opróżnionym basenie, nie dało się tego stwierdzić.

– Pieprz się, Luke! – krzyknęła Julia do swojej komórki.

Marc dziwił się, że w ogóle ktoś zauważył stojącą tam na górze wychudzoną dziewczynkę. Bądź co bądź basen miejski w Neukölln był już od miesiący zamknięty. Julia musiała zwrócić na siebie uwagę jakiegoś przechodnia, który w końcu zaalarmował straż pożarną.

– Pieprz się i spadaj stąd wreszcie!

Pochyliła się do przodu i spojrzała w dół, jakby szukała na brudnych kafelkach odpowiedniego miejsca, żeby się roztrzaskać. Gdzieś pomiędzy sporą kałużą i kupą liści.

Marc pokręcił głową i przycisnął komórkę do drugiego ucha.

– Nic z tego, zostanę tutaj. Nie mogę przegapić takiej okazji, skarbie.

Usłyszał szept za plecami i popatrzył przez chwilę na dowódcę strażaków, który z czterema pomocnikami czekał na skraju basenu z poduszką ratowniczą. Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby już teraz żałował, że zdecydował się wezwać go na pomoc.

Znaleźli numer jego telefonu w kieszeni dżinsów Julii, które starannie złożyła i razem z innymi częściami ubrania zostawiła obok drabinki prowadzącej na wieżę. Nieprzypadkiem właśnie dzisiaj miała na sobie kostium kąpielowy, w którym uciekła z domu. W tamten letni dzień, kiedy jej uzależniony od narkotyków ojczym znów podglądał ją nad jeziorem.

Marc spojrział w górę. W przeciwieństwie do Julii nie miał włosów, które mógłby zmierzić wiatr. Jego zakola już krótko po maturze były tak widoczne, że fryzjer doradził mu ostrzyć się na łyso. Było to równo trzynaście lat temu. Dzisiaj, kiedy sto kubków kawy tygodniowo określało jego powszedni dzień, mogło się wprawdzie zdarzyć, że jakaś nieznajoma uśmiechnęłaby się do niego w metrze – ale tylko pod warunkiem, że dałaby się nabrać na kłamstwa magazynów dla kobiet, że worki pod oczami, zmarszczki od zmartwień, źle ogolona twarz i temu podobne oznaki świadczą o silnym charakterze mężczyzny.

– Co ty gadasz za pierdoły? – usłyszał jej pytanie. Dyszała z wściekłości. Widać było parę idącą z jej ust. – Jakiej znowu okazji?

Berliński listopad był znany z nagłych ataków chłodu i Marc zastanawiał się, czy Julia prędzej umrze od upadku, czy raczej na zapalenie płuc. On też był zupełnie nieodpowiednio ubrany. Nie tylko ze względu na pogodę. Nikt z jego znajomych nie chodził już dzisiaj w podziurawionych dzinsach i sfatygowanych adidasach. Ale też żaden z nich nie miał takiej pracy jak on.

– Jeśli teraz skoczysz, spróbuję cię złapać! – krzyknął.

– Wtedy zginiemy oboje.

– Być może. Ale jeszcze bardziej prawdopodobne jest, że moje ciało zamortyzuje twój skok.

Dobrym znakiem było to, że dziesięć minut temu Julia pozwoliła mu zejść do brudnego basenu. Strażakom zagroziła, że natychmiast skoczy na główkę, jeśli spróbują wrzucić do pustego basenu choćby matę.

– Jeszcze rośniesz, twoje stawy są bardzo giętne.

Nie był pewny, czy przy tej ilości narkotyków, jakie brała, jest to prawda, ale przez chwilę jego słowa brzmiały przekonująco.

– Co ty mi tu znowu pieprzysz?! – wrzasnęła w odpowiedzi.

Teraz mógł ją zrozumieć nawet bez telefonu.

– Jeśli spadniesz i nie dopisze ci szczęście, to przez następne czterdzieści lat będziesz mogła poruszać tylko językiem. Tak długo, aż jakaś rurka do odprowadzania twoich płynów ustrojowych zatka się i zdechniesz na jakąś infekcję, zakrzepicę albo udar mózgu. Chcesz tego?

– A ty? Chcesz umrzeć, jeśli spadnę ci na głowę?

Gardłowy głos Julii nie brzmiał jak głos trzynastolatki. Zupełnie jakby uliczny brud zaległ na jej strunach głosowych, przez co głos zdradzał prawdziwy wiek jej duszy.

– Nie wiem – przyznał Marc zgodnie z prawdą. Zaraz potem wstrzymał oddech, bo poryw wiatru targnął Julię i zachwiała się do przodu. Ale balansując rękami, utrzymała równowagę.

*Jeszcze.*

Tym razem Marc nie odwrócił się do tłumu za plecami, który wydał jęk przerażenia. Sądząc po jego sile, do policjantów i strażaków dołączyła liczna gromada gapiów.

– W każdym razie miałbym tyle samo powodów do skoku co ty – powiedział.

– Próbujesz mi tylko wcisnąć jakiś kit, żeby mnie powstrzymać.

– Tak myślisz? Jak długo chodzisz już do Plaży?

Marcowi podobała się nazwa, jaką dzieci ulicy nadały jego biuru w parku Hasenheide. Plaża. Brzmiało to optymistycznie i pasowało do ludzkich wraków, które fala losu wrzucała dzień w dzień do jego biura. Oczywiście oficjalnie centrala nazywała się inaczej. Ale nawet w aktach władz miasta już od

dawna nie używano określenia „Poradnia dla dzieci i młodzieży w Neukölln”.

– Jak długo się znamy? – zapytał jeszcze raz.

– Nie mam pojęcia.

– Będzie już półtora roku. Czy przez ten czas kiedykolwiek wciskałem ci kit?

– Nie wiem.

– Czy chociaż raz cię okłamałem? Albo próbowałem zawiadomić twoich rodziców lub nauczycieli?

Pokręciła głową, a przynajmniej tak mu się wydawało, kiedy patrzył z dołu. Jej czarne jak smoła włosy opadały na ramiona.

– Czy powiedziałem komukolwiek, gdzie się łajdaczysz albo gdzie kimasz?

– Nie.

Marc wiedział, że jeśli Julia teraz skoczy, to właśnie z tego będzie się musiał tłumaczyć. Ale gdyby udało mu się powstrzymać tę uzależnioną od cracka nastolatkę od samobójstwa, zawdzięczałby to jedynie faktowi, że przez te wszystkie miesiące udało mu się zdobyć jej zaufanie. Nie czynił ludziom zarzutu, że tego nie rozumieją – na przykład swoim przyjaciołom, którzy do dzisiaj nie mogli pojąć, dlaczego trwonił swoje studia prawnicze na wyrzutków społeczeństwa, jak ich nazywali, zamiast kosić kasę w dużej kancelarii.

– Nie było cię. Przez sześć tygodni – powiedziała krnąbrnie Julia.

– Posłuchaj, nie jestem w twojej skórze. Nie żyję w twoim świecie. Ale ja też mam problemy. A w tej chwili są one tak wielkie, że wielu ludzi już dawno odebrałoby sobie z tego powodu życie.

Julia znów zamachała na górze rękami. Z dołu wyglądało to tak, jakby miała brudne łokcie. Ale Marc wiedział, że to są ciemne strupy na ranach, które sama sobie zadała. Nie była pierwszą tnącą się dziewczynką, która chciała ze sobą skończyć. Dzieciaki, które same tną się żyłką, żeby cokolwiek poczuć, zaliczają się do najczęstszych klientów Plaży.

– Co się stało? – zapytała cicho.

Ostrożnie poszukał palcami opatrunku na karku, który najpóźniej pojutrze znów musiał zmienić.

– Nieważne. Moje pieprzone problemy nie złagodzą twoich.

– Amen.

Marc uśmiechnął się i rzucił okiem na komórkę, która sygnalizowała przychodzące połączenie. Odwrócił się w bok i zauważył kobietę w czarnym trenczu, która z krawędzi basenu wpatrywała się w niego dużymi, szeroko otwartymi oczami. Najwidoczniej właśnie zjawiała się policyjna psycholog i nie całkiem zgadzała się z jego metodą postępowania. Za nią stał starszy mężczyzna w drogim garniturze w jodełkę, który przyjaźnie pomachał mu ręką.

Postanowił, że zignoruje oboje.

– Pamiętasz jeszcze, co ci powiedziałem, kiedy chciałaś przerwać pierwszy odwyk, ponieważ tak bardzo cię bolało? Czasem człowiekowi wydaje się błędem...

– ...zrobienie tego, co właściwe. Tak, tak, to głupie powiedzenie wychodzi mi już bokiem. Ale wiesz co? Mylisz się. Życie nie tylko wydaje się błędem. Ono jest błędem. A twoje głupie gładzenie na pewno mnie nie powstrzyma...

Julia cofnęła się o dwa kroki. Wyglądało to tak, jakby chciała wziąć rozbieg.

Tłum za nim wydał jęk. Marc po raz drugi zignorował sygnał telefonu.



– Okay, okay, przynajmniej zaczekaj jeszcze chwilę, dobrze? Coś ci przyniosłem...

Wyjął małego iPoda z kieszeni kurtki, nastawił na cały regulator i przystawił słuchawki do mikrofonu w komórce.

– Mam nadzieję, że to znasz! – krzyknął do góry.

– Co znowu? – zapytała Julia. Jej głos zabrzmiał ochryple, jakby wiedziała, co teraz nastąpi.

– Przecież wiesz, że film kończy się dopiero wtedy, kiedy wchodzi muzyka.

Tym razem zacytował jedno z jej powiedzonek. Podczas tych kilku razy, kiedy dobrowolnie przysłała na spotkanie, stanowczo domagała się, żeby przed wyjściem puścił jej konkretny utwór. Stało się to czymś w rodzaju rytuału pomiędzy nimi.

– Kid Rock – powiedział. Początek był zbyt cichy i przy wietrze oraz dobiegających zewsząd odgłosach nie można go było zrozumieć przez komórkę. A więc Marc zrobił to, co ostatnio zdarzało mu się robić, kiedy był nastolatkiem. Zaśpiewał.

– *Roll on, roll on, rollercoaster.*

Spojrzał w górę i wydawało mu się, że widzi, jak Julia zamyka oczy. Potem zrobiła mały krok do przodu.

– *We're one day older and one step closer.*

Histeryczne okrzyki przerażenia za jego plecami przybrały na sile. Julię dzieliło tylko kilka centymetrów od krawędzi trampoliny. Marc nie przestawał śpiewać.

– *Roll on, roll on, there's mountains to climb.*

Końce palców prawej stopy Julii wystawały już poza krawędź. Dalej miała zamknięte oczy i komórkę przy uchu.

– *Roll on, we're...*

Marc przestał śpiewać dokładnie w tej sekundzie, kiedy chciała dostawić lewą nogę. W środku refrenu. Ciałem Julii wstrząsnął dreszcz. Nagle zamarła w bezruchu i zdziwiona otworzyła oczy.

– ...*we're on borrowed time* – wyszeptała po dłuższej przerwie. Wokół basenu panowała śmiertelna cisza.

Schował telefon do kieszeni spodni, nawiązał z nią kontakt wzrokowy i krzyknął:

– Sądziś, że tam jest lepiej?! Tam, dokąd teraz idziesz?!

Poryw wiatru zatrzepotał nogawkami jego dżinsów i zakręcił liśćmi wokół stóp.

– Wszystko jest lepsze! – odkrzyknęła Julia. – Wszystko!

Rozpłakała się.

– Naprawdę? Bo właśnie się zastanawiałem, czy tam też będą grać twoją piosenkę.

– Jesteś zwykłym dupkiem! – Wrzask Julii przeszedł w skrzeczenie.

– Myślisz, że to możliwe? Chodzi mi o to, jak to będzie, kiedy już nigdy więcej tego nie usłyszysz?

Z tymi słowami Marc odwrócił się i ku konsternacji funkcjonariuszy ruszył w stronę wyjścia z basenu.

– Czy pan zwariował?! – zawołał ktoś. Kolejny, jeszcze bardziej wściekły komentarz, utonął w zbiorowym okrzyku tłumu.

Marc właśnie wdrapywał się po aluminiowej drabince, kiedy usłyszał, jak coś uderza o dno basenu.

Odwrócił się dopiero, kiedy wszedł na górę.

W miejscu, gdzie stał jeszcze przed chwilą, leżała rozbita komórka Julii.

– Jesteś dupkiem! – krzyknęła do niego z góry. – Teraz boję się nie tylko życia, teraz boję się w dodatku śmierci!

Marc kiwnął głową Julii, która pokazała mu środkowy palec. Kiedy siadała na trampolinie, jej szczupłym ciałem wstrząsał głęboki szloch. Dwóch sanitariuszy już szło do niej na górę.

– A tak w ogóle, to śpiewasz całkiem do dupy! – krzyknęła za nim płacząco.

Marc uśmiechnął się i otarł łzę z twarzy.

– Cel uświęca środki! – odkrzyknął.

Torował sobie drogę przez burzę błysków fleszy dziennikarskich hien i chciał wyminąć kobietę w trenczu, która stanęła mu na drodze. Spodziewał się długiej listy zarzutów i zdziwiło go zawodowo chłodne spojrzenie, którym go obrzuciła.

– Nazywam się Leana Schmidt – powiedziała rzeczowo jak podczas rozmowy kwalifikacyjnej w nowym miejscu pracy i wyciągnęła do niego rękę. Miała długie do ramion, brązowe włosy, związane z tyłu głowy tak mocno, że wyglądało, jakby ktoś ją za nie ciągnął.

Marc wahał się chwilę i znów dotknął opatrunku na karku.

– Nie chce pani najpierw zająć się Julią?

Spojrzał w górę na trampolinę.

– Przyszłam tu z całkiem innego powodu.

Ich spojrzenia spotkały się.

– W takim razie o co chodzi?

– O pańskiego brata. Benjamin został przedwczoraj wypisany z kliniki psychiatrycznej.

# Rozdział 4

**C**zarny lśniący maybach, który zaparkował na końcu wąskiej ślepej uliczki, sprawiał w tej okolicy wrażenie obcego ciała nie tylko z powodu niezwykłych rozmiarów. Zazwyczaj takie pancerniki toczą się wyłącznie po ulicach dzielnicy rządowej, a nie w rejonie o najwyższym wskaźniku przestępczości w stolicy.

Marc po prostu zostawił nieznaną kobietę, która chciała porozmawiać z nim o jego bracie, i starał się jak najszybciej stąd zniknąć. Po pierwsze, ponieważ nawet bez najnowszych wiadomości o Bennym miał już dość zmartwień na głowie. Po drugie, musiał koniecznie oddalić się z tego przygnębiającego miejsca. A do tego wszystkiego z minuty na minutę robiło się coraz zimniej.

Postawił kołnierz skórzanej kurtki i roztarł uszy. Uszy były najbardziej wrażliwą na pogodę częścią jego ciała i zawsze reagowały przejmującym bólem, który, o czym doskonale wiedział, szybko rozszerzy się na skronie, jeśli zaraz nie wejdzie do ciepłego pomieszczenia.

Marc zastanawiał się właśnie, czy powinien przejść na drugą stronę ulicy, żeby dojść do metra, kiedy usłyszał za sobą chrzęst szerokich opon. Kierowca dwa razy mrugnął halogenowymi światłami, których blask odbił się od mokrego bruku. Marc został na swojej stronie chodnika i przyśpieszył kroku. Dzięki pracy na ulicy nauczył się jednego: w Berlinie należy jak najdłużej unikać reagowania na obcych.

Samochód zrównał się z nim, zwolnił, dostosował prędkość do jego kroków i prawie bezgłośnie jechał obok.

Kierowca maybacha nie przejmował się, że jedzie pod prąd. Zresztą pojazd był tak szeroki, że jadące z przeciwnej strony auto i tak nie mogłoby go wyminąć.

Marc usłyszał charakterystyczny odgłos opuszczanej elektrycznie szyby. Następnie zachrypnięty kobiecy głos wypowiedział szeptem jego nazwisko:

– Doktor Lucas?

Głos brzmiał przyjaźnie i trochę bezsilnie, więc Marc zaryzykował spojrzenie kątem oka i zdziwił się, że tym, kto do niego mówi, jest starszy mężczyzna. Wydawał się mieć dużo ponad sześćdziesiąt, a być może nawet ponad siedemdziesiąt lat. Przeważnie wraz z wiekiem głos człowieka staje bardziej głęboki, ale najwidoczniej w jego przypadku było odwrotnie. Kiedy Marc rozpoznał mężczyznę po garniturze w jodełkę, przyśpieszył kroku. Był to ten sam człowiek, który pomachał do niego z brzegu basenu.

*Cholera, czy cały dzień będą mnie dzisiaj prześladować wariaci?*

– Doktor Marc Lucas, lat trzydzieści dwa, zamieszkały przy Steinmetzstraße 67 A w Schöneberg?

Starszy pan siedział na jasnej skórzanej kanapie plecami do kierunku jazdy. Widocznie wnętrze limuzyny było tak duże, że można było siedzieć naprzeciwko siebie.

– A kto chce wiedzieć? – zapytał Marc, nie patrząc na niego. Intuicja podpowiadała mu, że nieznajomy o siwych włosach i krzaczastych, grubych na palec brwiach nie stanowi zagrożenia. Ale to jeszcze nie znaczyło, że nie mógł być posłańcem przynoszącym złe wiadomości. A tych dostał w ciągu ostatnich tygodni aż w nadmiarze.

Starszy pan chrząknął i powiedział ledwie słyszalnie:

– Ten Marc Lucas, który zabił swoją ciężarną żonę?

Marc zmartwiał. W jednej chwili zastygł w bezruchu i nie mógł zrobić ani kroku dalej. Wilgotne jesiennie powietrze stało się nieprzepuszczalną szklaną ścianą.

Odwrócił się do samochodu, którego tylne drzwi powoli się otworzyły. Rozległ się pulsujący elektroniczny dźwięk, jak wtedy, gdy nie zapnie się pasów.

– Czego pan chce? – zapytał Marc, kiedy odzyskał głos, który brzmiał teraz prawie tak ochryple, jak głos nieznanego w samochodzie.

– Jak długo nie żyją już Sandra i dziecko? Sześć tygodni?

Marcowi napłynęły łzy do oczu.

– Dlaczego pan mi to robi?

– Proszę, niech pan wsiada.

Starszy pan uśmiechnął się dobrodusznie i poklepał miejsce obok siebie.

– Zawiozę pana tam, gdzie będzie pan mógł sprawić, że to wszystko okaże się nieprawdą.

# Rozdział 5

Ściany domów przesuujące się bezgłośnie za przyciemnianymi szybami maybacha wyglądały jak nierealna filmowa scenografia. W wyciszonym wnętrzu luksusowej limuzyny trudno było sobie wyobrazić, że za obdrapanymi fasadami żyją prawdziwi ludzie. Albo że przechodnie na skraju chodnika nie są statystami. Człowiek, który przekopywał pojemnik na śmieci, nie był rencistą szukającym butelek pod zastaw, a zgraja wyrostków, którzy właśnie chcieli przewrócić wózek na zakupy jakiegoś bezdomnego, nie była grupką wagarowiczów. Oczywiście były też nierzucające się w oczy osoby, usiłujące zdążyć gdzieś przed zaczynającym padać deszczem. Ale wydawało się, że nawet one żyją w zagubionym równoległym świecie, z którego Marc wydostał się w chwili, kiedy zajął miejsce w samochodzie nieznajomego.

– Kim pan jest? – zapytał i pochylił się do przodu. Hydrauliczne struktury w ergonomicznie wyprofilowanym skórzanym siedzeniu natychmiast dopasowały się do jego nowej pozycji. Zamiast odpowiedzieć, stary mężczyzna podał mu wizytówkę. Była niezwykle gruba, mniej więcej jak podwójnie złożony banknot. Marc mógłby się założyć, że gdyby ją powąchał, pachniałaby szlachetnym drewnem.

– Czy pan mnie sobie nie przypomina? – zapytał nieznajomy i jeszcze raz uśmiechnął się dobrodusznie.

– Profesor Patrick Bleibtreu? – przeczytał Marc i wyęzając pamięć, przesunął opuszką palca po czarnym wytłoczonym wzorze na papierze o fakturze płótna lnianego. – Czy my się znamy?

– Przysłał pan maila do mojego instytutu jakieś dwa tygodnie temu.

– Chwileczkę... – Marc odwrócił wizytówkę i poznał logo kliniki. Utalentowany grafik splótł inicjały profesora w trójwymiarową, poziomą ósemkę, symbol nieskończoności.

– To ogłoszenie... to w „Spieglu”, to pan je zamieścił?

Bleibtreu krótko skinął głową, otworzył podłokietnik i wyjął z niego czasopismo.

– Ogłaszamy się w „Focusie”, „Sternie” i „Spieglu”. Odpowiedział pan na jedno z ogłoszeń.

Marc przytaknął, kiedy mężczyzna podał mu otwarte czasopismo. Był to czysty przypadek, że wertując wtedy kartki, zwrócił uwagę na tę reklamę. Zwykle nie czytał tygodników opiniotwórczych, a już w ogóle nie czytał reklam. Ale odkąd musiał dwa razy w tygodniu chodzić na zmianę opatrunku, spędzał dużo czasu na przeglądaniu nieaktualnych magazynów, które były wyłożone w poczekalni kliniki jego teścia.

– „Uczenie się zapominania” – przeczytał nagłówek, który już wtedy przyciągnął jego wzrok jak magnes.

„Doznałeś ciężkiej traumy i chcesz ją wymazać z pamięci? Zwróć się do nas i wyślij nam maila. Prywatna klinika psychiatryczna profesora Bleibtreua szuka chętnych do udziału w eksperymencie medycznym”.

– Dlaczego nie odpowiadał pan na nasze telefony? – zapytał profesor.

Marc roztałał uszy, które powoli tajały ze znanym mu dobrze palącym bólem. A więc to stamtąd były te liczne telefony, których w ostatnich dniach nie odbierał.

– Nigdy nie odpowiadam na telefony, których numery są zastrzeżone – powiedział. – I szczerze mówiąc, nigdy nie wsiadam też do obcych samochodów.

– W takim razie dlaczego zrobił pan wyjątek?

– Tu jest bardziej sucho.

Marc znów oparł się wygodnie i wskazał na moką boczną szybę. Pęd powietrza rozmazywał krople deszczu w grube strugi.

– Czy u pana szef zawsze osobiście zajmuje się nowymi pacjentami? – spytał.

– Tylko wtedy, kiedy chodzi o tak obiecujących kandydatów jak pan.

– Obiecujących co?

– Powodzenie naszego eksperymentu.

Profesor wziął od niego czasopismo i z powrotem włożył do schowka.

– Chcę być wobec pana całkiem szczery, Marc. Czy mogę tak się do pana zwracać? – Jego wzrok padł na adidasy Marca i powędrował w górę do kolan, które prześwitywały przez postrzępione dzinsy. – Nie sprawia pan wrażenia kogoś, kto sztywno przestrzega etykiety.

Marc wzruszył ramionami.

– O co chodzi w tym eksperymencie?

– Klinika Bleibtrea jest wiodącą w świecie prywatną placówką zajmującą się badaniami nad pamięcią.

Profesor założył nogę na nogę, podciągając nogawkę spodni trochę ponad skarpetkę, i odsłonił przy tym kawałek owłosionej nogi.

– W ostatnich latach zainwestowano setki milionów w badania naukowe, żeby dowiedzieć się, jak funkcjonuje ludzki mózg. Mówiąc w uproszczeniu, chodzi w nich głównie o zagadnienie uczenia się. Zastępy badaczy były i są opętane myślą, jak można by jeszcze lepiej wykorzystać zasoby ludzkiego mózgu.

Bleibtreu lekko postukał się w skroń.

– Wciąż jeszcze nie ma bardziej wydajnego komputera niż ten w naszej głowie. Teoretycznie każdy człowiek jest w stanie po jednorazowym przeczytaniu książki telefonicznej wyrecytować z pamięci wszystkie numery. Zdolność tworzenia synaps i dzięki temu praktycznie nieograniczone zwiększanie pojemności pamięci naszego mózgu nie jest utopią. Jednakże jestem przeświadczony, że wszystkie te zaczątki badań naukowych poszły w złym kierunku.

– Domyślam się, że zaraz mi pan zdradzi dlaczego.

Samochód kierowany przez niewidocznego za przyciemnianą szybą szofera wjechał na rondo.

– Nasz problem nie polega na tym, że za mało się uczymy. Przeciwnie. Naszym problemem jest zapominanie.

Ręka Marca powędrowała do opatrunku na karku. Kiedy przyłapał się na tym mimowolnym geście, od razu cofnął rękę.

– Według najnowszych statystyk co czwarte dziecko jest wykorzystywane seksualnie, co trzecia kobieta co najmniej raz w życiu zostaje zmuszona do praktyk seksualnych lub zgwałcona – referował Bleibtreu. – Generalnie na naszej planecie praktycznie nie ma człowieka, który chociaż raz nie stał się ofiarą czynu karalnego, a połowa z nich musiała potem znaleźć się pod opieką psychologa, przynajmniej przez krótki okres. Ale nie tylko przestępstwa, lecz również liczne powszednie przeżycia zostawiają głębokie blizny w naszej świadomości. Z psychologicznego punktu widzenia, na przykład, kłopoty



sercowe generują znacznie bardziej negatywne napięcia niż strata kogoś bliskiego.

– Odnoszę wrażenie, jakby pan wygłaszał ten wykład już niezliczoną ilość razy – rzucił Marc.

Bleibtreu ściągnął z palca ciemnoniebieski sygnet, włożył go na drugą dłoń i uśmiechnął się.

– Do tej pory w psychoanalizie chodziło o odświeżenie wypieranych wspomnień. My w naszych badaniach idziemy w przeciwnym kierunku.

– Pomagacie ludziom zapominać.

– No właśnie. Wymazujemy negatywne wspomnienia ze świadomości naszych pacjentów.

Definitywnie.

Brzmi przerażająco, pomyślał Marc. Niejasno domyślał się, że eksperyment zapewne sprowadza się właśnie do czegoś takiego, i dlatego już krótko po wysłaniu maila zezłościł się na swoją reakcję spowodowaną alkoholem. Na trzeźwo nigdy nie odpowiedziałby na to podejrzanе ogłoszenie kliniki Bleibtreua. Ale w tamten wieczór popełnił brzemienny w skutki błąd i niechcący podał taksówkarzowi swój stary adres. I tak, zupełnie niespodziewanie, znów znalazł się przed małym domkiem, który w ogóle się nie zmienił, i oczami wyobraźni ujrzał, jak drzwi otwierają się raptownie i wybiega z nich bosa i roześmiana Sandra.

Dopiero tabliczka z napisem: „Do sprzedania”, wbita w trawę boleśnie przypomniwała mu poniesioną stratę. Natychmiast odwrócił się na pięcie, pobiegł z powrotem ulicą, która nie miała chodnika, gdzie w lecie na asfalcie bawiły się dzieci sąsiadów, a domowe zwierzaki spały na pojemnikach na śmiecie, ponieważ tutaj żadna żywa istota nie obawiała się, że może spotkać ją coś złego. Biegł coraz szybciej, najszybciej, jak potrafił, z powrotem do swojego nowego, niemającego żadnej wartości życia, do swojego kawalerskiego mieszkania w Schöneberg, do którego przeprowadził się, kiedy go wypuścili. Ale nie biegł na tyle szybko, żeby uciec od wszystkich wspomnień, które go ścigały. Wspomnienia ich pierwszego pocałunku w wieku siedemnastu lat; śmiechu Sandry, kiedy znów zdradziła mu puentę filmu, zanim sam do niej doszedł; jej niedowierzającego spojrzenia, kiedy mówił, jak jest piękna; ich wspólnych łez, kapiących na pozytywny test ciążowy; i wreszcie wspomnienia ogłoszenia, które właśnie przeczytał.

*Uczenie się zapomniania.*

Marc odetchnął głęboko i próbował skoncentrować się na teraźniejszości.

– Zalety umyślnie wywołanej amnezji są ogromne. Człowieka, któremu dziecko wyskoczyło przed samochód, już nigdy nie będzie prześladować przerażający widok nieudanej reanimacji. Matka nie będzie do końca życia czekać, aż jej jedenastoletni syn wróci z jeziora.

Samochód zahamował miękko, lecz mimo to kryształowe kieliszki cicho zabrzęczały w wykładanym drewnem barku.

– Nie będę ukrywał, że naszymi wynikami interesują się również tajne służby. Od teraz nie trzeba będzie zabijać agentów, gdyby groziło niebezpieczeństwo, że przejdą na stronę wroga, zabierając ze sobą całą wiedzę. Po prostu wymażemy z ich głów potencjalnie niebezpieczne dane.

– Czy dlatego tak pan opływa w pieniądze, że sponsoruje pana wojsko?

– To interes wart miliardy i jak żaden inny będzie miał decydujące znaczenie przez najbliższe lata, jestem o tym przekonany. Ale przecież zawsze tak jest w przemyśle medycznym. Nielicznych uczyni bogatymi, ale bardzo wielu uzdrowi i być może nawet uszczęśliwi.

Bleibtreu wpatrywał się teraz w Marca tak natarczywie, jakby go przesłuchiwał.

– Jesteśmy dopiero na samym początku drogi, Marc. Wykonujemy tutaj pionierską pracę i dlatego szukamy takich ludzi jak pan. Ludzi, na których moglibyśmy wypróbować naszą metodę, ludzi, którzy przeżyli silną traumę, jak pan.

Marc przełknął ślinę i poczuł się jak przed sześcioma tygodniami, kiedy jego teść osobiście przekazał mu koszmarną wiadomość przy łóżku szpitalnym.

„Nie dała rady, Luke”.

– Niech pan się zastanowi – poprosił Bleibtreu. – Czy nie byłoby pięknie, gdyby mógł pan budzić się rano i pierwsza myśl, która przebiegłaby panu przez głowę, nie dotyczyłaby pana zmarłej żony? Dziecka, które nie zdążyło przyjść na świat? Nie miałby pan już poczucia winy, ponieważ nie wiedziałby pan, że wjechał prosto w drzewo. Wróciłby pan do pracy, znów spotykał się z przyjaciółmi i mógłby pan śmiać się w kinie na jakiejś komedii, ponieważ odprysk tkwiący w pana karku nie przypominałby ciągle o tym, że wyszedł pan z wypadku z paroma zadrapaniami, podczas gdy Sandra wypadła przez przednią szybę i jeszcze na miejscu wypadku wykrwawiła się na śmierć.

Marc demonstracyjnie odpiął pasy i szukał klamki w bocznych drzwiach.

– Proszę, niech mnie pan wypuści.

– Marc.

– Natychmiast!

Bleibtreu łagodnie położył rękę na jego kolanie.

– Nie chciałem pana sprowokować. Powtórzyłem tylko słowa z maila, który sam pan do nas przysłał.

– Wtedy byłem u kresu.

– Ciągle pan jest. Widziałem pana przecież na basenie. Powiedział pan, że myśli o samobójstwie.

Bleibtreu cofnął rękę, ale Marc w dalszym ciągu czuł jej ciężar na kolanie.

– Mam panu do zaoferowania coś lepszego.

Kryształowe kieliszki znów zadźwięczały, jakby w szyderczym toaście duchów. Marc skonstatował dopiero teraz, że chociaż we wnętrzu panuje przyjemna temperatura, jego plecy są mokre od potu. Znów nerwowo dotknął opatrunku na karku. Tym razem dłużej pozostawił dłoń na plastrze zakrywającym swędzącą ranę.

– Powiedzmy, że rozmawiamy czysto hipotetycznie – powiedział ochryłym głosem. – Ten pana eksperyment... właściwie na czym on polega?

# Rozdział 6

**W** sklepie Eddy'ego Valki śmierdziało kocim moczem i różami. Nie była to niezwykła mieszanka, jeśli znało się Eddy'ego trochę bliżej. Niezwykłe było tylko to, że chciał spotkać się z nim tak szybko. W końcu wypisali go ledwie dwa dni temu, a termin ultimatum upływał dopiero w przyszłym tygodniu.

– Co jest, chcesz mi się oświadczyć? – Benny roześmiał się, rozcierając lewy bark, który jakichś dwóch tępaków o mało co mu nie wywichnęło, kiedy chcieli wrzucić go do bagażnika.

A przecież wsiadłby dobrowolnie. Nikt się nie opierał, kiedy Valka chciał z nim porozmawiać. A przynajmniej nie trwało to długo.

Eddy na chwilę podniósł wzrok, potem znów skupił uwagę na różach o długich łodygach, które leżały przed nim na kontuarze. Podnosił jedną po drugiej i oceniał ich jakość, przycinał nożycami i dokładał do innych stojących już w srebrnoszarym blaszanym wiadrze.

– Ale najpierw musisz poprosić o moją rękę rodziców.

– Twoi rodzice nie żyją – powiedział głucho Valka, dekapitując jedną z róż.

Widocznie nie spodobał mu się jej kolor.

– Czy wiesz, że kiedy ciętym kwiatom opadają główki, trzeba na krótko zanurzyć je w gorącej wodzie?

– Eddy brzęknął ostrzami ogrodowych nożyc, odpędzając tym dźwiękiem kota, który chciał wskoczyć na stół.

– Główkami czy łodygami? – zażartował Benny.

Przyglądał się kotu, który powłókł się do swojego rodzeństwa pod kaloryferem. Nikt nie wiedział, z jakiego powodu Valka w ogóle tolerował te stworzenia w swoim otoczeniu. Eddy nie lubił zwierząt. Szczerze mówiąc, nie lubił żadnych żywych istot. Kwiaciarnię otworzył tylko dlatego, że nie mógł podać urzędowi skarbowemu prawdziwych źródeł swoich dochodów, a poza tym nie tolerował, żeby wykonujący u niego niewolniczą pracę sprzedawcy róż, którzy nocami przemierzali bary i knajpy w mieście, zaopatrywali się u kogo innego. Jeśli Eddy kontrolował już jakiś interes, to w stu procentach.

Benny szukał możliwości, żeby przynajmniej o coś się oprzeć, ale duszny sklepik nie był pomyślany dla czekających. W ogóle wydawało się, że nie powstał z myślą o klientach, jak na to był za bardzo oddalony od głównych ulic handlowych dzielnicy Köpenick, a poza tym znajdował się bezpośrednio obok salki bokserskiej, której umięśnieni amatorzy mordobicia z pewnością nie zaliczali się do klienteli szczególnie preferowanej przez kwiaciarzy.

– À propos, ładna nazwa – powiedział Benny, wskazując wzrokiem na pokryte smugami okno wystawowe. Przyklejone na nim półkoliście litery widziane od ulicy tworzyły napis „Wojna róż”. – Dobrze pasuje.

Eddy przytaknął z uznaniem.

– Jesteś pierwszą osobą, która zwróciła na to uwagę.

Valka było czeskim nazwiskiem i w tłumaczeniu znaczyło „wojna”, z czego szef wykidajłów we wschodnim Berlinie był niezwykle dumny. Eddy wytarł dłonie w zielony gumowy fartuch i po raz pierwszy spojrzął mu w oczy.

– Wyglądasz lepiej niż dawniej. Nie jesteś już taki mizerny. Uprawiasz sport?

Benny przytaknął.

– Cholera, wydaje się, że pobyt w psychiatryku dobrze ci zrobił. Co się stało, że wypuścili cię tak szybko?

– Co kilka miesięcy powtarzają badania. Taki przepis.

– Aha.

Valka wyjął z wiadra wyjątkowo długą różę, powąchał ją i skinął głową z uznaniem.

– I łapiduchy uważają, że nie jesteś już niebezpieczny dla otoczenia?

– Kiedy mój kochany braciszek wreszcie skorygował swoje zeznanie... – Benny dotknął liścia juki – ...wtedy mnie wypuścili.

– Równie dobrze mogli zapytać mnie – powiedział Valka, a Benny uśmiechnął się krzywo.

– Szczerze mówiąc, nie jestem taki pewny, czy w oczach wymiaru sprawiedliwości masz opinię osoby godnej zaufania.

Eddy wykrzywił usta obrażony.

– Nie ma nikogo lepszego, kto by zaświadczył, że nie zrobisz nikomu krzywdy. Jak długo już się znamy?

– Ponad siedemnaście lat – odpowiedział Benny i zastanawiał się w duchu, kiedy Valka wreszcie przejdzie do rzeczy. Chyba nie po to go tu ściągnął, żeby pogawędzić o starych czasach.

– Cholera, i pomyśleć, że wtedy nie było jeszcze na świecie mojej obecnej dziewczyny.

Uśmiech Valki zniknął równie nagle, jak się pojawił.

– Początkowo nie chcieliśmy mieć cię u nas, Benny. Po prostu byłeś dla nas za miękki.

Uciął główkę następnej róży.

– I dokładnie to powiedziałbym łapiduchom, którzy cię zamknęli. Powiedziałbym, że mój były pracownik ma syndrom HSP.

Benny uśmiechnął się. Rzadko się spotykało, żeby ktoś znał fachowe określenie jego zaburzenia. Ale Valka był jednym z tych ludzi, wobec których nie można kierować się wyglądem zewnętrznym. Z szeroką twarzą, płaskim wysokim czołem i krzywymi zębami sprawiał wrażenie typowego zabijaki. Tymczasem miał w kieszeni maturę i nawet przez cztery semestry studiował psychologię, zanim się zorientował, że zamiast uwalniać bliźnich od koszmarów, woli być ich przyczyną.

– Skąd to wiesz? – zapytał Benny.

– No cóż, często zadawałem sobie pytanie, co z tobą jest nie tak. Dlaczego tak się różnisz od swojego brata, który zawsze stawia czoło przeciwnościom losu.

Eddy szarpnął zacinającą się szufladę pod kontuarem i wysunął ją z pewnym trudem.

– O ile pamiętam, nigdy nie widziałem cię z żadną laską. A więc myślałem, że jesteś pedziem albo coś takiego. Ale potem znalazłem to tutaj.

Wyjął artykuł wycięty z gazety.

– „HSP” – przeczytał na głos. – „Highly Sensitive Person. Mówiąc językiem potocznym, człowiek z chorobliwym zaburzeniem polegającym na nadwrażliwości. Tacy osobnicy postrzegają świat nieporównanie bardziej emocjonalnie niż normalni ludzie. Mają dużo bardziej wyczulone zmysły”.

Benny pokręcił przecząco głową.

– To wszystko jedna wielka ściema.

– Ach tak? Tutaj jest napisane, że już dawno temu chorzy na HSP pełnili na królewskich dworach funkcje doradców i mędrców. Dzięki swoim umiejętnościom wchodzenia w myśli i uczucia innych ludzi zostawali też dyplomatami, artystami, finansistami... – Eddy rzucił krótkie spojrzenie znad gazety. – To by wyjaśniało, dlaczego ciągle wciskasz mi kit, że powinienem stawiać łaskawość przed prawem, litować się nad moimi wrogami i tym podobne brednie. – Hałaśliwie pociągnął nosem. – I to wyjaśnia, dlaczego zrobiłem cię kiedyś moim księgowym.

Benny ani drgnął, nawet kiedy Valka wreszcie nawiązał do prawdziwego powodu ich spotkania. Pieniędzy.

– Ale jest tu też napisane... – Eddy znów spojrzał na artykuł i cmoknął językiem – ...że niestety ludzie z HSP często popadają w depresję. Obłąkańcy, którzy masowo podejmują próby samobójcze.

– Ja jeszcze żyję.

– Tak. Ale to nie twoja zasługa, tylko twojego brata.

– Czy koniecznie musimy mówić o Marcu?

Eddy roześmiał się.

– Dobrze, że mi przypomniałeś. Chodź, coś ci pokażę.

Valka rzucił fartuch na kontuar, wziął do ręki ogrodowe nożyce i dał nimi niedwuznaczny znak, żeby Benny poszedł za nim na zaplecze.

Przyległe pozbawione okien pomieszczenie było wykorzystywane na magazyn. Ale, jak stwierdził zszokowany Benny, nie przechowywano w nim kwiatów, nawozów lub wazonów, lecz odpadki. Ludzkie odpadki, które w dodatku jeszcze żyły.

– Czas, żebyśmy wreszcie wyleczyli cię z twojego HSP – powiedział Valka i wskazał na nagiego człowieka rozpiętego na krzyżu św. Andrzeja. W jego ustach tkwił pomarańczowy knebel z otworem średnicy słomki na środku, przez który nagi człowiek oddychał. Nieszczęśnik był bliski hiperwentylacji, ponieważ nie mógł oddychać przez złamany nos.

– Chcę, żebyś teraz uważnie patrzył – powiedział Eddy i włączył lampę warsztatową, która luźno zwisała z sufitu. Jednocześnie rytmicznie ścisnął i rozwierał nożyce, które trzymał w dłoni. Oczy zakneblowanego rozszerzyły się, kiedy usłyszał metaliczne trzaski. Nie widział jeszcze ostrzy, ponieważ jego głowa tkwiła w urządzeniu przypominającym imadło, które uniemożliwiała wszelkie ruchy na bok. Śruby mocujące tkwiły w jego uszach. Z lewego płynęła krew.

Benny chciał się odwrócić.

– Nie, nie, nie. – Eddy kilka razy cmoknął językiem, jakby chciał uspokoić konia. – Masz grzecznie patrzeć.

Stanął blisko nagiego mężczyzny i podniósł nożyce bezpośrednio na wysokość jego twarzy. Ostrza błyskały w żrenicach jego coraz gwałtowniej oddychającej ofiary.

– Ten artykuł naprawdę otworzył mi oczy, Benny. Mianowicie jest w nim napisane, że chorzy na HSP są wyjątkowo wrażliwi na ból, zgadza się?

Benny z przerażenia nie był w stanie powiedzieć słowa.

– Niektórzy nie reagują nawet na środki znieczulające. Wyobrażasz sobie, jakie męczarnie przeżywają u dentysty?

Eddy odsunął ostrzem nożyc górną wargę swojej ofiary. Mężczyzna miał popsute, pożółkłe od nikotyny zęby.

– Ale najbardziej zaciekało mnie to, że ludzie tacy jak ty są szczególnie wrażliwi na cierpienia innych, Benny. Podobno odczuwają ból innych ludzi bardziej intensywnie niż własny.

Eddy podsunął kciukiem prawą powiekę mężczyzny.

– Przestań – jęknął Benny, chociaż wiedział, że to nie ma sensu. Valka chciał zademonstrować, co go czeka, jeśli nie zwróci dziewięćdziesięciu tysięcy euro, które od niego pożyczył.

Eddy odwrócił się do niego ostatni raz.

– To mi ułatwia sprawę, mój wrażliwy młody przyjacielu. Ponieważ oznacza, że mogę sprawić ci ból, nie zadając ran.

Benny patrzył na unoszącą się rytmicznie klatkę piersiową nagiego mężczyzny, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Spojrzał w jego wychodzące na wierzch oczy i czuł woń strachu, którą było przesiąknięte wilgotne pomieszczenie. Czuł ją na własnej skórze, mógł ją posmakować językiem i wiedział, że za kilka chwil dozna straszliwego bólu. Tak jakby to jemu samemu wydłubywano z oczodołu gałkę oczną i zardzewiałym nożem odcinano od nerwu wzrokowego.



# Rozdział 7

Klinika Bleibtrea znajdowała się przy Französische Straße w starym budynku uszlachetnionym szkłem i stałą, niedaleko Gendarmenmarkt, co od razu sygnalizowało, że pacjenci z kasy chorych mogą tu co najwyżej sprzątać. Kiedy zajechali luksusową limuzyną bezpośrednio pod drzwi prywatnych wind na drugim poziomie podziemnego garażu, Marc był przygotowany na wszystko: oczko wodne z karpiami koi w recepcji, prawdziwe lniane ręczniki w designerskiej toalecie dla gości i poczekalnię, która mogłaby konkurować z First Class Lounge singapurskich linii lotniczych. Tymczasem rzeczywistość przerosła nawet jego oczekiwania, kiedy się okazało, że z luksusowej męskiej toalety można podziwiać panoramę Friedrichstraße. Ten, kto znalazł się tu na górze, może nawet i cierpieć na jakieś zaburzenia psychiczne, ale i tak mógł dalej sikać szarym ludziom na głowy. Takie gustowne marnotrawienie pieniędzy płaconych przez pacjentów z pewnością spodobałoby się jego ojcu. Jednym z jego ulubionych powiedzeń było: pieniądze mają się dobrze tylko w ładnym portfelu.

Natomiast Marc czuł się jak wegetarianin w rzeźni, kiedy wypełniał w stylowej poczekalni deklarację o poufności i ankietę personalną. Pół godziny wcześniej musiał oddać strażnikowi przy wejściu telefon komórkowy, wszystkie metalowe przedmioty, a nawet portfel.

– Zwykle środki bezpieczeństwa – wyjaśnił mu Bleibtreu. – Nie uwierzy pan, do czego zdolna jest konkurencja, żeby tylko ukraść rezultaty naszych badań.

Potem przeprosił go i przekazał pod opiekę wyglądającego na południowca asystenta, który zaprowadził go do zaciemnionego pomieszczenia i następnie znikł bez słowa.

Wchodząc, Marc miał wrażenie, że wchodzi do gabinetu dentystycznego. Pośrodku zaciemnionego pomieszczenia stała biała, hydraulicznie regulowana leżanka. Liczne różnokolorowe kable łączyły ją ze stojącym na stoliku komputerem.

– Elektroencefalograf – powiedział miękki kobiecy głos. Kiedy ciężkie drzwi za jego plecami zamknęły się z cichym kliknięciem, Marc odwrócił się gwałtownie, przestraszony.

– Zmierzymy nim aktywność bioelektryczną pana mózgu.

Część kwadratowego pomieszczenia była oddzielona szpalerem wysokich na mniej więcej metr drzewek mandarynkowych. Nie zauważył ani znajdującego się za nimi kącika wypoczynkowego z meblami obitymi skórą, ani lekarki, która podniosła się teraz z klubowego fotela.

– Przepraszam, nie chciałam pana przestraszyć, doktorze Lucas. Nazywam się Patrizia Menardi, jestem tu neurologiem.

Podeszła do niego z wyciągniętą ręką. Udało się jej wyglądać jednocześnie przyjaźnie i dominująco, co między innymi polegało na tym, że miała łagodny głos, ale jednocześnie ani cienia uśmiechu na twarzy. Marc dojrzał drobne nacięcie nad wargą, przypuszczalnie pozostałość po doskonale przeprowadzonej operacji likwidacji rozszczepu podniebienia. Był prawie pewny, że jej mocny uścisk dłoni w połączeniu z raczej męskim zachowaniem tworzyły wał ochronny, którego zręby powstały w czasach, kiedy w szkole naśmiewano się z jej zajęcej wargi.

– Pani doktor Menardi, właściwie chciałem tylko...

– Nie, nie proszę mnie nie tytułować. Wystarczy pani Menardi.

– Okay, w takim razie mnie też proszę nie tytułować. Tytułu doktora używam tylko wtedy, kiedy rezerwuję pokój w hotelu, ale jeszcze nigdy nie dał mi on żadnych przywilejów.

Lekarka ani drgnęła.

*Okay. Poczucie humoru nie jest jej mocną stroną.*

– Kiedy wróci profesor Bleibtreu? – zapytał.

– Za kilka chwil. Do tej pory zdążę przygotować badanie.

– Hola, hola. Obawiam się, że czegoś pani nie zrozumiała. Nie zamierzam się badać. Profesor obiecał mi tylko wyjaśnić przebieg eksperymentu. Czysto hipotetycznie, ponieważ jak na razie wcale nie mam zamiaru brać w nim udziału.

Menardi przechyliła głowę i niecierpliwym ruchem ręki sprawdziła, czy jej kok znajduje się na właściwym miejscu.

– Ach tak? Powiedziano mi, że jest pan naszym następnym kandydatem do MME.

– MME?

– *Memory experiment*, z którym profesor pana zapozna, jak tylko skończy obchód. Wykorzystajmy ten czas i zacznijmy wypełniać pana kartę pacjenta.

Marc westchnął i spojrzał na zegarek.

– Marnuje pani czas – powiedział, ale mimo to usiadł naprzeciwko lekarki, która wróciła na swoje miejsce. Podała mu szklankę wody z karafki i otworzyła cienką teczkę, która leżała na stoliku znajdującym się pomiędzy nimi.

– Marc Lucas, lat trzydzieści dwa, studia prawnicze ukończone z oceną powyżej średniej. – Z uznaniem postukała długopisem we fragment leżącej przed nią ankiety, którą Marc miał wypełnić w poczekalni razem z deklaracją poufności. Ale po dojściu do połowy stracił ochotę i przerwał.

– Oba egzaminy na dobry, również doktorat z prawa karnego dla nieletnich, moje gratulacje. O ile wiem, udaje się to tylko nielicznym.

Skinęła głową z uznaniem.

– A teraz pracuje pan społecznie w Neukölln jako streetworker z trudną młodzieżą i z dziećmi z problemami? – zapytała jakby mimochodem.

Jej wzrok spoczął na zegarku na prawym nadgarstku Marca.

– Podróbka z Tajlandii – skłamał i wsunął palec wskazujący pod luźną bransoletę. Nie miał ochoty wyjaśniać, jak z pensją pracownika socjalnego mógł pozwolić sobie na luksusowy zegarek wartości samochodu średniej klasy – nawet jeśli był to tylko prezent urodzinowy od Sandry.

– Pana ojciec też był prawnikiem. – Wyjęła z akt jakieś zdjęcie i trzymała tak, żeby Marc niczego nie widział. – Idzie pan w jego ślady – powiedziała i dalej przerzucała kartki. Marc się nie poruszył, chociaż najchętniej wyrwałby jej tę ankietę z rąk. Rzeczywiście podobieństwo z jego ojcem było frapujące, ale osoby postronne rzadko to dostrzegały, ponieważ dotyczyło ono nie tyle wyglądu zewnętrznego, ile raczej charakteru i nastawienia do życia. Frank Lucas był wojownikiem, tak samo jak Marc zrobił maturę w szkole wieczorowej, żeby później jako adwokat poświęcić się obronie szarych ludzi. Na początku, kiedy jeszcze nie mógł pozwolić sobie na własne biuro i ulokował kancelarię w swoim mieszkaniu, połowa sąsiadów siedziała u niego na kanapie i zasięgała porad. Zdradzane żony, nietrzeźwi kierowcy, drobni

kryminaliści, którzy zostali przyłapani na nieczystych sprawkach. Papa Lucas był dla nich bardziej spowiednikiem niż adwokatem. Nierzadko odraczał „przyjaciołom” zapłatę honorarium albo w ogóle z niego rezygnował, nawet jeśli mama Lucas sypała potem gromy na jego głowę, ponieważ zalegali z czynszem.

Ale paru drobnych kryminalistów, którymi zajmował się pro bono, zrobiło karierę. Kanciarzy, którzy nagle mogli zapłacić gotówką i nigdy nie chcieli rachunku. Im niżej upadali jego klienci, tym lepiej prosperowała jego kancelaria, choć trwało to dość krótko.

– Ojciec zmarł młodo na nierozpoznaną marskość wątroby, matka, gospodyni domowa, kilka miesięcy później – kontynuowała Menardi.

*Skąd ona to wszystko wie?*

Jeśli dobrze pamiętał, nie wypełnił tej i następnych rubryk ankiety.

– Ma pan młodszego brata, Benjamina? – pytała dalej Menardi.

Marc poczuł lekki ucisk w gardle i sięgnął po szklanekę z wodą. Widocznie neurołożka poświęciła trochę swojego cennego czasu na wyszukanie informacji o nim w Internecie.

– Benny. Przynajmniej tak się nazywał, kiedy rozmawiałem z nim ostatni raz.

– A kiedy to było?

– Chwileczkę, muszę pomyśleć. – Marc wypił łyk wody i odstawił szklanekę na stolik.

– Było to, hm... poniedziałek, wtorek, środa...

Liczył na palcach kolejne dni tygodnia.

– A więc z grubsza biorąc, w jakiś czwartek. Mniej więcej półtora roku temu.

– W dniu przymusowego umieszczenia go w szpitalu? – Menardi zamknęła akta i lekko postukała długopisem w przednie zęby. – Po kolejnej nieudanej próbie samobójczej?

Ucisk w gardle znów przybrał na sile.

– Niech pani posłucha, nie wiem, jak pani weszła w posiadanie tych wszystkich informacji, ale z pewnością nie przyszedłem tutaj, żeby rozprawiać o starych historiach rodzinnych.

Zrobił ruch, jakby chciał wstać, na co lekarka uniosła rękę w uspokajającym geście.

– W takim razie proszę mi opowiedzieć o traumie, która ostatecznie skłoniła pana do zgłoszenia się do nas.

Marc wahał się przez chwilę, jeszcze raz spojrzął na zegarek i opadł na kanapę.

– Słyszę głosy – powiedział.

– Co proszę?

– Ooo, teraz znowu. Ktoś powiedział: „Co proszę?”

Menardi przyglądała mu się bez słowa, następnie zapisała coś w swoich aktach.

– Co pani tam pisze? – zaciekał się Marc.

– Uważam, że chowa się pan za swoim poczuciem humoru. To typowe dla kreatywnych inteligentnych ludzi. Jednak utrudni to terapię.

– Wcale nie chcę żadnej terapii.

– Ale powinien pan wziąć to pod rozwagę. Czy zechciałby pan opisać mi przebieg wypadku?

– Po co w ogóle zadaje mi pani te pytania, skoro i tak pani już wszystko wie?

– Ponieważ chcę to jeszcze raz usłyszeć z pana ust. Zwracam przy tym uwagę nie tyle na to, co pan

mówi, ale jak pan mówi. Na przykład pana usiłowania, żeby obrócić wszystko w żart, dostarczają mi więcej informacji niż fakt, że być może pana żona jeszcze by żyła, gdyby pan natychmiast wezwał pomoc.

Marc miał uczucie, jakby lekarka właśnie odkryła wentyl w jego ciele, przez który mogła spuścić z niego powietrze jak z dmuchanego materaca. Odniósł niemal wrażenie, że słyszy syczenie, z którym ucieka z niego cała siła.

– Co to ma znaczyć? Nie mogłem wezwać pomocy. Byłem nieprzytomny.

– Ach tak? – Lekarka zmarszczyła czoło i znów spojrzała w akta. – Według raportu z wypadku zadzwonił pan na pogotowie. Ale dopiero czternaście minut po zdarzeniu.

Podawała mu kartkę cienką i przezroczystą jak papier śniadaniowy. Marc spojrzał jej w twarz i zmieszał się jeszcze bardziej, kiedy wydało mu się, że widzi w jej oczach szczere zatroskanie.

– Chwileczkę – powiedziała z wahaniem. Na jej twarz wystąpił rumieniec, a kartka w jej dłoniach zaczęła nerwowo drżeć. – Chce pan powiedzieć, że pan tego nie pamięta?

# Rozdział 8

To niemożliwe, pomyślał Marc. Zupełnie niemożliwe.

Nie mógł wybrać 112. Nie w tym momencie. Nie ulegało wątpliwości, to był numer jego komórki, Bóg jeden wie, w jaki sposób trafił do jego teczki z dokumentami w klinice. Ale to w żadnym razie nie mógł być on. Kiedy uderzył głową najpierw w drzwi, a potem w kierownicę, stracił przytomność. Natychmiast, a nie dopiero w czternaście minut po wypadku.

Ktoś zastukał i Marc odwrócił się, oczekując, że ponownie ujrzy neurolożkę, która kilka minut wcześniej opuściła pokój z zatroskaną miną. Ale w drzwiach stał profesor Bleibtreu. Na jego twarzy błąkał się ujmujący uśmiech, który z pewnością ozdabiał liczne prospekty reklamowe kliniki.

– Co to ma znaczyć? – napadł na niego Marc. – Myślałem, że przywiózł mnie pan tutaj po to, żebym zapomniał. A tymczasem nabijacie mi głowę jeszcze bardziej przerażającymi obrazami.

– Doktorze Lucas, czuję się w obowiązku przeprosić pana za zachowanie pani Menardi. Zaszła tu przykra pomyłka.

– Pomyłka?

– Ona nie była upoważniona, żeby to powiedzieć.

– Upoważniona? – Marc założył ręce za głowę. – Czy to znaczy, że rzeczywiście zadzwoniłem wtedy na pogotowie?

– Nie.

Bleibtreu wykonał zapraszający ruch ręką, ale Marc zamiast znów usiąść na kanapie, wolał dalej stać przy oknie.

– To był przypadkowy świadek – wyjaśnił profesor. – Człowiek, który pierwszy zjawił się na miejscu wypadku. Nie miał ze sobą telefonu komórkowego, a więc włożył rękę przez rozbitą boczną szybę i wziął pana aparat.

Na ulicy, jedenaście pięter pod nimi, kierowcy urządzali klaksonami istny koncert. Albo korek, albo ślub. Marc odsunął kremowe pionowe żaluzje, ale z powodu plandeki rozwieszanej na rusztowaniu za oknem mało co widział.

– Skąd pan to wszystko wie?

Profesor spojrział na niego zdziwiony.

– Kopia protokołu z wypadku znajduje się w pana karcie chorobowej. W swoim mailu jednoznacznie wyraził pan zgodę na wgląd do niej.

Marc jak przez mgłę przypomniał sobie kwadracik, który zaznaczył w ściągniętym z Internetu formularzu. Tamtego wieczoru było mu wszystko jedno.

– Mam rozumieć, że nie widział pan tego protokołu na oczy?

Marc kiwnął potakująco głową. Nigdy też się o to nie starał. Niespecjalnie łaknął dalszych koszmarnych szczegółów z tego najbardziej przerażającego dnia w jego życiu.

– Rozumiem – powiedział Bleibtreu. – Oczywiście znajduje się pan jeszcze w początkowej fazie żałoby.

*Po pierwsze: nieprzyjmowanie do wiadomości. Po drugie: wybuchające emocje. Po trzecie: poszukiwanie, pogodzenie się, izolowanie. Po czwarte: nabranie nowego stosunku do samego siebie i do świata.* Marc znał ten podział. Zakres jego obowiązków służbowych obejmował opiekę psychologiczną nad osobami zgłaszających się do jego biura. Schemat ten pomagał mu lepiej zrozumieć sytuację dzieci, które straciły osobę towarzyszącą im w życiu na ulicy. Ale nie potrafił zastosować go w stosunku do siebie.

– Nie zaprzeczam śmieci Sandry – odpowiedział.

– Ale chce pan ją wyprzeć z pamięci!

– Myślałem, że to właśnie jest sposób, który pan zaleca, profesorze? Zapomnieć!

Bleibtreu podszedł do niego i też stanął przy oknie. Na dworze zanosilo się na burzę i wiatr wybrzuszał plandekę w stronę okna.

– Cóż, może to zabrzmieć jak paradoks – powiedział ordynator. – Ale przed zapomnieniem przychodzi przypomnienie. Dlatego boję się, że musimy jeszcze raz prześledzić razem przebieg wypadku.

– Po co? – Marc odwrócił się do niego.

– Żebyśmy nie przeoczyli żadnego ukrytego wspomnienia, które później mogłoby wyrosnąć jak chwast z pana podświadomości. – Bleibtreu położył pokrytą starczymi plamami dłoń na ramieniu Marca i ta niespodziewana bliskość na krótką chwilę przełamała jego instynktowny opór.

*Faza pierwsza. Zaprzeczanie. Wypieranie.*



# Rozdział 9

**P**onownie usiedli.

– Nie ma dużo do opowiadania. Kiedy to się zdarzyło, wracaliśmy z małej uroczystości rodzinnej w willi jej ojca.

Bleibtreu pochylił się do przodu.

– Co to była za okazja?

Wiatr za oknem trząśł rusztowaniem tak silnie, że nawet przez wytłumione szyby okienne było słycać skrzypienie i stękanie zabezpieczeń. Marc westchnął.

– Sandra dostała zamówienie na nowy scenariusz. Była aktorką i pisarką, ale to z pewnością pan wie.

Mówiąc to, niespokojnie wiercił się na kanapie. Sandrę zawsze bawiło to jego zachowanie. W kinie nie mógł spokojnie wysiedzieć przez jedną scenę.

– To miał być jej pierwszy film kinowy, Amerykanie byli gotowi zapłacić ogromne pieniądze i chcieliśmy opić to z jej ojcem.

– Profesorem Constantinem Sennerem?

– Tak, tym chirurgiem. Jest... – Marc zaciął się. – Był moim teściem. Z pewnością słycał pan o klinice Sennera.

– Polecamy ją wszystkim naszym pacjentom, którzy muszą przejść jakiś zabieg operacyjny. Chwała Bogu nie zdarza się to często.

Zanim Marc zaczął mówić dalej, zmienił pozycję i nerwowo skubał skórę podbródka.

– Jechaliśmy prawie nieuczęszczaną leśną drogą, która prowadzi z Sakrow w kierunku Spandau.

– Sakrow pod Poczdamem?

– Zgadza się. Posiadłość Sennerów leży bezpośrednio nad wodą i roztacza się z niej widok na Pfaueninsel. W każdym razie, jak zawsze jechałem trochę za szybko jednopasmową drogą. Sandra wściekała się z tego powodu, chyba nawet groziła, że wysiadzie.

Marc na chwilę zamknął oczy i jak to często bywało, starał się wyprzeć z pamięci szczątkowe wspomnienia z wypadku.

– I co się wtedy stało? – zapytał ostrożnie Bleibtreu. Im ciszej mówił, tym jego głos brzmiał bardziej kobieco.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Wspomnienia z ostatnich godzin przed wypadkiem zniknęły. Nie wiem nic więcej ponad to, co panu powiedziałem. Mój teść mówi o wstecznej amnezji. Przyjęcie, rozmowa w drodze powrotnej, zupełnie tego nie pamiętam. – Marc roześmiał się smutno. – Niestety tylko tego. Reszta wchodzi w zakres pana kompetencji.

– Hm.

Lekarz splótł ręce na piersi, co podkreśliło podejrzliwy ton w jego następnym pytaniu.

– I nigdy nie przypomniał pan sobie ostatnich chwil w samochodzie?

– Ależ tak. Część z nich, ale dopiero niedawno. Jednak nie jestem pewny, co z tego jest snem, a co zdarzyło się naprawdę.

– Interesujące. W takim razie, co się panu śni?

Marc machnął ręką.

– Kiedy się budzę, przeważnie pamiętam tylko niemające związku strzępy rozmowy. Sandra nalega, błaga mnie, żebym czemuś nie przeszkodził.

– „Czy sam nie powtarzasz zawsze, że cel uświęca środki? Czy to nie jest twoje życiowe motto?”

– „Czyś ty zwariowała? Cel nigdy nie uświęca śmierci”.

– Czemu chciał pan przeszkodzić?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że podświadomość płata mi figła i mówię tu o wypadku.

Marc zastanawiał się właśnie, czy powinien odtworzyć profesorowi każdy szczegół ich ostatniej rozmowy, kiedy ten zadał najbardziej dręczące ze wszystkich pytanie.

– Dlaczego odpięła pasy?

Przełknął ślinę. Raz, potem znowu, ale ucisk w gardle wydał się jeszcze większy.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Sięgała do tyłu, prawdopodobnie, żeby wziąć coś do jedzenia.

Była w szóstym miesiącu i zawsze mieliśmy ze sobą coś słodkiego, gdyby dopadł ją wilczy apetyt. A to zdarzało się regularnie, zwłaszcza kiedy Sandra była wkurzona.

Marc zaczął się zastanawiać, czy ktoś wyjął tabliczkę czekolady ze schowka na rękawiczki, zanim wrak samochodu wylądował w prasie hydraulicznej, i nagle zabrakło mu powietrza.

– Co się potem stało? – zapytał cicho Bleibtreu.

*Zobaczyłem, jak nagle trzyma coś w ręku. Fotografie? Pokazała mi ją, ale zdjęcie było bezbarwne i miało duże ziarno. Nie mogę sobie niczego przypomnieć. W ogóle nie jestem pewny, czy naprawdę to przeżyłem. Ponieważ widzę to tylko w snach, chociaż z dnia na dzień stają się one coraz bardziej wyraźne.*

Do tej pory Marc opowiadał o tym jedynie teściowi i też tylko w ograniczonym stopniu, ponieważ myślał, że sen mógł być skutkiem ubocznym działania lekarstw, które musiał brać z powodu odprysku.

– Wtedy pękła opona – kontynuował. – Nasz samochód obrócił się dwa razy wokół własnej osi, zanim...

Starął się uśmiechnąć. Z jakiegoś absurdalnego powodu wydawało mu się, że w obecności obcych ludzi powinien bagatelizować tę tragedię.

– Obudziłem się w klinice Sennera, a resztę może pan przeczytać.

Bleibtreu skinął głową.

– Jak się pan czuje od tamtej pory?

Marc sięgnął po prawie pustą szklankę. Ale nie miał siły, żeby sobie dolać.

*A jak czuje się człowiek, który ma na sumieniu żonę i nienarodzonego syna?*

– Jestem zmęczony, pozbawiony energii. Każdy ruch sprawia mi trudność. Bolą mnie stawy i głowa. – Próbował się zaśmiać. – Niech pan umieści mnie w domu starców, a będę tam miał co niemiara wspólnych tematów do rozmów.

– Typowe oznaki ciężkiej depresji.

– Albo każdej innej śmiertelnej choroby. Szukałem objawów w Google’u. Na pierwszym miejscu wyskoczyły mi strony firm pogrzebowych i sprzedających trumny.

Bleibtreu uniósł lewą brew i przywołał tym w Marcu kolejne wspomnienie żony. Natura dała Sandrze

brwi o pięknym wysokim łuku, które sprawiały, że na jej twarzy malowało się permanentne zdziwienie.

– Czy odczuwa pan te dolegliwości dopiero od czasu wypadku?

Marc zwlekał z odpowiedzią. Już wcześniej miewał dni, kiedy czuł się jak wyżęta ścierka, niewyspany i skacowany, chociaż nie tknął kropli alkoholu. Teść był tym bardzo zaniepokojony i na dwa tygodnie przed śmiercią Sandry namówił go na kompleksowe badania, od badania krwi po rezonans magnetyczny, ale nie wykryto niczego nadzwyczajnego.

– Ujmijmy to tak: wypadek nie przyczynił się do poprawy stanu mojego zdrowia.

Odezwał się głośny brzęczyk i Marc potrzebował krótkiej chwili, zanim skojarzył, że to alarm w jego zegarku przypomniał mu o pigułkach. Wyjął dwie podłużne kapsułki z małej kieszonki, która nie wiadomo po co znajduje się w prawej kieszeni większości dżinsów. Dawniej chował tam gumę do żucia.

– Bierze pan te proszki z powodu urazu szyi? – zapytał profesor, kiedy Marc popił tabletki ostatnim łykiem wody. Przytaknął i instynktownie dotknął opatrunku na karku.

– Lekarze nie chcą ryzykować operacji. Odprysk jest dość mały, ale utkwiał w przestrzeni międzykręgowej, tuż przy rdzeniu. Proszki, które biorę, mają pomóc, żeby ciało obce lepiej zrosło się z tkanką mięśniową i nie wywołało stanów zapalnych albo nie zostało odrzucone. Jeśli to się nie uda, będą musieli je wyciąć, ale wtedy zachodzi ryzyko, że kiedy wybudzę się z narkozy, będę sparaliżowany od szyi w dół.

– Czy to boli?

– Nie, tylko swędzi.

Prawdziwy ból tkwił głębiej. W przeciwieństwie do tego śmiesznego odprysku wbił się w jego duszę jak ostrze siekiery.

– Dobrze... – Bleibtreu chciał przejść do kolejnego pytania, ale Marc mu przerwał.

– Nie, nic nie jest dobrze. Koniec. Proszki sprawiają, że jestem potwornie zmęczony i często robi mi się po nich niedobrze. A więc jeśli nie chce pan, żebym zwymiotował na podłogę, muszę się szybko położyć. Poza tym mam już po dziurki w nosie tej rozmowy. Odkąd wsiadłem do pana samochodu, ciągle zbywa się mnie obietnicami. I zamiast uzyskiwać odpowiedzi, pan i pana koleżanka poddajecie mnie regularnemu przesłuchaniu. A więc mamy tu dwie możliwości. Albo natychmiast wyjdę przez te drzwi...

– ...albo w końcu zdradzę panu naszą małą tajemnicę – dokończył zdanie Bleibtreu. Na jego twarzy znów zabłysnął pięciogwiazdkowy uśmiech z prospektu reklamowego. – A więc dobrze, niech pan pójdzie ze mną.

Profesor trochę nieporadnie wstał z fotela, przy czym uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– Proszę za mną. Być może tylko kilka kroków dzieli pana od nowego życia.

# Rozdział 10

Ludzki umysł to nie archiwum – wyjaśnił Bleibtreu, zamykając za sobą obite skórą drzwi do swojego biura. – Nie ma szuflad, które człowiek według upodobania może otwierać i zamykać, żeby wkładać i wyjmować z nich informacje.

Profesor zajął miejsce za masywnym biurkiem, w tym celu musiał zdjąć z fotela stos luźnych kartek, które położył obok stert akt i książek na podłodze. Marc usiadł na drewnianym krześle pomalowanym białym lakierem i rozejrzył się dookoła.

W przeciwieństwie do sterylnej porządku, który panował w innych pomieszczeniach kliniki, ten pokój sprawiał wrażenie niemal zapuszczonego. Brudne filiżanki po kawie i nadgryziona kanapka mieszały się z chaotycznie piętrzącymi się stertami fachowych książek i kart pacjentów. W jaskrawym świetle halogenowych żarówek na suficie Marc zauważył tłustą plamę na krawacie profesora, która do tej pory nie rzuciła mu się w oczy w przytłumionym półmroku panującym w limuzynie i w gabinecie lekarskim.

– Kiedyś panowało przekonanie, że każde wspomnienie ma w mózgu swoje określone miejsce. Ale oczywiście tak nie jest.

Bleibtreu przejechał kawałek na swoim fotelu na kółkach, zręcznie manewrując pomiędzy stertami akt na podłodze. Następnie otworzył laminowaną szafę biurową i wrócił na swoje miejsce z modelem mózgu, który z trudem umieścił pomiędzy aparatem telefonicznym a dużym przyciskiem do papieru, bezpośrednio na otwartym czasopiśmie naukowym z dziedziny neuropsychologii.

– Coś panu zademonstruję.

Zrobiony ze sztucznej szarej gąbki model miał wielkość mniej więcej dziecięcej piłki i trzymał się na drewnianym wsporniku wetkniętym w wypolerowaną podstawkę.

Kiedy Marc ponownie skierował uwagę na Bleibtreua, ten trzymał w dłoniach dwie szklane ampułki. Ampułka w lewej ręce była napełniona czerwonym, a w prawej przezroczystym płynem.

– Zaczyna się pokaz czarodziejskich sztuczek?

– Coś w tym rodzaju. Proszę dobrze uważać.

Profesor odłamał szyjkę lewej ampułki i trzymał ją ukośnie nad szarą masą mózgu.

– Myśl jest jak kropla. – Mówiąc te słowa, wylał mniej więcej milimetr krwistoczerwonego atramentu na korę mózgową modelu. Kropla natychmiast utworzyła sobie drogę przez system kapilarny gąbki.

– Kiedy przeżycie staje się wspomnieniem, osadza się ono w miliardach połączeń nerwowych.

– Synapsach.

– Dokładnie. Niech się pan przyjrzy, Marc. – Profesor dotykał długopisem różnych rejonów mózgu, które stopniowo nabierały czerwonej barwy. – Każde wspomnienie jest zapisywane w niezliczonych połączeniach poprzecznych. Hałas silnika, jakaś sprzeczka, zapach, konkretna piosenka, która być może leciała w radiu, widok na wodę, szum liści w lesie, wszystko to może reaktywować pańską pamięć, przywołując na powrót straszne wspomnienie z wypadku.

– A jak pan chce wymazać je z mojej głowy? – zapytał Marc.

– Nie chcę. – Bleibtreu przełamał następną ampułkę. – W każdym razie nie w sposób wyizolowany.

Niestety możemy wyczyścić panu tylko całą pamięć.

– Chwileczkę. – Marc chrząknął i lekko dotknął ostatniego szarego obszaru na przodomózgowiu modelu. – Czy dobrze zrozumiałem, że chce pan zabrać mi wszystkie wspomnienia?

– Sztuczne spowodowanie całkowitej amnezji. Tak. To jedyna możliwość. Właśnie to zgłębiamy.

Bleibtreu odwrócił model w stronę Marca, żeby ten mógł lepiej widzieć, jak czerwona farba coraz bardziej się rozprzestrzenia.

– W rzeczywistości utrata pamięci jest wywoływana przez trzy czynniki. – Zaczął wyliczać: – Przez silne traumatyczne przeżycie, o którym umysł chce zapomnieć, przez uszkodzenie mózgu w następstwie wypadku i przez substancje biologicznie czynne, takie jak środki znieczulające.

Teraz Bleibtreu wylał na gąbkę bezbarwną zawartość drugiej ampułki i Marc ze zdziwieniem przyglądał się, jak w niektórych miejscach czerwone zabarwienie natychmiast blaknie.

– Niech zgadnę. Stawia pan na chemię i opracował pan tabletkę wywołującą alzheimera, którą mam połączyć?

– Coś w tym rodzaju. Oczywiście jest to trochę bardziej skomplikowane, ale w zasadzie ma pan rację.

– Z czysto dziennikarskiej ciekawości zapytam, co dzieje się potem?

Tymczasem czerwone zabarwienie prawie całkowicie ustąpiło z gąbki.

– Ma pan na myśli, kiedy już wywołamy u pana amnezję?

– Tak.

– To całkiem proste. Znów pana naładujemy.

– Co takiego?

– Oczywiście wyłącznie tymi wspomnieniami i przeżyciami, które naprawdę będzie pan chciał odzyskać. Można to porównać z ponownym formatowaniem komputera. Jeśli nie da się rozpoznać błędu w systemie, najlepiej wszystko wykasować i ponownie wgrywać po kolei działające programy. Tak samo zrobilibyśmy z panem. Najpierw w toku intensywnego wywiadu ustalimy wspólnie, co chciałby pan później pamiętać. Następnie wywołamy sztuczną amnezję wsteczną, a w końcowej fazie rehabilitacji ponownie skonfrontujemy pana z przeszłością. Oczywiście z wyjątkiem przeżyć, które wiążą się z pana żoną.

– A co będzie z moim otoczeniem? – zapytał Marc. – Moimi przyjaciółmi, znajomymi, ojcem Sandry? Przecież kiedy tylko spotkam Constantina, na pewno wspomni o śmierci córki.

– Nie, jeśli już nigdy pan go nie zobaczy.

– Słucham?

Bleibtreu odjechał ze swoim krzesłem do tyłu i uśmiechnął się. Był w swoim żywiole i wydawał się o lata młodszy niż jeszcze niedawno w limuzynie. Nawet jego głos był mocniejszy.

– Właśnie dlatego jest pan dla nas odpowiednim kandydatem. Pracuje pan społecznie, ale jednocześnie nie ma pan zbyt wielu społecznych więzi. Pana rodzice zmarli wczesnie, nie utrzymuje pan kontaktu z bratem. Pana współpracownicy w biurze ciągle się zmieniają, z klientami łączy pana przeważnie tylko ograniczone w czasie relacje.

– A moi przyjaciele? Na pewno zwrócą uwagę na zmiany.

– Ci, którzy tyrają w dużych kancelariach, i gdyby nie data wrzucona do komputerowego terminarza,

zapomnieliby o pana urodzinach?

– Przecież ja nie żyję w próżni. Jak pan to sobie wyobraża? Mam wyjechać z miasta?

Ku zdziwieniu Marca profesor kiwnął potakująco głową.

– Oczywiście zatroszczylibyśmy się o pana nowe życie. To również jest częścią eksperymentu. Zawieziemy pana do innego landu, załatwimy nową pracę, dzięki odpowiedniej legendzie wtopi się pan w swoje sąsiedztwo. Pokryjemy nawet koszty przeprowadzki. Nawiasem mówiąc, współpracujemy z ekspertami od programów ochrony świadków.

– Pan znikował – powiedział Marc i zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Z pewnością obraliśmy ekstremalną drogę. Ale ten, kto chadza tylko utartymi ścieżkami, nigdy nie dokona nowych odkryć.

Profesor znów uniósł lewą brew.

– Niech pan rozważy, jakie to otwiera możliwości, Marc. Jako jeden z pierwszych ludzi na tej planecie mógłby pan rozpocząć całkowicie nowe życie psychiczne. Absolutnie wolny od duchowego balastu, czysty jak nowo narodzone dziecko. Nie mówię tylko o wypadku. Sprawimy, że zapomni pan wszystko, co pana kiedykolwiek zraniło.

Wskazał na model mózgu, który był teraz tak samo szary, jak na początku demonstracji.

– Powrót do ustawień fabrycznych? Całkowity reset? – zapytał Marc.

– Wybór należy do pana.

Bleibtreu otworzył szufladę biurka i wyjął z niej małą, gęsto zadrukowaną kartkę.

– Musi pan tylko podpisać ten formularz zgłoszeniowy, o tutaj, i możemy od razu zaczynać.

# Rozdział 11

To był błąd. Marc wiedział, że nie powinien dać się namówić. Ale pomyślał, że będzie prościej przejść badania wstępne i potem nigdy więcej tu nie wrócić niż prowadzić z profesorem długą dyskusję o wszystkich za i przeciw tego eksperymentu, który był całkowicie nie do przyjęcia.

I dlatego zgodził się przebadać pod kątem możliwych medycznych i psychologicznych kryteriów wykluczających.

„Być może i tak nie wchodzi pan w rachubę jako uczestnik”, dał mu do zrozumienia Bleibtreu.

Niezdiagnozowana choroba umysłowa, ciężka infekcja albo słabe serce byłyby powodem do odrzucenia go jako królika doświadczalnego. Problemem byłaby nawet jego wyjątkowo rzadka grupa krwi, AB Rh–.

W końcu upłynęło jeszcze dwie i pół godziny, zanim maybach podwiózł go pod wejście kamienicy w Schöneberg, gdzie wynajmował mieszkanie. Sto pięćdziesiąt minut, podczas których pobrano mu krew, zrobiono wysiłkowe EKG, każąc mu ćwiczyć na różnych fitnessowych urządzeniach, i poddano badaniu EEG w celu wykrycia ewentualnych nieprawidłowości. Chwilami czuł się jak na badaniach przed komisją poborową, kiedy lekarz ogólny najpierw poprosił go o próbkę moczu, a następnie osłuchał serce i płuca, podczas gdy okulista już czekał, żeby sprawdzić mu wzrok.

Lekarzy nie interesowało, że kilka tygodni wcześniej wiele z tych badań zrobił mu jego teść. Ponieważ klinika Bleibtreua nie chciała opierać się na wynikach z innych ośrodków, musiał nawet jeszcze raz udać się na neuroradiologię, aby wykonać rezonans magnetyczny.

Najwięcej czasu zajęły wymyślne pytania natury psychologicznej. W przeciwieństwie do testów z magazynów dla kobiet, które tak lubiła Sandra, tutaj Marc nie miał zielonego pojęcia, do czego zmiierzają te pozornie niewinne pytania.

„Czy gdyby miał pan wybór, zrezygnowałby pan z jednego oka, czy ze zmysłu węchu?

Czy częściej miewa pan sny kolorowe, czy czarno-białe?

Proszę dokończyć następujące zdanie: jestem za karą śmierci, jeśli...”

Marc był tak wyczerpany, że teraz już nie pamiętał, jakich udzielił odpowiedzi. Na dodatek przy każdym kroku odczuwał ból w stawach i myślał tylko o proszku nasennym i rozgrzewającej kąpieli, której nie mógł się doczekać. Nic więc dziwnego, że nie zauważył ciemnej postaci, mającej przy bramie domu, która czekała na niego już od dłuższego czasu.

# Rozdział 12

Leana Schmidt? – powtórzył nazwisko, którym już wcześniej mu się przedstawiła. Dzisiaj, kilka godzin temu, bezpośrednio po próbie samobójczej Julii na basenie w Neukölln. Jej włosy ciągle wyglądały, jakby były zaprasowane do tyłu żelazkiem, i Marc zakładał, że pod zapiętym pod szyję trenczem nosi banalne jasnoszare spodnium. Jedyne, co nadawało jej wyglądowi odrobinę luzu, to wypchana po brzegi plastikowa torba z taniego sklepu dyskontowego, którą trzymała w ręku i z której wystawało dużo „kobięcych zakupów”, rzeczy, na które mężczyźni z zasady nie zwracają w sklepie uwagi, takie jak pęczek rzodkiewek czy gałązka selera naciowego. Często śmiali się z Sandrą ze swoich całkowicie odmiennych preferencji zakupowych. Podczas gdy ona zapełniała wózek w supermarkecie owocami, chudym twarogiem, miękczaczem do płukania tkanin i natką pietruszki, on zatrzymywał się przed regałami, na których leżały promocyjne opakowania czystych płyt CD, wkrętarki akumulatorowe lub paczki chipsów.

– Jak do diabła pani mnie tu znalazła?

Szczupła kobieta postawiła zakupy na ziemi i masowała zdrętwiałymi palcami miejsce, w którym torba werżnęła się w nadgarstek.

– Byłam w pana biurze. Dostałam tam pana adres.

Jej głos brzmiał rezolutnie, prawie jakby oczekiwała przeprosin za to, że kazał czekać jej tak długo.

– Czego pani chce?

– Jestem... byłam pielęgniarką na oddziale, na którym przebywał pana brat.

– I?

Grzebał w kieszeniach, szukając klucza do bramy, chociaż nie był mu do niczego potrzebny. Regulamin domowy, który mu wręczono, kiedy się wprowadził, nakazywał wprowadzić lokatorom zamykanie po dwudziestej bramy od ulicy, ale przestrzegano go tutaj mniej więcej tak samo jak zakazu wyrzucania szklanych butelek do pojemników na śmieci.

– Martwię się o Benny'ego – powiedziała kobieta stanowczo i dzięki temu Marc zyskał dobry obraz tego, jak ta rezolutna osoba traktuje swoich pacjentów. Jej głos zdradzał profesjonalizm, a jednocześnie był łagodny. Doskonałe połączenie, człowiek nie czuł się indagowany, a jednocześnie głos był na tyle autorytarny, że nie pozwalał człowiekowi kwestionować tego, co mówi. Prawdopodobnie Leana nie była szeregowym pracownikiem, lecz przełożoną pielęgniarek na swoim oddziale, albo przynajmniej znajdowała się na dobrej drodze, żeby nią zostać.

Wszedł do środka i światło w korytarzu zapaliło się automatycznie. Kobieta podniosła plastikową torbę i podążyła za nim.

– Powiedział mi, że już kiedyś uratował mu pan życie.

– Ach tak? – odburknął Marc.

Rzeczywiście półtora roku temu znalazł Benny'ego w wannie z podciętymi żyłami. Zazwyczaj spotykali się tylko raz w roku, w Boże Narodzenie, na grobie rodziców. Ale tego ranka zobaczył na komórce trzy nieodebrane połączenia, a w poczcie głosowej usłyszał ledwie zrozumiałe i przerywane



zakłóceniami głosu, który przypominał głos jego brata. Kiedy Benny nie odpowiadał na telefony, Marc, kierowany wewnętrznym impulsem, pojechał do niego. Drastyczny widok, jaki tam zobaczył, uprzytomnił mu, że wiadomość na sekretarce to były słowa pożegnania.

– Uważam, że nie wolno panu było wycofać się z tego, co pan powiedział. – Ponownie zamrugała oczami. – Mam na myśli sąd, znaczy lekarzy.

Marc w dalszym ciągu nie rozumiał, do czego ma prowadzić ta dziwna rozmowa. Kiedy wezwał wtedy pogotowie, żeby ratować życie Benny'ego, uciekł się do starej sztuczki, dzięki której kandydat na samobójcę od razu był oddawany pod nadzór psychiatryczny. Stwierdził, że Benny przed nieudanym zamachem na swoje życie chciał zabić również jego, dlatego stanowi zagrożenie dla otoczenia. Do tego jeszcze był to czyn karalny. Ponieważ Benny miał już za sobą więcej udokumentowanych prób samobójczych, ogół okoliczności uzasadniał tymczasowe przymusowe umieszczenie go w zakładzie zamkniętym. Cel uświęca środki, a więc kłamstwo Marca miało odizolować jego brata od otoczenia, w którym się obracał i które go najwidoczniej coraz głębiej wciągało w bagno. Poza tym w szpitalu psychiatrycznym Benny tak łatwo nie znalazłby pod ręką paska ani brzytwy i wreszcie nie miałby styczności z Valką.

– Niech pani posłucha, moje zapotrzebowanie na opowieści o samobójcach zostało dzisiaj w całości wyczerpane – powiedział. Chciał otworzyć skrzynkę na listy, ale jakiś wandal musiał wygiąć zamek śrubokrętem.

*Jeszcze i to.*

Klucz za nic nie chciał wejść, toteż wetknięta w szczelinę skrzynki reklama mebli była jedyną pocztą, do której miał dostęp.

– A więc, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym teraz odpocząć i...

– Pana brat tak nagle się zmienił – przerwała mu. – Z dnia na dzień.

Złapała go za rękaw i już chciał się wyrwać, kiedy zgasło światło. Zadziałał wyłącznik czasowy, a ponieważ przestarzały wyłącznik nie był jeszcze wyposażony w diodę podświetlającą, trwało to chwilę, zanim Marc znów go wymacał. Kiedy wreszcie znów zrobiło się jasno, czuł się u kresu sił i nie był w stanie skończyć rozmowy z tą dziwną pielęgniarką.

– Oczywiście, że Benny się zmienił, w końcu po to siedział w wariatkowie – powiedział.

– Nie mówię o tym. – Pokręciła przecząco głową. – Przez te wszystkie miesiące nie dbał o siebie. Nie chciał się golić, jeść, nie spał w nocy. Często odmawiał wychodzenia z pokoju, a kiedy się go do tego namawiało, robił się agresywny.

Marc przytaknął zrezygnowany. Dla niego nie było to nic nowego. Z tego też powodu lekarze nie dawali dobrych widoków na przyszłość i tak tymczasowy pobyt w szpitalu zmienił się w pobyt długoterminowy.

– Ale z dnia na dzień – Leana zmrużyła oczy, a jej spojrzenie stało się jeszcze bardziej przenikliwe – mniej więcej miesiąc przed ponownym badaniem przez komisję orzekającą nagle stał się innym człowiekiem. Zaczął domagać się owoców, soków witaminowych, codziennie biegał po parku, oczywiście pod dozorem, i czytał Biblię.

– Biblię?

To rzeczywiście nie pasowało do jego młodszego brata.

– Nie jestem pewna, czy to ma jakieś znaczenie – mówiła dalej – ale zachowanie Benny’ego zmieniło się dzień po wykonaniu rezonansu magnetycznego.

*Rezonans magnetyczny? Czyżby zaburzenia psychiczne u Benny’ego miały podłoże somatyczne?*

– I to też jest dziwne. Normalnie prześwietlamy mózg, szukając anomalii, ale Benny’emu zeskanowano tylko jamę brzuszną. Chociaż nigdy nie skarżył się na dolegliwości. Postarałam się o wyniki.

– I co?

– Nic. Jest całkowicie zdrowy.

– Przecież pani nie jest lekarzem.

– Ale nie jestem ślepa. Zobaczyłam też, że od czasu tego badania Benny wielokrotnie próbował wypłukać lekarstwa. Kiedy go o to zapytałam, powiedział, że nie chce dłużej łykać tej trucizny.

Marc odwrócił się do niej i podszedł krok bliżej.

– Do czego właściwie pani zmierza?

– Myślę, że coś udawał przed komisją.

– Dlaczego miałby to robić? Wiedział, że wycofam zeznania.

Po tragedii życie Marca legło w gruzach, wypadek zabrał mu to, co najbardziej kochał, i teraz było mu wszystko jedno. Constantin nie musiał go długo przekonywać, żeby wycofał niezgodne z prawdą zeznanie, które spowodowało przymusowe umieszczenie Benny’ego w szpitalu psychiatrycznym, chociaż groziła mu za to odpowiedzialność karna.

„Wyciągnij brata” – radził mu teść. – „Potrzebujesz go. Jest jedynym żyjącym krewnym, który ci jeszcze został”.

O ile do chwili śmierci Sandry codziennie myślał i martwił się o swojego rozchwianego emocjonalnie brata, potem wszystko mu zobojętniało. Przestał rozważać, czy Benny będzie bardziej bezpieczny w zakładzie zamkniętym, czy na ulicy. Teraz sam znalazł się w takim stanie psychicznym, że nie potrafił rozróżnić, co jest właściwe, a co nie. A już zwłaszcza po takim dniu, jak dzisiaj, kiedy musiał powstrzymać przed samobójstwem swoją nieletnią podopieczną, a zaraz potem odbyć maraton badań medycznych.

Marc czuł, jak narasta w nim wściekłość.

– Pani wybaczy, ale chyba nie zaczęła się tu pani na mnie tylko dlatego, że Benny nagle odkrył w sobie pociąg do zdrowego trybu życia?

– Nie.

– Więc?

– Jak już mówiłam, bardzo się martwię. Naprawdę powinien pan mieć na niego oko. Nie wydaje mi się, żeby sam przeżył poza zakładem.

*Nie musisz mi tego mówić. W końcu to ja znalazłam go wtedy w wannie.*

– Z czego wyciąga pani taki wniosek?

– Z tego.

Odłożyła torbę i sięgnęła do wewnętrznej kieszeni zakietu, z której wyjęła wypchaną kopertę.

– Znalazłam to w jego pokoju. Przy zmianie pościeli, godzinę po jego wyjściu.

Otworzyła kopertę i Marc nie wiedział, co ma powiedzieć.

– Piętnaście tysięcy euro, banknoty są prawdziwe – powiedziała Leana i po raz pierwszy jej głos

zabrział trochę niepewnie, niemal bezradnie. – Nie wiem, co to ma znaczyć. I nie mam pojęcia, jak w zakładzie zamkniętym dostało się to w ręce pana brata.

# Rozdział 13

Jakoś udało mu się spławić zatroskaną pielęgniarkę obietnicą, że będzie miał brata na oku i wyjaśni sprawę pieniędzy. Przy czym umówili się, że Leana nie zrobi nic w sprawie banknotów, dopóki Marc się z nią nie skontaktuje. Na razie jednak nie miał pojęcia, kiedy znów będzie miał na to siłę, bo tej chwili nawet wejście po schodach wydawało mu się przeszkodą nie do przebycia.

Z trudem pokonywał stopnie, mijając sterty butów, które piętrzyły się przed drzwiami do każdego z mieszkań, a ich stan, rozmiary i wydzielana woń mówiły o mieszkańcach kamienicy równie dużo, jak wizytówki na drzwiach czy hałas ryczącego telewizora, który wypełniał nie tylko dane mieszkanie, ale i klatkę schodową. Przez krótki okres, kiedy tu mieszkał, nie widział prawie nikogo. Mimo to miał dość jasny obraz życia swoich nowych sąsiadów. Samotnej matki, która nie mogła pozwolić sobie na szewca, alkoholika, który już od rana wolał oglądać wrestling niż wynieść butelki do kontenera, albo żartownisia, na którego wycieracze widniał napis: „Wstęp wzbroniony”.

Wreszcie wdrapał się na trzecie piętro i włożył rękę do kieszeni spodni, aby wyjąć klucze, które tam schował w czasie rozmowy z Leaną. Przy okazji natknął się na formularz zgłoszeniowy do eksperymentu z pamięcią, którego oczywiście nie podpisał przed zakończeniem badań.

„Potrzebuję jeszcze trochę czasu do namysłu”, skłamał na pożegnanie Bleibtreuowi. Pożegnanie, po którym już nie nastąpi powtórne spotkanie, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Myśl, że po połknięciu jednej jedynej pigułki można zapomnieć o wypadku, była co prawda kusząca, ale nie za cenę własnej tożsamości. Równie dobrze mógł brać pod rozwagę życie w permanentnym odurzeniu narkotykami.

Marc wygrzebał pęk kluczy, który ochroniarz w klinice Bleibtreua zwrócił mu razem z innymi wartościowymi przedmiotami i telefonem komórkowym, kiedy opuszczał budynek. Wyświetlacz nie informował o żadnych nieodebranych połączeniach.

W jakiś sposób mól dostał się do środka plastikowej osłony lampy halogenowej nad drzwiami jego mieszkania i co chwilę uderzał o kłosz. Marc westchnął i włożył klucz do zamka.

*Co, do diabła?*

Spojrzał w górę, żeby się upewnić, czy nie pomylił się ze zmęczenia. Ale na zielonym tynku widniał czarny napis. Numer 317. Jego mieszkanie. A mimo to nie mógł obrócić klucza ani o milimetr.

*Cholera, tego mi jeszcze brakowało.*

Wyjął z zamka klucz typu yale z dużymi ząbkami i przyjrzał mu się pod światło.

*Wszystko w porządku. Nic nie jest pogięte ani wgniecione.*

Kiedy Marc znów spróbował, mól zabrzęczał groźnie. Tym razem Marc trochę mocniej szarpnął i nawet naparł na drzwi ramieniem. Bezskutecznie. Właśnie chciał spróbować po raz trzeci, kiedy jego wzrok padł na tabliczkę z nazwiskiem obok dzwonka.

Marc znieruchomiał zszokowany.

*Wielkie nieba, kto to zrobił?*

Pęk kluczy w jego rękach zaczął drżeć. Marc z niedowierzaniem wpatrywał się w zamaszysty podpis.

Ktoś zamienił jego tabliczkę na inną. Nie było już na niej nazwiska Lucas, lecz Senner. Nazwisko panińskie jego zmarłej żony.

Po sekundzie wahania szok zmienił się w bezgraniczną wściekłość z powodu tego okrutnego żartu. Znow włożył klucz do zamka, szarpał drzwiami, a nawet kopał w nie, aż zamarł jak sparaliżowany, kiedy usłyszał hałas.

*Czyżby tam ktoś był...?*

Nie ulegało wątpliwości. Marc przycisnął ucho do drzwi i usłyszał głośno i wyraźnie. Kroki. Zbliżały się prosto w jego stronę. Odgłos dochodził ze środka. Z jego mieszkania.

Wściekłość zmieniła się w nagi strach.

Cofnął się odruchowo, kiedy drzwi się uchyliły. Tylko na małą szparkę, na tyle, ile pozwalał łańcuch. I wtedy, w momencie, kiedy zobaczył postać o bladych policzkach, z nieuczesanymi włosami, która z jego mieszkania patrzyła na niego smutnymi oczami, czas stanął w miejscu.

Zamrugął powiekami, niezdolny wypowiedzieć nawet jednego słowa. Zamknął oczy, aby się upewnić. Ale nie potrzebował patrzeć po raz drugi. Poznał ją od razu po wysokich łukach brwi; po wyrazie niedowierzania na twarzy, jakby właśnie powiedział jej, jaka jest piękna.

Stała naprzeciw niego, oddalona zaledwie o dziesięć centymetrów, na wyciągnięcie ręki.

Sandra.

Miłość jego życia.

Jego żona będąca w zaawansowanej ciąży.

# Rozdział 14

**J**ak to... Przecież ty nie... Czy ty...

Marc nie mógł zebrać myśli i z każdym rozpoczętym zdaniem jąkał się coraz bardziej.

– Słucham? – zapytała kobieta w drzwiach. Odgarnęła kosmyk włosów z czoła i od razu, w jednym momencie, przeleciały mu przez głowę setki wspomnień. Wywołanych zapachem francuskiego szamponu miodowego, który Sandra tak bardzo lubiła.

*To ona.*

– Jesteś... tutaj? – zapytał, a jego prawa noga zaczęła dygotać, jakby miał za sobą bieg przez płotki. Wyciągnął rękę w jej kierunku, chciał ją dotknąć przez szparę w drzwiach, żeby się upewnić, że nie rozmawia z duchem. Kobieta cofnęła się przestraszona.

– Czego pan chce ode mnie?

Zamiast wszystkich pytań, jakie pragnął jej zadać, wydusił z siebie tylko jedno słowo.

– Sandra?

– Czy my się znamy? – Kobieta w drzwiach znów przysunęła się bliżej i uniosła lewą brew.

– Ha. – Było to bardziej wypuszczenie powietrza z płuc niż śmiech. – Dlaczego jesteś... znaczy... Jak to możliwe, że...?

– Przepraszam, ale mam coś na ogniu – powiedziała kobieta i chciała zamknąć drzwi, ale w ostatniej chwili Marc wsunął pomiędzy nie stopę. Poczuł, jak drzwi zgniatają mu palce, ale nawet się z tego ucieszył, ponieważ ból dowodził, że to nie sen.

– Myślałem, że nie żyjesz? – wyrzucił z siebie gwałtownie, a kobieta zrobiła wielkie oczy. Blondynka wyglądająca jak jego żona, która miała taki sam melodyjny głos jak ona i biały top z dużym dekoltem, który kilka tygodni temu kupił jej w sklepie dla kobiet w ciąży, z całą siłą opierała się teraz od środka o drzwi i wzywała pomocy.

– Proszę cię, przestań.

Napierał na drzwi od swojej strony.

– Przecież to ja, Marc.

– Proszę, niech pan odejdzie.

– Marc Lucas, twój mąż.

– Nie znam pana.

– Co? Kochanie, ja, nie możesz tak po prostu znów się pojawić i...

– Niech pan się wynosi.

– Ale...

– I to już, albo dzwonię na policję.

Teraz to był już krzyk i Marc odsunął się od drzwi. Odsunął się pod wpływem zimnego wyrazu jej oczu i gorzkiego przeświadczenia, że wypowiedziała te słowa jak najbardziej serio. Jego żona, która nie żyła od sześciu tygodni, nie miała pojęcia, kto przed nią stoi. Patrzyła na niego jak na obcego. Gorzej. Patrzyła na niego wzrokiem, jakim człowiek mierzy kogoś obcego, którego się boi.

– Sandro, proszę, wyjaśnij mi, co...

Nie udało mu się dokończyć zdania. Jego słowa były już skierowane do zamkniętych drzwi.

# Rozdział 15

**N**ieprzyjmowanie do wiadomości. Wypieranie. Zaprzeczanie.

Ostatkiem sił szedł na dół, zataczając się, i zadawał sobie pytanie, czy halucynacje należą do typowych zjawisk towarzyszących pierwszej fazie żałoby. Potem przypomniał sobie artykuł, w którym napisano, że dziwnym trafem ta faza żałoby jest identyczna z umieraniem. Podobnie jak rodzina osoby zmarłej, tak i osoba śmiertelnie chora nie chce w pierwszych tygodniach po diagnozie przyjąć do wiadomości straszliwej prawdy.

*Wypieranie. Zaprzeczanie. Zapomnienie...?*

Marc kurczowo złapał się poręczy. Nie tylko dlatego, że zakręciło mu się w głowie, lecz przede wszystkim dlatego, że chciał czuć pod palcami chłodne drewno. W pierwszej chwili wydawało mu się, że poręcz jest wilgotna, nawet trochę nieprzyjemna, jakby dotykał czegoś martwego, ale przynajmniej coś czuł.

*Żyję. Prawdopodobnie zaczynam tracić rozum. Ale żyję.*

Niebudzącymi wątpliwości oznakami tego stanu był również ból brzucha. Po przebyciu zaledwie kilku metrów poczuł kłucie w boku. Było ono niczym w porównaniu z bólem psychicznym, jaki zadał mu wystraszony, zimny wzrok Sandry.

*Nie poznała mnie.*

Jeśli to w ogóle była ona.

Marc schodził powoli, cały czas trzymając się poręczy, i zastanawiał się, czy umysł nie spletał mu figla. Czyżby to był po prostu sen, z którego wystarczy się tylko obudzić? Ale co miałyby znaczyć ten sen? Dlaczego na drzwiach było inne nazwisko i dlaczego nie mógł wejść do własnego mieszkania? I dlaczego ciągle bolały go te cholerne palce, które Sandra przytrzasnęła drzwiami?

Marc zatrzymał się gdzieś pomiędzy pierwszym a drugim piętrem. Jego wzrok padł na parę dziecięcych butów, które wyglądały tak, jakby już czekały na prezenty od Świętego Mikołaja. Należały do jedynej osoby, oprócz administratora budynku, z którą zamienił kilka słów, odkąd się tu wprowadził. Do Emily. W weekendy, kiedy nie padało, urządziła na podwórku mały pchli targ i sprzedawała przedmioty, które mogły mieć wartość tylko w oczach sześciolatniego dziecka. Marc nic z tego nie potrzebował, a mimo to w krótkim czasie został jej najlepszym klientem. Po prostu nie potrafił przejść obok Emily, żeby nie kupić szklanej kulki, temperówki w kształcie postaci z *Księgi dżungli* albo bukietu suszonych kwiatów. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do drzwi.

„Przepraszam. Wiem, że to zabrzmie dziwnie. Pani mnie nie zna. Ale czy mogłaby pani obudzić Emily? Ona musi poświadczyć mojej martwej żonie, że naprawdę tu mieszkam, bo może wtedy wpuści mnie do mojego mieszkania”.

Zaśmiał się gorzko i nagle zrozumiał, dlaczego niektórzy ludzie siedzą na ławkach w parku i rozmawiają sami ze sobą. Brzęczenie zegarka przypomniało mu, że znów musi wziąć proszki. Proszki, które czekały na niego w szafce z lustrem w jego łazience. W jego mieszkaniu, które było dla niego zamknięte, ponieważ jego uchodząca za zmarłą żona nie poznała go i nie chciała wpuścić do środka.



Postanowił, że najpierw pójdzie do samochodu. Po wypadku, który spowodował, jadąc autem Sandry, użył srebrnoszarego mini tylko jeden raz, kiedy musiał pojechać na zmianę opatrunku. Był wtedy tak bardzo przygnębiony i obawiał się, że zemdleje w metrze. Od tamtej pory trzymał w schowku na rękawiczki zapasowe opakowanie leków.

– Tak to zrobimy. – Marc dalej rozmawiał ze sobą. Gdy tylko opanuje ból głowy, spróbuje zastanowić się, co dalej. Może naprawdę zaczyna właśnie popadać w obłąd. Może smutek po stracie żony zaczyna odbierać mu rozum. Ale jak długo jeszcze ma siłę stawiać kolejne kroki, jak długo jeszcze potrafi dostrzec absurdalność całej sytuacji, tak długo nie będzie podejmować nieprzemyślanych działań.

Jego postanowienie nie przetrwało nawet dwóch minut. Obowiązywało do chwili, kiedy wyszedł na dwór i w wilgotnym listopadowym wietrze jedno spojrzenie uświadomiło mu, że jego srebrnoszare mini nie stoi już na parkingu. Podobnie jak wszystkie inne samochody, które również tam parkowały. Zamiast tego chygotały się na wietrze liczne pordzewiałe znaki zakazu postoju, których nie zauważył wcześniej podczas rozmowy z pielęgniarką.

Marc odetchnął głęboko zimnym powietrzem. Poczł zapach mokrych liści i nagromadzonych odpadków, które wypływały na powierzchnię w powoli przepelniających się rurach kanalizacji. Żeby uspokoić drżące palce, ukląkł przy krawężniku i zawiązał buty. W tym momencie w ulicę skręcił policyjny radiowóz i toczył się wolno po kocich łbach. Umundurowani funkcjonariusze przyglądali mu się podejrzliwie, kiedy mijali go w żółwym tempie.

Marc wstał i zastanawiał się, czy powinien zatrzymać radiowóz, ale się spóźnił i volkswagen bus zdążył zniknąć za rogiem.

Pobiegł za nim brukowaną ulicą do najbliższego skrzyżowania, biegł coraz szybciej, sprawdzając kilka przecnic, chociaż dobrze wiedział, że nie zostawił samochodu na żadnej z bocznych ulic. W końcu zdyszany znów stanął przed wejściem do kamienicy, w której mieszkał, i spojrzał do góry. Na trzecim piętrze, tam, gdzie znajdował się jego pokój zastawiony licznymi pudłami, których używa się przy przeprowadzce i których jeszcze nawet nie rozpakował, tam, gdzie obrazy stały na podłodze z laminatu, a puste akwarium służyło za kubek na śmiecie, tam właśnie ktoś gwałtownie cofnął się od okna. Ktoś z długimi jasnymi włosami.

*Okay, czas skończyć ten obłąd.*

Marc włożył rękę do kieszeni spodni, obok formularza zgłoszeniowego i pustego listka tabletek wymacał palcami komórkę. W ciągu całego życia nieczęsto musiał prosić o pomoc, ale teraz definitywnie nie potrafił sobie z tym wszystkim poradzić.

*Najpierw zadzwonię do siebie do domu i sprawdzę, czy Sandra w ogóle odbierze. Potem do Constantina i być może nawet na policję...*

– Cholera, co to z kolei ma znaczyć? – Marc znów odezwał się sam do siebie. Potem jeszcze raz zamknął i otworzył kłapkę telefonu. Usłyszał znajome piknięcie, przejechał kciukiem po dobrze znanej rysie na wyświetlaczu, zobaczył znajomą tapetę z chmurami, a mimo to aparat wydał mu się obcy.

Nic.

Ani jednego wpisu. Nie było nikogo, do kogo mógłby zadzwonić, ponieważ lista kontaktów została wykasowana.

# Rozdział 16

**N**ie, Lucas to nazwisko. Przez c. Tak, oba przez c, zarówno Marc, jak i Lucas. Czy dobrze pani szukała?

Marc na moment zakrył mikrofon telefonu i wsiadając do mercedesa, pochylił się do przodu w kierunku taksówkarza.

– Proszę na Karl-Marx-Straße, Höhe Hasenheide.

Mężczyzna skwitował podanie celu podróży pociągnięciem nosem i pogłośnieniem radia. W głośnikach rozległo się brzdąkanie sitaru.

– Nic? Numer rejestracyjny B – YG 12. Okay, okay. A więc nie został odholowany? Dziękuję.

Zakończył rozmowę z policyjnym parkingiem, z którym połączył go jego operator komórkowy. Po chwili, kiedy diesel niespodziewanie przyśpieszył, wcisnęło go w pokrowiec ze sztucznego tworzywa, którym było przykryte jego siedzenie. Poszukał pasa bezpieczeństwa, ale pas ześlizgnął się za opuszczane oparcie.

– Coś nie tak? – zapytał łysy kierowca i spojrzał podejrzliwie w lusterko, pod którym dyndały dwie filcowe kostki. Jednocześnie położył spęczniałe od anaboliaków ramię na zagłówek bocznego siedzenia. Z fajką w ustach byłby dobrym naśladowcą Popeye’ a marynarza.

*Tak, rzeczywiście coś jest nie tak. Właśnie spotkałem moją żonę. I z chęcią zapiąłbym pasy, żeby nie podzielić jej losu. Ponieważ ona nie żyje, wie pan?*

– Wszystko w porządku – odpowiedział Marc. Chętnie przesiadłby się na siedzenie obok, ale nie wyglądało na to, żeby Popeye lubił mieć pasażera za plecami. A więc został tam, gdzie był, i niezapięty pasami wyglądał przez okno.

Jeszcze nigdy, nawet w najgorszym okresie żałoby, nie czuł się tak samotny jak w tej chwili.

Minęło dopiero pięć minut, kiedy po raz pierwszy wlepił wzrok w pusty wyświetlacz swojego telefonu. Pięć minut, odkąd uświadomił sobie, jak bardzo, w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa, stracił kontakt z własnym życiem. Już wcześniej często dyskutował z przyjaciółmi, w jaki chaos wpadłby cały świat, gdyby nagle zabrakło prądu. Ale nawet nie myślał wtedy, że utrata telefonu może być istotnym brakiem. W społeczeństwie, w którym telefon komórkowy służy już nie tylko do komunikowania się, lecz jest komputerem, za pomocą którego człowiek zarządza całym swoim życiem społecznym, nie ma prostszego sposobu, aby człowieka odciąć od świata, niż ukraść mu kartę SIM.

Przez ostatnie lata ani razu nie wpisał samodzielnie numeru telefonu, lecz zawsze wyszukiwał go w książce adresowej. Telefon Sandry, Constantina, koleżanki z pracy Roswithy, przyjaciela ze studiów Thomasa i innych bliskich zaprogramował na szybkie wybieranie. Jedynym numerem, który musiał znać na pamięć, był ten, z którego teraz najmniej korzystał: numer własnej komórki. Wszystkie inne zapisał kiedyś pod nazwiskiem danego abonenta i zapomniał.

*Uczenie się zapominania.*

Marc jeszcze raz sprawdził wszystkie funkcje menu telefonu – kontakty, wybierane numery, nieodebrane połączenia, SMS i MMS, i nic. Ktoś w klinice musiał przywrócić w jego telefonie ustawienia fabryczne. Świadomie albo przez pomyłkę. Rezultat był ten sam – Marc był odcięty od świata.

Oczywiście było jeszcze biuro numerów, ale w przypadku zastrzeżonego numeru Constantina Sennera nic by to nie dało. Jeśli w ogóle był ktoś, kto mógłby mu teraz pomóc, to tylko jego teść. Z jednej strony on również silnie przeżył tę tragedię i był w żałobie po Sandrze, ale z drugiej strony był lekarzem. Gdyby Marc naprawdę oszalał, Constantin wiedziałby, co zrobić. Jego przyjaciel Thomas co najwyżej wzruszyłby ramionami i udzielił kilku bezsensownych rad, na które Marc i tak sam by wpadł: „sprawdź klinikę, w której dzisiaj byłeś, idź na policję, wezwij ślusarza, żeby otworzył mieszkanie”.

Nie było to takie proste, jeśli zapomniało się wziąć z domu dowód osobisty i jeszcze nie było się tam oficjalnie zameldowanym. Przeprowadził się dopiero trzy tygodnie temu.

W dodatku Thomas cały czas patrzyłby na zegarek i prosił go, żeby nie mówił tak głośno, bo obudzi dziecko, a wtedy jego żona zrobiłaby mu piekło. Marc zastanawiał się, jak o nim świadczy to, że przez ostatnie lata zaniedbał swoje przyjaźnie. Właściwie miał w życiu tylko jednego kumpla, a ten sześć tygodni temu ofiarował swoje zwłoki nauce.

*Sandrę.*

Nie był w stanie spojrzeć na nią ostatni raz na patologii, gdzie studenci medycyny przeprowadzali sekcję jej zwłok. Dlatego do dzisiaj nie wyznaczono oficjalnej daty pogrzebu.

– Co tam dzisiaj będzie?! – krzyknął do niego taksówkarz. Nie wpadł na pomysł, żeby przyciszyć radio.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Marc zmieszany.

– No w klubie Huxley. Kto dzisiaj gra?

*Czy ja wyglądam na kogoś, kto chce iść na koncert rockowy?*

– Nie mam pojęcia. Muszę szybko wpaść na chwilę do biura.

Popeye rzucił okiem w lusterko i znów pociągnął nosem, dając tym samym niedwuznacznie do zrozumienia, co sądzi o posiadaniu biura w tej okolicy.

– Mam świra na punkcie Azji – wyjaśnił niepytany. Widocznie spodziewał się uznania, że choć jest kulturystą, jednocześnie może się wykazać nietuzinkowym gustem muzycznym. Marc starał się go ignorować. Musiał się skupić ze wszystkich sił, żeby uporządkować pytania, na które w ciągu ostatnich minut jego rozum nie znalazł odpowiedzi: „dlaczego nie mogłem wejść do własnego mieszkania? Jeśli Sandra nie żyje, to jak to możliwe, że otworzyła mi drzwi? Jeśli żyje, to dlaczego mnie nie poznała?”

– Czym pan się zajmuje? – zapytał kierowca. Teraz musiał przekrzykiwać nie tylko dźwięki sitaru, ale również niezrozumiałe piski dochodzące z głośnika radiotelefonu, który łączył go z centralą radiotaksi.

*Nic dziwnego, że nie mogę zebrać myśli.*

Najpierw chciał od razu pojechać do Constantina, ale potem przypomniał sobie, że na komputerze w Plaży ma kopię zapasową pamięci swojej komórki. Poza tym te kilka banknotów, które miał w portfelu, nie wystarczyłyby na długi kurs do rodzinnej willi w Sakrow ani do prywatnej kliniki Constantina przy Heerstraße.

– 01621...? – Marc łamał sobie głowę. Numery komórek Sandry i Constantina miały taki sam początek. Wiedział też, że każdy z nich kończył się dwiema szóstkami.

– Liczba diabła – zażartowała kiedyś Sandra. Niestety nie podrzuciła mu równie pewnego sposobu na zapamiętanie pozostałych czterech cyfr, których brakowało w środku. Przeniósł się myślą do czasów, kiedy razem z Bennym daremnie próbowali rozgryźć szyfry zamków do rowerów stojących na dziedzińcu

szkoły. Przypadkowe znalezienie prawidłowego numeru telefonu było całkowicie wykluczone.

*Okay, po kolei. Teraz pojedziesz do biura, przywrócisz dane w komórce, weźmiesz pieniądze i wtedy odzyskasz swoje życie. Swoją tożsamość.*

Taksometr przeskoczył na dwanaście euro trzydzieści i w głowie Marca zrodziła się myśl. Próbował ją wyprzeć, ale po chwili uzmysłowił sobie, że musi pójść jej tropem, jeśli chce wyjaśnić, co się wokół niego dzieje. Jeśli ktokolwiek manipulował przy jego komórce, można to sprawdzić jedynie z komórki osoby postronnej.

– Przepraszam?

Trzymał telefon w taki sposób, żeby kierowca nie mógł go widzieć, i pochylił się do przodu.

– Czy mógłby pan wyświadczyć mi przysługę?

Popeye natychmiast zdjął nogę z gazu i zjechał na prawo, chociaż byli zaledwie dwieście metrów od celu podróży.

– Nie ma pan czym zapłacić? – zapytał podejrzliwie i odwrócił się. Marc wsunął telefon pod udo.

– Nie, nie. Chyba zgubiłem telefon? Czy mógłby pan do mnie zadzwonić?

Marc wskazał na komórkę kierowcy, która tkwiła w plastikowym uchwycie obok taksometru. Aparat pełnił jednocześnie funkcję nawigacji GPS.

– Zgubił pan? Przecież kiedy pan wsiadał, jeszcze pan gdzieś dzwonił!

Cholera. Marc był tak roztrzęsiony, że zapomniał o tym.

– To drugi aparat. Ale mój BlackBerry gdzieś przepadł – skłamał pośpiesznie. Na twarzy taksówkarza dało się zauważyć sceptycyzm.

– Jest pan pedziem? – zapytał.

– Skąd panu to przyszło do głowy?

– Hm, to dość często stosowana sztuczka. Dzwonię do pana, a wtedy pan już ma mój numer. Ale ja nie jestem z tych. Wprawdzie zdarza mi się chodzić w skórze, ale to nie znaczy od razu...

– Ależ nie, bez obawy. Naprawdę chcę tylko wiedzieć, czy zgubiłem gdzieś moją służbową komórkę, czy może tylko zostawiłem ją u przyjaciółki. Sam bym zadzwonił, ale w tej wyczerpała się bateria. – Marc wyjął telefon spod uda.

Kierowca jeszcze się wahał.

– Tak czy inaczej, mój numer ma blokadę prezentacji.

– Widzi pan, w takim razie nie ma problemu.

Popeye napiął biceps, prychnął pogardliwie, prawie wyrwał aparat z uchwytu i wybrał numer, który podyktował mu Marc.

– Jest sygnał – powiedział po chwili i odsunął komórkę od ucha.

Marc usłyszał cichy sygnał dzwonienia, chociaż jego wyświetlacz nie pokazał żadnego przychodzącego połączenia.

*A więc miałem rację. Po prostu zamienili kartę SIM. Ale po co?*

– Czy nie mówił pan, że mógł zostać u pana przyjaciółki? – Kierowca przerwał rozmyślanie Marca.

– Tak, a co?

– Tu mi się zgłasza jakiś facet.

– Co?

Popeye podał telefon do tyłu.

Kiedy Marc przyłożył go do ucha, usłyszał głęboki głos, powtarzający raz po raz pytanie:

– Halo?

– Przepraszam, ale to chyba pomyłka.

– Nie szkodzi, z kim pan chciał rozmawiać?

Marc podał mu swoje pełne nazwisko i już chciał się rozłączyć, kiedy mężczyzna zaśmiał się przyjaźnie.

– No to w takim razie dodzwonił się pan do właściwej osoby. O co chodzi?

– Słucham?

Komórka o mało nie wyslizgnęła mu się ze spoconych palców, a tętno zaczęło bić ze zdwojoną prędkością.

– Nazywam się Marc Lucas – powiedział obcy na drugim końcu linii – przez dwa c. – Zachichotał. –

Proszę chwilę poczekać, zaraz będę do pana dyspozycji. – Coś zaszeleściło i mężczyzna zapytał słumionym głosem: – O co chodzi, skarbie?

Wtedy słuchawka wyleciała Marcowi z ręki, bo usłyszał w tle śmiech kobiety.

*Sandra.*

# Rozdział 17

**H**ej, nie wzięł pan reszty! – krzyknął za nim taksówkarz, ale Marc już się nie odwrócił. Musiał jak najszybciej wysiąść z samochodu. Zacerpnąć świeżego powietrza, chociaż zdawał sobie sprawę, że to nie zmniejszy uczucia mdłości. Zwykle zbierało mu się na wymioty krótko po zażyciu lekarstw. Ale teraz wywołała je wyłącznie rozmowa telefoniczna z nieznajomym.

*Nieznajomy, który nosi moje nazwisko? Żyje moim życiem?*

Taksówka zatrzymała się po niewłaściwej stronie. Mimo zmęczenia Marc próbował przebiec ostatnie sto metrów do świateł, na których musiał przejść, jeśli chciał się dostać do biura, ale już po kilku krokach poczuł kolkę w boku. Wcześniej mógł bez problemu przebiec dziesięć kilometrów, ale od czasu wypadku jego kondycja przypominała kondycję pacjenta chorego na raka. A teraz, po wszystkich wydarzeniach tego dnia, nie było w tym nic dziwnego.

Constantin tłumaczył jego nie najlepszy stan ogólny nie tylko działaniem ubocznym leków immunosupresyjnych, które miały zapobiec odrzuceniu przez organizm tego odprysku tkwiącego w jego karku.

„To twoja dusza mimo braku treningu chce przebiec maraton”, wyjaśnił mu i próbował go namówić, aby skorzystał z porady psychologa.

Marc przycisnął rękę do boku i mimo bólu starał się normalnie oddychać, tak jak uczył go brat. Kiedy byli jeszcze dziećmi i musieli regularnie uciekać przed kontrolerami w metrze na długo przedtem, zanim wdarła się pomiędzy nich nienawiść.

– Tracę rozum – powtarzał pod nosem. Z powodu padającego deszczu na ulicy widać było niewielu przechodniów i ani sprzedawca gazet, ani studencka para, ani liczna cudzoziemska rodzina nie dziwili się na widok kręcącego głową i mamroczącego coś pod nosem mężczyzny. Nie w Berlinie. Nie w tej okolicy.

– Albo zwariowałem, albo coś mi zrobili w klinice – zastanawiał się.

W niewielkiej odległości przed światłami Marc minął aptekę. Kraty w oknach były opuszczone, ale w środku jeszcze paliło się światło. Spojrzał na zegarek. 21.57. W oknie migotała tabliczka z napisem: „Dzisiaj pracujemy do 22.00”. Po raz pierwszy od dłuższego czasu przynajmniej jakiś drobiazg zdawał się funkcjonować w jego życiu.

Zostały mu jeszcze trzy minuty, żeby kupić lekarstwa. Marc przycisnął dzwonek. Zaraz potem stanął za nim mężczyzna z plastikową torbą w ręku i zapalił papierosa. W odbiciu w szybie zobaczył, że chłopakowi leci krew z nosa. Miał najwyżej osiemnaście lat, a może nawet jeszcze mniej. Odbicie w szybie znikło, kiedy od środka otworzyło się szklane okienko i zmęczony aptekarz bez słowa skinął głową. Jeszcze trzymał w ręku pilota do telewizora, którym skakał po kanałach aż do chwili, kiedy zakłócono mu spokój. Marc wyjął pusty plastikowy listek po tabletkach i podał go mężczyźnie, który według identyfikatora przypiętego do fartucha nazywał się A. Steiner.

– Axemnosphalt? – przeczytał na odwrocie z niedowierzaniem, jakby Marc zażądał heroiny. – Czy ma pan receptę?

Marc pokręcił głową. Do tej pory zawsze dostawał lekarstwo w klinice po zmianie opatrunku.

– Nigdy się z tym nie spotkałem – powiedział aptekarz i począpiał w klapkach za ladę. Marc usłyszał, jak otwiera i zamyka liczne szuflady w metalowej szafie.

– Proszę, niech pan przyniesie od razu aspirynę i krople metoclopramidowe! – krzyknął za nim.

Wyrostek za nim sapnął niecierpliwie i dmuchnął dymem z papierosa prosto w kark Marca.

A. Steiner zrezygnował z poszukiwań i wrócił do okienka z małą torebką na lekarstwa.

– Sprawdziłem. Nie mamy tego. Ale jeśli przyjdzie pan jutro, możemy zamówić.

*Cholera. Nie mogę czekać do jutra.*

Aptekarz położył torebkę z pozostałymi lekami na parapecie pod okienkiem i wziął kartę bankomatową Marca. Razem z lekami przyniósł od razu czytnik, żeby zaoszczędzić sobie drogi.

– Nie, jeszcze tylko jeden łązega przede mną. Zaraz będę z powrotem, laluniu...

Marc odwrócił się do wyrostka, który właśnie rozmawiał przez telefon ze swoją dziewczyną.

– ...i możemy działać dalej, okay?

*Działać dalej? Ciekawe od czego zaczęli, że przypłacili to złamanym nosem.*

– Czy ma pan inną? – usłyszał pytanie aptekarza i znów nachylił się do okienka.

– Dlaczego?

A. Steiner pokazał mu wyświetlacz czytnika.

*Karta nieważna.*

– To niemożliwe, jest całkiem nowa. – Marc podał mu American Express, ale również jej czytnik nie chciał zaakceptować i aptekarz się zniecierpliwiał.

– Musi pan zapłacić gotówką, doktorze Lucas. Czternaście dziewięćdziesiąt pięć.

– Albo ruszyć dupę i zrobić miejsce dla nagłego przypadku – usłyszał za sobą. Ale nie zareagował ani na A. Steinera, ani na gówniarza z krwawiącym nosem. A to dlatego, że właśnie w tej chwili zobaczył w szybie, jak po drugiej stronie ulicy zgasło światło w jednym z lokali.

*W Plaży! W jego biurze.*

– Zaraz wracam – powiedział chwycił torebkę z lekarstwami.

– Hej! – krzyknął z oburzeniem aptekarz.

– Bez obawy, pracuję tutaj. Zaraz przyniosę pieniądze, okay?

Nie mógł wdać się w dłuższą dyskusję. Musiał dostać się do swojego biura, do swojego biurka. Tam miał wszystko, czego potrzebował, żeby z powrotem znaleźć drogę do własnego życia: gotówkę w zamykanej szufladzie i numery telefonów w komputerze.

Tak więc odepchnął wyrostka i przebiegł przez Karl-Marx-Straße, na której mimo późnej pory panował jeszcze taki duży ruch, jak na głównej ulicy małego miasta.

– Halo! – krzyknął już z wysepki na środku jezdni. Sportowy samochód celowo wjechał w kałużę i opryskał dół nogawek jego dżinsów. Marc w ogóle tego nie zauważył, tylko krzyknął po raz drugi na mężczyznę, który właśnie przykucnął pod drzwiami do jego biura, żeby założyć kłódkę na opuszczoną żaluzję. Facet miał na sobie czarną pelerynę przeciwdeszczową, której kaptur spadał mu na oczy, dlatego nawet z małej odległości nie widział jego twarzy.

– Hej, mówię do pana! – krzyknął Marc, kiedy wreszcie stanął przed nim. – Kim pan jest?

– A, to do mnie pan wołał? – Mężczyzna podniósł na niego wzrok.

Miał trochę ponad trzydzieści lat, był wysoki i nosił wypłowiałe dżinsy oraz adidas, w których stopy Marca spokojnie zmieściłyby się w poprzek. Osłaniał twarz dłonią, aby krople deszczu nie wpadały mu do oczu.

– Co jest? – zapytał całkiem przyjaźnie mężczyzna i wstał. Był wyższy od Marca o co najmniej dwie głowy.

– Kim pan jest?

– A kto pyta?

– Kierownik biura, które pan właśnie zamyka, a ponieważ pana nie znam, pytam, czego pan tu szuka?

Kto panu dał klucz?

Mężczyzna spojrział najpierw w prawo, potem w lewo, jakby szukał świadków tej rozmowy, a potem spojrział na Marca z góry, uśmiechając się ironicznie.

– Jaki dzień mamy dzisiaj?

– Dwunasty listopada. Co to ma wspólnego z moim pytaniem?

– Myślałem już, że pierwszy kwietnia.

Marc patrzył speszony, jak nieznajomy sięga po aktówkę i odwraca się od niego.

– Robi pan ze mnie wariata?

Mężczyzna rzucił okiem przez ramię.

– Przecież to pan zaczął.

Coraz bardziej oddalał się od Plaży i Marc z wielkim trudem dotrzymywał mu kroku.

– Stać, niech pan się zatrzyma. Albo wzywam policję! – krzyknął i sam czuł, że jest trochę śmieszny.

– Po co?

– Żeby zgłosić włamanie do mojego biura.

– Do pańskiego biura?

– Tak.

Wielkolud zatrzymał się.

– Dlaczego to wszystko musi się dzieć jednego dnia? – zadał sobie retoryczne pytanie i spojrział w górę w ciemne niebo. Krople wody, które padały na jego nieogoloną twarz, wydawały się nie robić mu już różnicy. Marca ogarnęło nieokreślone poczucie, że już kiedyś widział tego typu.

– Dobry człowieku, to ja jestem tu kierownikiem. I nie mam pojęcia, kim pan jest.

– To śmieszne! – krzyknął Marc i wyjął pęk kluczy.

Następnie przebiegł z powrotem dziesięć kroków do biura, podczas gdy nieznajomy stał na deszczu, kręcąc głową.

– Nazywam się Marc Lucas i jestem...

Zaciął się i z niedowierzaniem popatrzył na nową kłódkę w roletcie. Nawet nie musiał próbować, żeby wiedzieć, że nie ma klucza, który pasowałby do tej wielkiej kłódki. Mimo to próbował klucze jeden po drugim tak długo, aż usłyszał głos za plecami.

– Marc Lucas?

Przytaknął.

– Pierwsze słyszę.

Marc wstał.



– Okay, w takim razie niech pan zadzwoni do Rosi.

– Rosi?

– Mojej asystentki. Odwała tu papierkową robotę.

– Nie, jest pan w błędzie. Tu nie pracuje ani żaden Marc Lucas, ani jakaś...

– Teraz naprawdę mam już tego po dziurki w nosie – przerwał mu szorstko Marc. – Żądam, żeby natychmiast zadzwonił pan do Roswithy Bernhard.

– Okay, okay. – Mężczyzna podniósł obie ręce w uspokajającym geście i wyjął komórkę. Najwidoczniej skończył podstawowy kurs strategii ograniczania eskalacji konfliktów i próbował przystać na łatwe do spełnienia żądania swojego nieobliczalnego rozmówcy.

– Niech mi pan tylko zdradzi numer tej Rosi – poprosił.

Marc złapał się za kark i zamrugał oczami.

*Numer. Cholera. Nie jestem nawet pewny, czy znam swój.*

– Nie znam – przyznał po dłuższej przerwie, w czasie której deszcz trochę osłabł. Wydawało się, że wszystko stanęło w miejscu. Pogoda, ruch na ulicy, czas. Tylko dręczący go ból trwał.

– Czy coś panu jest? – usłyszał jakby z oddali pytanie mężczyzny, w którego głosie brzmiała poważna troska.

– Ja... nie wiem.

– Nie wygląda pan dobrze. Pana oczy... czy był pan z tym u lekarza?

– Nie, to tylko działanie uboczne...

– Bierze pan jakieś leki?

W głosie nieznajomego pojawił się cień zrozumienia.

– Tak, ale nie w tym problem. – Marc starał się go przekonać, że jest w błędzie.

*Nie jestem psycholem. Przynajmniej nie byłem nim jeszcze dziś rano.*

Wzdrygnął się, kiedy poczuł rękę na swoim przedramieniu.

Co prawda olbrzym wyglądał jak koszykarz, ale jednocześnie musiał być nałogowym palaczem. Stał tak blisko, że Marc czuł zapach nikotyny, którym było przesiąknięte jego ubranie.

– Niech pan posłucha – powiedział przyjaźnie rzekomy kierownik biura. – Moja praca polega na zajmowaniu się zgryzotami innych ludzi, a dzisiaj już raz zawiodłem. Być może mógłbym pomóc przynajmniej panu? Co pan na to, żeby odwiózł pana do domu? Najwyżej żona poczeka na mnie pół godziny dłużej.

*Do domu.*

Marc roześmiał się rozpaczliwie, ale obcy nie ustępował.

– Czy jest ktoś, z kim mógłbym pana skontaktować? – Wzrok nieznajomego padł na obrączkę Marca. – Jest pan żonaty?

Marc zaśmiał się jeszcze głośniejszym, jeszcze bardziej rozpaczliwym śmiechem. Potem nagle przestał się śmiać i wskazał na drzwi za sobą.

– Nie, nigdzie nie chcę iść. Muszę tylko wejść do środka.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny.

– Przykro mi. Nie mogę. Obcy nie mają wstępu do Plaży poza godzinami pracy. Ale mam dla pana inną propozycję. Pojedziemy teraz do szpitala...

*Nie. Tylko nie szpital.*

– ...i tam najpierw się pan uspokoi, a...

*Nie, nie chcę jeszcze raz... chociaż.*

– ...potem pana przebadają...

*Dlaczego nie? Szpital...*

Marc odwrócił się w bok i popatrzył na drugą stronę ulicy, gdzie aptekarz wyszedł przed drzwi i niezrozumiale wołał do niego coś, co przypuszczalnie znaczyło, że wreszcie chce zobaczyć swoje pieniądze. Ale to wyjaśni później. W końcu mężczyzna miał jego karty kredytowe. Najwyżej zapłaci mu jutro. Ostatnie piętnaście euro w jego kieszeni wystarczało dokładnie na to, aby wyjaśnić przynajmniej tę zwariowaną sytuację.

*Jasna cholera, dlaczego nie zapisałem numeru tej pielęgniarki? Leany Schmidt?*

Nawet nie słuchał dokładnie, kiedy niedawno podawała mu swój numer telefonu, i teraz nie mieściło mu się w głowie, że pół godziny temu spławił kobietę, która miała przy sobie piętnaście tysięcy euro i na dodatek mogła poświadczyć jego tożsamość.

– Okay, chodźmy – powiedział do mężczyzny i chwycił go za rękaw.

– Co? Gdzie? – Nieznajomy próbował wyrwać się, ale Marc dosłownie wczepił się palcami w jego pelerynę.

– Pójdziemy na policję. Razem.

– Nie ma mowy.

– Ależ tak. Dokładnie tak zrobimy i wtedy zobaczymy, który z nas potrzebuje pomocy lekarza.

– Mówię, że nie. Nie pójdę tam znowu.

Przez chwilę Marc tak zbaraniał, że puścił rękaw nieznajomego.

– Znowu? – powtórzył.

– Dzisiaj cały dzień miałem do czynienia z glinami i jestem szczęśliwy, że wreszcie się od nich uwolniłem.

– To była tu już policja? – Marc pokazał na wejście do Plaży. – W biurze?

– Jasne, że tak, niech pan dokładniej przyjrzy się mojej twarzy. – Mężczyzna ściągnął kaptur z głowy. –

Nie poznaje mnie pan?

*Niby tak, ale nie wiem skąd.*

– Nie oglądał pan dzisiejszych wiadomości?

– Nie, a bo co?

– Szczęściarz z pana. W takim razie oszczędził pan sobie historii o Julii.

– Julii?

– Samobójczyni z basenu w Neukölln.

Mężczyzna znów głębiej naciągnął kaptur na głowę i lekko przygarbiony, w sposób charakterystyczny dla bardzo wysokich ludzi, ruszył do swojego samochodu, który stał na poboczu.

Marc pozostał na miejscu i czuł, że razem z obcym oddala się jakaś część jego życia.

– Co się z nią stało?! – krzyknął za nim. – Niech pan mi powie: co się stało?!

Mężczyzna trzymał już rękę na drzwiach samochodu, kiedy ostatni raz się odwrócił i spojrzał na niego zmęczonymi oczami, w których widniał smutek tak głęboki, jaki Marc widywał bardzo rzadko.

– Do jasnej cholery, nie mogłem temu zapobiec – powiedział i kopnął oponę swojego auta. Jego głos prawie całkiem ginął w szumie ulicznego ruchu za plecami. – Julia po prostu skoczyła.

# Rozdział 18

To, z czego człowiek czerpie najwięcej siły, jest jednocześnie jego najczulszym słabym punktem – jego rodzina. Nie bez powodu stało się to sprawdzoną metodą działania mafii, że nie zabija się samego zdrajcy, lecz wszystkich tych, którzy coś dla niego znaczą: jego rodziców, przyjaciół, żonę i oczywiście dzieci. Przede wszystkim dzieci, które są piętą achillesową mężczyzny. Zwłaszcza jeśli są to dziewczynki, jak w przypadku Kena Sukowsky’ego. Dwie z nich, pięcio- i siedmiolatka, po południu bawiły się liśćmi w ogrodzie przed domem, zagrabiwały je w małe kupki i cały czas się nimi obrzucały. Najmłodsza, otulona w grubym szlafroku kąpielowy, przyglądała się rodzeństwu z okna. Była przeziębiona i dlatego musiała zostać w ciepłym pokoju. Tak przynajmniej przypuszczał Benny, który obserwował mały dom Sukowsky’ego od wczesnego popołudnia. W tym czasie na dworze zrobiło się ciemno, ale na wszystkich piętrach paliło się światło.

*Długo to już nie potrwa...*

Benny rzucił ostatnie spojrzenie na pomiętą kartkę w dłoni; listę sporządzoną w ostatnich dniach, które spędził w klinice. Musiał napisać ją kredką świecową, ponieważ pacjentom nie wolno było dawać żadnych ostro zakończonych przedmiotów. Od czasu komisji, która zdecydowała o jego zwolnieniu, tak często składał i rozkładał kartkę, że przetarła się na zgięciach. Dopiero kilka dni znajdował się na wolności, ale dwa z dziesięciu nazwisk były już przekreślone.

Benny włożył cienki papier z powrotem do schowka na rękawiczki. Potem opuścił prawe ramię i pochylił głowę na bok, aż chrupnęło mu w kręgosłupie szyjnym. Zesztywnienie mięśni utrzymywało się w normie. Wypożyczony samochód, który zorganizował mu Valka, idealnie nadawał się do obserwacji. Siedzenia rozkładały się za naciśnięciem guzika, był wyposażony w ogrzewanie postojowe, no i doskonale pasował do dzielnicy Westend: ani za nobliwy, ani za tani, nie rzucał się w oczy pomiędzy popularnymi tu samochodami terenowymi i limuzynami.

Benny ziewnął. Jak zawsze był podekscytowany pomimo długiego czekania i zastanawiał się, jak sprawy między nim a Valką mogły zajść tak daleko.

Ich wspólna historia była typowa dla Berlina, miasta marzeń dla chłopców w wieku dojrzewania. Ponieważ ten, kto chciał tu, w stolicy, w tym przytułku dla ubogich całego narodu, robić karierę, miał nikłą szansę na pracę w kręgach wielkiej finansjery, menedżerów renomowanych zakładów przemysłowych czy w jednej z dużych kancelarii prawniczych. Szanse na pracę w lepiej opłacanym zawodzie były mniej więcej takie same, jak szanse na znalezienie ulicy, po której udało się przejść i nie wdepnąć w psią kupę. Czasami w morzu świateł na Potsdamer Platz albo tu, w Grunewaldzie, można było sobie wyobrazić, jak wszystko mogłoby wyglądać, gdyby co czwarty mieszkaniec nie był na zasiłku i gdyby czterdzieści procent dzieci nie żyło poniżej granicy ubóstwa. Dzieci mogły marzyć wyłącznie o karierze, dzięki której zostawało się bogatym, jeździło się szybkimi samochodami i podrywało mnóstwo kobiet nawet bez skończenia szkoły, a mianowicie o karierze piłkarskiej albo – tak jak w jego przypadku – w branży muzycznej.

Benny zamknął oczy i wrócił myślami do czasów, które zadecydowały o jego obecnym życiu.

Początkowo Marc nie chciał go w zespole. Bardziej dla zasady, ponieważ fakt, że Benny nie umiał śpiewać ani grać na instrumencie, nie był żadnym argumentem, skoro nie powstrzymywało to pozostałych członków kapeli przed znęcaniem się nad przebojami The Cure, Depeche Mode i innych czołowych zespołów. Nazwali się N.R., New Romantics, charakteryzowali się na Roberta Smitha i co drugi wieczór odbywali próby w piwnicy zakładu pogrzebowego. Interes należał do Karla Valki, ojca Eddy'ego, który udostępnił im pomieszczenie obok kostnicy. W rewanżu musieli przyjąć na perkusistę jego syna, chłopaka z dużą nadwagą i wybuchowym charakterem, który wolałby śpiewać niż grać, ale miejsce przy mikrofonie było już zajęte przez Marca. I chociaż głos Marca był daleki od perfekcji, to jednak zdecydowanie bardziej harmonijny niż głos Valki. W pierwszym roku grali tak źle, że ojciec Eddy'ego stroił sobie żarty, że pobudzą mu wszystkich nieboszczyków i cały interes szlag trafi. Potem przysły pierwsze występy w szkole, na prywatnych jublach i festynach urządzanych przez zakłady pracy. Nie stali się lepsi, ale za to bardziej znani – i od tego zaczęło się nieszczęście.

W tamtych czasach nie było jeszcze gangów na wzór amerykański. Nikt nie miał broni palnej, a bójkі uliczne toczono na pięści, a nie na noże. Ale z każdym koncertem rosła rywalizacja z innymi szkolnymi zespołami. Wyjątkowo zacięta była konkurencja z Psychs, których brzmienie przypominało bardziej hałas na placu budowy niż muzykę rockabilly. Wraz z rosnącą popularnością brata Benny coraz bardziej awansował na outsidera. Z długimi rzęsami, kędzierzawymi włosami i miękkimi rysami twarzy Benny wyglądał jak idealna ofiara; jak ktoś, kto bardziej pasowałby do eleganckich kortów w Zehlendorfer Tennisclub niż do stołu z piłkarzykami w Domu Młodzieży w Neukölln. Wcześniej Marc próbował go chronić; niezależnie od własnego planu lekcji towarzyszył mu w metrze w drodze do szkoły. Ale teraz już nie mógł robić tego zawsze. A już na pewno nie wtedy, kiedy mieli próby albo występy. I tak stało się to, co musiało się stać. Któregoś wieczoru Benny został pobity przez dwóch członków Psychs. Minął tydzień, zanim znów mógł chodzić. I następny, aż przeszedł mu ból w zwichniętej szczęce.

Marc szalał z wściekłości. Świnie znaleźli najśłabsze ogniwo łańcucha. Tego wieczoru opracował z Valką dwa brzemienne w skutki plany, które dały początek tragedii. Po pierwsze zrobili z Benny'ego członka zespołu. Co prawda nie potrafił grać na żadnym instrumencie, ale jego zdolności przejawiały się w dziedzinie sztuki graficznej i wizualnej, chociaż to też nie było im do niczego potrzebne. Tak się stało, że to akurat Valka zorientował się, że można lepiej wykorzystać wrażliwą inteligencję Benny'ego, jeśli będzie organizował ich występy, zarządzał pieniędzmi i rozliczał się z organizatorami. I tak oto wrażliwy młodszy brat Marca został menedżerem zespołu, który niejako przy okazji pisywał melancholijne teksty do własnych kompozycji, na co oczywiście nikt z nich nie zwracał uwagi. Poza tym zespół zaczął angażować najsilniejszych chłopaków ze szkoły jako wykidajłów, żeby podczas koncertów zapewniali bezpieczeństwo przed i za sceną. To było początkiem kariery Valki w środowisku berlińskich bramkarzy, w którym Benny miał później znaleźć swoje miejsce jako księgowy.

Benny otworzył oczy i przestraszył się, kiedy zauważył ruch w domu.

*Dobra, nie ma na co czekać.*

Korpulentny mężczyzna wstał od biurka ustawionego w ogrodzie zimowym, który był wykorzystywany jako pracownia.

Benny wziął gazetę z siedzenia pasażera i odwrócił ją.

„Śmierć stoi u drzwi”

zapowiadał nagłówek na ostatniej stronie. W słabym świetle staromodnej latarni ulicznej, które wpadało do samochodu, za nic nie dałoby się odczytać choćby jednego słowa z artykułu, ale nie było to konieczne. Znał go na pamięć i rozumiał wściekłość Eddy’ego. Ani razu nie przytoczono w nim nazwiska Valki, ale nie było wątpliwości, kogo dziennikarz śledczy ma na myśli. Ken Sukowsky skrupulatnie odrabiał swoje prace domowe. I przypuszczalnie przerywał je tylko na krótko, aby pocałować dzieci na dobranoc, po czym zabierał się do pisania następnego demaskatorskiego artykułu.

Benny odłożył gazetę z powrotem na siedzenie i odczekał jeszcze pół godziny. Kiedy zgasły wszystkie światła, poza tym jednym w pracowni Kena, wysiadł z samochodu.

Zawahał się, kiedy zobaczył Kena wracającego ze szklanką whiskey w ręku do oświetlonego pokoju. Z powrotem do biurka. Ale przypomniał sobie słowa Valki i przemógł się.

„Dziewięćdziesiąt tysięcy euro, Benny. Zadzwońeś do mnie cztery tygodnie temu i wyświadczyłem ci przysługę. Połowę kwoty przemyciłem ci do wariatkowa. Drugą przelałem na czeskie konto tego zasranego lekarza. Dokładnie tak, jak chciaeś”.

Benny otworzył furtkę do ogrodu i przekradł się obok kupek liści. Przy każdym kroku czuł przeszywający ból w prawym podudziu.

„Ostrzegalem cie, że to się nie uda. Ale nie chciaeś mnie słucać i forse szlag trafił”.

Benny zatrzymał się przed drzwiami.

„Zostałeś oszukany na moje pieniądze. Ale lubię cie, Benny. Długo zajmowaeś się moimi księgami i nigdy mnie nie wyrolowaeś. Dlatego daję ci szansę, mozesz odpracować dług”.

Benny zapukał cicho. Raz. Potem, po krótkiej przerwie, drugi raz.

„Postaraj się, aby Sukowsky już nigdy nie mógł napisać o mnie żadnego gówna”.

Kiedy usłyszał odgłos przesuwającego się krzesła na kółkach w ogrodzie zimowym, wyjął ogrodowe nożyce z kieszeni kurtki.

„Załatw go na cacy”.

Powoli liczył wstecz do dziesięciu. Drzwi otworzyły się przy czterech.

– Ken Sukowsky?

Mężczyzna patrzył na niego zdziwiony, ale nie sprawiał wrażenia nieuprzejmego.

– Tak, proszę?

„I na dowód przynieś mi wszystkie jego pieprzone paluchy, którymi napisał te zasrane artykuły o mnie”.

– Zepsuł się panu samochód? Czy mogę panu jakoś pomóc?

– Nie.

Benny pokręcił głową i ścisnął nożyce, których ostrza były jeszcze lepkie od krwi ostatniej ofiary tortur Valki w pakamerze jego kwiaciarni.

„Potraktuj to jako leczenie HSP, mały. Po prostu musisz dać ujście wściekłości, a potem już samo pójdzie”.

– Mnie już nie można pomóc. Przykro mi. – Z tymi słowami Benny wdarł się do mieszkania.

# Rozdział 19

Inna taksówka, tym razem z kobietą za kierownicą. Ale ciągle ten sam koszmar. Marc uchylił okno, żeby wpuścić do samochodu świeże powietrze, i natychmiast zamknął je z powrotem, ponieważ ledwo mógł zrozumieć kobietę, która odezwała się w słuchawce. Jej numer telefonu dostał w informacji.

- Przykro mi, ale nie jestem do tego upoważniona.
- Jestem jego zięciem.
- Niestety, nie mogę tego sprawdzić przez telefon, doktorze Lucas.

Marc sapnął nerwowo i wpatrywał się pustym wzrokiem w pojazd, który zatrzymał się obok nich na światłach. Dwójka dzieci na tylnym siedzeniu pokazała mu język i wybuchła śmiechem, kiedy się odwrócił.

- No to niech go pani wywoła – poprosił.

– Przykro mi, ale to nie ma sensu, profesor Senner właśnie operuje. A poza tym i tak powiedziałam już panu więcej, niż mi było wolno.

*To nie może być prawda.*

Znał pielęgniarkę z izby przyjęć, głównie ze zmian opatrunku. Wiedział, że kobieta ma psa, że każdy paznokieć jej prawej ręki jest polakierowany na inny kolor i że w czasie rozmowy telefonicznej koloruje litery formularzy zgłoszeniowych. Na pewno wiedziała, z kim rozmawia. Mimo to traktowała go przez telefon jak kogoś obcego. Uprzejmie, ale z dystansem. I im silniej nalegał, tym jej głos stawał się bardziej oziębły i oschły.

– Okay, a czy przynajmniej mogłaby pani powiedzieć mi, żeby do mnie zadzwonił, jak tylko wyjdzie z sali operacyjnej? To pilna sprawa. – Chciał się już rozłączyć, kiedy przypomniał sobie, o czym zapomniał. – Jeszcze chwilę, proszę. Czy widzi pani mój numer na wyświetlaczu?

- Nie, jest zastrzeżony.

*Niech to szlag! Pod moim starym numerem już mnie przecież nie złapie.*

– Ale jeśli profesor rzeczywiście jest pana teściem, na pewno będzie znał numer pana komórki. – Trudno było nie usłyszeć cynizmu w głosie pielęgniarki.

- Tak, z pewnością.

Marc zakończył połączenie, oparł głowę o zagłówek przedniego siedzenia i zaczął sobie masować skronie. Ani chłodna imitacja skóry, ani delikatny ucisk własnych kciuków nie pomagały zmniejszyć bólu głowy. Dlaczego kupił aspirynę plus c, a nie środek przeciwbólowy, którego nie trzeba rozpuszczać w wodzie.

- Wszystko okay, tam z tyłu?

Marc roześmiał się bezgłośnie.

*Wszystko okay?*

Tak, jeśli pominąć fakt, że dziewczyna, której dzisiaj w południe uratował życie, nie żyje, a jego była żona, która jeszcze niedawno leżała w kostnicy, jeszcze żyje, ale go nie poznaje, to tak, wszystko było w najlepszym porządku.

– Ma pani takie dni, kiedy wydaje się, że świat kręci się w drugą stronę? – zapytał i po raz pierwszy spojrzął na kobietę za kierownicą. W ogłoszeniu w rubryce towarzyskiej prawdopodobnie opisałyby swoją figurę jako „kobietą, z krągłościami w odpowiednich miejscach”. W rzeczywistości wypełniała siedzenie od drzwi do dźwigni zmiany biegów.

– Coś jak w powiedzeniu: zatrzymajcie ziemię, bo chcę wysiąść? – spytała.

Jej śmiech był sympatyczny i pasował do radosnych barw tkaniny, którą owinęła swoje ciało. Marc stawiał na afrykańskie korzenie jej stroju, który pasował do trzech rastafariańskich warkoczyków widocznych z tyłu głowy.

– No jasne, wiem, o czym mówisz, człowieku.

*Tak, na pewno wiesz.*

Taksówka zahamowała gwałtownie, ponieważ jakaś para koniecznie chciała złapać autobus stojący po drugiej stronie ulicy i wyskoczyła im przed maskę.

– Wczoraj wiozłam pewnego dziadka. Miłego starszego pana. Koło osiemdziesiątki, jak sądzę. W czasie jazdy nagle zapomniał, dokąd chce jechać.

*Okay, może i masz jakieś pojęcie, o czym mówię.*

– I co gorsza nie wiedział nawet, że siedzi w taksówce. Myślał, że go porwałam albo coś w tym rodzaju.

– I co pani zrobiła? – zapytał Marc i znów popatrzył przez szybę. Przed jego oczami przemknęła reklama świetlna wypożyczalni samochodów.

– Dziecino, jeśli czegoś nauczyłam się w życiu, to tego, że kiedy inni wariują, ty musisz być normalna.

Zatrąbiła dwa razy, żeby pozdrowić kolegę, który skręcił przed nimi w Friedrichstraße.

– Po prostu przestałam zwracać uwagę na wrzaski dziadka i zawiozłam go dokładnie tam, gdzie chciał na początku. A więc normalka. Na szczęście czekała tam na niego córka.

Zatrzymała się przy szeregu zaparkowanych samochodów i spojrzała w lusterko wsteczne.

– Alzheimer. Człowiek codziennie poznaje nowych ludzi, co?

Zaśmiała się tak głośno, jakby dopiero teraz wymyśliła ten stary jak świat dowcip. Potem wyjrzała z niedowierzaniem przez boczną szybę.

– Powiedział pan Französische 211?

Taksówką aż zakołysało, kiedy kobieta odwróciła się w jego stronę.

– Tak, a co w tym dziwnego?

– Mam nadzieję, że wziął pan ze sobą kask.

Zachichotała i sięgnęła po bloczek z pokwitowaniami. Marc machnął ręką, że nie trzeba, i dał jej ostatnie pieniądze z portfela. Potem wysiadł, aby upewnić się, że nie uległ złudzeniu optycznemu. Ponieważ to, co zobaczył z taksówki, było tak niewiarygodne, że aż musiał przyjrzeć się z bliska.

*Dziura.*

Im bardziej zbliżał się do płotu, tym szedł wolniej. Jego kroki były tak niezdecydowane, jakby podchodził do niezabezpieczonego urwistego brzegu. I w sensie przenośnym dokładnie to właśnie robił.

Wiatr dął mu w twarz, a deszcz rozmazywał widok. Ale nie na tyle, żeby nie mógł przeczytać numerów na domach stojących po lewej i prawej stronie. Marca przeszedł dreszcz.

*To niemożliwe.*



Na lewo 209. Na prawo 213.

Podszedł jeszcze krok bliżej, tak że mógł prawie dotknąć nosem tablicy z napisem: „Wstęp wzbroniony”, która ostrzegała przed wejściem na teren budowy.

Wtedy znów spojrział w lewo, na siedzibę Izby Gospodarczej pod numerem 209. Potem w prawo na budynek prywatnego banku. W końcu wlepił wzrok w dół. W głęboki na siedem metrów wykop, gdzie jeszcze dziś w południe znajdował się numer 211 – klinika Bleibtrea, która znikła tak samo, jak resztki normalności w jego roztrzaskanym na tysiące kawałków życiu.

# Rozdział 20

Zanim ojciec Marca zmarł w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat z powodu niewydolności wątroby, był doradcą biznesowym, menedżerem artystów, właścicielem kilku kompleksów hotelowo-kasynowych w Republice Południowej Afryki, ojcem dwójki nieślubnych dzieci, alkoholikiem, kompozytorem, autorem komiksów, kulturystą, a nawet znanym pisarzem, który świętował swoje światowe sukcesy pod pseudonimem. Wszystko to były zajęcia uboczne wobec jego zasadniczej działalności jako pokątnego doradcy. I wszystko wyłącznie w jego wyobraźni.

Oczywiście Frank Lucas nie opowiadał nikomu w rodzinie o przeżyciach w swoim wymyślonym świecie. Tak samo jak niewiele rozmawiał z Markiem, Bennym albo żoną o tym, że mała kancelaria, do której wychodził codziennie rano z pustą aktówką w ręku, już dawno była pod kreską, odkąd chwile szaleństwa co rusz znajdowały odbicie w jego pismach procesowych. Mimo zaburzeń schizoidalnych jeszcze przez dwa i pół roku udawało mu się jakoś związać koniec z końcem dzięki małej grupce łatwowiernych klientów. Nawet Anita, sekretarka w jego kancelarii, przychodziła niemal do samego końca na pół etatu i pracowała niemal za darmo, aż i ona zrozumiała, że nigdy nie zasmakuje profitów finansowych z będących w toku projektów budowlanych realizowanych w Brazylii, ponieważ istnieją one wyłącznie w wyobraźni jej nadmiernie zadłużonego pracodawcy.

To wszystko, schizofrenia Franka Lucasa i katastrofalna sytuacja finansowa rodziny, wyszło na jaw dopiero, kiedy pewnego dnia zastukała do drzwi policja, żeby jeszcze raz przesłuchać siostrę Marca w sprawie gwałtu. Reakcja rodziny zadziwiła funkcjonariuszy, ponieważ okazało się, że nie istnieje ani gwałciciel, ani tym bardziej siostra. Pierwszy raz w życiu Frank opowiedział swoje kłamstwa niewłaściwej osobie.

Oczywiście wszyscy się czegoś domyślali. Uwagi zarówno dzieci, jak i ich matki nie uszły pojawiające się u niego zmiany nastroju, bezsenność, ustawiczne oblewanie się potem i skłonność do dramatyzowania. Ale czyż nie było tak, że kochali swojego ojca i męża właśnie dlatego, że lubił mijać się z prawdą? Właśnie z powodu pełnych fantazji, romantycznych, niewiarygodnych opowieści, którymi podbił serce swojej żony i którym Marc oraz Benny przysłuchiwali się z otwartymi ustami, leżąc na piętrowym łóżku? A czy dobry adwokat nie musi czasami kłamać, żeby wydobyć z tarapatów swoich klientów?

Z obawy przed prawdą rodzina unikała podczas niedzielnego obiadu szczegółowego wypytywania go o to, co wydarzyło się w ciągu tygodnia. A jego żona coraz częściej potajemnie wynosiła puste butelki do kontenera na szklane odpadki, żeby dzieci ani sąsiedzi czegoś się nie domyślili. Mimo to nigdy nie chciała uwierzyć, że jej mąż może mieć problemy z alkoholem, i dzisiaj Marc również nie był już tego tak do końca pewny.

Później lekarze twierdzili wprawdzie, że przyczyną jego urojeń było występujące okresowo nadmierne spożycie alkoholu, ale Marc uważał, że bardziej prawdopodobna była sytuacja odwrotna. Jego ojciec nigdy nie pogrążał się w swoim iluzorycznym świecie z powodu przepicia. Żył w nim cały czas i sięgał po butelkę tylko w chwilach przytomności umysłu, kiedy udręka samopoznania stawała się już nie do

zniesienia. Marc często zadawał sobie pytanie, czy mogło być coś bardziej przerażającego niż chwila, kiedy kurtyna iluzji się podnosiła i otwierał się widok na czającą się za nią okrutną rzeczywistość. Chwila, w której człowiek niczego bardziej nie pragnie niż jak najszybszego powrotu do znanego sobie świata. Nawet jeśli ten świat w ogóle nie istniał.

*Czy ty też przechodziłeś przez to, co mnie właśnie spotyka, tato?*

Marc oddychał głęboko i jak wyczerpany długodystansowiec mocno przytrzymał się ogrodzenia z drucianej siatki otaczającego plac budowy. Rzadko czuł taką bliskość ojca jak teraz. Być może lekarze mylili się również, twierdząc, że zaburzenia psychiczne ojca nie są dziedziczne. Być może wcale nie był tym człowiekiem, którym myślał, że jest? Być może on, Marc Lucas, nigdy nie był żonaty, nigdy nie był ojcem jeszcze nienarodzonego dziecka i również nigdy nie był w klinice Bleibtreua? A głos, który właśnie usłyszał za sobą, istniał tylko w jego głowie...

– Przepraszam pana?

Kobięcy głos brzmiał niepewnie, zupełnie jak głos żebraka, którego prośby zbyt często bywały wcześniej odrzucane, żeby ośmielał się jeszcze poważnie liczyć na skromny datek. Odwrócił głowę i już na pierwszy rzut oka poznał, że coś w tej otyłej postaci jest nie tak. Kobieta oblizywała językiem górną wargę i nerwowo skubała podrapane palce.

– Czego? – zapytał szorstko. W swoim obecnym stanie w żaden sposób nie mógł pomóc bezdomnej.

Kobieta cofnęła się o krok i również przytrzymała się ogrodzenia. W panującym na ulicy półmroku trudno było ocenić, na ile jest zaniedbana. Czarne, długie do ramion włosy mogły być tłuste albo tylko mokre. To samo odnosiło się do białego pikowanego płaszcza, w którym jej otyła postać przypominała maskotkę z reklamy opon samochodowych.

– Czy mogę pana o coś zapytać? – spytała cicho, jakby obawiała się odpowiedzi. Weszła w stożek światła padającego z jednej z lamp, które wisiały co dwa metry na ogrodzeniu i miały ostrzegać przechodniów przed wykopem. Obrzmiła twarz i poranione ręce nie pozostawiały już teraz wątpliwości co do kondycji psychicznej właścicielki. Kobieta z podwójnym podbródkiem i w okularach z kasy chorych w piaskowym kolorze znajdowała się pod wpływem silnych leków – albo przeciwnie, cierpiała po ich odstawieniu.

– Lepiej nie. – Marc demonstracyjnie spojrzał w górę, jakby interesował się stojącym na budowie dźwigiem. W pustej kabinie operatora jeszcze paliło się światło. Gdyby nie to, że i tak kręciło mu się w głowie, od samego patrzenia dostałby choroby morskiej.

– Czy pan też jest w programie? – zapytał nieśmiało głos obok.

*Że co?*

Dopiero kiedy powtórzyła zdanie, całkowicie odwrócił się w jej stronę. Zdjęła okulary, żeby gołymi rękoma trochę nieporadnie przetrzeć wilgotne szkła.

– Program! – powtórzyła i pierwszy raz spojrzała prosto na niego. Małe, ciemne oczy sprawiały, że jej twarz miała w sobie coś z lalki. Mogła być młodsza od niego, nawet jeśli wyglądała na starszą. Marc dobrze znał skutki życia na ulicy. Nieufnie rozejrzał się dookoła. Na chodniku nie było ani jednego człowieka. Sklepy i biura były zamknięte od kilku godzin.

– O czym pani mówi?

– Próba. Eksperyment.

Od czasu wypadku jego system wczesnego ostrzegania mógł być uszkodzony, a w ostatnich godzinach wielokrotnie szwankował, mimo to ostatnie rezerwy wystarczyły, żeby postawić go w stan gotowości alarmowej. Dziwne było już samo to, że w deszczową noc został zagadnięty przez bezdomną na pustej ulicy, kiedy właśnie wpatrywał się w pusty wykop pod budowę. Ale to, o czym chciała mówić, zupełnie już odrealniło całą sytuację.

– Kim pani jest? – zapytał.

– Emma. – Jej ręka wyrwała się do przodu, jak u dziecka, któremu rodzice każą przedstawić się grzecznie gościowi. – Nazywam się Emma Ludwig i...

Jej dobroduszne spojrzenie przypomniało mu matkę, która nawet pod koniec długiego dnia, kiedy wyczerpana stała w kuchni, patrzyła na niego pełnym miłości i trochę rzewnym wzrokiem.

Marc właśnie chciał podać rękę kobiecie, lecz odruchowo powstrzymał się, kiedy usłyszał jej dalsze słowa.

– ...i już od kilku dni czekam na pana.

Za jej plecami jakiś samochód przejechał z nadmierną prędkością przez kałużę.

– Na mnie?

Przełknął ślinę. Duża kropla deszczu spadła mu na ogoloną głowę i Marc otarł ją, zanim zimna strużka wody zdążyła spłynąć na kark. Nie potrafił przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz się golił. Czując szczecinę pod palcami, posmutniał jeszcze bardziej. Sandra lubiła, kiedy jego „fryzura” pasowała do trzydniowego zarostu.

– Chyba myli mnie pani z kimś innym – powiedział w końcu i puścił druciane ogrodzenie. W ciągu krótkiego czasu, kiedy tu stał, jego dzinsy całkowicie przemokły.

– Nie, niech pan poczeka. Po co pan tu przyszedł? Tu, do tego wykopu?

Zrobił krok do tyłu. Z każdym słowem tej dziwnej kobiety rosło w nim uczucie niewidzialnego zagrożenia.

– Co to panią obchodzi?

– Wydaje mi się, że mogę panu pomóc.

Marc machnął ręką.

– Skąd przyszło pani na myśl, że potrzebuję pomocy?

Jej odpowiedź zapała mu dech.

– Ponieważ ja też jestem pacjentką.

*Też? Dlaczego też?*

– Uczestniczyłam w programie Bleibtrea, tak jak pan.

*Nie. Nawet jeszcze nie podpisałam formularza zgłoszeniowego.*

– Ale potem się wycofałam. Od tamtej pory przychodzę tu w każdej wolnej chwili. – Pokazała na budowę i znów włożyła okulary. – Do tej dziury, tutaj. I wypatruję ludzi, którzy nie mogą pojąć, gdzie się podział numer 211.

Marc odwrócił się i jedyne, czego pragnął, to stąd zniknąć, nawet jeśli nie miał pojęcia, dokąd miałby uciec w środku nocy, bez samochodu, bez lekarstw i bez pieniędzy.

– Takich jak pan.

Chciał dostać się do Constantina albo do swojego przyjaciela ze studiów Thomasa, być może nawet do

Roswithy, z którą jeszcze nigdy nie spotkał się prywatnie, ale która przynajmniej miała twarz budzącą zaufanie. W końcu nigdzie jednak nie poszedł. Został na miejscu. Nie dlatego, że kobieta, która przedstawiła się jako Emma Ludwig, zaoferowała mu pomoc. Nie dlatego, że chciała pokazać mu akta, które prawdopodobnie by go zainteresowały.

– Doktorze Lucas, proszę pójść ze mną. To zbyt niebezpieczne, gdyby ktoś nas tu razem zobaczył.

Ale dlatego, że kobieta – jeśli naprawdę była realną osobą – znała jego nazwisko, podobnie jak on szukała w tym miejscu kliniki, co stwarzało niewielką szansę, że jednak nie zwariował, a jeśli nawet, to nie tylko on.

# Rozdział 21

**P**aradoksalna sytuacja. Oto miał przed sobą nieznaną kobietę, która wygadywała rzeczy godne paranoicznej wyznawczyni teorii spiskowych: uroiła sobie, że jest śledzona przez niewidzialnych obserwatorów, z powodu których musieli natychmiast zniknąć. A mimo to musiał z nią porozmawiać, ponieważ była pierwszą osobą od dłuższego czasu, która najwyraźniej go zna.

– Pani wie, kim jestem?

– Tak. Chodźmy.

Emma naciągnęła śnieżnobiały kaptur na mokre włosy i ruszyła przed siebie. Dopiero teraz zauważył jej wysokie, zadziwiająco dobrze utrzymane botki. Ponadto sprawiała wrażenie dużo zdrowszej fizycznie, niżby się mogło wydawać przy jej nadwadze. Marc z trudem dotrzymywał jej kroku i po krótkim czasie był cały spocony.

– Czy my się znamy? – zapytał. Emma szła z opuszczoną głową i sylwetką przypominała boksera w drodze na ring. – Mam na myśli, czy już wcześniej się spotkaliśmy? – powtórzył pytanie. Był coraz bardziej zziębnięty. Dawają mu się we znaki skutki przerwy w przyjmowaniu leków i czuł się jeszcze bardziej zmęczony i wyczerpany niż zwykle o tej porze. Przynajmniej nudności trochę ustąpiły, prawdopodobnie dzięki kroplom MCP, które wziął na początku ostatniego kursu taksówką.

– Nie, nigdy się nie spotkaliśmy.

Odpowiedź Emmy uspokoiła go i równocześnie zbiła z tropu. Z jednej strony była zgodna z tym, co pamiętał. Marc też był pewny, że nigdy wcześniej nie widział tej kobiety. Z drugiej strony budziła pytanie, skąd w takim razie wie, kim jest.

Złapał ją za rękaw i zmusił, żeby się zatrzymała.

– Co pani o mnie wie?

– Czy moglibyśmy wyjaśnić to sobie po drodze?

– Po drodze dokąd?

Obok nich przejechał bardzo wolno samochód i Emma odwróciła się do wystawy z damskimi butami, których każda para kosztowała więcej niż laptop – mimo że wielki napis informował o trzydziestoprocentowej obniżce cen.

– Tylko szuka miejsca do zaparkowania – powiedział Marc i Emma z miejsca straciła zainteresowanie włoskimi sandałkami.

– Szybko, niech pan się pośpieszy.

Przeszła nerwowo na drugą stronę ulicy, wydając z kieszeni płaszcz kluczyki. Kiedy Marc poznał cel jej nagłego sprintu, jego początkowe przypuszczenia ostatecznie się rozwiały. Ktoś, kto jeździ starym volkswagenem garbusiem, takim z podzieloną jeszcze na dwie części tylną szybą, z całą pewnością nie może być kloszardem.

Ale Marca nie interesowała przejażdżka z tą dziwną osobą. Chciał wreszcie usłyszeć odpowiedź.

– Stać. Niech się pani zatrzyma.

Nie mówił głośniej niż dotychczas, ale musiała wyczuć groźny ton w jego głosie. Kiedy się odwróciła,

trzymał w rękę komórkę.

– Co pan chce zrobić?

– Zadzwoń teraz na policję i...

– Nie, nie...

Wróciła, wyciągając przed siebie ręce w obronnym geście. W jej oczach czaiła się panika. Marc znał ten wyraz rozpaczy. Wystarczająco często widział go u swoich dzieci ulicy, kiedy komunikował im, że rodzice siedzą w sąsiednim pokoju.

– Właśnie, że tak. Powinienem zrobić to już poprzednio, pod Plażą.

Wybrał 112 położył kciuk na klawiszu z zielonym telefonem.

– Pod Plażą? Czy nie tak nazywa pan swoje biuro przy Hasenheide?

*Skąd ona to wie?*

Marc zdjął palec z przycisku.

– Co pani jeszcze o mnie wie?

Emma odetchnęła głęboko.

– Nazywa się pan Marc Lucas. Prawnik i streetworker, lat trzydzieści dwa, i mieszka pan przy Steinmetzstraße w dzielnicy Schöneberg. Wdowiec, wcześniej żonaty z Sandrą Senner, lat trzydzieści trzy. Zginęła w wypadku samochodowym. I...

Najpierw otworzyła drzwi z prawej strony kierowcy i obesła samochód dookoła.

– ...i w żadnym razie nie powinien pan dzwonić na policję.

Marc znów poczuł zimno, które przenikało go, począwszy od mokrych adidasów, na pulsujących skroniach kończąc. Próbował rozmasować sobie uszy, ale były tak samo zdrętwiałe jak jego palce.

– Dlaczego nie? – zapytał.

– Musi się pan wstrzymać, dopóki nie wyjaśnię panu, co się teraz z panem dzieje.

Otworzyła drzwi od strony kierowcy, wsiadła i kręcąc korbką, opuściła szybę w oknie. Jej oczy rozmywały się za mokrymi od deszczu okularami.

Marc wpatrywał się w nią.

– Kim pani, na Boga, jest?

Posłała mu smutne spojrzenie i uruchomiła silnik, który zaczął warkotać, ale nie na tyle głośno, żeby zagłuszyć równie tajemniczą, co przerażającą odpowiedź.

– Nie pamiętam.

Emma wyjechała z miejsca parkingowego, zawróciła i zatrzymała się z otwartymi drzwiami pasażera dokładnie obok niego.

– Proszę, niech pan wsiada, doktorze Lucas. Jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie.

# Rozdział 22

**K**iedy zadzwonił Eddy Valka, Benny wiedział, że musi natychmiast odebrać.

Natychmiast. Koniecznie.

Nie mógł zignorować wyciszonego sygnału komórki. W przeciwnym razie jego życie skończy się wcześniej, niż zaplanował, a mianowicie z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością już jutro rano. A najpóźniej w południe, ale tylko gdyby miał szczęście, że Eddy'emu chciałoby się wyspać.

Nie miał wątpliwości, w czym rzecz, w końcu umówili się, że załatwi sprawę do 23.00 i potwierdzi jej wykonanie. A wyznaczona pora minęła już dawno.

Ale były dwa powody, dla których nie mógł wyciągnąć ręki i wziąć telefonu z siedzenia obok.

Powód pierwszy, od środka paraliżował go przytłaczający napad depresji. Powód drugi miał długie, sięgające brody jasne włosy pod zieloną czapką z daszkiem i świecił mu w twarz latarką.

– Policja drogowa, proszę o pana dokumenty.

Benny skinął głową i chciał sięgnąć do schowka na rękawiczki, ale jego mózg wzbraniał się przed wysłaniem koniecznego impulsu do mięśni.

Wielu jego znajomych z kryminalną przeszłością, których poznał za pośrednictwem Valki, naśmiewało się z depresji, uważając ją za babski wymysł. Za wynikające z dobrobytu rozczulanie się nad sobą, właściwe babom i pedałom. Zazdrościł im, że nie znają prawdy. Prawdziwa depresja jest jak gąbka, noszona na piersi, nasiąkająca czarnymi jak sadza myślami, aż staje się tak ciężka, że człowiek fizycznie czuje jej obecność. Najpierw przy oddychaniu i przełykaniu, aż w końcu paraliżuje ona każdy ruch, uniemożliwia nawet zsunięcie kołdry z głowy.

– Trochę szybciej, proszę, gdyby pan mógł. – Młoda policjantka szukała wzrokiem pomocy u swojego kolegi, który pięć metrów przed nimi przeprowadzał kontrolę innego pojazdu.

Wiedział, dlaczego właśnie jego wyłowiła z rzeki pojazdów na Brunnenstraße. Jechał o wiele za szybko, ponieważ jego uwagę zaprzętała „radiowa wyrocznia”.

*Czy dam radę?*

Nie miał pojęcia, dlaczego właśnie dzisiaj wrócił do tej głupiej zabawy swojego brata, która zawsze go złościła. Zasady „radiowej wyroczni” były tyleż proste, co niezmiennie. Zadawało się otwarte pytanie, na przykład: „czy będę kiedyś bogaty i sławny?” albo: „co muszę zrobić, żeby Nicoletta z 10a wreszcie mi dała?” Albo jak dzisiaj: „czy dam radę?” Potem trzeba było włączyć radio. Słowa pierwszej piosenki dostarczały odpowiedzi.

Ostatnio, wiele lat temu pozwolili „radiowej wyroczni” zdecydować, czy rzeczywiście mają utopić samochód ojca w jeziorze powstałym na miejscu nieczynnej żwirowni.

Mieli po szesnaście lat i oczywiście nie wolno im było jeździć kombi taty. Ale jak dotąd, podczas ich nocnych wypadów po Berlinie, wszystko szło dobrze: żadnego wypadku, policyjnej kontroli, nawet plamy na siedzeniu. Wszystko szło gładko. Jednego wieczoru obskakiwali trzy imprezy, a dziewczyny pozwalały obmacywać się na tylnej kanapie swoim „bohaterom”, ponieważ byli po prostu najbardziej cool z całej paczki: jedyne nastolatki z własnym samochodem.



Aż pewnego dnia, około czwartej rano, wrócili do domu, a miejsce przed budką z falafelami, gdzie ojciec parkował samochód, było zajęte. Miejsce zwyczajowo zarezerwowane w tej dzielnicy dla „adwokata”. Ale jakiś niemający o tym pojęcia buc z hamburską rejestracją postawił swojego brudnego grata dokładnie tam, gdzie za trzy godziny tata Lucas będzie szukał swojego samochodu.

Dlatego Marc zaproponował, żeby spuścić mercedesa do jeziora, zanim wszystko się wyda i być może skończą w poprawczaku. A więc zrobili jeszcze jedną rundę i włączyli radio w samochodzie – dokładnie w chwili, kiedy leciało *I am sailing*, co dopuszczało tylko jedną możliwą interpretację. Jednocześnie wiedzieli, że utwór śpiewa Rod Steward, co było jedną z niewzruszonych zasad: wyrocznia obowiązywała tylko pod warunkiem, że znało się wykonawcę.

Tak więc w końcu utopili ten samochód.

– O, już mam, proszę bardzo.

Jakoś udało mu się podać dokumenty przez okno. O mały włos nie dał jej nawet wymiętej listy z nazwiskami, która również leżała w schowku.

Kiedy policjantka podejrzliwie oglądała prawo jazdy, Benny wziął do ręki wibrujący telefon.

– Zaraz do ciebie oddzwonię, Eddy – rzucił tylko, ale i tak wywołał tym u policjantki gniewne zmarszczenie czoła.

– Proszę wysiąść – powiedziała groźnie, a mimo to jej głos zabrzmiał dużo bardziej przyjaźnie niż głos Eddy’ego na drugim końcu linii.

– Masz mnie za jakąś zdiurę, czy jak, że każesz mi czekać? – W tle leciała głośna muzyka. Pewnie znowu stał przy barze jednej z kontrolowanych przez siebie dyskotek lub knajp, gdzie dziewczyny tańczyły na rurze. – Nie ma mowy, palancie!

Dla Benny’ego nie było jasne, czy dotyczyło to późniejszego oddzwonienia, czy Valka zabrania mu wysiąść.

– Jak długo potrwa kontrola? – zapytał więc wystarczająco głośno, żeby oboje go usłyszeli.

– Załatwiłeś? – spytał Eddy, zupełnie nie zwracając na to uwagi.

Benny zakasłał potwierdzająco.

– To zależy od pana – odpowiedziała opryskliwie policjantka i po raz drugi poprosiła go o opuszczenie samochodu. Eddy też po prostu mówił dalej.

– Dobra, dostarcz mi dowód.

– Poczekaj chwilę.

– Do jasnej cholery, nie...

Benny odłożył komórkę, nie przerywając połączenia, i zebrał wszystkie siły, żeby wygramolić się z samochodu. Czarna gąbka w jego piersi sprawiała, że każdy ruch był męczarnią.

Zamknął oczy i długo dmuchał w alkomat.

– Niech pan się stąd nie rusza – powiedziała szczupła policjantka i poszła do radiowozu, aby sprawdzić jego dokumenty. Benny znów przyłożył komórkę do ucha.

– Eddy?

– Ty dupku, odbiło ci, żeby mnie tak po prostu ignorować?

– Posłuchaj, są tu gliny, nie mogę teraz rozmawiać.

Eddy wrzasnął coś niezrozumiałego i nagle muzyka w tle przycichła. Potem Valka znów się odezwał.

- Chcę dowodu, że wykonałeś swoją robotę.
- Jest u mnie w bagażniku.
- W takim razie przechodzimy do punktu drugiego: pozbądź się śmieci.

– Bądź spokojny. Załatwię to, gdy tylko skończy się ta kontrola.

Odsuwane drzwi radiowozu otworzyły się i z pojazdu wysiadła jasnowłosa policjantka.

– I wtedy wyjedziesz z mojego miasta.

– Nie zgrywaj się na Johna Wayne’a – powiedział Benny.

– Mówię poważnie. To jest zadanie numer trzy. Spieprzaj stąd. Nie chcę cię więcej widzieć w Berlinie.

Policjantka zbliżała się pewnym krokiem.

– Okay, daj mi dwa dni.

Benny pomyślał o liście, na której były skreślone dopiero dwa nazwiska. Dwa z dziesięciu.

– Masz dwie godziny.

– To nie wystarczy.

– O cholera, chyba nawala mi komórka. – Eddy się zaśmiał. – Czy dobrze usłyszałem, powiedziałaś, że się nie da?

– Potrzebuję trochę więcej czasu.

– Po co? Żeby spakować torbę?

– Kiedy ja... – Benny przełknął ślinę. Nigdy, przenigdy nie mógłby powiedzieć Eddy’emu prawdy. –

Muszę się jeszcze pożegnać.

– Niby z kim? – Valka znów się zaśmiał, tym razem jeszcze bardziej szyderczo. – Nie wciskaj mi kitu, mały. Nie mogę sobie pozwolić, aby ludzie pomyśleli, że robię się miękki. Wywieziesz towar z Berlina i nigdy więcej tu nie wrócisz. Zrozumiano?

Benny odłożył komórkę w tej samej sekundzie, kiedy poczuł za sobą perfumy policjantki. *Escape* Calvina Kleina.

*Escape. Ucieczka.*

Ironia tego zbiegu okoliczności wywołała uśmiech na jego twarzy.

– Zero promili – powiedziała policjantka prawie rozczarowana i oddała mu dokumenty.

– Dopiero niedawno pana wypuścili, co?

Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Mam rację?

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. A potem zrobiła to, czego najbardziej się obawiał. Pokazała na bagażnik.

– Jeszcze tylko trójkąt ostrzegawczy i apteczka i może pan jechać.

# Rozdział 23

Po czasie łatwo jest wskazać, gdzie się popełniło błąd. Ale dopóki człowiek nie znajdzie się w oku cyklonu, dopóki jest jeszcze na skraju spirali obłądu, nieuchronnie zostanie przez nią wessany. Kiedy człowiekowi śmigają koło uszu kolejne strzępy własnego życia, traci orientację i podejmuje jedną po drugiej błędne decyzje. Marc już w chwili, kiedy wsiadał do samochodu Emmy, przeczuwał, że właśnie popełnia błąd. I że ten błąd staje się jeszcze większy, kiedy poszedł z nią do taniego hotelu w pobliżu lotniska.

Gdyby patrzył na swoje życie jak na film, mógłby podrzucać smutnemu facetowi na ekranie mądre rady: zadzwoń na policję. Jedź do Constantina do kliniki. Poproś o pomoc kogoś postronnego. Ale w żadnym wypadku nie idź z tą kobietą! A już na pewno nie do tego zaprzyjaźnionego hotelu w Tegel.

Ale w tej chwili nie siedział odprężony w wygodnym kinowym fotelu, lecz na brzegu sfatygowanego hotelowego materaca, a jego umysł nie pracował w normalnych warunkach, które umożliwiłyby mu podjęcie racjonalnej decyzji. W ciągu kilku godzin Marc stracił wszystko, w co do tej pory wierzył: wiarę w realność swoich wspomnień, w siebie samego.

Po drodze Emma bez słowa wcisnęła mu do ręki kartkę papieru, która wyglądała tak, jakby w wybuchu wściekłości została wyrwana ze skoroszytu – mówiąc dokładniej, z teczki z dokumentami potrzebnymi przy ubieganiu się o pracę, ponieważ przy bliższym przyjrzeniu się w półmroku, jaki dawało wewnętrzne oświetlenie, okazała się pierwszą z trzech stron oficjalnego życiorysu. Jednak życiorys wydawał się jeszcze mniej pasować do jej wyglądu zewnętrznego niż jego pierwsze wrażenie, że Emma zarabia na życie zebraniem.

Podobno urodziła się w Dreźnie i przed zjednoczeniem uciekła z rodzicami do Francji, aby studiować na Sorbonie najpierw medycynę, potem niemiecki, hiszpański i francuski. Ostatnio pracowała jako tłumaczka symultaniczna na kongresach, głównie na konferencjach farmaceutycznych, do czego predysponowały ją przerwane studia medyczne.

– A więc, co takiego ważnego chce mi pani koniecznie pokazać?

Marc ponownie spróbował przełamać jej milczenie. Od momentu przyjazdu ich konwersacja ograniczała się do rzeczy najbardziej niezbędnych. Bez słowa dała mu do zrozumienia, że musi się zdobyć na jeszcze chwilę cierpliwości.

Marc, który do tej pory przyglądał się, jak Emma wypakowuje torbę podróżną i wyciąga z niej kilka stert starych gazet, zaczął błędzić wzrokiem po pokoju.

Był on mniej więcej taki sam, jak twarz mężczyzny, który podał im klucz w recepcji: kwadratowy, zaniedbany i ponury. Zastałe, przegrzane powietrze przypominało z kolei wonią jego przepoconą pod pachami koszulę. Najwidoczniej Emma już wiele dni temu zaczęła na klamce wywieszkę „proszę nie przeszkadzać”. W tym czasie pokój przeobraził się w coś pomiędzy rupieciarnią a antykwariatem z książkami.

Połowa podwójnego łóżka była usiana artykułami wyciętymi z gazet, zapisanymi z obu stron karteluszkami i książkami medycznymi, które wały się również na małym biurku obok szafki z

telewizorem. Emma zdjęła wysokie buty i biały płaszcz z kapturem, który niedbale rzuciła na postrzępioną wykładzinę podłogi. Teraz miała na sobie tylko luźną wełnianą sukienkę sięgającą jej do kostek.

Podczas gdy Marc zastanawiał się, ile jeszcze da jej czasu, zanim stąd pójdzie, Emma przysiadła na niebezpiecznie trzeszczącym drewnianym krześle, położyła lewą stopę na masywnym prawym udzie i zaczęła masować jej przednią część.

Marc wstał i podszedł do okna.

– Nie. Mogą nas zobaczyć.

– Kto? – Opuścił żaluzję.

– Ludzie Bleibtrea.

Nerwowo dotykała okularów i w końcu je zdjęła, żeby włożyć do ust jeden zausznik.

– Bleibtrea? – zapytał Marc.

– Tak.

– A więc ta klinika naprawdę istnieje?

*Cudownie. Szukasz potwierdzenia u jakiejś paranoiczki.*

Uchylił okno, nie podnosząc żaluzji.

– Oczywiście.

Emma musiała mówić trochę głośniej, żeby zagłuszyć dudnienie deszczu, którego krople jak kule z pistoletu uderzały w blaszany parapet. Raz po raz, wskutek wiatru, pojedyncze krople wpadały rykoszetem do pokoju.

– Oczywiście, że istnieje. Sama tam przecież byłam.

Nasunęła okulary na czoło jak opaskę przytrzymującą włosy i nerwowo oblizała językiem górną wargę. Raptem wstała, jakby nagle o czymś sobie przypomniała, i podeszła do szafy na ubrania.

– A gdzie w takim razie teraz się podziała, jeśli może mi pani zdradzić? – zapytał Marc.

Emma wystukała sześciocyfrowy kod do sejfów wielkości pudełka do butów, który był przykręcony śrubami w kącie szafy.

– Ona wcale nie zniknęła, Marc. Pan jej tylko nie widział.

– Ha! – Roześmiał się nieco głośniej, niż zamierzał. – Niech pani posłucha, mam za sobą cholernie ciężki dzień. Moja zdolność przyswajania jest mniej więcej taka jak u pacjenta, który właśnie obudził się z pełnej narkozy. Dlatego byłbym wdzięczny, gdyby wyjątkowo chociaż raz zechciała powiedzieć coś, co nie prowokowałoby dalszych pytań.

Emma wyjęła cienką teczkę z dokumentami, zgiętą przez środek, ponieważ inaczej nie zmieściłyby się w sejfie. Teczka drżała w jej niezgrabnych dłoniach.

– To wszystko jest częścią planu. Oni chcą nas pozbawić pewności siebie, zbić z tropu, traumatyzować.

Marc przyglądał się jej uważnie, aby się upewnić, czy nie dostrzeże na jej twarzy oznak obłędu, który, jak przypuszczał, dotknął również jego. Ale nie dostrzegł na niej niczego poza znamionami dawno minionej urody. Marc pomyślał, że dawniej Emma była bardzo atrakcyjną kobietą, aż stało się coś, co wykoleiło najpierw jej duszę, a potem ciało. Symetryczne proporcje twarzy wciąż jeszcze przypominały o czasach sprzed lekarstw, które – jak przypuszczał Marc – pozostawiły po sobie tak widoczne ślady.

Może to kortyzon, po którym ma się czasem twarz jak księżyc w pełni, a może psychotropy albo coś jeszcze gorszego?

*Narkotyki?*

– No dobrze, spróbujmy inaczej. – Usiadł z powrotem na brzegu łóżka. – Dzisiaj w południe niski stary człowieczek w bardzo drogim samochodzie zaproponował mi, że mogę na zawsze pozbyć się złych wspomnień.

– MME. Eksperyment z amnezją.

– Pani też brała w nim udział?

– Aż do zeszłego tygodnia, kiedy zrezygnowałam.

– Ach tak? – Marc zmarszczył czoło. – Okay, niech i tak będzie. Mój problem polega wyłącznie na tym, jak by to powiedzieć...? W tej chwili doświadczam rzeczy, od których każdy ezoteryk wyskoczyłby z butów, ale które nie mogą mieć nic wspólnego z kliniką Bleibtreua.

– A to dlaczego?

– Ponieważ oni chcieli wymazać moje wspomnienia, tymczasem one wszystkie wciąż tam są. – Marc popukał się w głowę. – Niezmienione. Tylko nic się w nich już nie zgadza. A mówiąc całkiem serio, być może rzeczywiście jest tak, że profesor i jego ludzie to banda szaleńców, ale nie wyobrażam sobie, żeby w tak krótkim czasie mogli w sposób dla mnie niezauważalny zrobić mi całkowite pranie mózgu.

– W krótkim czasie? – Emma rzuciła mu zmieszane spojrzenie.

– Spędziłem dzisiaj w klinice trzy godziny. Nie brałem żadnych pigułek, nie dostałem żadnych zastrzyków, wypilem jedynie dwa łyki wody.

– Myli się pan.

– Czyżby teraz z kolei pani zaczynała podawać w wątpliwość moje wspomnienia?

– Nie. Mówię tylko o tym, że nie jest pan częścią eksperymentu dopiero od dzisiaj.

– Słucham?

– Dlatego namawiałam pana, żeby pan tu przyszedł. Chciałam panu coś pokazać.

Otworzyła teczkę z dokumentami i wyjęła zapisany z dwóch stron arkusz, który Marc już widział. Kilka godzin temu. W klinice.

– Niech pan spojrzy.

Podawała mu formularz. Stuknęła palcem wskazującym w wypełnione ręcznym pismem pole w prawym górnym rogu.

– To jest...

*...niemożliwe.*

Marc wziął papier do ręki.

*To niemożliwe.*

– Teraz pan rozumie, dlaczego to takie ważne, żebyśmy porozmawiali.

Marc przytaknął, nie odwracając wzroku od formularza zgłoszeniowego, który był całkowicie wypełniony i wystawiony na jego nazwisko. Najbardziej zszokowała go data pierwszego zgłoszenia.

Pierwszy października. Dzień, w którym wydarzył się wypadek.

Cztery tygodnie, zanim Marc przekroczył próg kliniki Bleibtreua.

# Rozdział 24

Dokument wyglądał na oryginał. Zanim jeszcze Marc zdążył się upewnić, że nie trzyma w rękach fałszywki, rozległo się pukanie do drzwi. Trzy krótkie, dwa długie. Wyglądało to na uzgodniony sygnał, ale Emma nikogo chyba nie oczekiwała. Nerwowo spojrzała najpierw na drzwi, następnie na Marca. Pośpiesznie odebrała od niego formularz.

– Kto to może być? – zapytała bezgłośnie. Prawy kącik jej ust drżał.

Marc wzruszył ramionami w geście bezradności. Jeszcze kwadrans temu nie słyszał o hotelu Tegel Inn. A więc skąd miał wiedzieć, kto stoi za drzwiami, w których niestety nie było wizjera? Musieli otworzyć, jeśli chcieli się dowiedzieć, kto o tak późnej porze jeszcze czegoś od nich chce. Raczej niemożliwe, żeby to był ktoś z personelu; w tym wątpliwym przybytku nie było room service’u ani minibarów, które trzeba uzupełniać.

– Sprawdź – powiedział szeptem, kiedy znów rozległo się pukanie. Ten sam rytm tych samych spiczastych kostek palców na laminowanym drewnie.

– Nie! – Emma gwałtownie potrząsnęła głową i powstrzymała go. Na dodatek przyciągnęła go tak blisko do siebie, że końcem nosa dotykała jego lewego ucha.

– Nie widzi pan, co tu się dzieje?

– Nie. – Próbował się od niej uwolnić.

– Szukają nas.

– Kto? Bleibtreu?

Włosy kobiety połaskotały go w policzek, kiedy znów pokręciła głową.

– On nie brudzi sobie rąk. Ma do tego swoich ludzi.

Jej powieki zaczęły mocno drżeć, a wydatne piersi falowały gwałtownie przy każdym oddechu.

– I właśnie dlatego potrzebuję pana – wyszeptała łamiącym się głosem. – Potrzebuję świadka, który potwierdzi, co oni nam zrobili...

Położyła mu palec na ustach, a Marc nieopatrznie dotknął go językiem. Ale wyglądało na to, że Emma nie zauważyła tej niezamierzonej intymności.

– To wszystko robi się bez sensu... – wymamrotał.

– ...świadka, który udokumentuje skutki eksperymentu. Mnie samej nikt nie uwierzy.

Marc energicznie pokręcił głową i uwolnił się z jej uścisku. Zanim zdążyła zaprotestować, podszedł szybkim krokiem do drzwi, zdjął z nich łańcuch i otworzył.

Za późno.

# Rozdział 25

Na zaskakująco jasno oświetlonym piętrze nie było żywej duszy. Nie zobaczył niczego poza przeładowanym wózkiem z brudami do prania i automatem z napojami na końcu wąskiego korytarza.

Przez chwilę obawiał się, że Emmy też nie będzie, kiedy wróci do pokoju. Ale usłyszał jej głos.

– Musimy się stąd wynosić.

Wyciągnęła spod łóżka walizkę, która wydawała się o wiele za mała, żeby mogła pomieścić porozrzucaną po całym pokoju dokumentację.

– Niech się pani najpierw uspokoi.

– Nie, nie ma mowy. – Prawie krzyknęła. – Pan nie rozumie, w co się wpakowaliśmy.

– Ma pani rację, nic nie rozumiem. A pani jak na razie nie robi nic, żeby mi cokolwiek wyjaśnić.

Emma rzuciła walizkę na kółkach na wolną połowę łóżka i ramieniem otarła z czoła cienką warstwę potu. Potem spojrzała na zegarek.

– Okay, oto skrócona wersja: uczestniczy pan w programie badań nad amnezją, ponieważ musi pan o czymś zapomnieć.

– Tak, to wiem.

Marc chciał opowiedzieć jej o wypadku, w którym stracił nie tylko żonę, lecz również nienarodzone dziecko, ale Emma przerwała mu już po kilku zdaniach.

– Nie, to na pewno nie o to chodzi.

– Dlaczego nie.

– Nie robiliby tyle zachodu, gdyby chodziło tylko o kłopoty sercowe.

*Kłopoty sercowe?*

– Zaraz, zaraz, tu nie chodzi o nieudaną randkę. Moja żona i nienarodzone dziecko nie żyją, i to ja jestem temu winny.

– Przykro mi. Nie chciałam zranić pana uczuć. Ale w żadnym wypadku nie chodzi tu o osobistą tragedię.

– Dlaczego nie?

Próbowała rozpiąć zacinający się suwak. Marc podszedł, żeby jej pomóc.

– Czy ma pan pojęcie, ile kosztuje taka seria doświadczeń? Wykonanie, nadzór, przetwarzanie końcowych wyników? Razem z nową tożsamością w grę wchodzi miliony. Nie, to całkowicie wykluczone.

– Ale w takim razie po co oficjalnie szukają w gazetach osób do doświadczeń, jeśli jest to tak cholernie drogie?

– Wcale tego nie robią.

Emma podeszła do biurka i otworzyła szufladę wypełnioną po brzegi starymi magazynami ilustrowanymi.

– Kiedy napisał pan maila?

– Dwa tygodnie temu.

Wyjmowała pisma jedno po drugim i rzucała je niedbale na podłogę, aż znalazła to, czego szukała.

– Proszę bardzo.

Podowała mu magazyn. Dokładnie to wydanie, w którym na stronie 211 natrafił na reklamę kliniki Bleibtrea. Numer strony wrył mu się tak dobrze w pamięć, ponieważ paragraf 211 kodeksu karnego dotyczy morderstwa. Przyzwyczajenie, żeby kojarzyć numery telefonów i pokoi na podstawie aktów normatywnych, było chorobą prawników, której najwidoczniej człowiek nie potrafi się potem pozbyć, nawet jeśli nie pracuje jako adwokat lub sędzieja.

– Niech pan spokojnie to przejrzy – zachęciła go Emma. – Proszę wszystko przekartkować. Nie znajdzie pan tam ogłoszenia.

Rzeczywiście, na stronie 211 Marc przeczytał ogłoszenie banku internetowego, a nie reklamy prywatnej kliniki psychiatrycznej.

*Uczenie się zapominania.*

Artykuł na górze strony, relacja o niewyobrażalnych męczarniach zwierząt podczas transportu, pozostał na swoim miejscu.

*Albo były dwie wersje do druku, albo egzemplarz w poczekalni Constantina...*

Marc opuścił pismo i spojrzał przed siebie pustym wzrokiem.

*...egzemplarz w poczekalni Constantina został przerobiony? Ale to by znaczyło, że...*

Oparł się o ścianę, ponieważ miał uczucie, że podłoga w pokoju ucieka mu spod nóg.

– A jak to jest z panią? – zapytał z zamkniętymi oczami. – Co było powodem, że wzięła pani udział w eksperymencie?

Usłyszał, jak odchrząknęła.

– Było to mniej więcej rok temu. Otrzymałam podejrzaną propozycję, która nie przeszła przez moją agencję tłumaczy. Ale chodziło o bardzo dużą sumę pieniędzy. Gotówki, której teraz potrzebuję, aby stąd uciec.

– Co miała pani zrobić? – Marc otworzył oczy.

– W zasadzie rutyna. Tłumaczenie symultaniczne podczas prywatnego lotu menedżerów farmaceutycznych.

– I podczas tego lotu omawiano sprawy, których lepiej, żeby pani nie słyszała?

– Zgadza się.

– O co chodziło?

– Nie mam pojęcia. Właśnie to jest mój problem. Za późno wyłamalam się z eksperymentu. Nic z tego nie pamiętam. – Nerwowo przejechała ręką po włosach. – Tylko fragmentarycznie przypominam sobie moją tożsamość, życie przed eksperymentem. Wszystkiego, co wiem, dowiedziałam się z dokumentów, które przed ucieczką ukradłam z archiwum.

*A więc dlatego ma życiorys. Z kliniki.*

– Dlaczego pani uciekła? – zapytał.

– Z pańskiego powodu.

– Przeze mnie?

– Z pewnością wyjaśniono panu kolejne fazy doświadczenia. W fazie pierwszej zostaną panu wymazane wspomnienia. W fazie drugiej nakarmią pana przeżyciami, które są przyjemne i których nigdy



nie chciałby pan zapomnieć. I na samym końcu otrzymuje pan nową tożsamość.

– Tak, ja to pamiętam. – Uśmiechnął się sarkastycznie. – Ale dlaczego pani to jeszcze pamięta, skoro ma pani takie duże luki w pamięci?

Emma przyłożyła dłoń do gardła i ponownie odchrząknęła.

– Po ucieczce trochę szperałam w Internecie, znalazłam liczne wpisy na blogach, które przedstawiają tego rodzaju eksperymenty z amnezją.

Marc uniósł z niedowierzaniem brwi, ale Emma nieugięcie kontynuowała.

– Byłam na początku drugiej fazy, kiedy podsłuchałam rozmowę profesora Bleibtreu z jakimś mężczyzną.

– O czym rozmawiali?

– O panu.

Marc w pytającym geście wskazał dwoma kciukami na siebie, a Emma przytaknęła.

– Bleibtreu głośno dyskutował ze swoim rozmówcą. Chodziło o Marca Lucasa, który miał przejść terapię w jego klinice, ale profesor stanowczo nie chciał się zgodzić.

*Bleibtreu nie chciał mnie poddać terapii? W takim razie dlaczego zwabił mnie do swojej limuzyny?*

– Kim był ten drugi? – zapytał Marc.

– Nie mam pojęcia. Stali za szklanymi mlecznymi drzwiami, które oddzielały ambulatorium od gabinetu lekarskiego, w którym właśnie byłam. Pielęgniarz przyprowadził mnie za wcześnie i nie wiedzieli, że czekam obok.

– O czym jeszcze mówili?

– Rozmawiali o sfałszowanym ogłoszeniu, którym skusili pana, żeby jeszcze raz poddał się pan terapii.

– Jeszcze raz?

– Tak, ale tym razem wszystko miało pójść, jak trzeba.

*Co? Co miało pójść? I dlaczego?*

Emma nie dała mu okazji do zastanowienia się nad tą myślą, tylko mówiła dalej.

– Kiedy Bleibtreu mnie zobaczył, był śmiertelnie wystraszony. Jednocześnie błyskawicznie zasłonił sobą tego mężczyznę, tak że nie miałam szansy zobaczyć jego twarzy. I wtedy zorientowałam się, że coś tu nie gra.

– I uciekła pani?

– Sposobność nadarzyła się już następnego dnia. Buchnęłam fartuch kogoś z ekipy sprzątającej. – Emma spojrzała z niechęcią na swoje ciało. – I tak wyglądam bardziej jak sprzątaczką niż tłumaczką. To było dziecinnie proste.

– Ale jeszcze przedtem zabrała pani swoje akta?

Emma przytaknęła.

– Tak, z archiwum. Szczęśliwym trafem nasze nazwiska są blisko siebie. Ludwig – Lucas. W moim przypadku włożono do segregatora jeszcze bilet parkingowy i kluczyki do samochodu. Ale w pana teczce nie było nic poza formularzem zgłoszeniowym.

Wskazała na arkusz, który dopiero co wyjęła mu z ręki i który teraz leżał w nogach łóżka obok podręcznika neuropsychologii.

Marc znowu dotknął karku.

– Ale dlaczego? W dalszym ciągu nic nie rozumiem. Kto czyhał na moje wspomnienia? Dlaczego chcą wpędzić mnie w obłąd?

Oczy Emmy rozszerzyły się i patrzyła na niego pełna nadziei, jak egzaminator, który wreszcie spodziewa się otrzymać od swojego ucznia prawidłową odpowiedź.

– Właśnie o to pana pytam. Jaką śmiertelną wiedzę nosi pan w sobie, której nie może pan sobie przypomnieć?

– Śmiertelną?

Emma odetchnęła głęboko.

– Tak, a jak pan sądzi, dlaczego uciekłam? Jesteśmy w ogromnym niebezpieczeństwie. Znaleźliśmy się w posiadaniu tajemnicy, o której powinniśmy zapomnieć. Z pewnością nasi prześladowcy są bardziej potężni niż my. Ale, być może, razem sobie poradzimy.

– Poradzimy z czym?

– Dowiemy się, co z nami robią albo co zrobili. Wtedy to udokumentujemy i umieścimy dowody w Internecie. Upublicznimy straszną prawdę.

Marc spojrział na zegarek i nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, kiedy w końcu zadzwoni jakiś budzik i wyzwoli go z tego koszmaru.

– Czy pani zdaje sobie sprawę, jak zwariowane rzeczy pani opowiada?

– Gwarantuję, że nie tak zwariowane jak mężczyzna, z którym rozmawiał Bleibtreu.

– Dlaczego? – Jego żołądek wypełnił się kwasem. – Co on jeszcze powiedział?

Ręce Emmy zaczęły drżeć, kiedy zasłoniła nimi usta, jakby w ten sposób mogła złagodzić siłę swoich słów.

– Powiedział: Marc Lucas nie może sobie przypomnieć, bo inaczej będzie jeszcze więcej trupów.

# Rozdział 26

Kran z gorącą wodą nie działał. Z drugiego wystrzelił strumień jak z dystrybutora ropy dla ciężarówek, a woda była tak zimna, że nie chciała się w niej rozpuścić tabletki aspiryny, którą Marc wrzucił do kubka do mycia zębów. W hotelowej łazience nie było okna, od reszty pokoju oddzielały ją cienkie płyty gipsowe, które od biedy zapewniały optyczną, ale już nie akustyczną sferę prywatności.

Będąc w środku, Marc słyszał nawet, jak Emma wrzuca do walizki kolejne dokumenty.

„Jaką śmiertelną wiedzę nosi pan w sobie?”

Zastanawiał się, czy powinien opowiedzieć jej o ostatnich minutach przed wypadkiem. O chwili, kiedy Sandra odpięła pasy, żeby wziąć coś z tylnej kanapy.

*Rozmyte zdjęcie z grubym ziarnem, na którym nie dało się nic rozpoznać.*

Ale co ta sekwencja, która jawiła mu się raczej jako sen niż realne wspomnienie, miała wspólnego z kolejnymi falami szoku, których właśnie doznawał? Komu zależało, żeby zrobić mu pranie mózgu? I bez tego niewiele pamiętał z ostatnich minut przed uderzeniem. Nie trzeba było wymazywać mu wspomnień; same ulotniły się pod wpływem działania środków przeciwbólowych, które podano mu jeszcze na miejscu wypadku.

Marc otworzył szafkę z lustrem, aby poszukać pilniczka do paznokci albo innego podłużnego przedmiotu, którym mógłby lepiej rozdrobnić aspirynę. Ale dbałość hotelu o gości ograniczała się do dwupaku przeterminowanych prezerwatyw.

Zamknął szafkę i przestraszył się swojego widoku w lustrze. Twarz sprawiała wrażenie, jakby nawiedził ją wstrząs sejsmiczny, przez który jej poszczególne partie po prostu się obsunęły. Oczy zapadły się w głąb oczodołów, worki pod oczami wyglądały na jeszcze większe, wydawało się, że siła ciężenia ciągnie w dół nawet kąćki ust. Już dawno nie udało mu się zmusić ich do uśmiechu.

Światło rzucane przez brudną lampę sufitową potęgowało ogólne niezdrowe wrażenie. Kolor oczu i skóry wyglądał zupełnie jak u osoby chorej na żółtaczkę.

Trzymał nadgarstki pod strumieniem lodowatej wody. Zimno pomagało mu uporządkować myśli. Jeśli klinika Bleibtreua i eksperyment z amnezją naprawdę istniały, wcale nie oszalał, lecz stał się ofiarą spisku.

To była dobra wiadomość. Natomiast zła była taka, że jego żona, jeśli nie była martwa, musiała w tym spisku czynnie uczestniczyć.

*Ale dlaczego? W jakim celu?*

Dlaczego Sandra miałaby go tak koszmarnie dręczyć? Dlaczego najpierw upozorowała swoją śmierć, żeby wkrótce po niej zmartwychwstać? Czy tylko po to, żeby wywołać u niego dodatkową traumę przez danie mu do zrozumienia, że go nie zna? Czy w ogóle była zdolna do takiego okrucieństwa?

Niewątpliwie tak. Była aktorką. Z łatwością przychodziło jej mydlenie oczu innym. Marc aż nazbyt dobrze pamiętał ich pierwsze publiczne spotkanie przy okazji spektaklu teatralnego w szkole aktorskiej, do której chodziła. Sandra przedstawiła go swoim kolegom i koleżankom ze szkoły jako brata, żeby niedługo potem wywołać ogólne zaskoczenie, kiedy obdarowała go iście filmowym pocałunkiem,

bezwstydnie wpychając mu język w usta. Od tamtej pory uczynili sobie sport z publicznego stawiania partnera w kłopotliwych sytuacjach. Jego zemsta za braterski pocałunek polegała na tym, że przy jej następnym występie wstał i tak długo entuzjastycznie klaskał, aż ze śmiechu zapomniała tekstu. Oboje byli wprawieni w zamianach ról, ale nigdy nie robili nic, żeby nawzajem się zranić. Kunszt aktorski Sandry i poczucie humoru łączyły ich, a nie dzieliły. Poza tym nie było powodu, żeby chciała zniszczyć wszystko to, na czym oparli swój związek.

*Chyba że...*

Marc zamieszał tabletkę palcem wskazującym. Rozpuściła się w jednej trzeciej.

*Chyba że rzeczywiście chodzi tu o sprawę życia lub śmierci.*

Wypił łyk, chociaż tabletkę nawet nie zapieniła powierzchnią wody. Na skali kolorów od bieli do rozżarzonej czerwieni jego ból głowy wszedł właśnie na fosforyzujące pole.

*A może...*

Zmiażdżył w dłoni cienki plastikowy kubek, kiedy przyszło mu do głowy możliwe wyjaśnienie.

*A może to nie ja uczestniczę w programie Bleibtrea, lecz Sandra, i dlatego nie może mnie sobie przypomnieć.*

Rzucił połamany kubek na podłogę, odsunął drzwi i wyszedł do ciasnego przejścia pomiędzy łazienką a szafą na ubrania, które prowadziło do części sypialnej. Koniecznie musi zapytać Emmę, czy coś wie o jego żonie. Być może obięło jej się o uszy, czy zwerbowali Sandrę do eksperymentu. Wprawdzie zrodziłoby to milion nowych pytań, ale przynajmniej wyjaśniłoby się miejsce jej pobytu w ostatnich tygodniach i jej zachowanie.

Pokój był tak mały, że otwarte drzwi szafy przeszkadzały w wyjściu z łazienki do przedpokoju. Marc właśnie chciał je zamknąć, kiedy usłyszał swoje nazwisko i w jednej chwili strach sparaliżował jego ruchy.

– Marc Lucas. Znalazłam go – mówiła szeptem Emma. – Jestem teraz w Tegel Inn przy Bernauer StraÙe.

Wstrzymał oddech i wyjrzał przez wąską szparę pomiędzy drzwiami szafy a zewnętrzną ścianą łazienki.

*Do jasnej cholery, co tu się dzieje?*

Nie było wątpliwości. Emma rozmawiała przez telefon.

– Teraz jest 23.39, nie wiem, czy zdołam go namówić, żeby poszedł ze mną.

Cofnął się o krok. Jej szept jeszcze przycichł, kiedy powiedziała:

– Będzie trudno zdobyć jego zaufanie. Jest bardzo podejrzliwy.

Ostatnie słowa podziały na niego jak strzał startera. Nie zastanawiając się, co mógł zostawić w pokoju, po cichu otworzył drzwi wejściowe i wyslizgnął się na korytarz. Rażące oświetlenie sufitowe było wyłączone. Korytarz był pogrążony w ciemności i Marc musiał orientować się po cienkich smużkach światła, które wydobywały się spod kilkorga drzwi do pokoi.

*Z kim rozmawia Emma? Jaką rolę odgrywa w tym wariactwie?*

Dopiero kiedy doszedł do klatki schodowej, odważył się biec. Biorąc po dwa schodki na raz, pędził na dół i o mało się nie poślizgnął, kiedy na parterze chciał skręcić obok recepcji.

– Aaa, tu pan jest! – krzyknął za nim nocny portier.

Marc odwrócił się w jego stronę, ciągle idąc tyłem w kierunku wyjścia.

– Czy to pan pukał przed chwilą?

– Tak, mamy problem z gorącą wodą i chciałem...

Nie usłyszał już ostatnich słów. Zostały za obrotowymi drzwiami, które wypchnęły go z hotelu na ulicę.

*A teraz? Dokąd teraz?*

W międzyczasie ruch na ulicy znacznie zmalał i oprócz mężczyzny, który prowadził na smyczy swojego cocker-spaniela, nie było widać nikogo.

*Dokąd mam iść? Nie mając pieniędzy, samochodu, mieszkania... nie mając wspomnień?*

Stanął na krawędzi chodnika i jak uczeń popatrzył najpierw w lewo, a potem w prawo na prowizoryczne oświetlenie placu budowy. Za jego plecami migał neon hotelu, wprowadzając w błąd potencjalnych gości trzema przyklejonymi gwiazdkami.

Zegarek na jego rękę zabrzęczał, aby przypomnieć mu o kolejnej ważnej dla jego życia konieczności, której teraz mu zabrakło, o tabletkach na odprysk tkwiący w karku.

Człowiek z cocker-spanielem doszłusował do niego. Był za bardzo pochłonięty rozmową przez komórkę, żeby zauważyć, że jego pies już od dłuższego czasu chce się załatwić.

Marc spojrzął do góry, na trzecie piętro, na cienkie pasmo światła, wydobywając się spod opuszczonej żaluzji, za którą powinna być Emma, i zastanawiał, czy nie zostawił tam swojego telefonu. Ale znalazł go w kieszeni kurtki.

Otworzył klapkę i zdecydował się pójść w prawo, ponieważ przypuszczał, że będzie tam bardziej ruchliwe skrzyżowanie i być może stacja metra. Najwidoczniej niechcący wyłączył komórkę po ostatniej rozmowie w taksówce, ponieważ wyświetlacz był martwy. Nie mogła to być bateria, po ponownym włączeniu telefonu został poproszony o wprowadzeniu numeru PIN. Przy pierwszym dźwięku ostrzegawczym pomyślał, że się pomylił. Przy drugim ostrzeżeniu przypomniał sobie o obcym mężczyźnie, który zgłosił się pod jego numerem. Nazwiskiem Marc Lucas! Po trzeciej próbie wiedział już, że nie zna kodu do wymienionej karty SIM. Przystanął, aby się upewnić, czy nikt go nie śledzi, i wytarł kroplę deszczu z wyświetlacza.

„Wprowadzono błędny kod. Telefon został zablokowany”.

Ledwie żywy przeczytał drugą linijkę automatycznej informacji o wprowadzeniu złego kodu.

I nagle już wiedział, co ma zrobić.

# Rozdział 27

Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby nie był myśliwym, lecz zaszczutą zwierzyną. Kiedy mówił, jego oczy co dwie sekundy patrzyły w inną stronę, niezdolne do skupienia się na określonym punkcie. No, ale w tym biurze nie było chyba niczego, na czym warto byłoby skupić wzrok. Na pewno nie były tego warte ściany obwieszane zdjęciami osób poszukiwanych i mapami ani zunifikowane obdrapane szafy i poźółkła umywalka obok drzwi, ani anonimowe utensylia na jednym z trzech małych biur, przy którym siedzieli naprzeciwko siebie. Marc już wcześniej często zadawał sobie pytanie, czy daltonizm był kryterium doboru pracowników urzędu miasta, a przynajmniej tych, którzy zajmowali się wyposażeniem wnętrz podległych im instytucji. Wszystkie bez wyjątku w komendzie w Wedding były utrzymane w brązowej i beżowej tonacji, której daremnie szukać w przyrodzie. Wyglądały tak samo niezdrowo jak policjanci, którzy tu pracowali i których blada cera zmieniała się przez ostatnie lata równie mało jak wystrój komendy.

Marc znał tę komendę. Jako nastolatkiem obaj z Bennym zawsze starali się omijać jej okolice. Jednak często im się to nie udawało. Dzisiaj Marc przekonał się, że jednak jest znaczna różnica, czy czeka się w tych dusznych pomieszczeniach na złożenie zeznań jako sprawca, czy jako ofiara. Dawniej, kiedy na przykład musieli odpowiadać za bójkę po koncercie, nie czuł się tak źle jak dzisiaj. Na szczęście zawsze kończyło się na ustnym upomnieniu, ponieważ inaczej wpisy do federalnego rejestru wykroczeń zamknęłyby mu drogę do studiów prawniczych.

– Na początek uprzedzam... – powiedział policjant, który właśnie wszedł do biura otoczony chmurą papierosowego dymu i przedstawił się jako Philipp Stoya. – Dzisiaj mieliśmy tu już dość popaprańców, a czas ucieka. Tak więc proszę krótko i do rzeczy. Co pan wie o uprowadzeniu?

Marc przypatrywał się ze zdziwieniem, jak policjant wyciska z dozownika kilka pastylek słodziku do napełnionego do połowy kubka z kawą.

– Uprowadzeniu? – zapytał i osiągnął tyle, że Stoya po raz pierwszy spojrzął mu prosto w twarz. Przez krótką chwilę sądził, że patrzy w lustro, w którym odbijają się wyłącznie negatywne cechy. Zmęczone oczy, zapadnięte policzki, worki pod oczami, które wyglądały na tak ciężkie, jakby miały zaraz pociągnąć do dołu całą głowę. Marc wiedział, że gdyby położył rękę na karku policjanta, poczułby zeszywniałe mięśnie. Jego własne sprawiały ból przy każdym ruchu.

Stoya wyciągnął gazetę spod kubka i pokazał tytuł na pierwszej stronie: „Kolekcjoner Oczu znów uderza!”, krzyczał nagłówek wydania z poprzedniego dnia, bezpośrednio nad zdjęciami dwojga dzieci. Marc przypomniał sobie, że słyszał w radiu coś o serii porwań. Jakiś chory psychicznie uprowadzał dzieci w wieku od siedmiu do dwunastu lat i dawał rodzicom siedemdziesiąt dwie godziny na znalezienie miejsca ich ukrycia, a po upływie tego terminu zabijał je i wycinał im lewą gałkę oczną. Do tej pory nie udało się jeszcze uwolnić żywego dziecka z rąk Kolekcjonera Oczu, a termin najnowszego ultimatum upływał za kilka godzin.

– Nie, nie przyszedłem tu z tego powodu – powiedział Marc. Wreszcie zrozumiał, dlaczego na trzydziestym piątym komisariacie policji nawet o tej porze panował taki ruch. Na korytarzach uwijali się

funkcjonariusze w mundurach i po cywilnemu, jednocześnie dzwoniło wiele telefonów, a poczekalnia była tak przepełniona, że trudno było znaleźć w niej miejsce stojące.

Tylko ten pokój z trzema biurkami był osierocony, prawdopodobnie dlatego, że wszyscy śledczy wyszli na akcję.

Stoya westchnął i spojrzął na dworcowy zegar nad drzwiami.

– Przepraszam, najwidoczniej zostałem źle poinformowany. Słucham, w jakiej sprawie pan przyszedł?

*Chcę zgłosić przestępstwo. A mówiąc dokładnie spisek.*

Długi czas oczekiwania Marc spożytkował na zastanowienie się nad właściwym wstępem, ale niczego nie wymyślił. Dlatego w końcu zdecydował się odpowiadać spontanicznie na wszystkie pytania, co teraz okazało się błędem, ponieważ to, co miał do powiedzenia, brzmiało śmiesznie nawet w jego własnych uszach. Dialog, który prawdopodobnie zaraz się wywiąże, mógłby równie dobrze prowadzić sam ze sobą.

*Nie mógł pan wejść do swojego mieszkania?*

*Tak.*

*W takim razie dlaczego nie wezwał pan ślusarza zamiast iść na policję?*

*Ponieważ ktoś zamknął drzwi od wewnątrz.*

*Kto?*

*Moja zmarła żona...*

Stoya spoglądał niecierpliwie na zegar i sprawiał wrażenie, jakby za chwilę chciał zerwać się z krzesła, więc Marc przerwał milczenie.

– Chciałbym zgłosić przestępstwo.

Przedstawił następnie skróconą wersję niewytłumaczalnych zdarzeń, które go spotkały, przy czym mówił coraz szybciej, w miarę jak zmieniał się wyraz twarzy funkcjonariusza, sięgający od niecierpliwego znużenia przez pełne zdziwienia niedowierzanie po nieskrywany sceptycyzm. W końcu Marc nie był już nawet pewny, czy Stoya w ogóle go słucha, ponieważ policjant nagle pochylił się nad klawiaturą komputera i przez ostatnie minuty z ręką na myszce wgapiał się w stary monitor kineskopowy.

– Okay... – zaczął, przeciągając słowa, kiedy Marc skończył. – Mam jeszcze tylko jedno pytanie.

– Jakie?

– Czy jeszcze coś panu z tego zostało?

– Z czego?

– No, z tych leków, które pan dzisiaj brał.

Stoya wstał i dał znak młodemu policjantowi w mundurze, który właśnie pojawił się w drzwiach.

– Niech pan posłucha, zdaję sobie sprawę, że to brzmi absurdalnie... – zaczął Marc, ale Stoya, łagodnie się uśmiechając, podniósł rękę.

– Nie, nie. Wszystko w porządku, codziennie słyszę takie historie.

Marc również wstał z miejsca.

– Proszę, czy mógłby pan posłać funkcjonariusza do mojego domu, żeby sprawdził mieszkanie?

Młody policjant stał teraz tuż obok Marca i czekał na instrukcje przełożonego. Pachniał mieszanką ciepłego snu i taniej wody po goleniu. Prawdopodobnie zdrzemnął się kwadrans w jakimś kącie i wklepał w twarz płyn po goleniu, żeby się orzeźwić.

– Nie mam czasu na takie idiotyzmy. Zwłaszcza dzisiaj.

– Okay, w takim razie niech pan przynajmniej sprawdzi moją tożsamość. Żebym wiedział, czy rzeczywiście jestem chory psychicznie, czy stałem się ofiarą przestępstwa.

Stoya wziął kubek i podszedł do drzwi.

– Już to zrobiłem.

– Co?

Marc poczuł na karku ciepły oddech młodego policjanta, który nadgorliwie chciał popchnąć go do wyjścia.

– Sprawdziłem pana dane i dlatego wezwałem tu mojego kolegę, żeby się panem zajął.

Stoya otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Biuro wypełnił gwar głosów.

– Muszę ratować dwoje małych dzieci. Dlatego niestety nie mam czasu na kradzieże sklepowe.

– Kradzież sklepowa? – powtórzył zdumiony Marc, strząsając z ramienia rękę młodego policjanta.

– Czasem aptekarze skarżą się, kiedy ktoś nie chce zapłacić im za lekarstwa.

– Nie, to nieporozumienie. To było w Hasenheide, prawda? Specjalnie zostawiłem mu moją kartę kredytową.

– Która nie działa.

– Do diabła, przecież nie dlatego tu przyszedłem.

– A więc dobrze. Nie będę owijał w bawełnę: wiem, jakie lekarstwa pan bierze. Z zawiadomienia wynika, że zażądał pan najsilniejszego leku psychotropowego.

– Co proszę? – Marc złapał się za kark. – Nie, nie, nie. Potrzebuję specjalnego leku ze względu na odprysk, który utkwiał mi w karku. Nie jestem świrem.

– Odprysk, który utkwiał w pana ciele w wyniku wypadku samochodowego?

– Tak.

– W którym zginęła pana żona?

Marc aż sapnął.

– Która teraz nie chce wpuścić pana do mieszkania?

Marc nie odpowiedział. Dotarli do tego miejsca rozmowy, którą dopiero co prowadził sam ze sobą.

– I pan mi mówi, że nie jest świrem? – Stoya kiwnął głową do swojego kolegi i nie patrząc za siebie, oddalił się szybkim krokiem.

– No to idziemy.

Tym razem Marcowi zabrakło siły, żeby odepchnąć rękę młodego policjanta, który chciał go poprowadzić korytarzem z biur wyższych rangą funkcjonariuszy na drugim piętrze do pomieszczeń, które jako nastolatek wiele razy oglądał od wewnątrz.

Marc spuścił głowę i zastanawiał się, gdzie jeszcze fala obłędu rzuci go tej nocy, ponieważ jej siła wessała już jego samochód, jego lekarstwa, listę kontaktów w komórce, wszystkie pieniądze i nawet zaufanie policji. Zapragnął, żeby była tu zapadnia, przez którą spadłby w dół – z nierealnej rzeczywistości w czarną dziurę zapomnienia. Ale coś takiego zdarza się tylko w snach. W okrutnej rzeczywistości nie ma ukrytych tajemnych przejść do lepszego świata, ratujących życie sznurowych drabinek, które sięgają do domku na drzewie, gdzie można ukryć się przed złem i uspokoić. Tu, w jaskrawo oświetlonej rzeczywistości komisariatu w Weddinger, cuda się nie zdarzały.



*A może jednak?*

Jak jeszcze niedawno, kiedy patrzył w krater wykopany pod budowę wieżowca, Marc znów nie wierzył własnym oczom, kiedy wkroczył do pomieszczenia, w którym odbywała się rejestracja.

*Jak to możliwe?*

Nikommu nie mówił, dokąd się wybiera. A mimo to nagle na jego drodze pojawił się jedyny człowiek, którego tu i teraz, będąc w beznadziejnym położeniu, pragnął mieć u boku.

# Rozdział 28

**P**przed ich pierwszym spotkaniem w rodzinnej posiadłości Sennerów Sandra ostrzegła go przed odruchem salutowania, który jej ojciec wyzwał u większości ludzi.

– Kiedy wchodzi do jakiejś sali, połowa z obecnych przerywa rozmowy, a pozostali walczą z potrzebą poderwania się z krzeseł i zgotowania mu spontanicznej owacji.

Te kilka słów, które tak trafnie charakteryzowały Constantina, musiała głośno wykrzyknąć, aby zagłuszyć rockową muzykę dobiegającą z samochodowego radia. Miała osiemnaście lat i była starsza od Marca dokładnie o siedem miesięcy, ale już miała prawo jazdy.

Wspomnienia z tego nieznośnie gorącego letniego dnia były jakby przysłonięte bladoniebieskim woalem, ale mimo to tak precyzyjne, jakby wszystkich szczegółów musiał nauczył się na pamięć do egzaminu. Był to dzień, kiedy pierwszy raz chciała przedstawić go swoim rodzicom. Jego! Nicponia, którego poznała na koncercie New Romantics. Normalnie Marc nigdy nie zapuszczał się do tej snobistycznej okolicy w Zehlendorf, ale szkolny senat zaproponował przeprowadzenie konkursu zespołów muzycznych i jedną ze scen była aula w szkole, do której uczęszczała Sandra. Najpierw wszyscy w zespole myśleli, że blond laleczka z końskim ogonem i w tenisówkach chce z niego zadrwić, ale potem dziewczuszka tańcząca w pierwszym rzędzie przysłała po koncercie za scenę i fachowo rozmawiała z nimi o muzyce. Nie tylko znała wszystkie zespoły, których covery grali, zbierała ich plakaty, a nawet chodziła na ich koncerty i słuchała jeszcze bardziej ostrej muzyki niż Marc, ale miała też niezwykle intrygującą cechę, polegającą na tym, że zachowywała się jak chłopak. Piła z butelki, bekała po większym łyku i bez oporów używała jego szminki nawilżającej, chociaż nie widział spierzchniętych miejsc na jej wargach.

Na koniec umówili się na następny weekend w Komie, dyskotecę z muzyką heavymetalową w Reinickendorf. Marc nie wierzył, że rzeczywiście spotka się tam z cizią z Westendu. Jednak na wszelki wypadek kupił pięćdziesiąt pomadek we wszystkich smakach, po to tylko, żeby zobaczyć jej minę, kiedy zaoferuje jej wszystkie naraz, gdyby znów poprosiła go o balsam do ust. Ale nie doszło do tego, ponieważ nie przewidział, że bramkarze przy wejściu będą sprawdzać, czy ktoś nie ma przy sobie broni. Wytatuowany osiłek przed dyskoteką wyglądał tak, jakby miał zwymiotować, kiedy obmacując Marca, wyjmował jedna po drugiej szminki z kieszeni jego kurtki. W końcu z odrazą wpuścił „małą ciotę”, ale bez szminek.

Do pierwszego pocałunku jednak doszło, chociaż dużo później. Sandra długo trzymała go w niepewności. Obawiał się już, że ma innego wielbiciela, którego przed nim ukrywa. Ale po jakimś czasie, z dnia na dzień, przejęła inicjatywę i w jego urodziny „przeleciała go” w sypialni jego rodziców, jak to skomentowała z kpiącym uśmiechem na ustach.

– Twój ojciec mnie znienawidzi – prorokował Marc trzy miesiące później w drodze do rodzinnej willi Sandry w Sakrow. – Pozna po węźle, że jeszcze nigdy nie wiązałem krawata. Wystarczy, że zada jedno pytanie i zorientuje się, dlaczego nigdy nie spotkał mojego taty na balu prawników. Bo on nigdy nie reprezentował żadnego maklera giełdowego ani chirurga, tylko drobnych przestępców, meneli i...

– ...palnikiem Bunsena ogoli ci jaja, kiedy się dowie, że już od miesiąca bzykasz jedyną ukochaną córeczkę tatusia – dokończyła Sandra z zawadiackim uśmiechem, który odsłonił jej lśniące zęby. Potem zaciągnęła ręczny hamulec i wyskoczyła boso z samochodu. Dokładnie w tej sprzeczności się zakochał; w anielskiej buzi z najlepszego domu, w której ustach nawet najbardziej sprośne świństwa brzmiały nad wyraz uroczo.

– Myślę, że byłabyś zdolna do tego, żeby opowiedzieć mu o naszych gorących numerkach.

– Wcale nie muszę – zaśmiała się. – On jest tak samo wrażliwy jak ty. Sam wyczuje, co jeszcze pół godziny temu ćwiczyliśmy pod twoim prysznicem.

Kiedy trzymając się za ręce, szli pod górę wysypaną żwirem alejką, do głowy by mu nie przyszło, że ojciec Sandry stanie się kiedyś dla niego największym autorytetem. I przy tym pierwszym, bardzo oziębłym spotkaniu w ów letni wieczór nic na to nie wskazywało.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał Marc i po raz pierwszy rozejrzał się dookoła. Rzut poziomy komisariatu przypominał nowoczesny zespół szkół. Stali w niskim holu wejściowym, z którego po obu stronach ogromne schody prowadziły na wyższe piętra; na nich jednak nie mieściły się klasy, lecz kolejne biura, pokoje przesłuchań oraz liczne przestronne sale odpraw.

– Czy wszystko z tobą w porządku? – zapytał Constantin z miną człowieka, który nie spodziewa się pozytywnej odpowiedzi. Jak zawsze był ubrany w ciemny garnitur z białą chusteczką w kieszonce. I jak zawsze nic nie wskazywało na to, że ma za sobą dwunastogodzinny dzień pracy na bloku operacyjnym.

Marc poczuł, że ręka młodego policjanta, który jeszcze przed chwilą chciał odstawić go na następne przesłuchanie, puszcza jego ramię. Odruch salutowania zrobił swoje.

– Co tu się dzieje? Czego on od ciebie chce? – zapytał teść, zupełnie jakby nie było z nimi funkcjonariusza. Jednocześnie rozejrzał się, żeby poszukać kogoś wyższego rangą, kto byłby na tyle kompetentny, aby odpowiedzieć na jego pytania. I rzeczywiście właśnie z męskiej toalety wyszedł Stoya i ze zdziwieniem spojrział w ich stronę.

– Przepraszam, a pan kim jest? – próbował zapytać możliwie urzędowym głosem młody policjant, ale Constantin nie uważał za stosowne, żeby mu odpowiedzieć, nie mówiąc już o tym, żeby ustąpić na bok.

– Jak mnie tu znalazłeś? – Marc powtórzył swoje pytanie. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, jak teść go tu wytropił.

– Dlaczego pytasz? Przecież mam od ciebie wiadomość w poczcie głosowej.

*Co takiego?*

– To niemożliwe. – Marc trochę niezdarnie wyjął z kieszeni dzinsów bezużyteczną komórkę. – Nawet nie mam twojego numeru.

– Robisz sobie żarty? Nie dalej jak wczoraj rozmawialiśmy przez telefon.

– Tak, ale ktoś podwędził moją kartę SIM. Nie znam na pamięć twojego numeru, a pielęgniarka w szpitalu nie chciała mi go podać. – Marc pokazał mu ciemny wyświetlacz. – Poza tym, tak czy inaczej, aparat przestał działać.

– Twoja karta SIM? A więc zostałeś okradziony?

Constantin zbity z tropu wyjął mu telefon z ręki. W tej samej chwili podszedł do nich Stoya.

– Czy jest jakiś problem?

On też zignorował swojego kolegę i od razu skierował pytanie do najstarszej osoby w grupie.

Wydawało się, że tak jak w przyrodzie, również na policji samce alfa intuicyjnie rozpoznają się nawzajem.

– W istocie, mamy tu problem. Nazywam się profesor Constantin Senner i chciałbym natychmiast się dowiedzieć, jakim prawem przetrzymuje pan mojego zięcia w tym komisariacie.

– Po pierwsze, pan Lucas nie...

– Doktor Lucas – przerwał mu Senner.

– Dobrze, nie przetrzymujemy doktora Lucasa. Zgłosił się do nas dobrowolnie i...

– Czy to prawda? – Constantin znów przerwał komisarzowi i spojrzał na Marca badawczo.

– Tak.

– Ale po co?

*Ponieważ ktoś ukradł moją tożsamość. Ponieważ nędzna reszta mojego życia ostatecznie rozpadła się w drzazgi i potrzebuję kogoś, kto pozbiera wszystkie kawałki.*

– Potrzebuję pomocy jakiejś neutralnej instancji – powiedział Marc i sam zauważył, jak zagadkowo to zabrzmiało.

– Wpadłeś w jakieś tarapaty? – Skórzane podeszwy butów Constantina zaskrzypiały, kiedy zrobił krok w jego stronę. Marc nieświadomie pocierał palcami wskazującymi popękane skórki przy paznokciach kciuków.

– Opowiem ci, kiedy stąd wyjdziemy.

– Co jeszcze trochę potrwa. – Młody policjant znów zdobył się na odwagę i otworzył usta. – Najpierw musimy przesłuchać go w sprawie kradzieży.

– Kradzieży?

Marc nerwowo dotknął plastra na karku i westchnął.

– Potrzebowałem lekarstw, a aptekarz nie zaakceptował mojej karty, ale to nie ma teraz znaczenia.

– Chwileczkę, czy to ma znaczyć, że ty rzeczywiście...

– Tak, ale nie umyślnie. Po prostu zapomniałem.

– Zapomniałeś zapłacić?

– Zrozumiałbyś, gdybyś wiedział, co mi się dzisiaj przytrafiło.

– No to wyjaśnij mi, proszę. W tej chwili jestem, delikatnie mówiąc, trochę zdezorientowany i chętnie usłyszałbym...

– Czy mógłbym prosić pana na słowo? – Tym razem to Stoya przerwał chirurgowi.

Komisarz wskazał na masywną betonową kolumnę, na której wisiały aż dwie tabliczki z zakazem palenia tytoniu. Po krótkim wahaniu Constantin poszedł za komisarzem, dwa razy odwracając się pytająco do Marca, aż wreszcie znikł za kolumną.

Komisarz i jego teść stali oddaleni zaledwie o trzy metry, ale na parterze akustyka była tak zła, że Marc mógł wyłapać zaledwie strzępy słów. Ponadto młody policjant próbował odbudować swój nadszarpnięty autorytet, objaśniając Marcowi ciężkie następstwa popełnionej przez niego kradzieży lekarstw, którą być może da się nawet podciągnąć pod umyślne posłużenie się nieważną kartą kredytową. Tym bardziej się zdziwił, kiedy kilka minut później Stoya wrócił z Constantinem i rozkazał policjantowi natychmiast go wypuścić.

Trzydzieści sekund później Marc znów znalazł się przed drzwiami komisariatu na ulewnym deszczu i

znów nie wiedział, co mu się przydarzyło.

– To co będzie z tą kradzieżą? – zapytał Marc teścia.

– Wszystko załatwiłem.

– Jak?

– Stoya jest rozsądnym człowiekiem i dzisiaj w nocy ma na głowie dużo ważniejsze sprawy.

Poręczyłem za ciebie, że wyrównasz szkody, a on zrozumiał twoją sytuację.

– Moją sytuację?

– Teraz wie, co przeszedłeś w ostatnich tygodniach. Nic dziwnego, że trochę wypadasz z roli.

– Wypadam z roli? Dzisiaj widziałem Sandrę.

Marc odwrócił się plecami do wiatru. Krople deszczu mocno uderzały go w tył głowy. Pofalowanym włosom Constantina wydawały się w żaden sposób nie szkodzić.

– Wiem. Ja też ciągle ją widzę. – Teść otworzył pilotem centralny zamek swojego mercedesa, którego zaparkował w drugim rzędzie tuż przed komisariatem. Rozległy się dwa ciche piknięcia, mignęły światła, ale Constantin nie wsiadał, tylko wytarł kilka kropli, które zaplątały się w jego krzaczastych brwiach.

– Ostatnio nawet poszedłem w parku za kobietą, która z tyłu wyglądała tak samo jak ona.

Obmacywał palcami wydatne jabłko Adama, a potem rozmasował sobie szyję. Jego głos zaczął drżeć.

– A wczoraj rozplakałem się, kiedy na mój dyżur przyszła młoda kobieta, która nawet nie była do niej podobna, ale mówiąc, przyglądała się swoim paznokciom, tak jak Sandra, kiedy była zdenerwowana.

Marc pokręcił głową i odsunął się od Constantina.

– Nie, nie rozumiesz mnie. Ona była naprawdę.

Wszedł na jezdnię i usłyszał, jak centralny zamek znów się zamyka, ponieważ upłynęło zbyt dużo czasu od otwarcia, a nikt nie wsiadł do samochodu. Podszedł do limuzyny, oparł się dwiema rękami o dach i zamknął oczy.

– Mnie też smutek po jej utracie doprowadza do szaleństwa, Marc. Ale to nam w niczym nie pomoże.

Marc nie podniósł wzroku, nie odpowiedział. Nawet kiedy poczuł rękę na swoim ramieniu.

– Prawdopodobnie przeżywasz właśnie stres pourazowy. Pojedźmy do kliniki, coś ci na to dam.

Duża kropla deszczu rozbryznęła się na czole Marca.

– Przecież wiem, co widziałem – wyszeptał bardziej sam do siebie.

– Tak samo, jak wiesz, że twoja komórka przestała działać?

Marc otworzył oczy i raptownie się odwrócił. Po raz któryś tej nocy wpatrywał się z niedowierzaniem w wyświetlacz swojego telefonu, który Constantin trzymał przed jego oczami.

– Jak to zrobiłeś?

Wytarł mokre ręce w dżinsy i otworzył listę kontaktów.

*To niemożliwe.*

Wszystkie wpisy były kompletne.

– Przez pomyłkę włączyłeś tryb samolotowy. Dlatego nie mogłeś telefonować.

Marcowi zaczęły drżeć ręce i nagle poczuł spadek poziomu cukru, zupełnie jakby miał za sobą forsowny marsz, nie tylko psychiczny.

*Czy to możliwe? Czy jestem już tak skołowany, że nie potrafię nawet posługiwać się swoim własnym telefonem?*

– Jedźmy do kliniki – poprosił Constantin, ponownie odblokowując drzwi samochodu.

*Ale w takim razie dlaczego wcześniej pod moim numerem zgłosił się obcy mężczyzna?*

Marc podniósł głowę i podążył wzrokiem za karetką z brudnymi reflektorami, która powoli mijała posterunek policji. W bocznych szybach ambulansu odbijały się światła ulicznych latarni, tak że nie można było zajrzeć do środka.

– Okay. – Marc ocknął się, kiedy pojazd minął ich i pojechał dalej. – Jedźmy. Ale nie do kliniki.

– Co proponujesz?

– Chciałbym sprawdzić, czy rzeczywiście zwariowałem. I potrzebuję do tego twojej pomocy.

# Rozdział 29

**W**stęp wzbroniony.

Ta sama wycieraczka. Ta sama staromodna klatka schodowa z tymi samymi nieświeżymi zapachami jedzenia w korytarzu, postrzępionym sizalowym chodnikiem na wydeptanych drewnianych stopniach i przepełnionymi blaszanymi skrzynkami na listy przy wejściu.

Jedyną rzeczą, która zmieniała się w ostatnich godzinach, był ogólny stan Marca. Jego kondycje, fizyczna i psychiczna, wydawały się coraz bardziej wyrównywać, zbliżając się do najniższego możliwego poziomu. Kiedy razem z teściem wchodził po schodach prowadzących do jego mieszkania, zastanawiał się, czy odczuwany przez niego ból psychiczny jest tylko męczącym objawem ubocznym halucynacji. A może rzecz miała się dokładnie odwrotnie i powodem halucynacji był coraz silniejszy ból głowy i kończyn?

– Czy to musiała być akurat ta okolica? – zapytał Constantin, któremu wspinanie się po schodach w ogóle nie sprawiało trudności. Co drugi dzień ćwiczył półtorej godziny w piwnicy swojej willi, jedynym pomieszczeniu secesyjnej posiadłości, które nie było klimatyzowane, ponieważ chirurg reprezentował pogląd, że sport tylko wtedy jest sportem, kiedy człowiek dobrze się spoci.

– Oczywiście rozumiem, że po tym wszystkim nie chciałeś dłużej mieszkać w domu... – powiedział z zadumą.

„Po tym wszystkim...”

Marc odwrócił się do teścia, który właśnie krytycznie mierzył wzrokiem dziecięcy wózek zostawiony przed drzwiami do jakiegoś mieszkania.

– Ale tu...? – Constantin pokręcił głową. Nawet jego gospodyni mieszkała w bardziej luksusowych warunkach.

Marc przycisnął rękę do brzucha, aby lepiej oddychać mimo kolki, która go nagle dopadła.

– Są gorsze miejsca – powiedział, dysząc jak astmatyk, i poszedł dalej.

*Gorsze.*

Osiedle Soldiner na przykład, okolica, w której dorastał. Tam, gdzie z balkonu pod nimi sąsiad strzelał w niebo z kałasznikowa, kiedy drużyna Galatasaray strzeliła bramkę w jego tureckiej ojczyźnie. Po śmierci Sandry poważnie się zastanawiał, czy znów się tam nie przeprowadzić, wrócić do korzeni, aż uświadomił sobie, że również one już dawno zostały odcięte. Pierwszy raz ze śmiercią ojca, którego zgon wywołał gorączkowe spekulacje w sąsiedztwie.

„Frank Lucas zapił się na śmierć; chyba musiał mieć długi; nic dziwnego przy tych niewydarzonych chłopakach. Prawdopodobnie jego stara też lubi pociągnąć sobie z butelczyny”.

Na początku matka jeszcze próbowała tłumaczyć sąsiadom prawdziwe okoliczności i opowiadała im o wrodzonej wadzie wątroby męża, która została za późno zdiagnozowana, ponieważ lekarze koncentrowali się wyłącznie na zaburzeniach psychicznych Franka. Dla zdrowego mężczyzny te ilości alkoholu, które wypijał pod koniec życia, nie byłyby śmiertelne. Ale ojciec nigdy nie był okazem zdrowia, a matka Marca też nigdy już nie doszła całkiem do siebie. Kilka miesięcy po śmierci męża

zmarła z powodu zatrzymania akcji serca – cokolwiek to miało znaczyć.

– Właściwie dlaczego tu jesteś? – zapytał Marc zmęczony, dalej wdrapując się po schodach.

Constantin westchnął za jego plecami.

– No przecież ci już chyba mówiłem? Zadzwoiłeś do mnie, przyjechałem na komisariat i...

– Nie, nie o tym mówię. Zastanawiam się, dlaczego w ogóle jeszcze ze mną rozmawiasz.

– Aha, więc tu cię boli.

Jego teść był zbyt inteligentnym człowiekiem, żeby Marc musiał coś jeszcze wyjaśniać.

Po śmierci ojca Constantin Senner stał się najważniejszą osobą w jego życiu, mentorem, który pokazywał mu, że nie powinien trwonić życia, lecz wykorzystać swoje talenty. Przy czym nigdy nie chodziło o pieniądze. Cała zasługa Constantina polegała na tym, że kontaktował go z ludźmi, którzy zrobili coś ze swoim życiem. Ale na początku wcale tak nie było.

– Uważasz, że powinienem być na ciebie zły? Wykreślić cię z mojego życia? – zapytał Constantin i dołączył do niego.

– Już raz próbowałeś.

Jego teść wykrzywił twarz i Marc natychmiast przeprosił za ten cios poniżej pasa. Pół roku po ich pierwszym spotkaniu w willi Sennerów Constantin wziął go na stronę i zaprowadził do pokoju kominkowego, podczas gdy Sandra została z matką w kuchni. Najpierw Marc pomyślał, że lody zostały wreszcie przełamane. Nawet się zaśmiał, kiedy ojciec Sandry podał mu kopertę. W przeliczeniu prawie dwadzieścia tysięcy euro w świeżutkich banknotach stumarkowych. Sandra opowiedziała mu o problemach finansowych ojca Marca, którego kancelaria już wtedy była pod kreską. Dzięki tym pieniądzom rodzina Lucasów od razu uwolniłaby się od długów.

„Dam ci te pieniądze, jeśli zostawisz w spokoju moją córkę”.

Marc nawet nie mrugnął powieką i grzecznie podziękował za wspaniałomyślną propozycję. Następnie podszedł do kominka i bez wahania wrzucił banknoty w ogień.

– Myślałem, że wreszcie darowałeś mi ten sprawdzian.

– No bo to prawda – przytaknął Marc i oparł się o poręcz schodów.

Kiedy wówczas zobaczył uśmiech w kącikach ust Constantina, było dla niego jasne, że został wystawiony na próbę. Marc przeszedł ją z brawurą, chociaż Constantin nie spodziewał się tak impulsywnej reakcji przyszłego zięcia. Od tej chwili rodzina Sennerów była biedniejsza o dwadzieścia tysięcy euro, ale wzbogaciła się o nowego członka.

– Bałeś się, że chodzi mi tylko o twoje pieniądze.

– Gorzej. Bałem się, że złamiesz Sandrze serce.

Marc skinął głową.

– Tak, a teraz nawet ją zabiłem.

Tymczasem dotarli na trzecie piętro, do miejsca oddalonego zaledwie o kilka kroków od tego, co jeszcze niedawno uważał za swoje mieszkanie.

– Powiedz, czy na pewno bierzesz tabletki? – zapytał Constantin zatroskany, kiedy zobaczył, jak Marc nerwowo łapie się za kark.

– Immunosupresory? – Marc pokręcił przecząco głową, na co Constantin spojrział na niego jeszcze bardziej zatroskany.



– Przecież dałem ci wystarczający zapas, a następne badanie jest dopiero w przyszłym tygodniu.

– Wiem, ale tabletki są w środku.

Marc wskazał na drzwi do mieszkania. Sufitowa lampa nad nimi, w której przedtem trzepotał skrzydłami uwięziony mól, teraz już całkiem wyzionęła ducha.

– Dobrze, to weźmiemy twoje tabletki, a potem zabiorę cię do kliniki na obserwację.

– Dobry pomysł, ale... – powiedział Marc.

– W czym problem?

– Zobacz. – Marc pokazał na drzwi. – Wiedziałem, że jeszcze nie całkiem sfiksowałem.

Mimo skąpego światła, które wpadało tu z klatki schodowej, zobaczył to od razu.

– Co masz na myśli?

– Tabliczka z nazwiskiem. Ciągle jest zamieniona.

Constantin wyjął okulary do czytania z kieszeni płaszcza, przyłożył je do oczu bez zakładania za uszy i zbliżył się do drzwi.

– Semmler – przeczytał z wahaniem.

*Co proszę?*

– Nie, nie...

Teraz pochylił się także Marc.

*Cholera, a to co znowu?*

Constantin zapalił zapałkę, ale Marc i bez tego wiedział, że jego teść ma rację.

*Semmler. Nie Senner.*

– Ale to... to jest... – Nerwowo zamrugał. Potem roześmiał się. Sytuacja była po prostu absurdalna.

Dopiero co jednoznacznie przeczytał na swojej tabliczce Senner, czyli panińskie nazwisko Sandry. Dlaczego do diabła ktoś zadał sobie trud, żeby drugi raz zastąpić je jeszcze bardziej bezsensownym nazwiskiem?

– Może tak nazywa się osoba, która wynajmowała to mieszkanie przed tobą? – rzucił Constantin.

– Nie, poprzednio na pewno było inaczej – powiedział Marc tak gwałtownie, że aż zdmuchnął zapałkę.

– Udowodnię ci, że coś tu nie gra.

Wyjął z kieszeni spodni klucz do swojego mieszkania, typu yale z ząbkami po dwóch stronach. Ręce drżały mu tak bardzo, że musiał odczekać chwilę, zanim włożył go do zamka.

– Pozwolisz? – zapytał zatroskany Constantin.

– Nie, nie ma problemu – odpowiedział Marc, niemal agresywnie. I wtedy, ku jego przerażeniu, rzeczywiście nie pojawił się nawet ślad problemu. Klucz delikatnie zachrobotał, kiedy wślizgnął się do cylindra. I bez trudu dał się przekręcić pod lekkim naciskiem kciuka i palca wskazującego, jakby zamek został właśnie naoliwiony.

Rozległo się kliknięcie, potem drzwi odskoczyły i Marc przestał cokolwiek rozumieć na widok tego, co miał przed sobą.

# Rozdział 30

Kiedy Marc miał dwanaście lat, zaskoczył kiedyś matkę stwierdzeniem, że sprzątanie jego pokoju jest sprzeczne z prawami natury. Wtedy po raz pierwszy w thrillerze Michaela Crichtona zetknął się z fenomenem entropii, pojęciem z dziedziny termodynamiki, z którego między innymi można było wywieść, że wszystko w przyrodzie dąży do stanu największego bałaganu. Tak jak opona samochodowa traci powietrze i bieżnik, kolory T-shirtu blakną w praniu i koszulka się strzępi, trzeba kiedyś wymienić gonty na dachu, tak samo przychodzi pora, kiedy człowiek rozpada się na poszczególne części składowe, tracąc energię, która utrzymuje jego wysoce złożony organizm w całości. Zaczyna chorować, starzeje się i umiera. A więc dlaczego miałby marnować swój krótki żywot na robienie porządków, skoro siły natury i tak zniweczą wszelki wysiłek?

Po tym wykładzie matka podparła się pod boki rękami, które we wspomnieniach Marca przeważnie tkwiły w żółtych gumowych rękawiczkach, odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się na cały głos:

„W porządku, w takim razie od zaraz przestanę dawać ci kieszonkowe, bo i tak je wydasz”.

Dzisiaj, ponad dwadzieścia lat później, można było odnieść wrażenie, że Marc poszedł wtedy na tamten układ. Jego mieszkanie ciągle wyglądało jak idealny obiekt studiów dla badaczy chaosu.

– Wielki Boże...? – Wchodząc do środka, Constantin wciągnął powietrze przesiąknięte papierosowym dymem, jakby spodziewał się, że tam, gdzie panuje tego rodzaju nieporządek, muszą być również przykre zapachy. Tymczasem w mieszkaniu pachniało tylko świeżo cyklinowaną drewnianą podłogą, wyschniętą farbą na ścianach i innymi zapachami charakterystycznymi dla remontu, które wisiały w powietrzu od czasu, kiedy Marc się tu wprowadził.

– Co tu się stało? – zapytał Constantin i starał się nie nadepnąć na żaden z licznych przedmiotów, które leżały porozrzucane po całym niewielkim przedpokoju.

– Nic. – Marc odsunął nogą na bok stertę płyt CD. – Upuściłem pudło z tymi rzeczami.

– Jedno?

Na podłodze pomiędzy pilotami, segregatorami zawierającymi dokumenty podatkowe, dwoma rozgałęziaczami, przewróconą lampą i mnóstwem książek leżały poprzewracane rośliny doniczkowe. Wszystkie były uschnięte, nawet kaktusy.

Marc przeszedł nad kartonem, który zbyt długo leżał na deszczu, i teraz jego zawartość wysypała się w przedpokoju. Tekturowy spód był tak nasiąknięty wodą, że nie mógł dłużej utrzymać ciężaru byle jak powrzuconych przedmiotów. Akurat ostatnie pudło, które chciał zostawić na niewymiarowe rupiecie. Był tak wściekły na siebie, że potem z pełnym rozmysłem cisnął w drzwi kartonem z roślinami balkonowymi.

*Wybuch gniewu.*

Jeszcze jedna cecha, którą wydobył z niego skalpel smutku.

– Co ze mną jest? – wymamrotał pod nosem Marc, który tymczasem wszedł do salonu, żeby wyłączyć stojącą lampę, pełniącą jednocześnie funkcję stojaka na płyty DVD.

Tu, w większym pomieszczeniu dwupokojowego mieszkania, wyglądało już trochę lepiej, mimo że na podłodze wałały się liczne nieotwarte kartony, wyglądające zupełnie jak paczki z pomocą zrzucone z

helikoptera. Nie było regałów ani szaf, w których mógłby poukładać swój skromny dobytek. Żył na walizkach jak przedstawiciel handlowy. Kiedy czegoś potrzebował, wyjmował to prosto z pudła, o ile to znalazł. To Sandra była praktyczną składową ich związku. Ona na pewno porządnie opisała by kartony.

Marc usłyszał, jak w sąsiednim pokoju otworzyły się drzwi szafy, i powoli opadł na czarną skórzaną kanapę, którą ekipa przeprowadzkowa postawiła na środku pokoju przodem do okna. Grube krople deszczu, którymi w nieregularnych odstępach czasu wiatr tłukł o szyby, powodowały, że tu wewnątrz, w lekko przegrzonym mrocznym pokoju, panowała niepasująca do rzeczywistości przytulna atmosfera.

– Nikogo tam nie ma.

Odwrócił się do Constantina, któremu, mimo przybijanych gwoździakami skórzanych podeszew butów, udało się bezgłośnie wejść do pokoju.

– W sypialni, a także w kuchni i łazience. Sprawdziłem nawet pod łóżkiem. Nie ma tu nikogo oprócz nas.

# Rozdział 31

To niemożliwe – powiedział Marc, wyczerpany, chociaż wiedział, że jego teść mówi prawdę. Wiedział to już w chwili, kiedy okazało się, że klucz pasuje do zamka i drzwi się otworzyły. Również salon wyglądał dokładnie tak samo, jak zostawił go dziś przed południem.

Sandra z pewnością nigdy nie była pedantką i podobnie jak on posiadała dar, dzięki któremu potrafiła w mgnieniu oka zmienić uporządkowany pokój w pole bitwy. Ale ponad wszystko kochała rośliny i nigdy nie wyrwałaby z doniczki swojego ulubionego drzewka bonsai i nie zostawiłaby go obok wysypanej ziemi. I ten fakt nasuwał tylko jeden wniosek, a mianowicie że...

*Sandry tu nie było. Nigdy jej tu nie było.*

Marc poczuł, że Constantin siada obok, nie dotykając go.

– Tracę rozum – wyszeptał z zamkniętymi oczami.

– Nie, to nieprawda.

– Wiem, co mówię. – Marc masował sobie skronie i najpierw poczuł przyjemne odprężenie, a potem znowu mdłości, które nachodziły go z przerwami.

– Proszę, weź to.

Marc podniósł wzrok. Jego teść musiał znaleźć w kuchni plastikowy kubek, który mu teraz podał. On sam wziął sobie szklanę z rżniętego szkła z lekko wyszczerbionym brzegiem.

– Wypij, to tylko woda. Jeśli jesteś w szoku, potrzebujesz dużo płynów.

Białe rowki cienkiego kubka zatrzęszczały, kiedy Marc wziął go do ręki. W półmroku woda połyskiwała jak powierzchnia ciemnego jeziora i Marc już miał podnieść kubek do ust, kiedy się zatrzymał.

– Tylko woda?

– Za kogo mnie uważasz?

Constantin odstawił szklanę na stolik. Potem wziął kubek od Marca i opróżnił go jednym łykiem.

– Zadowolony?

Wstał i z ojcowskim wyrazem twarzy spojrzał z góry na Marca.

– Przepraszam.

Constantin skinął głową i znów sięgnął po swoją szklanę. Na stoliku odznaczyła się obwódka z wody.

– Ale naprawdę muszę dać ci coś na uspokojenie. Poważnie niepokoję się o ciebie, Marc.

– Ja też.

*Czuję się jak człowiek, który połknął magnes, ale ten magnes nie przyciąga metalu, lecz obłąd. I bardzo się boję, że jego działanie z sekundy na sekundę będzie coraz silniejsze.*

– Chodź, robi się późno. Pojedziemy do kliniki. – Constantin postawił pustą szklanę dokładnie na obwódce z wody i podał mu rękę, ale Marc znów zamknął oczy. Już jako mały chłopiec nauczył się, że kiedy nie wszystkie jego zmysły są aktywne, lepiej mu się wówczas myśli. Kiedy je otworzył, teść stał przy oknie. Jego wskazujący palec podążał za jedną z kropli deszczu, która spływała po szybie jak łąza.

– Jak często myślisz o tym dniu, wtedy, w maju?

Głos Constantina brzmiał ochryple, kiedy spytał:

– Kiedy dokładnie to było?

*Dzień w maju.*

Nigdy nie nazywali go inaczej. W ich rozmowach nigdy nie był to dzień, „w którym Sandra została napadnięta”, albo „dzień, w którym ją zakneblowano i drucianą pętlą przywiązano do kuchenki”. Nie był to również „dzień, w którym Sandra miała pojechać razem z nim na zajęcia i z powodu złego samopoczucia została w willi ojca”.

– Christian miałby teraz trzy lata – powiedział cicho Marc.

– Zgadza się. Właśnie mijają trzy lata.

Constantin westchnął, jakby od tamtej pory upłynęła wieczność. W przerośnym sensie tak zresztą było. Włamywacze zjawili się, kiedy Sandra z dużym pudełkiem lodów crème brûlée na kolanach właśnie chciała obejrzeć stary odcinek *King of Queens* na DVD. Minęło sześć godzin, zanim Constantin wrócił wreszcie do domu. Przez ten czas dwa typy w narciarskich maskach włamały się do sejfu i oprócz kosztownych obrazów wiszących na ścianach zabrały wszystkie srebra stołowe, gotówkę, kolekcję zegarków oraz starego laptopa.

*Sześć godzin.*

Krwotok towarzyszący poronieniu wystąpił już trzy kwadranse wcześniej.

– Czy dlatego nie szukaliście imienia dla waszego drugiego dziecka?

Marc przytaknął.

– Tak. Tamten dzień zburzył tak wiele. Myśleliśmy, że Sandra już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Ale kiedy później okazało się, że wszystko jest w porządku, nie chcieliśmy prowokować nieszczęścia.

Taki przesąd. – Zaśmiał się smutno. – Czy to nie jest ironia losu?

Na te słowa Constantin odwrócił się. Sprawiał teraz wrażenie bardzo starego człowieka.

– Jesteś w błędzie.

Marc podniósł na niego wzrok.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałaś, że ten dzień zburzył tak wiele. Oczywiście to prawda. Ale choć zabrzmiało to okrutnie, to jednak nieszczęście podarowało wam następne trzy piękne lata.

– Nie rozumiem.

– Sandra chciała cię wtedy zostawić, Marc.

– Co ty wygadujesz?

Marc wzdrygnął się i skulił ramiona jak ktoś, kto spodziewa się, że zaraz poczuje kostkę lodu na karku.

– Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że właśnie dlatego przyjechała do nas do Sakrow. Chciała ze mną porozmawiać, gdy tylko wrócę z kliniki. – Constantin oddychał ciężko. – Zadzwoiła i powiedziała, że chodzi o wasz związek i innego mężczyznę, którego niedawno spotkała.

– To niemożliwe – powiedział Marc, chociaż nie miał powodów, żeby nie wierzyć teściowi. Stare, przygnębiające wspomnienia wywalczyły sobie miejsce w pierwszym rzędzie jego świadomości. Wtedy chciał je wyprzeć, tłumaczył zachowanie Sandry wahaniem nastroju w czasie ciąży, spowodowanymi burzą hormonalną. Najpierw była tylko nieobecna, wyciszona; potem coraz bardziej zamykała się w sobie, aż wydawało się, że zamyślenie przeszło w depresję. Chciał odwołać wszystkie sprawy i do czasu

porodu zostać z nią w domu, ale się nie zgodziła. Wolała spędzać długie godziny na samotnych spacerach, także po okolicach, które zazwyczaj omijała szerokim łukiem. Któregoś dnia pojechał do Neukölln, żeby spotkać się z rodzicami pewnego notorycznego wagarowicza, i zobaczył, jak Sandra wychodzi z podłej ulicznej kafejki i zatopiona w myślach wsiada do taksówki. Kiedy wieczorem ją o to zapytał, wpadła w furję i krzyknęła mu prosto w twarz, że odmawia odpowiedzi, „panie prokuratorze”.

– Kim był tamten mężczyzna? – Marc zadał pytanie, które już wtedy go dręczyło.

Constantin wzruszył ramionami.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Nigdy nie doszło do rozmowy z nią na ten temat. Kiedy obudziła się po operacji, nie chciała już o tym rozmawiać. Chciała tylko widzieć ciebie.

Marc poczuł lekki skurcz w łydce i z trudem wstał z kanapy. Dziwnym trafem akurat teraz przypomniał sobie wyświechtany dowcip ojca, który mu powiedział, że mężczyznę po pięćdziesiątce poznaje się po tym, że stęka zarówno przy wstawaniu, jak i przy siadaniu. Jeśli byłoby to prawdą, to dzisiaj w ciągu jednego dnia postarzał się o osiemnaście lat.

– Po co opowiadasz mi to właśnie teraz? – zapytał Marc i sięgnął po pusty plastikowy kubek, który przed chwilą opróżnił Constantin, i postawił na stoliku. Musiał pójść do łazienki, wsadzić głowę pod wodę i wreszcie wziąć lekarstwa.

Constantin odpowiedział, kiedy Marc zamknął już za sobą drzwi do łazienki.

– Ponieważ dopiero co pytałeś mnie, dlaczego wciąż traktuję cię jak syna. Czasem tragedia z niesłychaną siłą spaja ludzi, którzy się kochają.

– Świetnie, tylko daj mi znać, kiedy już nie będziesz mógł mnie ścierpieć. Wtedy po prostu znowu kogoś zabiję...

Marc oparł się rękami o umywalkę i spojrzał na miejsce na ścianie, gdzie powinno wisieć lustro. Był zadowolony, że jak dotąd nie zadbał także o to. Dzięki temu oszczędził sobie swojego żalosego widoku.

– Przestań chować się za swoim poczuciem humoru. To nic innego niż rozczulanie się nad sobą – dobiegł do niego przez drzwi przytłumiony głos Constantina.

– Coś podobnego już mi dzisiaj ktoś powiedział – mruknął Marc, kładąc rękę na kranie. Właśnie chciał przesunąć go w górę i puścić zimną wodę na wewnętrzne strony nadgarstków, kiedy jego wzrok padł na wąską szczelinę pomiędzy odpływem a korkiem.

*Co u diabła...?*

Pochylił się i wyciągnął z odpływu obdrapany chromowany korek, który wyskoczył z cichym cmoknięciem.

*Przecież to niemożliwe.*

Do czarnej gumowej uszczelki przywarł jeden jedyny włos. Miał około piętnastu centymetrów długości, a jego dolny koniec zwinął się jak klucz wiolinowy. Marc bezwiednie złapał się za tył głowy, której nie golił już od czterech tygodni.

– Constantin – wychrypiał i powtórzył to imię trochę głośniej, kiedy nie usłyszał odpowiedzi.

*A więc jednak.*

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w jasny włos w swoich palcach, który nie mógł być jego włosem. Podsunął go pod nos, ręce mu drżały, ale oczywiście nie mógł wyczuć żadnego zapachu. Mimo to był pewny.

*Sandra.*

Mieszkanie przejął świeżo odnowione, z nowiutką umywalką i nigdy nie miał tu gości.

*To jest dowód. Ona tu była.*

Marc zamknął oczy, położył drżącą rękę na brzuchu i oddychał głęboko. Potem ścisnął włos w dłoni, jak małe dziecko, które mocno ścisną monetę w drodze do piekarni, i pośpiesznie wyszedł z łazienki.

– Constantin? Mam dowód. Nie zwariowałem! – krzyknął i wracając do salonu, uderzył się w kolano o metalowy taboret, wystający z półotwartego kartonu. Ale ostry ból zmienił się w przerażenie, kiedy dokuśtykał do salonu i zobaczył otwarte na oścież okno.

Salon, gdzie jeszcze przed chwilą siedział z teściem na kanapie, był pusty. Constantin znikł. A razem z nim znikła szklanka whiskey i ślad po niej na stoliku.

# Rozdział 32

**H**alo?

Marc stracił poczucie czasu. Nie wiedział, jak długo wpatruje się w czarną deszczową noc. Tu, na czwartym piętrze, nie było drabiny przeciwpożarowej, gzysmu, rusztowania albo chociażby platformy do mycia okien, dzięki którym można by opuścić mieszkanie.

– Constantin?

Jego teść znikł jak kamfora.

Marc zamknął okno, zataczając się, wszedł do przedpokoju i chciał zapalić światło, ale wyłącznik nie zadziałał. Dopiero, kiedy spojrzął po raz drugi, zobaczył, że w oprawce nie ma żarówki.

– Hej, gdzie się chowasz?

Jego głos odbił się echem od gołych ścian kiszkowatego korytarza.

*Obym się obudził. Oby to wszystko okazało się tylko snem.*

Marc odwrócił się w stronę drzwi wejściowych i wykrzywił twarz, kiedy zobaczył, że łańcuch jest założony od wewnątrz.

– Gdzie jesteś? – wyszeptał raczej do siebie, jakby się domyślał, co znajdzie w sypialni, kiedy już sprawdzi kuchnię: nic.

Nic poza podwójnym materacem i jednym kartonem, na którym stała tania nocna lampka. Zapalał ją codziennie rano, żeby później wieczorem nie musiał w ciemnym pokoju szukać po kablu małego wyłącznika.

Ale Marc mylił się. I ta pomyłka sprawiła, że całkowicie zwątpił w swój rozum. Ponieważ nocna lampka zniknęła.

*Jak Constantin. Jak Sandra. Jak moje życie.*

A jednak nie było ciemno, słaby bladoniebieski promień światła przebijał przez szpary w kartonie.

*To niemożliwe.*

Marc podszedł do materaca i nagle poczuł nieodpartą konieczność, aby się położyć, naciągnąć na głowę wilgotną kołdrę i zapaść w wieczny, pozbawiony obrazów sen, ale jak zahipnotyzowany wpatrywał się w przytłumione światło, przypominając sobie rozmowę, którą przed laty przeprowadził z Sandrą.

– „Hej, co się dzieje? Dlaczego tak mi się przypatrujesz?”

– Obiecaj mi...

– Co?

– Czy obiecasz mi, że zawsze będziesz palił światło”.

Drżącymi rękami rozłożył klapy zamykające pudło... i potwierdziła się jego surrealistyczna wizja.

– „No i jak?”

– No cóż, uważam, że jest trochę, jak by tu powiedzieć, trzeba się do niej... przyzwyczaić?

– Mówiąc szczerze, jest po prostu szpetna”.

Zamknął oczy, ale wspomnienia nie dały się wyciszyć.



– „Co ci jest... ty płaczesz?

– Posłuchaj, ja wiem, teraz wydaje się to głupie, ale chcę, żebyśmy zawarli umowę.

– Okay?

– Gdyby jedno z nas umarło – nie przerywaj, daj mi dokończyć – wtedy ten, kto odszedł, da drugiemu znak”.

Kiedy otworzył oczy, szpetna jasnoniebieska lampka na baterie w kształcie delfina ciągle znajdowała się w kartonie.

I po raz pierwszy w swoim życiu się paliła.

*I'm coming to find you if it takes me all night*

*Can't stand here like this anymore*

*For always and ever is always for you*

*I want it to be perfect like before.*

*Ohohoho... I want to change it all.*

*I want to change.*

„*A Night Like This*”, The Cure

*Nothing sounds as good as I remember that*

„*I Remember That*”, Prefab Sprout

# Rozdział 33

Denerwujący odgłos, który w końcu zaczął go niepokoić jeszcze bardziej niż paląca się lampka z kształcie delfina, przypominał niebezpieczne brzęczenie szerszenia, który zaplątał się pomiędzy oknem a żaluzją i rozpaczliwe próbując znaleźć wyjście z pułapki, staje się coraz bardziej agresywny. Jednak dźwięk dochodził z przedpokoju, w którym nie było okna, był również zbyt rytmiczny, jak na niekontrolowane odgłosy walczącego owada.

Marc odwrócił się w stronę drzwi do sypialni i brzęczenie w jego uchu ustało. Nagle w mieszkaniu zrobiło się tak cicho, że można było usłyszeć klikanie licznika energii i szum ogrzewania.

– Jest tam kto?! – krzyknął chrypliwe. Potem wzdrygnął się gwałtownie, kiedy postawił stopę na progu do ciemnego korytarza.

Szerszeń powrócił. Teraz był jeszcze głośniejszy. Jeszcze bardziej rozszalały.

Serce Marca zaczęło bić szybciej. Skradając się, szukał w korytarzu przedmiotu, który mógłby posłużyć mu do obrony. Ale wtedy, na krótko przed tym, jak brzęczenie stało się ciągłe, Marc zrozumiał, że jego zachowanie jest śmieszne. Spojrzał na małe szare pudełko, na prawo nad framugą drzwi.

– Cholera, boję się zwykłego dzwonka do drzwi – wyszeptał.

Znów spróbował śmiać się z siebie samego, ale nie udało mu się jednak zapanować w ten sposób nad własnym strachem.

*Jak szerszeń. Zupełnie jak rozwścieczony uwięziony szerszeń.*

Poza pracownikami firmy spedycyjnej, która dokonała przeprowadzki, i Roswithy nikt nie znał jego nowego adresu.

*A więc kto to mógł być?*

Wzrok Marca znów padł na łańcuch na drzwiach, który ktoś musiał założyć, po tym jak znikł jego teść, i przeszedł go zimny dreszcz.

– Constantin?

Marc zbliżył lewe oko do wizjera i jego ciało pokryło się gęsią skórką. Wyjrzał na zewnątrz i aż sapnął. Chociaż ciągłe brzęczenie przeszło w rytmiczne staccato, nie widział nikogo, kto na korytarzu naciskałby palcem dzwonek.

*Co jest? A może to wszystko dzieje się tylko w mojej głowie? A może wcale nie ma dzwonka, drzwi, mieszkania i Sandry?*

Teraz naprawdę się roześmiał, choć w jego śmiechu dał się wyczuć histeryczny ton.

*A może ja to wcale nie jestem ja.*

W przyływie determinacji gwałtownie wyjął łańcuch i gwałtownie otworzył drzwi.

Nic.

Ani bezpośrednio przed drzwiami, ani w korytarzu. Nie było tam Constantina, sąsiada, nikogo obcego. Marc był sam, i tak też się czuł, kiedy powoli zamknął drzwi mieszkania i przycisnął czoło do ich powierzchni.

Wściekłe brzęczenie dzwonka na moment ustało, a potem wpadło w inny rytm.

Trzy razy krótko, trzy razy długo. Potem znów trzy razy krótko.

SOS?

Dotknął przepoconego opatrunku na karku, jedyne miejsce na swoim ciele nieowiniętego jeszcze płaszczem zimna, który coraz ciaśniej go spowijał.

*Upiorny dzwonek do drzwi, nadający alfabetem Morse'a. A więc jedno trzeba mi przyznać: nawet moje halucynacje świadczą o poczuciu humoru.*

Wrócił do salonu, nie spuszczać z oczu małego brzęczącego pudełka nad drzwiami, z którego biegł po tynku do podłogi przewód i rozdzielał się na wysokości klamki: jedna nitka wędrowała w dół do listwy przypodłogowej, druga biegła równolegle do podłogi i znikła za zimowym paltem, które wisiało na drążku służącym za wieszak. Wieszak był tu już, kiedy Marc się wprowadził.

*Trzy krótkie. Trzy długie.*

Oczywiście!

*Jestem tak wykończony, że już nie potrafię rozsądnie myśleć.*

Odsunął palto na bok i przypomniał sobie pośrednika nieruchomości, który przesadnie wychwalał zalety mieszkania. Zachowywał się tak, jakby zwykły domofon był najnowszym osiągnięciem w dziedzinie badania przestrzeni kosmicznej i tym samym usprawiedliwiał niezwykle słony czynsz.

Kiedy zdjął słuchawkę z bazy, rozległo się dźwięczne piknięcie i szerszeń od razu przestał brzęczeć.

– Tak? – wychrypiał do słuchawki i niemal mu ulżyło, kiedy usłyszał odpowiedź. Chociaż głos należał do osoby, przed którą dopiero co uciekł.

– Czy możemy porozmawiać?

Emma. Proszący i uniżony ton w jej głosie był jedyny w swoim rodzaju.

Marc wpatrywał się w domofon, który nie miał monitora, niezdolny wydusić z siebie odpowiedzi.

– Halo? Czy on jeszcze jest u pana?

W słuchawce zatrzeszczało i Marc wreszcie odzyskał głos.

– O kim pani mówi? Skąd pani wie, gdzie mieszkam?

– Śledziłam pana – powiedziała Emma i zakaszła.

– Śledziła mnie pani? – powtórzył tępo Marc.

– Tak, kiedy poszedł pan na policję. I tutaj. Widziałam, jak pan wszedł do środka razem z nim.

– Z Constantinem?

– Nie wiem, jak się nazywa. Wiem tylko, że jest z nimi.

*Z nimi?*

– Niech pan wreszcie zejdzie, zanim będzie za późno.

Marc pokręcił głową, jakby Emma mogła zobaczyć go z dołu.

– Żebym znów wpadł w pani pułapkę?

– Jaką pułapkę? O czym pan mówi? To ja jestem osobą, na którą się poluje.

*Poluje?*

– Niech pani posłucha... – Głos Marca drżał. – Nie wiem, kim są pani zleceniodawcy, ale...

– Na Boga, jacy zleceniodawcy? Ja też uciekam, tak jak pan, w pojedynkę. Zdana tylko na siebie.

– Ach tak? A z kim rozmawiała pani wtedy o mnie przez telefon w pokoju hotelowym?

Emma westchnęła.

– Ach, to dlatego. Wyjaśnię panu później.

– Nie, teraz. Do kogo pani dzwoniła?

Znów rozległ się trzask na linii i szum się nasilił.

– Na moją pocztę głosową.

– Co proszę?

Zawahała się.

– Co godzinę dzwonię do siebie i nagrywam na pocztę głosową, gdzie właśnie jestem, z kim się spotykam i co będę robić w następnej kolejności. Zwykły środek ostrożności na wypadek, gdyby coś mi się stało albo gdyby znów wyczyścili mi pamięć.

– I ja mam w to uwierzyć, tak?

– Po co miałabym kłamać? Przecież sama potrzebuję pomocy. Nawet jeśli teraz to pan jest w większym niebezpieczeństwie niż ja. A więc niech pan wreszcie do mnie zejdzie. – Jej głos przeszedł w przenikliwy dyszkant.

– Tutaj, w moim mieszkaniu na pewno jestem bardziej bezpieczny niż na dole, przy pani.

– Bzdura, czekam tu już pół godziny i nie widziałam, żeby ktoś wychodził z domu. To znaczy, że on ciągle tam jest, a to znowu oznacza, że...

– Jestem sam – przerwał jej Marc.

– ...jest pan w dużym niebezpieczeństwie, ponieważ program ciągle jeszcze trwa.

– Nie jestem z żadnym programie! – wrzasnął do słuchawki Marc.

– Jest pan. I udowodnię to panu.

– Jak? – zapytał Marc i nagle poczuł powiew powietrza na karku, jakby ktoś poruszył się za jego plecami. Odwrócił głowę i oczy rozszerzyły mu się ze strachu.

– Ona wciąż żyje – usłyszał szept Emmy. – Niech pan zejdzie, udowodnię to panu.

Jej głos już ledwo do niego docierał.

*To niemożliwe. To nie może być prawda.*

Nie słyszał, że wypowiada na głos swoje myśli, ale poznawał to po oddechu. Zimno wokół niego nie było urojeniem; napłynęło do mieszkania jak płynny azot. Przez otwarte na oścież okno w salonie. Okno, które dopiero co starannie zamknął.

# Rozdział 34

Marc wyszedł na korytarz i zatrzasnął drzwi do mieszkania, chociaż wiedział, że w ten sposób nie odgrodzi się od niewidzialnego zagrożenia. Wszystko wskazywało na to, że tego, co go wciąż prześladowa, nie da się powstrzymać barierami fizycznymi. Obłąd był jak mgła, która szczelinami normalności wdzierала się do jego zdruzgotanego życia. I miał tylko jedną możliwość, żeby w jej oparach nie stracić resztek orientacji: ucieczkę.

Spodziewał się, że kiedy znajdzie się na ulicy, znowu okaże się, że jest sam. Dlatego niemal przestraszył się na widok Emmy, która czekała na niego w swoim samochodzie. Jej stary garbus parkował w drugim rzędzie i dopiero po chwili Marc uzmysłowił sobie, że blokuje jego samochód. Stojący dokładnie w miejscu, gdzie szukał go jeszcze kilka godzin temu.

– Idzie pan wreszcie?! – krzyknęła Emma, patrząc we wsteczne lusterko. Silnik, który dotychczas głucho terkotał, głośno warknął, kiedy przyciśnięciem pedału gazu podkreśliła swoje zniecierpliwienie, ale Marc stał jak osłupiały na widok swojego samochodu, który znów był na swoim starym miejscu. Jak w transie obszedł garbusa Emmy, wpatrując się w swój wóz, jakby pierwszy raz w życiu coś takiego zobaczył.

– Co jest? – Silnik znów zawarczał.

– Moment! – odkrzyknął, nie odwracając się, i zaczął szukać w kieszeniach kluczyka, aż przypomniał sobie, że już dawno odczepił go od breloczka, do którego były przyłączone wszystkie jego klucze. Osłonił dłońmi oczy i przystawił twarz do mokrej szyby. Nie miał żadnych wątpliwości. To, co w ostatnich minutach musiało się tu zmaterializować, było jego samochodem. Nieużywana od czasu wypadku sportowa torba leżała zwinięta na podłodze za fotelem kierowcy, tylna kanapa była zaśmiecona starymi czasopismami, pustą torebką z McDonalda i dużą liczbą butelek na wymianę, a w gnieździe zapalniczki tkwił splątany kabel ładowarki do jego komórki.

– Niech to jasny szlag! – parsknęła wściekle Emma i wyłączyła silnik. Marc usłyszał skrzypnięcie drzwi w zawiasach, kiedy wysiadła, podczas gdy on rozglądał się za odpowiednim przedmiotem, którym mógłby zbić szybę.

– Co pan wyprawia? Musimy się stąd wynosić.

– Gdzie?

Marc schylił się po brukowiec, który wystawał na kilka centymetrów z chodnika i próbował go wyjąć. Ale jego palce ześlizgiwały się z wilgotnych krawędzi.

– Coś pan zgubił?

*Tak, rozum.*

Spojrzał pod samochodem na jej buty. Stała na ulicy obok małej kałuży i niespokojnie przestępowała z nogi na nogę.

– Zaraz pojedziemy, tylko muszę jeszcze szybko wziąć coś z mojego samochodu.

– To po co czołga się pan po ziemi? – zapytała Emma i Marc usłyszał skrzypnięcie. Wokół niego zrobiło się trochę jaśniej, bo we wnętrzu jego samochodu zapaliło się światło.

*Jak, do diabła, tak szybko jej się to udało?*

Marc zamrugał zdziwiony i wstał, potem otworzył drzwi od strony kierowcy, które otworzyły się równie łatwo, jak drzwi od strony Emmy. Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Skąd pani wiedziała, że...

– Tam! – Wzruszyła ramionami, wskazując na stacyjkę obok kierownicy. – Kluczyk jest w stacyjce.

Musiał go pan zapomnieć w zdenerwowaniu.

*Nie. Nie ma mowy. Od wielu dni nie noszę go przy sobie.*

Oparł kolano na siedzeniu kierowcy i nachylił się do schowka na rękawiczki. Oświetlenie schowka nie działało już od dawna, ale gdy tylko otworzył drzwiczki i odsunął na bok leżące w nieładzie płyty CD, od razu znalazł to, czego szukał.

– Co to za proszki?

Próbowała złapać go za rękę, kiedy chciał sięgnąć po listek z pastylkami.

– To nie pani sprawa – powiedział trochę bardziej opryskliwie, niż zamierzał, ale okazało się to skuteczne. Cofnęła się kilka kroków, naciągnęła na głowę biały kaptur i odwróciła twarz od wiatru.

Kiedy pochylił się w stronę tylnej kanapy, usłyszał, jak Emma wsiada do swojego garbusa i uruchamia silnik. Potem, kiedy właśnie sięgał pod siedzenie, żeby wyjąć butelkę coca-coli, którą mógłby popić pierwszy proszek, usłyszał głęboki warkot diesla. Najpierw pomyślał, że to obrażona Emma po prostu odjechała, i to go przestraszyło, ponieważ bądź co bądź obiecała mu, że dostarczy dowód na to, że jego żona żyje.

Ale kiedy uniósł głowę i spojrział na ulicę oświetloną jakby stroboskopowymi rozbłyskami, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Emma miała rację. Powinien się pośpieszyć, kiedy go ostrzegła. Z przestachu upuścił butelkę coca-coli, również proszki wypadły mu z ręki. Wyglądało na to, że rzeczywiście uczestniczą w programie.

# Rozdział 35

**S**zum w uszach Benny'ego nasilał się z każdym pokonanym stopniem. Zaczął się bardzo cicho, już w chwili, kiedy przeszedł przez kontrolę. Policjantka, która go sprawdzała, nie zdążyła rzucić okiem do bagażnika. Zanim Benny zdążył odblokować zamek, została wezwana na pomoc przez kolegę, który potrzebował natychmiastowego wsparcia, żeby zmusić awanturującego się kierowcę mercedesa do dmuchnięcia w alkomat. Od tamtej pory tętno nie chciało mu się uspokoić i oblewał się potem, idąc po schodach do swojego mieszkania.

– Benny, czy wiesz, dlaczego wszystkie twoje próby samobójcze się nie udały?

Nieczęsto się zdarzało, żeby Valka do niego dzwonił. A fakt, że dzisiaj był to już drugi telefon, oznaczał, że nie należy spodziewać się niczego dobrego.

– Nie – wysapał Benny zgodnie z prawdą, w ogóle nie zastanawiając się nad sensem tego pytania. Valka uwielbiał inscenizacje. Obojętnie, czy chciał zaimponować kobiecie, zabić przeciwnika, czy tylko porozmawiać, Eddy zastanawiał się na długo przedtem, jak zrobić największe wrażenie. Dlatego pytanie, którym zagał tę rozmowę, było czysto retoryczne.

– Ponieważ jesteś słabym człowiekiem. Pamiętam jeszcze pierwszy raz, to śmieszne, wtedy, kiedy ta flądra Yoko Ono rozbiła naszą kapekę.

Valka nigdy nie nazywał Sandry jej prawdziwym imieniem i stale porównywał ją z żoną Johna Lennona, która doprowadziła do rozpadu Beatlesów. Faktycznie, od kiedy zesła się z Markiem, jego brat przestał mieć czas na próby i występy.

– Nagle zabrakło stada, które dawało ci poczucie bezpieczeństwa. Twój najlepszy przyjaciel, twój brat, dmuchał nową cizję, a biedny wrażliwy chłopczyk został sam. Wiesz, nigdy nie rozumiałem, jak można być takim maminsynkiem. Ale ty zresztą wcale nie chciałeś tak naprawdę ze sobą skończyć. Przecież tymi paroma pigułkami, którymi się nafaszerowałeś, nie dałoby się uspić nawet kota. – Zaśmiał się jak ktoś, komu niewiele brakuje, żeby poklepał się po udzie.

Benny stał bez ruchu. Pod zieloną lotniczą kurtką miał tylko cienki T-shirt z długimi rękawami, a administrator z powodu galopujących cen energii znów wyłączył ogrzewanie. A mimo to czuł się jak w tropikach.

– Wiem, że tak naprawdę nigdy mnie nie lubiłeś, Benny. Ale musisz przyznać, że zawsze trzymałem twoją stronę. Troszczyłem się o ciebie. Dałem ci nowe życie.

– Czyżby? – mruknął Benny i zaczął szukać w kurtce klucza do mieszkania. Miał przed sobą jeszcze tylko dwa piętra. Ostatnie stopnie prowadzące na wykończone poddasze były wyłożone bordowym sizalowym chodnikiem, który tłumił odgłos jego kroków.

– I dzisiaj znów robię ci przysługę, wypuszczając cię żywego z miasta.

– Myślałem, że jesteśmy kwita, Eddy. Zrobiłem swoją robotę.

– Wiem. Moi chłopcy właśnie mi potwierdzili, że chata tego pismaka wygląda jak boisko piłkarskie, tyłu zielonych ludzików łązi po pokojach.

Najwidoczniej Valka dzwonił z telefonu satelitarnego albo przyjął założenie, że w tej chwili nikt nie

podśłuchuje jego rozmów.

Albo po prostu popadł w megalomanię.

Pewnie jedno i drugie, pomyślał Benny.

– A więc, uważaj... – Obłudna jowialność w głosie Eddy'ego ulotniła się jak za naciśnięciem guzika.

– Natychmiast masz się pozbyć tego kawałka śmierdzącego gówna z bagażnika.

Benny przytaknął, uświadamiając sobie, że już nie potrzebuje klucza, który trzymał w ręku. Drzwi do jego mieszkania były lekko uchylone. Ostrożnie popchnął je nogą. Wewnątrz mieszkania panowała ciemność.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytał Valka, który musiał usłyszeć skrzypnięcie drzwi.

– W moim mieszkaniu.

Benny wszedł do przedpokoju, w którym unosił się ledwo wyczuwalny słodkawy zapach.

– Bardzo dobrze. W takim razie spakujesz teraz swoje rzeczy, pójdiesz do swojego zasnętego samochodu i jeszcze dzisiaj w nocy zawieziesz ten krwawiący wór na śmieci do Holandii.

Podał Benny'emu adres w Amsterdamie i nazwisko człowieka, z którym miał się skontaktować.

– Jeśli do dwunastej Vincent do mnie nie zadzwoni i nie potwierdzi nadejścia towaru, zacznę cię szukać.

Benny zatrzymał się i przełożył telefon do drugiego ucha.

– Do dwunastej? Nie zdążę. Potrzebuję więcej czasu.

Włączył oświetlenie sufitowe i zapach stał się bardziej wyczuwalny.

– Powiedz, czy ja jestem jakąś ciotą?

– Nie.

– To dobrze, bo już myślałem, że chcesz mnie wyruchać. To ja wyświadczam ci uprzejmość, pozwalam spłacić długi, zamiast popracować nad twoimi jajami zszywarką na sprężone powietrze, a ty mi mówisz, że potrzebujesz więcej czasu? Wydaje ci się, że kim ty jesteś?

– Posłuchaj, Eddy. Daj mi jeszcze jeden dzień, żebym mógł się ze wszystkimi pożegnać.

– Z kim, ty psycholu? Twoi rodzice nie żyją, brat cię nienawidzi, a przyjaciele siedzą u czubków. – Valka znów się zaśmiał. – Ale wiedziałem, że znów powiesz coś takiego, dlatego zorganizowałem ci małą niespodziankę. Niespodziankę, która wyjaśni ci powagę sytuacji.

Benny zamknął oczy – i nagle pojął koszmarnie znaczenie zapachu.



# Rozdział 36

Osoby, które przeżyły katastrofę samolotu, zamach bombowy, wypadek samochodowy lub inne groźne dla życia wydarzenie, często opowiadają, że sam moment katastrofy przeżywały jak na zwolnionym filmie. Tak jakby eksplozja, wybuch ognia albo zderzenie robiły wyrwę w czasie, a niekiedy nawet go zatrzymywały. Marc w jednej sekundzie zrozumiał przyczynę tego fenomenu: ludzki mózg w chwili śmiertelnego zagrożenia nie jest w stanie odebrać wszystkich wrażeń naraz, a cóż dopiero sensownie powiązać kolejność wydarzeń.

Marc zobaczył jasno oświetloną karetkę pogotowia, jej brudne reflektory, bezgłośnie błyskające światła na dachu i otwarte tylne drzwi. Zarejestrował obecność brodatego sanitariusza w białym kitlu, który trzymał coś w lewej ręce, próbując wyciągnąć Emmę z garbusa. Zwrócił nawet uwagę na tak nieistotne szczegóły, jak bordowy odblaskowy pas z boku karetki, czy przypominający różaniec łańcuszek na wstecznym lusterku we wnętrzu kabiny, który wyglądał, jakby kołysał się w takt błyskających świateł. Marc słyszał też silnik diesla, którego warkot mieszał się z warkotem garbusa, i dziwił się, dlaczego Emma nie wydaje z siebie głosu aż do chwili, kiedy wreszcie zaczęła głośno wzywać pomocy. W rzeczywistości wszystko pewnie odbyło się zaledwie w ułamku sekundy po tym, jak brodacz uderzył ją w twarz tak mocno, że okulary spadły jej z nosa na asfalt.

Wtedy pojawiła się trzecia osoba, którą z powodu włosów związanych w koński ogon i filigranowej postury początkowo wziął za kobietę, aż rozpoznał w niej młodego mężczyznę.

– Hej! – wrzasnął Marc i wygramolił się tyłem z samochodu. – Zostawcie ją!

Gumowe podeszwy jego adidasów poślizgnęły się na małej kupce liści, kiedy chciał pośpieszyć jej z pomocą. Tymczasem brodaczowi udało się oderwać masywne ciało Emmy od fotela, tak że lekko zamoczona zatoczyła się obok samochodu. Pielęgniarz w mgnieniu oka poderwał ją z ziemi za ramię i popchnął w stronę karetki.

– No na co czekasz! – krzyknął napastnik do długowłosego, który wyraźnie nie był zdecydowany, kim najpierw powinien się zająć. Ale wtedy pielęgniarz krzyknął jeszcze głośniejszym głosem i wskazał głową na asfalt.

Przedmiot, który do tej pory trzymał w ręku, upadł na ziemię podczas walki. Widocznie potrzebował go, aby obezwładnić Emmę, która powoli odzyskiwała przytomność umysłu i dziko kopała nogami. Mimo silnej postury mężczyzna musiał użyć całej siły, żeby utrzymać ją w szachu.

– Czego od niej chcecie?! – krzyknął Marc i kątem oka zauważył, że na trzecim piętrze jego domu zapaliło się światło. Hałas silników, błyskające światła i wrzaski prędzej czy później powinny skłonić któregoś z lokatorów do wezwania policji. Raczej później, ponieważ nocne awantury w Schöneberg nie były niczym nadzwyczajnym i większość mieszkańców wychodziła z założenia, że ich bliźni potrafią rozwiązywać bieżące konflikty sami, bez pośrednictwa organów państwa, zwłaszcza że ambulans z całą pewnością robił uspokajające wrażenie na osobach postronnych.

– Proszę, nie – jęknęła Emma. Długowłosey właśnie podniósł podłużny przedmiot w kształcie cygara i podał go współnikowi.

– Teraz kolej na ciebie – powiedział i zrobił krok w stronę Marca, kiedy upewnił się, że brodacz znów

panuje nad sytuacją, ponieważ wykręcił Emmie rękę do tyłu i podciągnął nadgarstek aż do łopatki. Jej okrzyki bólu przeszły w przeciągłe wycie.

Marc najchętniej z miejsca rzuciłby się na mężczyznę, który próbował teraz ułożyć przedmiot w kształcie cygara w takiej pozycji, żeby móc przycisnąć go do jej ramienia.

Ale najpierw musiał minąć tego drugiego, który na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie dużo słabszego niż jego partner. Ale to mogło być mylące. Marc znał ten typ ludzi i wiedział, jak niebezpieczne były właśnie takie wynędzniałe wyrostki, ponieważ sami wyglądali jak ofiary i dlatego się ich nie doceniało. Tacy streetfighterzy rekompensowali sobie niedostatek masy mięśniowej fanatyczną gotowością do autodestrukcji i dalej grzmocili pięściami, gdzie popadnie, nawet jeśli byli ciężko ranni.

– Nie próbuj się stawiać – powiedział sanitariusz i podszedł bliżej, przy okazji miażdżąc nogą okulary Emmy.

Rzepka kolanowa, przeleciało Marcowi przez głowę. Podniósł obie ręce w geście kapitulacji i nawet lekko się uśmiechnął, dokładnie tak, jak radził mu Khaled, szesnastoletni pół-Tunezyjczyk, który po każdej bójce ulicznej przychodził dumny do Plaży, żeby zaprezentować świeże rany.

Khaled miał rację. Rzeczywiście nie ma lepszej części ciała niż rzepka kolanowa, żeby spowodować upadek przeciwnika i na dłuższą metę go obozwładnić. Z tym, że kiedy ofiara jeszcze wije się z bólu, trzeba koniecznie poprawić. Trzy, cztery kopniaki, najlepiej w podbródek i skronie. Jak się dobierze odpowiedni kąt, można takiej sprowadzonej do parteru ofierze jednym kopnięciem wbić kość nosową w czaszkę.

„Kto leży, ginie. Kto stoi, żyje”, wyjaśnił mu najważniejszą regułę ulicy Khaled. Prawo, które już przed laty rządziło życiem Marca i jego brata, na długo przed tym, kiedy ich drogi się rozeszły. Za chwilę miał się przekonać, czy po tak długim czasie to prawo wciąż obowiązuje.

# Rozdział 37

Atak skończył się równie szybko, jak nastąpił. Długowłosey wytrzeszczył oczy w niedowierzaniu, zupełnie jak na karykaturze, kiedy rysownik chce wyrazić najwyższe zdziwienie. Przy czym Marc był chyba jeszcze bardziej zaskoczony niż jego przeciwnik, że ten tak po prostu padł na ziemię, ponieważ nawet go nie dotknął... zrobiła to Emma. Zanim Marc zdążył pomyśleć, jak bez jego pomocy uwolniła się z uchwytu drugiego pielęgniarza, rzuciła mu kluczyki do swojego samochodu.

– Szybko, musimy jechać.

Wciąż jeszcze lekko zamroczona od uderzenia brodacza, zatoczyła się i opadła na siedzenie obok kierowcy w garbusie.

– Nie widzę za dobrze bez okularów.

Marc wpatrywał się skonsternowany w obu sanitariuszy leżących bez ruchu na ulicy.

Tym razem nie tracił czasu, wyrwał się z odrętwienia i już po chwili skręcił w opustoszałą Bülowstraße, po czym nerwowo spoglądając we wsteczne lusterko, popędził zabytkowym volkswagenem przez skrzyżowanie w stronę Nollendorfplatz.

Przez jakiś czas żadne z nich się nie odzywało, ale później nie mógł się już powstrzymać.

– Czego oni od pani chcieli?

Emma nieobecny ruchem sięgnęła po pas i drżącymi rękoma wetknęła klamrę w uchwyt.

– Bleibtreu – wysapała, ocierając strużkę śliny z dolnej wargi. – To byli ludzie Bleibtreua. Mieli mnie zawieźć z powrotem do kliniki. Skasować resztę moich wspomnień.

*Do kliniki? Ale przecież jej już nie ma? Przy Französische Straße 211 jest teraz tylko wielka dziura.*

Emma uszczypnęła się w nos, z trudem łapiąc powietrze, i ciężko dysząc, mówiła dalej. Po każdym zdaniu robiła długą przerwę, żeby hałaśliwie wpompować w płuca powietrze.

– Chcą ode mnie tego samego co od pana. Czy w końcu pan mi wierzy? Tkwimy w tym samym programie. Osobno nie mamy szansy, ale razem możemy im uciec.

Marc odwrócił się w jej stronę. Jej wzrok zdradzał skrajne wyczerpanie, ale poza tym sprawiała wrażenie osoby zdrowo myślącej, nawet jeśli to, co mówiła, brzmiało jak jakaś popieprzona teoria spiskowa.

*Ale po co to wszystko?*

Zakładając, że naprawdę był taki program – jakie wspomnienia chciano mu skasować? *A może już skasowano?*

Już sama próba szukania odpowiedzi na te nedorzeczne pytania graniczyła z obłędem. Dlatego zmienił temat.

– Jak pani to zrobiła?

– Co?

– No, tym mężczyznom. Jak pani ich załatwiła?

Emma błysnęła śnieżnobiałymi zębami.

– Ugryzłam go. – Uśmiechnęła się chyba po to, żeby pozbyć się napięcia. – Wtedy zabrałam mu... jak

to się nazywa... – Pokazała mu przedmiot w kształcie cygara, którym groził jej brodac. – Pistolet do szczepienia?

Marc obrzucił przedmiot krótkim spojrzeniem, przejechał Kurfürstenstraße na żółtym świetle i przytaknął. *Środek odurzający*. Załatwiła napastników ich własną bronią.

– Mam nadzieję, że jeszcze żyją – powiedziała cicho i w jej głosie nagle pojawiła się niepewność. Tak jakby chciała usłyszeć od Marca, że postąpiła słusznie. – Przecież tylko się broniłam.

Skinął głową.

*Cel uświęca środki. Czasem trzeba zrobić coś złego, żeby osiągnąć dobry skutek.*

Zwolnił, kiedy na zakręcie przy hotelu Esplanade zobaczył znak ograniczający prędkość do trzydziestu kilometrów na godzinę. Nie miał pojęcia, dokąd go ta jazda zaprowadzi i kim była ta kobieta, która towarzyszyła mu wbrew jego woli i sprawiała na nim nie tylko coraz bardziej tajemnicze, a teraz również coraz bardziej groźne wrażenie.

– Kim pani jest? – zapytał.

Spojrzała na niego, zawahała się przez moment, znów spuściła wzrok, mówiąc:

– Wszystko już panu powiedziałam. Wszystko, co jeszcze o sobie wiem. Resztę wspomnień już mi zabrali.

– Nonsens.

Przestraszyła się, kiedy Marc ze złością uderzył rękami w plastikową kierownicę.

– Przecież to nie przypadek, że spotkaliśmy się akurat dzisiaj.

Emma odetchnęła głośno.

– Nie, to nie przypadek. Czekałam na pana na budowie, już pan zapomniał? Nigdy tego nie ukrywałam.

– Emma z wściekłością wyjrzała przez szybę. – Jestem po pana stronie, jakiego dowodu jeszcze pan żąda? Mam dać się zabić ludziom Bleibtreua?

Kiedy Marc minął Potsdamer Straße, rozsunęła zamek błyskawiczny płaszcza i wyjęła komórkę z wewnętrznej kieszeni.

– Do kogo chce pani zadzwonić? – zapytał Marc i wjechał garbusem do tunelu pod Tiergarten. Czerwone X zasygnalizowało mu, że musi zmienić pas.

– Do nikogo.

Emma potarła ręką skroń, drugą wciąż naciskała ten sam klawisz w telefonie, aż znalazła to, czego szukała.

– Tutaj.

Włączyła słabe, brudne światło nad głową i podsunęła Marcowi pod nos wyświetlacz. Ponieważ właśnie wyprzedzał pojazd służby oczyszczania miasta, mógł tylko przelotnie rzucić na niego okiem.

– Co to jest?

– Przecież obiecałam panu dowód. Sam pan widzi. Ona żyje.

– Sandra?

Natychmiast nadepnął na hamulec i garbus wpadł w poślizg. Coś łupnęło dwa razy, groźnie chrupnęły osie, kiedy przejechał przez krawężnik i zatrzymał się przed wyjściem awaryjnym w środku tunelu.

– Uważa pan, że to dobry pomysł? – zapytała Emma, której telefon wypadł z ręki. Musiała najpierw oczyścić klawiaturę z wilgotnego brudu, zanim podała go Marcowi.

– Gdzie pani zrobiła to zdjęcie? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Przecież mówiłam, że szłam za panem, kiedy zostawił mnie pan w hotelu.

Podrapała się w pokrytą strupami rękę.

– To zdjęcie zrobiłam przed komisariatem.

– Sandra była na policji?

Marc trzymał aparat ukośnie, ponieważ światło odbijało się od plastikowego wyświetlacza, ale mimo to coś widział. Żółte volvo, przed którym stał Constantin, pochylając się do drzwi od strony kierowcy, mogło zostać sfotografowane wszędzie i każdego dowolnego wieczoru, nawet jeśli cyfrowy zegar pokazywał godzinę, o której Marc był w komendzie. W końcu przestawienie elektronicznego kalendarza w komórce to pestka.

– Czy to ona? – zapytała Emma i dotknęła palcem miejsca, od którego i tak nie mógł oderwać wzroku. Profil, jasne włosy, szczupłe palce, które pokazywały coś poza kadrem, to wszystko wydało mu się tak bliskie. Jednocześnie obraz był tak niewyraźny i mimo latarni ulicznej, pod którą samochód się zatrzymał, za słabo doświetlony, żeby można było mieć pewność.

– Przyszłam trochę za późno, dokładnie w chwili, kiedy pana teść zegnał się z pana żoną.

*Czyżby Sandra przyjechała na komisariat za Constantinem? Ale jaki to by miało sens?*

Z jakiego powodu ojciec i córka mieliby wspólnie odgrywać przed nim tę okrutną grę? W taniej operze mydlanej wszystko okazałoby się spiskiem mającym na celu zdyskredytowanie go w oczach sądu opiekuńczego i przejęcie kontroli nad nim i jego majątkiem.

*Ale ja jestem zwykłym biedakiem. To Sandra odziedziczy kiedyś duże pieniądze.*

Marc poczuł zimno, które rozlało mu się po plecach, a na dodatek jego dolna szczęka zaczęła lekko drżeć.

Zemsta, pomyślał, i ta myśl jeszcze bardziej go zmroziła. Jeśli rzeczywiście chcą mnie zniszczyć, motywem może być tylko zemsta.

Ale co on im zrobił? Jaki czyn, którego już nie pamiętał, usprawiedliwiłby ten niewyobrażalny koszmar, który mu zgotowali?

*Czy zrobiłem coś tak złego, że Sandra chce mnie za to teraz doprowadzić do obłądu? Coś, co, być może, było powodem, że chciała mnie już kiedyś opuścić? Wtedy, na krótko przed poronieniem?*

Właśnie chciał ponownie uruchomić silnik, kiedy przyszło mu na myśl jeszcze jedno, nie mniej groźne pytanie. Marc nachylił się do Emmy, złapał ją za ramię i zmierzył przenikliwym wzrokiem.

– Czy w moich aktach, które znalazła pani w klinice...

– Tak?

– Znajdowało się również zdjęcie mojej żony?

– Nie.

– Czy ona brała udział w programie Bleibtrea?

– O ile wiem, nie.

– Tak? To w takim razie skąd pani ją zna? – Marc jeszcze mocniej ścisnął jej ramię.

– To boli.

Tylko skinął głową.

– Skąd ma pani pewność, że to Sandra jest na tej fotografii?

Emma wzięła się w jego uchwycie.

– Powiedzieli mi o niej, a mężczyzna wciąż wypowiadał to imię.

– Constantin?

– Jeśli on tak się nazywa, to tak.

Położyła przyjemnie ciepłą dłoń na jego ręce. Od razu rozluźnił chwyt.

– Co mówił?

– Kłócili się. Tylko dlatego sfotografowałam tę scenę. Nie mogłam zrozumieć, co mówiła pana żona, ponieważ nie wysiadła z samochodu, a silnik cały czas był na chodzie.

To nie wygląda na nią. Sandra była tak zaangażowana w ochronę środowiska, że nawet na światłach natychmiast wyłączała silnik, pomyślał Marc i uśmiechnął się z rozrzewnieniem. Z jednej strony dlatego, że często sobie z niej pokpiwał, kiedy samochody za nimi trąbiły, ponieważ nie dość szybko ruszała spod świateł. A z drugiej strony dlatego, że był świadomy, że właśnie analizuje zachowanie zmarłej.

– A mój teść?

– Jak mówiłam, kilka razy powtórzył to samo zdanie.

– Jakie?

Emma dotknęła nerwowo twarzy. Skóra wokół jej oczu była trochę ciemniejsza od reszty.

– Powiedział coś jakby: „Uspokój się, Sandro. Za kilka godzin będzie po wszystkim”.

*Po wszystkim?*

Obok nich przemknął motocykl, a zaraz za nim drugi, jakby zrobiły sobie z opustoszałego tunelu tor wyścigowy. Marc szukał na twarzy Emmy oznak kłamstwa, ale w drganiu powiek dostrzegł tylko nerwowość, natomiast nie zauważył nieszczerości.

– Tak właśnie powiedział. Wtedy odjechała z piskiem opon, a on wszedł do komisariatu i po jakimś czasie wyszedł stamtąd razem z panem.

*Nie wierzę. Przecież to wszystko nie ma sensu. Dlaczego Sandra i Constantin mieliby razem spiskować? Dlaczego się kłócili? Co miało się wkrótce skończyć?*

Im więcej mówiła Emma, tym bardziej rozlatywały się puzzle jego życia, tym trudniej było mu odróżnić, czy to on cierpi na ciężkie psychiczne urojenia, czy może ludzie, którzy go otaczają.

Jeszcze raz spojrzął na zdjęcie Constantina i swojej żony.

– Co za ciekawy zbieg okoliczności, że na zdjęciu nie widać akurat tablicy rejestracyjnej.

– Tak, w pośpiechu nie pomyślałam o tym.

– Oczywiście, że nie. – Zaśmiał się smutno i włączył silnik.

– Ale... – Emma znów pogrzebała w wewnętrznej kieszeni płaszcza i tym razem wyjęła mały notes, z którego wystawały resztki powyrywanych kartek – ...być może to się panu przyda. – Odwróciła bloczek i postukała palcem w ciąg liter i cyfr zapisanych na okładce z tyłu.

B – Q 1371

– Wolałam go zapisać.

# Rozdział 38

Jaka niespodzianka? – zapytał cicho Benny, i tym razem to on nie oczekiwał od Valki odpowiedzi, kiedy powoli szedł korytarzem. Ucho go piekło, jakby już od dwóch godzin rozmawiał przez telefon.

– Czeka na ciebie w łazience.

Straszne przeczucie Benny'ego zmieniło się w pewność. Ktoś był w jego mieszkaniu.

Otworzył przymknięte drzwi i zajrzał do łazienki.

– O mój Boże.

W pierwszym naturalnym odruchu chciał się odwrócić, ale po chwili przewyciężył pierwszy szok i wszedł do środka.

Była naga, miała najwyżej czternaście lat i leżała nieruchomo w wannie. Jej ręce były skrzyżowane za głową, a dłonie tkwiły w o wiele za ciasnych kajdankach, którymi została przykuta do uchwyty prysznic. Jej małe piersi pokrywały ciemne plamy, z których jedne wyglądały jak krwiaki, a inne jak ślady po przypalaniu. Spomiędzy rozłożonych nóg, unieruchomionych w tej pozycji także za pomocą kajdanek, na białej emalii rozlała się czerwona plama.

– To Magda. Pochodzi z Bułgarii.

– Ty psychopatyczna świnió.

– Biorę to za komplement.

Benny sprawdził puls dziewczyny, ale nic nie wyczuł.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał, słysząc w tle śmiech Valki.

– Daj spokój. Nie mam z tym nic wspólnego. To był wypadek. Takie rzeczy po prostu się zdarzają, kiedy moi kumple mają ochotę trochę zbyt ostro się zabawić.

– Dlaczego?! – krzyknął jeszcze głośniejszym głosem Benny.

Dotknął jej szczupłej twarzy i zaczął płakać. Przejechał palcem po jej spękanych ustach i każdym nerwem swojego ciała czuł, jaki strach i jakie męki musiała wytrzymać ta młoda dziewczyna w ostatnich dniach swego beznadziejnego życia.

Natomiast w głosie Valki pobrzmiwała całkowita beztroska.

– Jak już powiedziałem, ona jest moim ubezpieczeniem na wypadek, gdybyś miał zamiar w jakikolwiek sposób wkopać mnie w sprawę tego zasranego dziennikarzysty Sukowsky'ego. Teraz nie będzie to już takie łatwe, kiedy znajdą u ciebie tę małą. Zastanów się, czy prokurator będzie wyrozumiała dla seryjnego mordercy?

Benny ukrył twarz w dłoniach, oddychał nierówno i czuł zapach zwłok na palcach, którymi dotykał Magdy. Fakt, że poznał jej imię, tylko pogarszał sprawę.

– Za pół godziny zadzwonię na policję – powiedział Valka. – Powinieneś więc jak najszybciej brać nogi za pas. Zapewniam cię, że nawet jeśli szybko pozbędziesz się dziewczyny, w wannie zawsze zostanie dość śladów DNA.

Z tymi słowami rozłączył się i zostawił go w morzu bólu, na który nie było środka znieczulającego. Benny usiadł na brzegu wanny i jego ciało zaczęło drżeć. Potem nie potrafił sobie przypomnieć, jak długo

trwał tak w bezruchu. Wydawało mu się, że wieczność; ale prawdopodobnie upłynęło zaledwie kilka minut, kiedy nagle usłyszał kroki na korytarzu.



# Rozdział 39

**B** – Q 1371

Był tylko jeden człowiek, który mógł mu doradzić, jak ustalić właściciela pojazdu, jeśli nie ma się dostępu do policyjnego komputera albo rejestru meldunkowego. Wprawdzie, jak przypuszczał Marc, człowiek ten ze zrozumiałych powodów z pewnością nie będzie pałał szczególną chęcią pomocy, zwłaszcza o tej porze. Mimo to nie widział alternatywy, ponieważ raczej nie mógł drugi raz iść na policję, a już na pewno nie z tym pytaniem, które tylko uprawdopodobniłoby podejrzenie jego postępującego zaburzenia psychicznego.

– Halo?

Marc posuwał się powoli w stronę światła, które padało przez uchylone drzwi łazienki do wąskiego przedpokoju. Z każdym krokiem narastało w nim uczucie *déjà vu*, w którym nie było już miejsca na myślenie o prawdziwych powodach, dla których tu przyszedł.

Dokładnie tak samo było podczas jego ostatniej niezapowiedzianej wizyty. Szedł tym samym korytarzem i kilka chwil później znalazł swojego brata leżącego bez ruchu w wannie. Jednak wtedy drzwi do mieszkania nie były tak szeroko otwarte, jak teraz.

– Benny? – usłyszał swój głos i zaraz potem poczuł ulgę, dostrzegając oznaki życia. Za mleczną szybą pojawił się cień. Cień stawał się coraz większy i po chwili otworzyło się przed nim coś więcej niż tylko drzwi do łazienki.

Marc czuł się, jakby niewidzialna ręka odwracała kruchy pergamin starego albumu z fotografiami. Twarz, którą ujrzał, była mu bliska, a jednocześnie obca, jak dawno zapomniana fotografia, która tylko w ogólnych zarysach zgadza się z wyidealizowanym obrazem z przeszłości. Podczas zeznań przed komisją lekarską udało mu się uniknąć spotkania z Bennym. Teraz patrzył swojemu młodszemu bratu prosto w twarz, po raz pierwszy od lat.

– Cześć, mały. – Marc powiedział to głosem, którego sam nie poznawał. Niepewnym, zdenerwowanym, a mimo to silącym się na swobodę. Benny nie odpowiedział i patrzył na niego tak samo wstrząśnięty jak tamta kobieta, która zaledwie kilka godzin wcześniej nie wpuściła Marca do jego własnego mieszkania i którą ciągle uważał za Sandrę.

Benny na ślepo sięgnął za siebie i nie spuszczał brata z oczu, przymknął drzwi do łazienki. Nie podniósł ręki na powitanie, nie zgarnął nawet z czoła mokrych od potu czarnych włosów, których Marc zazdrościł mu już jako nastolatek.

Zamiast tego Benjamin Lucas włożył dłonie zaciśnięte w pięści do kieszeni zielonej metalicznej kurtki i zmierzył go trudnym do zinterpretowania spojrzeniem.

*Rozpacz? Niepokój? Wściekłość?*

Nagle przeszła Marca straszna myśl, zostawiając palący czerwony ślad w jego duszy, jak pokrzywa na gołej skórze.

*Co będzie, jeśli mnie nie pozna? Tak jak Sandra?*

*Co będzie, jeśli tego wszystkiego tutaj nie ma? Jeśli wszystko jest tylko urojeniem: mój brat,*

*przedpokój, łazienka za jego plecami?*

Marc przypomniał sobie krótkie opowiadanie w czasopiśmie psychologicznym, które zaczął kiedyś czytać w poczekalni u dentysty. Traktowało ono o pacjencie, który przyszedł do psychiatry, którego uważał za produkt swojej chorej wyobraźni. Był bowiem święcie przekonany, że jest jedynym człowiekiem, który przeżył epidemię wirusa, ostatnim człowiekiem na ziemi, który uciekł w urojony świat, żeby nie umrzeć z samotności. Psychiatra stanął teraz przed niemal nierozwiązywalnym zadaniem: jak przekonać pacjenta, że nie cierpi na halucynacje, że wszystko, co widzi i czuje, naprawdę istnieje – i to nie w stworzonym przez niego wyimaginowanym świecie, lecz w rzeczywistości.

Marc został wezwany do gabinetu, zanim przeczytał zakończenie. Jeszcze nigdy tak bardzo nie żałował, że nie poznał zakończenia jakiejś historii, jak w tym momencie.

Wiesz, kim jestem? – chciał zapytać, ale Benny go ubiegł.

– Nie za dobry moment, Marc.

Osobisty i zażyły ton jego słów, taki, jakim człowiek zwraca się tylko do znajomych, przy których można być sobą, i krótkie uniesienie brwi – gest, którym dawniej zawsze się witali – wszystko to rozwiało największe obawy Marca. Nie był dla niego kimś obcym.

– A więc znasz mnie – wyrzucił z siebie z ulgą, nie zastanawiając się, jak absurdalnie musiało to zabrzmieć. Ale Benny wydawał się bardziej przybity niż on sam, nawet jeśli fizycznie wyglądał dużo lepiej niż dawniej: jakby większy, bardziej umięśniony, jak sportowiec, który dzięki treningowi ukształtował sobie sylwetkę. A mimo to jego brat sprawiał wrażenie wyczerpanego, jakby był przesiąknięty melancholijnym zmęczeniem, niemającym nic wspólnego z senną aurą, która otacza osobę wyrwaną w środku nocy z głębokiego snu. Wydawało się, że na jego barkach spoczywa niewidzialny ciężar, który uniemożliwia mu zrobienie kroku w stronę brata.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział Marc.

– Nie mogę.

Liczył się z taką odpowiedzią, a jednak był zaskoczony. Z jednej strony bowiem była ona krótka, zwięzła i odmowna, ale z drugiej strony głos brata zabrzmiał dużo bardziej łagodnie, niż się spodziewał. Bądź co bądź był odpowiedzialny za jego przymusowy pobyt w szpitalu psychiatrycznym, ale nic nie wskazywało, żeby Benny był do niego wrogo nastawiony. Wydawało się, że to raczej on sam pilnie potrzebuje pomocy.

– Niestety musisz już iść, ponieważ... – przerwał w pół zdania. Drzwi wejściowe były jeszcze otwarte i gdzieś na klatce schodowej coś głośno trzasnęło, jakby skórzana podeszwa męskiego buta zgniotła łupinę od orzecha.

Benny zmartwiał.

– Posłuchaj, przyszedłem tu z... – zaczął Marc. Chciał wyjaśnić, że nie jest sam, ale Benny dał mu znak, żeby był cicho. Znów coś trzasnęło i chociaż tym razem odgłos przypominał skrzypnięcie belkowania starego domu, Marc poczuł, że nerwowość brata się nasila.

– Czy ktoś cię śledził? – zapytał szeptem Benny.

– Nie.

W tym momencie drzwi otworzyły się raptownie i Benny wyszarpnął z kieszeni kurtki coś, czego Marc jeszcze nigdy nie widział w ręku swojego młodszego brata: odbezpieczony pistolet szybkostrzelny.

# Rozdział 40

Dwie minuty po tym, jak Emma o mało co nie została zastrzelona przez Benny'ego, ponieważ nie chciała dłużej czekać pod drzwiami mieszkania, wszyscy troje trochę się uspokoili i przeszli do salonu, stając obok podłużnego ręcznie robionego dębowego stołu, na którym stała patera na owoce wypełniona bananami, jabłkami i winogronami. Marc nie dostrzegł na świeżo wypolerowanym blacie ani obwódek po szklankach, ani kurzu. Leana, pielęgniarka, powiedziała prawdę. Benny się zmienił. Jego wiecznie splukany młodszy brat, który dawniej wolał spać pomiędzy pudełkami po pizzy i pustymi puszkami po Red Bullu, najwyraźniej zmienił sposób odżywiania na dietę wysokowitaminową i miał sprzątaczkę. Albo przyjaciółkę, co było jeszcze trudniejsze do wyobrażenia. Jedyne, co przypominało jego wcześniejsze warunki mieszkaniowe, to nieświeże powietrze na całym poddaszu. Osobliwy słodkawy zapach, który zdradzał, że już dawno nie było tu wietrzone albo że trzeba pilnie wyrzucić śmieci.

Tymczasem Benny schował pistolet i nerwowo spojrzął na zegarek.

– Czego chcecie? – zapytał niepewnie. Zamrugał, jakby ktoś sypnął mu piaskiem w twarz. Jego powieki były napuchnięte. Wyglądało, że jest niebywale spięty.

– Potrzebuję informacji, Benny.

– Jakiej?

– Musisz sprawdzić dla mnie numer samochodu.

Jego brat z niedowierzaniem wypuścił powietrze z płuc i zaśmiał się sztucznie.

– W środku nocy? Już całkiem oszalałeś?

Marc skinął głową.

– Możesz wierzyć lub nie, ale właśnie po to tu przyszedłem, żeby się tego dowiedzieć.

Sięgnął po jabłko. Chociaż przez cały dzień nic nie jadł, zupełnie nie miał apetytu i odłożył je z powrotem.

– Tak... – Benny spojrzął w stronę okna. – A więc, jeśli chcesz znać moje zdanie, to twoja gruba przyjaciółka zdecydowanie musi być lekko stuknięta. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

Emma odłączyła się od braci i podeszła blisko okna w salonie. Dotykała ciężkiej płóciennej zasłony, jakby chciała sprawdzić jakość tkaniny, w drugiej ręce trzymała komórkę, do której szeptała coś, co docierało do braci zaledwie z strzępach.

– ...teraz jestem... mieszkaniu Benjamina Lucasa... blisko Kollwitz... piąte piętro...

– Do diabła, co ona wyprawia?

– Nagrywa się na swoją pocztę głosową.

– Że co, proszę?

– Dobra, odpuść sobie, to teraz nie jest ważne.

Marc zaczął streszczanie ostatnich godzin od pytania, czy Benny słyszał o jego wypadku, ale ten tylko wzruszył ramionami. Pierwszy raz okazał poirytowanie, ale wyglądało na to, że sporo wysiłku kosztuje go nadanie głosowi tonu oburzenia.

– Sorry, ale jak być może wiesz, jeszcze do niedawna przebywałem w klinice dla nerwowo chorych, a

tam człowiek ma dość ograniczony kontakt ze światem zewnętrznym.

Przysunął sobie krzesło. Pełen wyrzutów ton znikł już przy następnym zdaniu.

– Posłuchaj, naprawdę bardzo mi przykro z powodu Sandry, ale nic nie wiem o okolicznościach jej śmierci. Nie wiedziałem nawet, że była w ciąży. Bardzo ci współczuję, Marc, ale w tej chwili mam naprawdę inne zmartwienia.

– Ładny – usłyszał za sobą mamrotanie Emmy i obaj odwrócili się do niej.

Emma odeszła od okna, wskazała na obraz bez ram wiszący na ścianie, tuż nad skórzaną kanapą.

– Też bym tak chciała. – Podeszła jeszcze krok bliżej z rękami założonymi na plecach, jak osoba zwiedzająca muzeum, która chce odczytać podpis pod obrazem.

„Też bym tak chciała?” Ale co...?

Obraz był białą powierzchnią, przez którą tu i ówdzie prześwitywało gruboziarniste jasnobrązowe płótno. Z daleka sprawiało wrażenie spryskanego delikatną mleczną mgiełką.

– Opowiem ci krótko, co mnie dzisiaj spotkało... – zaczął Marc, ale Emma znów mu przerwała: – Pan to namalował?

Ku bezgranicznemu zdumieniu Marca tymi kilkoma słowami najwyraźniej skupiła na sobie całą uwagę jego brata. Benny podszedł do niej i zmęczony skinął głową.

– Tak.

*Tak?* Wiedział o namiętności Benny’ego do sztuki, kiedyś jego brat odważył się nawet stworzyć okładkę do ich płyty demo. Ale wtedy jego propozycje nie były tak bardzo abstrakcyjne.

– Piękne. Ten dom... – Emma wskazała na błądy obraz. – Ten las w oddali.

Dom? Las? – pomyślał Marc i też podszedł bliżej. Rzeczywiście, wydawało się, że w tle coś się kryje. Obraz przedstawiał szeroką równinę, jednak nie było na nim widać żadnego budynku, co najwyżej lodowatą śnieżną pustynię albo zachmurzony krajobraz – i to też tylko przy bardzo dużej dawce fantazji.

– Benny, posłuchaj mnie przez chwilę, proszę – spróbował nawiązać rozmowę. Wprawdzie jego brat skinął głową, ale tak jak Emma wydawał się całkowicie pochłonięty obrazem. Marc zaczął opisywać traumatyczne wydarzenia, jakie spotkały go w ciągu ostatnich godzin, ale nie był pewny, czy ktokolwiek z tamtej dwójki w ogóle go słucha. Tym bardziej się zdziwił, kiedy jego brat, gdy już oderwał się od swojego dzieła, potrafił wszystko poprawnie podsumować.

– A więc, jeśli dobrze cię zrozumiałem, jest tak: po tym, jak umieściłeś mnie u czubków, teraz przychodzisz i mówisz mi, że Sandra z dzieckiem zginęła w wypadku. Potem ktoś wyczyścił ci pamięć, twoja żona w jakiś sposób zmartwychwstała, ale nie ma na to dowodu poza niewyraźnym zdjęciem blondynki, która siedzi w żółtym volvo, a ty potrzebujesz adresu właściciela samochodu?

– B – Q 1371 – przytaknął Marc.

Benny chciał właśnie coś powiedzieć, kiedy rozległo się rytmiczne brzęczenie, które trochę przypominało Marcowi jego dzwonek do drzwi. Jego brat wyjął z kieszeni spodni telefon komórkowy, przeczytał odebrany SMS i wykrzywił twarz, jakby właśnie przy żuciu gumy wypadła mu plomba.

– Co jest?

Zdziwiony patrzył, jak brat bez słowa podchodzi do telewizora, stojącego na komodzie. Otworzył lakierowane drzwiczki i wyjął nowiutką, do połowy otwartą sportową torbę. Marc nie był pewny, ale wydawało mu się, że zobaczył paczkę banknotów, zanim brat zamknął suwak.

– Kto tak późno wysyła ci jeszcze wiadomości?

Benny spojrzał na niego pozbawionym wyrazu spojrzeniem i przewiesił torbę przez ramię.

– Musimy iść – powiedział i nagle zamilkł. – Gdzie ona jest? – zapytał Marca, który w pierwszej chwili nie domyślił się, o czym Benny mówi. Potem on również zauważył, że Emma nie stoi już przed obrazem.

Nawet nie było jej w pokoju!

– Nie mam pojęcia – powiedział i spojrzał na drzwi do salonu.

*Czy jeszcze niedawno nie były przymknięte?*

Znał odpowiedź, jeszcze zanim w przedpokoju rozległ się wrzask Emmy.

# Rozdział 41

**I**dziemy! Musimy się stąd wynosić!

Emma w panice szarpała drzwi wejściowe, które Benny zamknął na zamek, zanim weszli do salonu. Coś musiało ją tak wystraszyć, że nawet nie zauważyła klucza tkwiącego w zamku, którego masywna zasuwka biegła w poprzek drzwi.

– Co się dzieje? – zapytał Marc.

– Wynośmy się stąd! – krzyknęła przeraźliwie. Po jej przekrwionych policzkach spływały łzy, a teraz kopała w drzwi na zmianę obiema nogami.

– Hej, spokojnie. – Marc próbował wyjaśnić sytuację, ale kiedy dotknął jej ramienia, odskoczyła z nieoczekiwaną gwałtownością i niechcący uderzyła go kantem dłoni w szczękę.

– Cholera, co się dzieje?! – wrzasnął Marc równie głośno jak Emma, która chyba zachłysnęła się własną śliną i zaczęła gwałtownie kasłać.

– Ona... – wydyszała, z trudem łapiąc powietrze – ona nie żyje.

*Ona nie żyje?*

– Kto? O kim ona mówi?

Marc spojrzał na Benny'ego, który wzruszając ramionami, stał w przedpokoju dwa metry za nim, mniej więcej na wysokości drzwi do łazienki. Potem znów odwrócił się do Emmy, którą wstrząsały kolejne ataki kaszlu. Zaczęła charczeć i Marc starał się rozpiąć jej puchowy płaszcz, ale okazało się to możliwe, ponieważ oparta plecami o ścianę kobieta powoli osunęła się na podłogę, gdzie przykucnęła przed drzwiami jak zbity pies.

– Zostawcie mnie – skomlała. Jej ręce odparowywały wymaginowane uderzenia i zaczęła dusić się, jakby brakowało jej powietrza.

– Nie żyje – powtórzyła ostatni raz. Dyszała teraz tak, jakby przez kilka minut przebywała pod wodą i wynurzyła się w ostatniej chwili. Z każdym oddechem jej masywny biust unosił się coraz wyżej, a mimo to wydawało się, że pompuje do płuc coraz mniej tlenu. W końcu, po ostatniej rozpaczliwej próbie złapania powietrza, wywróciła oczy i całkowicie zapadła się w sobie.

– Cholera, ona całkiem nadaje się do wariatkowa.

– Stamtąd właśnie wyszła – potwierdził Marc, starając się wyczuć puls Emmy, ale z powodu jej podwójnego podbródka było trochę trudno od razu znaleźć tętnicę szyjną.

– Nic jej nie jest, tylko straciła przytomność.

Marc spojrzał bezradnie na Benny'ego.

– I co teraz?

– Nie mam pojęcia, w każdym razie tutaj nie może zostać.

Szybkimi ruchami rąk odryglował zamki, z którymi nie poradziła sobie Emma, i otworzył drzwi. Potem przycisnął włącznik na korytarzu i na klatce schodowej zapaliło się żółtawe energooszczędne światło.

– Chodź, musimy zawieźć ją na pogotowie.

Wzięli Emmę pod ramiona, każdy z nich zarzucił jej rękę wokół własnej szyi i wyciągnęli ją na

zewnątrz. Marc ledwo zdołał unieść jej ciężar. Ostatnie godziny i tak dały się we znaki jego osłabionemu organizmowi, a teraz zastanawiał się, czy to dobry pomysł, aby z groźnym odpryskiem w karku taszczyć z piątego piętra tak ciężką osobę. Nie tak dawno Constantin zakazał mu nawet noszenia kartonów przy przeprowadzce.

– Pomogę ci tylko do samochodu, potem musisz radzić sobie sam – powiedział Benny, kiedy zeszli do trzeciego piętra.

– Gdzie się jeszcze wybierasz o tej porze? – wysapał Marc. Najchętniej zrobiłby przerwę na odpoczynek, ale wyglądało na to, że Benny się śpieszy i nawet podkręca tempo.

– Przykro mi, nie mogę ci powiedzieć.

– Posłuchaj, nie możesz mnie teraz tak zostawić. Jesteś mi coś winny.

Akurat musieli zatrzymać się na chwilę, ponieważ stopy Emmy zaczęły się o poręcz na podeście drugiego piętra. Wydała krótki jęk, ale wyglądało na to, że nie zdaje sobie sprawy, co się wokół niej dzieje.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytał Benny.

– Uratowałem ci życie.

– Jeden powód więcej, żeby trzymać się od ciebie z daleka.

– Wiem, że mnie nienawidzisz. Ale uwierz, że nie przyszedłbym do ciebie, gdybym miał inny wybór.

Wreszcie dotarli do ciężkich kutych drzwi wejściowych i Marc, który był cały zlany potem, musiał teraz sam utrzymać Emmę. Kiedy jego brat otworzył drzwi, zimne ciężkie powietrze wtargnęło do i tak chłodnego holu. Potem wrócił i wspólnie wytaszczyli Emmę na dwór.

– Proszę, zrób mi tę ostatnią przysługę, Benny. Zadzwoń do któregoś z przyjaciół. Przecież masz swoje źródła. Sprawdź numer rejestracyjny, daj mi adres właściciela, a na zawsze zniknę z twojego życia.

– Nie.

Posadzili Emmę na zasmarowanym graffiti występie muru obok wejścia. Marc upewnił się, że kobieta pewnie opiera się plecami o ścianę budynku, potem dołączył do brata, który stał na środku podjazdu i szukał kluczyków do samochodu w kieszeniach kurtki.

– Ty parszywy gnojku, dlaczego nie?

Z ust Marca wydobywały się kłęby pary, kiedy zastąpił bratu drogę.

Mieszkanie Benny'ego znajdowało się przy mało ruchliwej brukowanej ulicy, z miejscami parkingowymi usytuowanymi tak, że ograniczały i spowalniały ruch uliczny. Liczne sklepy, których wystawy oświetlały okolicę, pasowały do potocznych wyobrażeń o tej dzielnicy. Ten, kto sprowadzał się do Prenzlberg, był trendy, nowoczesny, przyjazny środowisku naturalnemu, kochający dzieci i uświadomiony. A więc z reguły nie był berlińczykiem i dlatego wszędzie dominowały hiszpańskie delikatesy, anglojęzyczne przedszkola, indyjskie herbaciarnie oraz ciągi alternatywnych sklepów designerskich. Okolica wokół Kollwitzplatz zaliczała się do rejonów Europy mających najwyższy wskaźnik liczby dzieci przypadających na jednego mieszkańca i dlatego nie mogło dziwić, że ulice wyglądają jak wymarłe. Pracujący zawodowo rodzice mieli jeszcze kilka godzin, zanim zadzwoni budzik. Artyści i studenci spali albo hulali dwie ulice dalej, gdzie były jeszcze otwarte knajpy i bary.

– Hej, mówię do ciebie. Dlaczego nie możesz wyświadczyć mi ostatniej przysługi, zanim na zawsze zniknę z twojego życia?

– Bo numer rejestracyjny nic ci nie da. – Benny ściągnął brwi i patrzył ponad jego ramieniem na ulicę.

Marc wietrzył podstęp i powstrzymał chęć odwrócenia się.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo już to sprawdziłem.

– Jak? Przecież do nikogo jeszcze nie dzwoniłeś?

A może? Czyżby niepostrzeżenie wysłał SMS, na który dostał właśnie odpowiedź? Marc nie był tego pewny, bo dzisiaj za dużo już wydarzyło się rzeczy, na które nie miał wyjaśnienia.

– Do nikogo nie musiałem dzwonić – powiedział Benny i wskazał na przeciwległą stronę ulicy. Marc odwrócił się i serce zamarło mu w piersi.

Po drugiej stronie, w bramie obok kawiarni, stała karetka. Jak na komendę kierowca zapuścił silnik i ambulans powoli wytoczył się na ulicę.

Tym razem nie było widać osób za przyciemnioną przednią szybą, za to doskonale było widać oświetloną tablicę rejestracyjną:

B – Q 1371

– Do diabła, co tu się do cholery dzieje? – zapytał Marc i gwałtownie odwrócił się z powrotem. Na występie muru nie było nikogo, Emma już na nim nie siedziała, lecz stała tuż za nimi i celowała z pistoletu Benny'ego prosto w jego głowę.



# Rozdział 42

**A** więc jednak!

Marcowi prawie ulżyło, że wreszcie się co do czegoś nie pomylił. A jednak to Emma była zagrożeniem. Nie stała po jego stronie przepaści, a jeśli, to tylko dlatego, żeby go w nią strącić.

*Wszystko było tylko po to, żeby mnie zmylić. Akta w pokoju hotelowym, zdjęcie Sandry, utrata przytomności przez Emmę, która umożliwiła jej zabranie broni Benny'emu, kiedy znosił ją po schodach.*

– Musimy się stąd wynosić! – wysapała ochryple Emma, która ciągle wyglądała na całkiem osłabioną. Jej okrągła twarz była jeszcze bardziej obrzmiała i spocona, a policzki pokrywały ciemnoczerwone żyłki. Oczy zamykały jej się ze zmęczenia, ale w dalszym ciągu miała dość siły, żeby w sekundowych odstępach czasu celować z pistoletu raz w niego, a raz w jego brata. Jednocześnie rzucała przerażone spojrzenia na karetkę, która właśnie minęła ich w żółtym tempie, prawdopodobnie dlatego, że kierowca na czas zauważył broń w ręku Emmy i nie chciał mieszać się w konflikt.

– Co mam zrobić? – zapytał spokojnie Marc. Jego świadomość automatycznie przełączyła się na tryb niemal obojętny, który przyswoił sobie w ciągu długoletniej pracy z dziećmi ulicy; tam konflikty były na porządku dziennym.

– Do mojego samochodu, proszę! – Emma pokazała na swojego garbusa, który stał w zatoczce jednym kołem na krawężniku, oddalony mniej więcej o dwadzieścia kroków od nich.

– Dobrze, pójdę z panią – odpowiedział Marc. – Ale najpierw musi mi pani oddać broń.

– Nie. – Głos Emmy przeszedł w przeraźliwy dyszkant. – Czy pan nie rozumie? Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Szybko!

Na koniec krzyknęła:

– Musimy uciekać!

– Cisza!

Wszyscy troje gwałtownie odwrócili głowy w stronę wejścia do sąsiedniego domu, ale nikogo nie zauważyli. Nigdzie nie było widać tego człowieka, który na nich wrzasnął. Za to brama wejściowa była szeroko otwarta, a znajdujący się za nią wjazd był pogrążony w całkowitej ciemności.

– Kto tam jest? – zapytała Emma, raz jeszcze oglądając się przez ramię. Zamiast odpowiedzi usłyszeli ciche skrobanie przy akompaniamencie metalicznego pobrzękiwania łańcucha ciągniętego po kamieniach.

– Halo? – zapytała jeszcze raz i wtedy cała ta już i tak dziwaczna sytuacja stała się całkowicie absurdalna, ponieważ nagle z bramy wyjrzał kudłaty łeb psa. Szaro-czarny mieszaniec retrievera popatrzył prosto na nich, ziewnął z szeroko otwartym pyskiem i beztrudnie wyszedł na deszcz. Jego gęsta sierść była tak sfilcowana, że krople mogły przeniknąć tylko przez jej górną warstwę.

– Freddy, wracaj – zabełkotał słaby głos, który jeszcze przed chwilą się na nich wydarł. – Chodź tu i kładź się spać.

*To tylko jakiś menel. Przeszkodził mi wólczędze.*

Na twarzy Emmy pojawił się wyraz ulgi. Jedynym świadkiem ich scysji był nieszkodliwy kloszard,

który razem z bezpańskim kundlem rozbił obóz w otwartym wejściu do domu. Znow skoncentrowała się na Marcu i Benny i pistoletem wskazała im drogę do samochodu.

– Gdzie pani chce jechać?

– Najpierw jak najdalej stąd. Ale bez niego. – Wskazała na Benny’ego, który wzruszył ramionami.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Dobrze, zaraz wszystko wyjaśnimy – powiedział Marc, najłagodniej jak potrafił. – Ale najpierw musi pani oddać mi broń.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie, nie mogę. Jedźmy! – Emma znow wpadła w histerię i rozpaczliwie wykrzyczała: – Inaczej nas też zabije!

Marc rzucił nic nierozumiejące spojrzenie najpierw Benny’emu, a potem Emmie.

– Zabije?

– Tak, on jest zły.

Mimo dziecinnego określenia, jakiego użyła, w jej głosie nie było nic uroczego.

– Zły? Co pani ma na myśli?

– Nie poczuł pan?! – krzyknęła, a pies, który zdążył wrócić do swojego pana, znow zaczął szczekać.

– A co miałem poczuć?

– Przecież to było całkiem wyraźne. Smród w mieszkaniu.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

Mętlik i ból w głowie Marca narastały z jednakową siłą. Musiał jak najszybciej wziąć tabletkę.

Emma otworzyła drzwi samochodu.

– Zabił ją. Dziewczynkę w łazience. Poszłam za zapachem i znalazłam ją.

– Stara ma paranoję – wtrącił się Benny, a jego słowa wiernie oddały to, co myślał Marc.

– Proszę, niech pan wsiada – powiedziała niemal błagalnym tonem Emma. – Tylko pan, Marc. Bez pana brata. Musi mi pan zaufać.

– Zaufać? – Marc z trudem zachowywał spokój. Jedyłą rzeczą, która powstrzymywała go od dania jej w twarz, był pistolet w jej ręce.

– Tak, wszystko panu wyjaśnię.

– Najlepiej niech pani zacznie od numeru rejestracyjnego. Dlaczego pani skłamała?

Emma znow zaczęła silniej drżeć.

– Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Benny chciał coś powiedzieć, ale Marc go uprzedził.

– A więc jest pani w znowie z tamtymi, tak? Zaangażowali panią, żeby mnie doprowadzić do obłądzenia?

– Nie.

– Ale dlaczego? Kto ma w tym interes, żeby mnie zniszczyć?

– Dobre pytanie, ale nie umiem panu odpowiedzieć, Marc. – I powtórzyła: – Musi mi pan zaufać.

– I to mówi kobieta, która rzekomo potrafi wyczuć zapach zwłok i wywija nam przed nosem kradzioną broń. – Benny roześmiał się głośno.

Marc przytaknął skinieniem głowy, chociaż coś mu nie pasowało w głosie Emmy. Albo była cholernie dobrą aktorką, albo rzeczywiście była przeświadczona, że potrafi wytłumaczyć swoje zachowanie.

– Niech pan posłucha, Marc. Wcale mnie nie dziwi, że pan nie wierzy, że widziałam pana żonę. Nie wystarczyło panu nawet zdjęcie Sandry.

Emma lewą ręką wyjęła z kieszeni płaszcza komórkę, aktywowała wyświetlacz i podała mu telefon.

– Do tej pory był pan taki podejrzliwy, a ja nie chciałam znów zostać sama bez niczyjej pomocy. A więc po prostu szybko wymyśliłam jakiś numer rejestracyjny. Pierwszy, jaki przyszedł mi do głowy. Numer karetki pogotowia, która cały czas jeździ za mną, odkąd uciekłam z kliniki.

– Przecież to kolejne bezczelne... – ...kłamstwo, Marc chciał dokończyć zdanie, zanim odebrało mu mowę, kiedy brat bez słowa wyjął mu z ręki komórkę.

– Chwileczkę – powiedział Benny i obrócił wyświetlacz o dziewięćdziesiąt stopni. – To właśnie o tym zdjęciu pani mówi?

– Tak. – Emma spojrzała na niego nieufnie. – Bo co?

– Żółtego volvo?

– Tak.

– Z wgnieciem w boku?

Emma przytaknęła energicznie, chociaż wydawało się, że nie ma pojęcia, czemu ma służyć to przesłuchanie.

– W prawym czy lewym?

– Wgniecie? Nie wiem. Wydaje mi się, że w lewym, z tyłu.

Znów się rozkaszała, po jej policzkach spływał pot.

– O co chodzi? Czyżbyś znał ten samochód? – wtrącił się Marc. Objął tułów rękami, nie wiedząc, czy dreszcz, który go przeszedł, to wynik zimna, czy bardziej strachu. Prawdopodobnie jedno i drugie.

Benny cmoknął potwierdzająco.

– Tak. Niedawno nawet nim jechałem.

– Naprawdę? A więc wiesz, do kogo należy?

Kątem oka Marc dostrzegł, jak po drugiej stronie ulicy jakiś rowerzysta zsiada z roweru i przygląda się im z zainteresowaniem.

– Niestety tak.

– Musimy już jechać – powiedziała Emma, która także zwróciła uwagę na rowerzystę, ale Marc wcale jej już nie słuchał.

– Dlaczego Niestety? Do jasnej cholery, czyj to samochód?

– Lepiej, żebyś nie wiedział. – Benny oddał mu komórkę, westchnął i opuścił ręce.

– Dlaczego nie? – zapytał Marc i chciał złapać brata za ramię, ale w tym momencie Benny nagle skoczył do przodu.

Pierwszy strzał rozdarł noc i sprawił, że rowerzysta rzucił się do panicznej ucieczki. Przy drugim strzale już nawet się nie odwrócił, nawet wtedy, kiedy szczekanie psa i okrzyki bólu za jego plecami stawały się coraz głośniejsze.

# Rozdział 43

**W** mgnieniu oka Benny złapał Emmę za rękę, poderwał razem z bronią w górę i nacisnął spust. Kiedy padł drugi strzał, lufa znajdowała się bezpośrednio przy jej skroni. Przerażliwy ból natychmiast wywołał pożądany paralizujący skutek.

Emma wypuściła pistolet z ręki, osunęła się na kolana obok samochodu i przycisnęła obie ręce do lewego ucha, w którym fala ciśnienia towarzysząca wystrzałowi rozerwała bębenek.

– Coś ty zrobił?! – krzyknął Marc, który jeszcze nie do końca rozumiał, co właśnie wydarzyło się na jego oczach. Widział tylko jakąś ciecz sącząca się pomiędzy palcami Emmy, która barwiła na ciemnoczerwony kolor biały kołnierz płaszcza. Dlatego w pierwszej sekundzie przerażenia sądził, że Benny, jego mały Benny, który jeszcze nigdy nie wyrządził nikomu krzywdy, rzeczywiście strzelił jej w głowę. Emma próbowała wstać i chociaż z bólu wydawała z siebie tylko jakieś gardłowe dźwięki, już wiedział, że obrażenia na pewno nie zagrażają jej życiu.

– Co teraz? – Drugie pytanie zadał trochę ciszej i tym razem dotyczyło ono zarówno Emmy, jak i Benny’ego, który znów trzymał w ręku pistolet.

– Spieprzam stąd.

– Nie możesz tego zrobić.

Marc ukląkł obok Emmy i nie wiedział, co ma robić. Jej ucho krwawiło coraz mocniej i krew zlepiła włosy na skroni. Odruchowo dotknął jej czoła, jak matka, która sprawdza temperaturę dziecku. Było rozpalone.

– Trzeba zawieźć ją do szpitala. Benny, proszę, musisz nas zawieźć, musisz...

Wystraszony chwycił rękę Emmy, która nagle zwiotczała i zwisała bezwładnie wzdłuż ciała. Emma znów straciła przytomność.

– Benny, przynajmniej pomóż mi zanieść ją do samochodu.

Podniósł wzrok, spodziewając się dalszych protestów, ale nic takiego nie nastąpiło, ponieważ jego brat zniknął.

– Cholera, niech to jasny szlag...

Mimo zimna Marc zaczął się pocić. Był strasznie przemęczony, ból głowy doszedł do karku, dlatego bał się, że sam nie będzie miał dość siły, żeby zapakować Emmę do samochodu.

*Szlag by trafił!*

Wyjął komórkę z kieszeni spodni, żeby zadzwonić po pogotowie, ale bateria zbuntowała się już po pierwszym naciśnięciu klawisza.

*Cholera!*

Marc obmacał płaszcz Emmy w poszukiwaniu jej telefonu, kiedy przypomniał sobie, że ostatnio trzymał go w ręku Benny i prawdopodobnie ma go do tej pory.

Wstał, oparł się plecami o karoserię i spojrzał na domy po drugiej stronie ulicy. O ile mógł dostrzec, w żadnym oknie nikt nie stał.

*Dlaczego nikt nie zadzwonił na policję? Przecież ktoś musiał usłyszeć strzały.*

Właśnie chciał nachylić się do Emmy, kiedy po raz drugi wzdrygnął się na dźwięk głosu.

– Hej, kolego.

Głos był dużo bardziej cichy, ale ewidentnie ten sam, który niedawno skarżył się na hałas. Marc spojrział na starego mężczyznę na chodniku, który trzymał na smyczy psa.

– Czego pan chce?

Widać było, że bezdomny stara się dbać o ubranie na tyle, na ile pozwalały mu warunki życia na ulicy. Ułatwiał przez to innym ludziom niedostrzeżenie jego nędzy, ponieważ tylko ten, kto się do niego zbliżył, mógł zobaczyć kruszącą się warstwę brudu, która pokrywała drogi niegdyś bawełniany płaszcz, i duże łaty, pod którymi prześwitywała o wiele za duża marynarka. A dopiero potem czuło się słodkawo-zjęłczały zapach niemytego ciała, następną poszlakę wskazującą, że ten człowiek nie posiada stałego miejsca zamieszkania.

– Bądź spokojny, kolego, ja tam nic nie widziałem – powiedział mężczyzna, posyłając mu bezżębny uśmiech.

– Okay, to zresztą nie jest tak, jak może się wydawać. Właśnie odwożę tę kobietę do szpitala.

Marc chwycił Emmę pod ramiona i ostatkiem sił postawił na nogi. Jej oddech był gwałtowny i płytki.

Bezdomny tylko skinął głową i przypatrywał się beztrosko, jak Marc męczy się z ciężarem. Dopiero kiedy udało mu się dowlec Emmę na drugą stronę samochodu, otworzyć drzwi pasażera, posadzić ją na siedzeniu i przypiąć pasem, stary zaczął się cicho śmiać.

– Co za noc, człowieku, no nie?

Marc odwrócił się do niego i otarł pot z czoła.

– Posłuchaj pan, jeśli chce pan pieniędzy, to muszę pana rozczarować. Ja też jestem spłukany.

Upewnił się, że głowa Emmy nie może opaść do przodu, i zamknął drzwi.

– Wiem.

Marc, który właśnie chciał przejść na stronę kierowcy, zatrzymał się.

– Skąd? – zapytał.

– Przepraszam, że zajrzałem. Ale nic tam nie było. Proszę.

Włóczęga wyciągnął do niego brudną rękę. Z czterech palców tylko na jednym nie brakowało paznokcia. W ogóle nie miał kciuka, ale nie to zaszokowało Marca. Wpatrywał się z niedowierzaniem w portfel i jednocześnie obmacywał kieszenie tylko po to, żeby się upewnić, że rzeczywiście była to jego własność, którą bezdomny właśnie chciał mu zwrócić.

– Freddy ją znalazł. Lubi brać do pyska rzeczy, które leżą na ziemi. Mam rację, mój mały?

Bezdomny pogłaskał pysk psa, który od razu położył się na grzbiecie w nadziei na następne pieścizoty.

– Dziękuję – powiedział zmieszany Marc.

– Nie ma sprawy. Jestem uczciwym człowiekiem. Chodź, mały. – Delikatnie pociągnął za smycz i kundel wstał.

– Ale następnym razem zachowujcie się ciszej. – Zaśmiał się, postukał w czoło, odwrócił na pięcie i odszedł.

– Tak, jasne – odpowiedział bezsensownie Marc, obrócił portfel w dłoni i wsadził go do kieszeni. Emma zaczęła cicho pojękiwać w samochodzie. Najwidoczniej odzyskiwała przytomność.

Marc wsiadł do garbusa, wrzucił bieg i włączył silnik. Zanim ruszył, uległ wewnętrznemu impulsowi i

jeszcze raz wyjął portfel. Otworzył go, żeby sprawdzić, czy przynajmniej jeszcze jest w nim dowód osobisty, jedna z ostatnich rzeczy, które mogłyby potwierdzić jego tożsamość. Na szczęście tkwił w przeznaczonej do tego przegródce. Marc próbował wyjąć dokument, aby przyjrzeć się swojej starej fotografii paszportowej, na której wyglądał znacznie młodziej i zdrowiej niż obecnie. Ale poczuł jakiś opór i kiedy całkowicie wyjął plastikowy kartonik, na kolana upadła mu mała kartka.

*Co do diabła...?*

Otworzył złożony papier i nie wierzył własnym oczom.

*Co to jest?*

Był pewny, że nigdy przedtem nie widział tej kartki, a cóż dopiero, żeby miał ją przechowywać w swoim portfelu.

Zgasił silnik, gwałtownym ruchem odpiął pas i wysiadł z samochodu.

– Hej! – zawołał w głąb pograżonej w ciemności bramy, w której przed chwilą znikł bezdomny. – Niech pan tu podejdzie!

Potem zaczął biec, chociaż ledwo miał na to siłę, i w dodatku od razu wiedział, co zastanie w bramie domu: nic.

Zarówno pies, jak i bezdomny, który właśnie przekazał mu odręcznie napisaną wiadomość od jego zmarłej żony, rozplynęli się w powietrzu.

# Rozdział 44

Wielu ludzi popełnia ten błąd, że chcą wszystko powtarzać. Nie zadowolają się wspomnieniem, chcą jeszcze raz przeżyć najpiękniejsze chwile swojego życia. A potem jeszcze raz i jeszcze raz. Dlatego kolejny raz lecą do miejsca, gdzie spędzili urlop i gdzie im się tak podobało, kilka razy z rzędu oglądają ten sam film i chodzą do łóżka ze swoimi byłymi, chociaż są szczęśliwi w nowych związkach. Tylko po to, żeby stwierdzić, że z reguły nigdy nie jest tak dobrze jak za pierwszym razem, ponieważ uczucia szczęścia nie da się dowolnie reprodukcować. Nie można wywołać go za naciśnięciem guzika. Ale paradoksalnie nie dotyczy to bólu, cierpienia i katuszy, o czym właśnie przekonał się Marc. Już kiedyś stał przed ich starym domem. Już kiedyś przeżył załamanie wywołane smutkiem.

Wysiadł z samochodu i zostawił Emmę w garbusie. Wzbraniała się przed zawiezieniem jej na pogotowie, chociaż szpital Marcina Lutra znajdował się po drodze. Większość uszkodzeń błony bębenkowej faktycznie goiła się samoistnie, sam doświadczył tego po zapaleniu ucha środkowego. Poza tym był to jej samochód, a on potrzebował go zarówno jako środka transportu, jak i, być może, ucieczki. Jeśli więc nawet Emma miała paranoję i bezpodstawnie podejrzewała jego brata o morderstwo, obecnie była jedyną osobą, która trzymała jego stronę i mogła potwierdzić te wszystkie nieprawdopodobne rzeczy, które go spotkały. W końcu i tak nie potrafił już odróżnić przyjaciela od wroga, a w takiej sytuacji, jeśli była wrogiem, to lepiej, żeby miał ją stale na oku.

Marc otworzył furtkę do ogrodu przed domem. Mały dwupiętrowy budynek na końcu szeregowej zabudowy wydawał się ciągle żyć. W przeciwieństwie do wszystkich innych idealnie otynkowanych domów sąsiadów, których starannie wypielęgnowane ogródki zostały zabezpieczone płotem przed dzikami, dom numer siedem sprawiał wrażenie lekko zapuszczonego i właśnie dlatego wyglądał na zasiedlony przez żywych ludzi. Tak jak nieposprzątany pokój dziecinny, którego ściany są całkowicie zabazgrane kredkami świecowymi, a człowiek za żadne skarby świata nie chce zamienić go na designerskie wnętrze rodem z magazynu „Dom i Wnętrze”.

Marc jeszcze raz rzucił okiem na kartkę, którą znalazł w portfelu.

*Spotkajmy się w willi w Grunewald. Przyjedź szybko.*

*LOL – S.*

Zwięzła wiadomość nie pozostawiała wątpliwości. Oczywiście nie była ona dowodem, że Sandra wciąż żyje, ale dawniej często zostawiała tego rodzaju karteluszek na stole w kuchni:

*Poszłam na trening / Nie jedz za dużo byle czego, dzisiaj coś ugotuję / Wczoraj w nocy znów było wspaniale / Dzięki za oddanie butelek*

Kiedyś Marc zaczął podpisywać swoje jednowierszowe wiadomości skrótem LOL, który w jego błędnym mniemaniu oznaczał *lots of love*. Kiedy Sandra przeczytała to pierwszy raz, śmiała się do rozpuku i wyjaśniła mu, że tak naprawdę ten skrót znaczy „śmieję się w głos” i używa się go na internetowych czatach, żeby wyrazić swoje rozbawienie i wesołość. *Laughing out loud*.

Od tamtej pory stało się ich zwyczajem, że do prawie każdej wiadomości dołączali „LOL”.

To, jak i niewątpliwie jej odręczne pismo były jednoznaczną wskazówką, że tylko Sandra mogła napisać tę kartkę. Drugą było wyznaczone miejsce spotkania. Ich szeregowy dom w Eichkamp był wszystkim, tylko nie willą i również stanowił ich własne żartobliwe hasło, którym się posługiwali.

Marc włożył kartkę z powrotem do portfela i wyjął pęk kluczy. Drzwi wejściowe się zacinały, ale tak było już od miesięcy.

Wnętrze nie przywitało go zastałym powietrzem, którego się spodziewał. Było zimno, ogrzewanie ustawiono na najniższy stopień, żeby w zimie nie zamarzyły rury z wodą, ale brakowało charakterystycznego dla opuszczonych budynku zapachu. Wyglądało na to, że ktoś tu niedawno wietrzył i przy okazji przetaił podłogę, zniknęły bowiem czarne ślady po zabezpieczonych gumą nogach kanapy, które zostały po wyprowadzce.

– Jest tu ktoś?! – zawołał, stojąc przy schodach. Jego ochryply głos odbił się metalicznym echem od gołych ścian. Ostrożnie stawiał kroki, jakby wchodził na cienki lód, a nie do salonu. Przy czym nie był pewny, czego bardziej się boi, być sam w domu czy naprawdę spotkać się z żoną.

– Halo, jest tu ktoś? – zapytał jeszcze raz, chociaż najchętniej wypowiedziałby na głos imię Sandry. Ale na to brakowało mu odwagi.

Do salonu przylegała dobudowana później oszklona weranda, przez której szyby Marc wyjrzał do dziczałego ogrodu. Włączył zewnętrzne oświetlenie i małe reflektory halogenowe zadziałały jak filtr zmiękczający. Wszystko wydawało się rozmyte i jakby okryte złotożółtą poświatą. Drzewa owocowe, zgniłe owoce leżące na trawie, zarośnięte trzcina oczko wodne, w którym było więcej błota niż wody.

Powiał wiatr i zerwał kilka liści z brzozy rosnącej przed werandą. Marc był alergikiem, ale nigdy nie miał serca, żeby ściąć dumne drzewo. Teraz spojrzął w górę i zobaczył, jak z jego korony wzleciała w niebo wrona, a oczy zapiekły go, jakby brzoza właśnie kwitła.

Wydawało się, że łyzy jeszcze wzmacniają działanie filtra zmiękczającego, bo drzewo nagle nabrało o wiele jaśniejszego koloru.

Marc przetaił oczy, ale efekt nie chciał ustąpić.

*Co jest?*

Odchylił głowę do tyłu, aby zorientować się, skąd pochodzi ten dziwny blask, który zalewał tylko część liści. Zrozumiał to, kiedy wiatr potrząsnął górnymi gałęziami.

Drzewo oświetlały nie lampy rozmieszczone w ogrodzie, lecz inne sztuczne źródło światła. Znajdowało się ono mniej więcej dwa i pół metra nad jego głową. Na pierwszym piętrze.

*W środku!*

Teraz wszystko poszło bardzo szybko. Marc wrócił biegiem do schodów, brał po kilka stopni na raz i po kilku sekundach otworzył drzwi do sypialni. Faktycznie. Chociaż wyjął wszystkie wtyczki z gniazdek i wykręcił żarówki z oprawek, pokój był jasno oświetlony.

Wszedł do środka, szeroko otworzył usta i znów z oczu popłynęły mu łzy. Nie mógł uwierzyć, nie mógł pojąć tego, co widzi, kiedy chwiejnym krokiem wszedł po pokoju.

*To niemożliwe. Sandro, dlaczego? Jak to?*

Udało mu się pozbyć wszystkich mebli. Podwójnego łóżka, szafy z lamelowymi drzwiami, toaletki z dużym lustrem. Zabrał je jakiś Polak, który razem z synem rozkręcił wszystko na jego oczach, zniósł na



dół i wywiózł na przyczepce. A teraz, trzy tygodnie później, wszystko znów było jak dawniej. Łóżko, szafa, stół – wszystko znów znajdowało się na swoich miejscach. A jednak coś tu nie pasowało, zupełnie jak widok kobiety w ciąży, która zapala papierosa. To coś było jasnoblękitne, nowiutkie, miało śnieżnobiały baldachim i stało prawie na środku pokoju – świeżo pościelone łóżeczko kołyska dla niemowlęcia.

Przez chwilę, która zmroziła mu krew w żyłach, Marc miał wrażenie, jakby łóżeczko kołysało się dotknięte niewidzialną ręką, w takt fałszywie śpiewanej dziecięcej piosenki, ale tak naprawdę nie drgnęło ani o milimetr. Za to zrobiło coś jeszcze bardziej przerażającego: zaczęło mówić.

# Rozdział 45

**P**omocy. Proszę, niech mi pan pomoże.

Marc cofnął się dwa kroki od kołyski. Głos był coraz bardziej donośny.

– Proszę nie odchodzić. Proszę mnie nie zostawiać na łasce losu.

Przed chwilą zajrzał tylko na moment do środka, odsunął na bok zasłonkę, ale był w stu procentach pewny, że w łóżeczku leży tylko mała poduszczyca. Mógłby nie zauważyć piżamki, dziecięcej zabawki, kocyka, ale na pewno zauważyłby żywą istotę, zwłaszcza taką, która była wystarczająco duża, żeby mówić do niego tak głębokim, męskim głosem.

– Kto tu jest? – zapytał, przekonany, że rozmawia z nagraniem.

Tym bardziej się zdziwił, kiedy usłyszał odpowiedź.

– Dzięki Bogu, że pan przyszedł, Marc.

*To coś zna moje imię. Skąd zna moje imię?*

Serce zabiło mu szybciej.

– Kim pan jest? – zapytał. Jednocześnie wyciągnął ostrożnie rękę w stronę baldachimu. Był oddalony od łóżeczka jeszcze o dobry metr i musiał pokonać wewnętrzny opór, żeby znów do niego podejść.

– Jestem tym, kogo pan szuka – powiedział mężczyzna, którego lekko zniekształconego zgrzytliwego głosu w ogóle nie znał.

Jeszcze raz uchylił zasłonkę. Najpierw zobaczył białą poduszkę, dopiero potem przeczytał cyfry wyhaftowane czerwoną nicią w poprzek poszewki.

13.11

W tej samej chwili, w której Marc zorientował się, że to dzisiejsza data, zobaczył też walkie-talkie. Wziął je do ręki, patrząc na nie z niedowierzaniem, i o mało co go nie upuścił, kiedy mężczyzna znów do niego przemówił.

– Niech pan do mnie przyjdzie, proszę.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na metaliczny pogłos, mimo że jakość dźwięku w tym cyfrowym urządzeniu była o kilka klas wyższa niż w zwykłym telefonie.

Podniósł aparat do ust i powiedział wprost do mikrofonu:

– Co tu jest grane?

– Jestem... jestem znajomym...

Najpierw zaszumiało, potem połączenie zakłóciły głośne trzaski.

– ...znajomym pana żony. Proszę, niech mi pan pomoże.

– Gdzie mam iść? Gdzie pan jest?

Znów zaszumiało i mężczyzna powiedział cicho:

– Na dole. Jestem w piwnicy.

# Rozdział 46

**Z**ejście na dół, w ciemność, zajęło mu trzy razy więcej czasu niż wbiegnięcie na górę.

Marc zawsze unikał przebywania w piwnicy dłużej, niż to było konieczne. Nie z dziecinnej obawy, nie ze strachu przed potworem bez twarzy, który czyha na niego za kotłem grzewczym. Był przekonany, że ludzie nie rodzą się po to, aby żyć w pomieszczeniach pozbawionych okien, a także latać samolotami dziesięć tysięcy metrów nad ziemią.

Piwnica domu była dla niego tym samym, co ciemne dno jeziora. Bardzo lubimy przebywać w jego górnych warstwach, a jednocześnie mało nas ciekawi, co kryje się głęboko pod naszymi stopami. Jeśli ktoś jest odważny, nabiera powietrza i się zanurza, na dwa metry, ale na samo dno, tam, gdzie muł strzeże tajemnic jeziora, nurkuje się tylko z ważnego powodu, na przykład, kiedy coś się utraci: pieniądze albo klucz.

*Albo żonę.*

Drzwi ze sklejki, za którymi znajdowały się strome kamienne schody, były zamknięte od zewnątrz na zasuwkę. Ktokolwiek czekał na niego tam, na dole, był uwięziony. Marc nie miał pewności, czy rzeczywiście chce wiedzieć, przez kogo.

Odsunął zasuwkę, otworzył drzwi i sięgnął do wyłącznika na ścianie, staromodnego czarnego pokrętła, które wyglądało jak za duża nakrętka motylkowa. Przekręcił je dwa razy przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, potem w drugą stronę. Światło się nie zapaliło.

– Halo?! – zawołał na dół. Świecąca dioda walkie-talkie, która przed chwilą jeszcze migotała, nagle zgasła. Przypomniawszy sobie, że zasięg niektórych sieci komórkowych słabnie, im głębiej schodziło się do piwnicy, ale teraz trzymał w ręku aparat niezależny od sieci.

– Jest pan tam na dole?

Zszedł jeden stopień i zabulgotało mu w żołądku. Zrobiło mu się niedobrze. Ponownie zignorował wołanie o pomoc swojego organizmu, który błagał go, żeby wreszcie położył się do łóżka, wziął proszki i przespał dwa dni jednym ciągiem. Zamiast tego powoli szedł po omacku, trzymając się liny, którą poprzedni właściciel zainstalował zamiast poręczy. Mężczyzna był psychologiem i prowizorycznie wykończył piwnicę, oszalował drewnem ściany i wyłożył podłogę szarą wykładziną przemysłową, ponieważ chciał tu przyjmować pacjentów. Razem z Sandrą zawsze się zastanawiali, kto mógłby się zdecydować zejść na dół, aby obcemu człowiekowi powierzyć swoje duchowe cierpienia. Zwłaszcza że stary dom często wydawał nieokreślone odgłosy, tak że tu, na dole, nawet przy rozwieszaniu prania człowiek mógł czuć się nieswojo.

„Stara dama oddycha” – żartował zawsze Marc, kiedy trzeszczenie, czy skrzypienie nad ich głowami stawało się głośniejsze. Dom został zbudowany w latach dwudziestych ubiegłego wieku i na pewno nie mógł już osiadać.

Teraz nic nie trzeszczało, nawet rury grzewcze były równie zimne, jak ciche.

Marc dotarł do najniższego stopnia i po omacku otworzył skrzynkę z bezpiecznikami, która była zamontowana we wnęce. Niepewnie macał palcami wyłączniki dźwigienkowe, aż znalazł zapalniczkę,

która zawsze leżała tu na wszelki wypadek.

Żółtawe światło małego płomienia stworzyło niemal przytulną atmosferę. Marc nie rozumiał, dlaczego światło na dole nie działa. Wszystkie bezpieczniki były w porządku. Z drugiej strony, tej nocy nie rozumiał wielu znacznie ważniejszych rzeczy...

– Gdzie pan jest?! – zawołał, tym razem trochę głośniej, także po to, aby zagłuszyć narastające dudnienie w uszach. Im ciszej robiło się wokół niego, tym bardziej wewnętrzne odgłosy w jego ciele przedzierały się na pierwszy plan.

Z zapalniczką w jednej i walkie-talkie w drugiej dłoni wszedł do korytarza, który łączył piwnicę z dawnym gabinetem psychologicznym. Pozbyli się szpetnych przesuwanych lamelowych drzwi i mimo słabego oświetlenia Marc zobaczył, że w małym pustym pomieszczeniu nie ma nikogo.

*Zostało tylko jedno miejsce.*

Przekroczył popsuty bęben, na który był nawinięty przedłużacz ogrodowy, i wyciągnął przed siebie rękę z zapalniczką jak biegacz niosący znicz. Jego cień rozciągał się za nim na kilka metrów.

Zatrzymał się przed szarymi drzwiami przeciwpożarowymi i dał kciukowi pierwszą chwilę odpoczynku. Kiedy płomień zgasł, ciemność okryła go jak płaszczem. Bezużyteczne walkie-talki położył na ziemi, ponownie przekręcił kółko zapalniczki i kiedy płomyk zaczął migotać, osłonił go dłonią.

A potem, chociaż wszystko się w nim sprzeciwiało, naparł na ciężkie betonowe drzwi i wszedł do kotłowni. Przestraszył się tak, że nie mógł powstrzymać się od krzyku.

# Rozdział 47

**C**holera, kim pan jest? – zapytał, kiedy już na tyle doszedł do siebie, że przynajmniej opanował chęć ucieczki. Psychiczne ciosy, które zainkasował przez ostatnie godziny tak silnie go uwrażliwiły, że stawał się coraz bardziej lękliwy – i potrzebował coraz więcej czasu, żeby się opanować.

Mężczyzna wyglądający na jeszcze bardziej wystraszonego niż Marc, leżał pośrodku pomieszczenia na drucianej ramie turystycznego łóżka, na którym nie było materaca.

– Dzięki Bogu – jęknął słabo.

Podniósł głowę. Nie mógł poruszyć niczym innym, ponieważ ręce i nogi miał przykute kajdankami do metalowej ramy. Płomień zapalniczki odbijał się w metalowym bojlerze stojącym po jego lewej stronie i na ile Marc mógł dostrzec w słabym świetle, mężczyzna miał na sobie garnitur i krawat, którego węzeł podjechał mu aż pod brodę. Jego wiek był trudny do określenia. Wysocy ludzie często wyglądają na więcej lat, niż rzeczywiście mają.

– Co, do diabła, się tu dzieje? – zapytał Marc i podszedł krok bliżej.

– Wody.

Nieznajomy szarpnął kajdankami. Jego jasne rozczochrane włosy sterczały na wszystkie strony, sprawiał wrażenie żywej parodii postaci z komedii, którą właśnie kopnął prąd.

– Proszę, niech mi pan przyniesie wody. – Przy ostatnim słowie głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Dopiero kiedy się dowiem, co pan tu robi.

Doszedł go zapach moczu, prawdopodobnie mężczyzna się zmoczył. Albo ze strachu, albo dlatego, że był tu przetrzymywany już od dłuższego czasu.

*Ale przez kogo?*

Przez chwilę Marc zastanawiał się, czy nie lepiej wyjść na zewnątrz i powiedzieć o wszystkim Emmie. Ale ciągle nie wiedział, czy może jej ufać, a poza tym wątpił, czy w jej stanie byłaby jakkolwiek pomocą.

– Kim pan jest? – powtórzył Marc.

– Ja... – Mężczyzna zrobił przerwę, w której zwilżył językiem popękane wargi. – Jestem tu, żeby pana ostrzec.

– Przed czym?

Mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał w drugi róg pomieszczenia, który był teraz pogrążony w ciemności. Dawniej stała tam maglownica.

– Przed tekstem – wyszeptał cicho.

– Jakim tekstem?

Mężczyzna znów popatrzył na niego. Marc bezwiednie cofnął się o krok.

– Nazywam się Robert von Anselm – powiedział związany, a jego głos zabrzmiał nagle tak monotonicznie, jakby recytował wyuczony na pamięć tekst. – Jestem adwokatem pana żony.

*Nonsens.*

– Pan kłamie. – Marc powiedział to tak głośno, że płomyk zapalniczki znów zachybotał. – Zawsze sam

załatwiałem sprawę prawnicze.

– Nie, nie. Pan mnie nie słucha. Nie jestem pana adwokatem, a także nie adwokatem rodziny. Jestem tylko jej adwokatem.

Łóżko zaskrzypiało, kiedy głowa mężczyzny z powrotem opadła na sprężyny.

*Adwokat Sandry? Dlaczego miałaby zlecać załatwianie swoich spraw komuś obcemu?*

– Była u mnie na krótko przed wypadkiem. – Teraz mężczyzna mówił szeptem.

– Po co?

– Żeby zmienić testament.

Zmienić? Do tej chwili Marc nawet nie wiedział, że Sandra w ogóle sporządziła testament.

– Przypuszczam, że zrobiła pod wpływem nalegań ojca – dokończył związany.

– Nie rozumiem ani słowa z tego, co pan mówi. Co ona miała zmieniać? I co wspólnego ma z tym Constantin?

Adwokat znów spojrział w ciemny kąt, po przekątnej na prawo od niego.

– Czy przypomina pan sobie scenariusz, który zamówiono u pana żony?

– Tak.

*Chcieliśmy to oblać. W dniu wypadku.*

– Czy wie pan, za jaką sumę agentka Sandry sprzedała go amerykańskiej wytwórni filmowej?

– Nie.

– Milion dwieście tysięcy dolarów.

Marc zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Pan kłamie.

– Skąd ta pewność? – Adwokat zakasłał.

– Nie płaci się tak dużo debiutantom. Poza tym Sandra powiedziała mi o tym. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

– Czyżby? A czytał pan ten tekst?

– Niby jak? Umarła, zanim zdążyła napisać pierwsze zdanie – odpowiedział Marc.

– Jest pan pewny?

*Nie. Nie jestem. Od dzisiaj nie jestem już niczego pewny.*

Marc poświecił w prawo w ciemny kąt, w który wpatrywał się związany. Potem obszedł dookoła łóżko i w świetle płomyka zapalniczki zobaczył kontury biurka. Stał tuż obok gazowego pieca.

– Przeczytałem to – usłyszał chrypliwy głos mężczyzny za jego plecami. – Dlatego tu jestem. Chciałem go panu przynieść. Chciałem pana ostrzec.

Marc podszedł do biurka, którego nigdy wcześniej nie widział i które równie mało pasowało do tego miejsca, co mężczyzna w garniturze przywiązany do drucianego łóżka. Biurko było o wiele za niskie dla dorosłej osoby, z małymi szufladkami po bokach, w których od biedy mógł się zmieścić szkolny podręcznik lub skoroszyt. W otworze przewidzianym na uchwyt lampy do czytania tkwiła dopalona do połowy świeca adwentowa.

Marc zapalił ją i światło padło na stos kartek leżących na blacie, spiętych tanim płaskim zaciskiem.

– Hej, co z moją wodą? – zaskrzeczał adwokat, który leżał za nim ponownie pogrążony w ciemności.

Kartki były lekko wilgotne w dotyku, zupełnie jakby przez jakiś czas spoczywały w kartonie w piwnicy.

Marc wytarł kurz z wierzchu i przeczytał tytuł.

ODPRYSK

Scenariusz: Sandra Senner

– Proszę, niech mnie pan uwolni! – zaskomlał nieznajomy.

Ale Marc nie zdołał już odpowiedzieć. Właśnie przewrócił kartkę i zaczął czytać. Już pierwsze zdanie było dla niego szokiem.

# Rozdział 48

## Krótkie streszczenie ODPRYSKU

Marc Lucas, prawnik, który pracuje jako streetworker z trudną młodzieżą, powoduje wypadek samochodowy i traci w nim ciężarną żonę. Kilka tygodni po jej śmierci znajduje w czasopiśmie ogłoszenie kliniki psychiatrycznej. Do programu *Uczenie się zapominania* poszukuje się osób, które przeżyły ciężką traumę; osób, które chcą na zawsze wymazać z pamięci najgorsze wspomnienia ze swojego życia i dlatego biorą udział w eksperymencie z pamięcią, mającym na celu spowodowanie totalnej amnezji. Lucas wysłał maila do kierownika kliniki i...

– Nie!

Marc jęknął i z całej siły wbił zęby w dłoń. Zamroczyło go i musiał oprzeć się o biurko. Jego wzrok wędrował bez celu po blacie. Przeczytał pierwszy akapit już dwa razy i chciał zacząć po raz trzeci od początku w nadziei, że te same litery ułożą się tym razem w inne słowa. Ale nie zrobiły tego. Prawda pozostała równie przerażająca jak niewytłumaczalna.

*To moja historia. Sandra opisała moje...*

Ręce mu dygotały. Stracił czucie w palcach i przewracając stronę, złapał trzy kartki naraz. Czytał dalej i było coraz gorzej.

Komórka Marca już nie działa, jego karty kredytowe są anulowane i wydaje się, że ktoś inny żyje jego życiem.

Kiedy wraca do kliniki, widzi tylko pusty wykop. Budynek znikł.

Znów nie udało mu się doczytać strony do końca, znów przewrócił niecierpliwie kilka kartek. Robił to coraz szybciej i szybciej, zaszokowany treścią, którą znał z pierwszej ręki. Ponieważ sam to wszystko przeżył! Zaledwie kilka godzin temu! Teraz czytał już tylko fragmenty, tylko wersy, które wpadły mu w oko.

...idzie na policję...

...ale klucz znów pasuje...

...jego żony nigdy nie było w mieszkaniu...

...jego teść również znikł...

Im dalej czytał, tym mniej rozumiał. Jak to było możliwe? Skąd Sandra mogła to wiedzieć? Mało tego, jak mogła przewidzieć przyszłość?

Odłożył skoroszyt, wpatrywał się w okładkę i złapał się za kark.

## ODPRYSK

Scenariusz: Sandra Senner



Uczucie drętwienia rozszerzało się powoli od czubków palców na rękę, które zwisały ciężko i bezwładnie. Najchętniej odwróciłby się na pięcie i z krzykiem wybiegł z piwnicy. Nic nie miało sensu, jego życie było kłamstwem, wymyślonym przez człowieka, któremu ślepo ufał i który teraz wstał z grobu, żeby go wpędzić w obłąd.

*Ale czy chorzy psychicznie zastanawiają się nad swoim stanem? Czy wypieranie nie jest istotą psychozy?*

Marc otwierał i zamykał usta i nawet nie zauważył, kiedy zaczął mówić sam do siebie, na głos wypowiadając swoje myśli. Łzy spływały mu po policzkach i kapały na okładkę scenariusza.

*Czy to się właśnie teraz ze mną dzieje? Czy to wszystko jest realne?*

Łza rozmazała pierwszą literę, z dużego owalnego O od słowa odprysk pozostała ledwie rozpoznawalna rozmyta plama. Pociągnął nosem, jeszcze raz dotknął plastra na karku i pośród lawiny niewytłumaczalnych myśli poczynił całkiem logiczne stwierdzenie.

*Przecież jest zakończenie!*

Marc znów wziął do ręki skoroszyt.

*Dlaczego to wszystko się dzieje? I jak to się kończy?*

Otworzył scenariusz na ostatniej stronie.

# Rozdział 49

**N**ic. Pusto. Ostatnie pięćdziesiąt stron było niezapisanych. Marc wygiął skoroszyt, tak że stronicę przelatowały mu pod kciukiem od końca do początku, aż mniej więcej w okolicach jednej trzeciej objętości natknął się na dwie kartki, które wyglądały wśród pozostałych jak obce ciało. Były grubsze, miały perforowane brzegi i były pokryte rdzawymi plamami. Były to ostatnie strony streszczenia.

...wreszcie postanawia stanąć twarzą w twarz z upiorami przeszłości i udaje się w miejsce wskazane w tajemniczej wiadomości, którą podsuwa mu bezdomny. Jego żona chce się rzekomo z nim spotkać. Jedzie do ich dawnego domu, gdzie w piwnicy znajduje scenariusz napisany przez zmarłą żonę. Przerażony stwierdza, że pierwsze strony streszczenia dokładnie oddają jego życie. Wertuje scenariusz do końca, żeby wreszcie odkryć, co się z nim dzieje. Ale są tu tylko puste kartki.

Dlatego wertuje go z powrotem, aż natrafia na dwie kartki, które są trochę grubsze. Poplamione krwią, perforowane na brzegach. Na dole jednej z nich znajduje się odręcznie zapisany numer telefonu.

Wzrok Marca powędrował w dół. Rzeczywiście. Numer wyglądał tak, jakby Sandra szybko nagryzmoła go na serwetce, tylko pod spodem brakowało LOL.

Wrócił spojrzeniem w górę strony, do linijki, na której przerwał czytanie.

Jeśli do tej pory Marc sądził, że jego strach nie może być już większy, to teraz przekonał się, jak bardzo się myli, kiedy wiedziony impulsem, otworzył prawą górną szufladę biurka...

Marc zamknął oczy, znów je otworzył i jeszcze raz przeczytał ostatnie zdanie.

*Naprawdę mam to zrobić? Sandro, co mi tu przygotowałaś?*

Marc zawahał się, potem włożył palce we wgłębienie szuflady. Nie była zamknięta.

...gdzie znalazł swoją komórkę.

Rzeczywiście. Był to stary model z dużą klawiaturą. Dioda migła, sygnalizując, że bateria jest naładowana, a komórka gotowa do użycia. Marc działał jak w transie. Znów postąpił zgodnie z irracjonalną wskazówką reżyserską.

Wyjął aparat i wybrał numer!

# Rozdział 50

**W**reszcie, dzięki Bogu.

Celny cios zawodowego boksera nie mógłby trafić go mocniej. To była Sandra, to był ewidentnie jej głos, który odezwał się już po dwóch dzwonekach. Trochę niepewny, smutny, ale tak charakterystyczny jak odcisk palca.

– W końcu do mnie dzwonisz.

Tego lekkiego chrypienia, oznaki lekkiego zmęczenia, które było u niej najbardziej urocze zaraz po obudzeniu, brakowało mu tak samo jak jej dotyku, jej cichego mlaskania, kiedy coś jej się śniło, albo jej śmiechu, który go zawsze porywał, nawet jeśli był smutny.

– Sandra. – Płakał i śmiał się jednocześnie. – Gdzie jesteś?

Na krótką chwilę, która wystarczyła, żeby nowe łzy napłynęły mu do oczu, całkowicie zapomniał o obłądnie.

*Wypadek. Jej powrót. Bezdomny. Adwokat, który za moimi plecami ciągle błaga o wodę.*

Radość, że wreszcie znów ją słyszy, była niewyobrażalna. Przewyższyło ją tylko rozczarowanie, kiedy zorientował się, że głos pochodzi z taśmy.

– Tak mi przykro, przysięgam ci, że wszystko naprawię.

– Co? O czym ty mówisz?! – wrzasnął do telefonu Marc, jakby sądził, że zdoła wymusić wyjaśnienie na automatycznej sekretarce, jeśli tylko wrzaśnie dostatecznie głośno.

– Kiedyś ci wszystko wytłumaczę. Wkrótce, bardzo szybko. Tylko musisz wytrzymać jeszcze kilka godzin.

*Kilka godzin? Co stanie się potem?*

Przypomniał sobie ręcznie haftowaną poduszkę w łóżeczku dla niemowlęcia. Datę na poszewce, trzynasty listopada.

*Dzisiaj, dziesięć dni przed datą, na którą ginekolog wyznaczył najwcześniejszy termin porodu.*

– Nie martw się, skarbie, proszę. Wszystko się wyjaśni.

*Martwić się? Właśnie odchodzę od zmysłów.*

– I jeszcze jedno: jeśli ciągle jesteś w piwnicy, uciekaj. Natychmiast wynoś się stamtąd.

Poczuł powiew zimnego powietrza tak silny, że świeca o mało nie zgasła. Dopiero w ostatniej chwili knot znów się rozżarzył.

– Chyba o czymś zapomniałeś.

– O czym? – zapytał znów maszynę.

– O Robercie von Anselmie.

Za jego plecami poruszył się ciemny cień.

– Nie sprawdziłeś jego kajdanek.

Marc szybko się odwrócił, wypuścił z ręki słuchawkę i zasłonił twarz rękami w obronnym geście, ale było już za późno. Poczuł przeraźliwy ból i jego gasnąca świadomość zapadła się w czarną nicość. Świeca zgasła, zanim jeszcze Marc upadł na ziemię.

# Rozdział 51

**P**odczas ich pierwszej podróży w ogóle nie sądził, że na tej drodze dozwolony był ruch samochodowy. Droga pomiędzy Poczdamem a Berlinem przez Sakrow wiodła przez las i była niewiele szersza od chodnika. Kiedy dwa pojazdy jadące z przeciwnych stron chciały się minąć, ryzykowało się zadrapanie lakieru o jodły rosnące na poboczu.

Ale w tej chwili droga w kierunku na Spandau należała w całości do niego i Marc mógł przycisnąć pedał gazu.

– Nie chciałam, żebyś się dowiedział. – Sandra wpatrywała się w boczną szybę. – Przynajmniej nie tak wcześnie.

Często kłócili się w samochodzie i jak zwykle unikała wtedy patrzenia mu w oczy.

– To nie powinnaś mnie ze sobą zabierać.

Przytaknęła. Po chwili wzięła go za rękę, dalej obserwując przemykające za oknem drzewa.

– Ale chyba wiesz, że nie mamy innego wyboru, prawda?

Zaśmiała się trochę wymuszenie. Potem, kiedy boleśnie ścisnęła jego rękę, zapytał:

– Chyba nie myślisz o tym serio?

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zatrzymać samochodu, wysiąść i potrząsnąć nią. Najwidoczniej jego żona postradała rozum.

– Czy sam nie powtarzasz zawsze, że cel uświęca środki?

Jeszcze bardziej dodał gazu. Zapaliła się żółta gwiazdka na desce rozdzielczej, która sygnalizowała, że temperatura na zewnątrz spadła poniżej czterech stopni.

– Czy to nie jest twoje życiowe motto?

– Czyś ty zwariowała? Cel nigdy nie uświęca śmierci.

– Przecież i tak nie uda ci się jej zapobiec.

Zaszlochła. Zazwyczaj Marc ustępował, kiedy zaczynała płakać. Jednak dzisiaj płacz tylko wzmógł jego wściekłość.

– A jednak to zrobię, możesz mi wierzyć.

Strzałka prędkościomierza przekroczyła siedemdziesiąt kilometrów na godzinę i jodły na skraju szosy stopiły się w szarozieloną zwartą całość.

Rzucił jej krótkie spojrzenie. W świetle wskaźników na desce rozdzielczej łzy na jej policzkach wyglądały jak krew, która kapie z rany.

– Nie wolno ci – zaprotestowała. – Nie dopuszczę do tego.

– Ach tak? Już kiedyś to zrobiłem, jak chcesz mnie po raz drugi od tego powstrzymać?

Teraz to on patrzył uparcie przed siebie. Przez chwilę milczeli, aż szosa skręciła i wjechali w pagórkowatą okolicę. Willa Constantina już dawno zniknęła we wstecznym lusterku.

Sandra płakała jeszcze głośniejsze i nagle zapragnął wyciągnąć do niej rękę, uspokoić ją, pogłaskać po ciężarnym brzuchu, który odznaczał się pod pasem bezpieczeństwa jak piłka lekarska. Ale wtedy zrobiła coś, z czym się nie liczył. Odpięła pas i odwróciła się do tyłu. Nagle doznał uczucia, jakby ktoś siedział

na tylnej kanapie, ktoś obcy, kto przysłuchiwał się ich kłótni. Ale to tylko ona wynurzyła się z powrotem ze zdjęciem w dłoni. Gruboziarnistym, czarno-szarym – jak obraz z ultrasonografu.

– Masz, zobacz sobie! – wrzasnęła.

Marc chciał przedtem spojrzeć jeszcze raz na szosę, ale już nie zdążył. Rozległ się ogłuszający huk. Jakaś potężna siła wyrywała mu z rąk kierownicę i chociaż ze wszystkich sił starał się temu przeciwdziałać, nie utrzymał kierunku jazdy.

Ostatnie, co widział, to dłonie Sandry, która wypuściła zdjęcie i rozpaczliwie chwyciła pas na krótko przed tym, zanim uderzył piorun i wszystko wokół stało się jaskrawobiałe. Potem pojawiła się nad nim twarz starszego mężczyzny o zmarszczonym z troską czole, który pochylał się nad nim i głaskał go po policzku.

– Budzi się – powiedziała nieznajoma twarz i rzeczywiście w tej sekundzie Marc otworzył oczy.

# Rozdział 52

**W** pierwszej chwili sądził, że ciągle śni. Jednak nie był już w samochodzie Sandry, lecz w antykwariacie. Siwowłosego właściciel kazał położyć go na pachnącej tytoniem i kominkiem kanapie, na której groziło utonięcie w miękkich poduszkach. Chciał trochę unieść głowę opartą na podglówku, ale okazało się to przedsięwzięciem niemożliwym do zrealizowania, jeśli nie chciał od razu zwymiotować na jeden z licznych dywanów pokrywających podłogę.

– Gdzie ja jestem? – zapytał i pomyślał o adwokacie, któremu odmówił, kiedy ten poprosił go o wodę.  
*I który pobił mnie do nieprzytomności.*

Objął rękami głowę, w której mu potwornie huczało, i zauważył, że ma podwinięty prawy rękaw. W zgięciu ręki był przyklejony plaster, jak po pobraniu krwi.

Marc zamrugał oczami ze zdziwienia i nawet to sprawiło mu ból. Lepka wydzielina sklejała mu powieki.

– Bez obawy, jest pan u przyjaciół – usłyszał głos antykwariusza. Kiedy wytarł śluz z kącików oczu, mógł lepiej przyjrzeć się swojemu nowemu otoczeniu. Obok kanapy zauważył fotel, który był tak ustawiony, że siedzący na nim człowiek mógł patrzeć jednocześnie na kominek, kanapę i wyglądać przez okno. Ale był to jedyny mebel ustawiony z jakimś sensem. Wszystko inne, a więc regały, komody, krzesła, sekretarzyk, a nawet wieszak na ubranie, były porozstawiane byle jak po całym pomieszczeniu i nie pasowały do siebie ani kolorystycznie, ani stylistycznie. Ten chaos przypominał mu jego mieszkanie, brakowało tylko kartonów, do których spakował swoje rzeczy przy przeprowadzce. Za to w każdym wolnym kącie piętrzyły się książki medyczne, sprawozdania i artykuły.

– U przyjaciół? – Odwrócił się do kominka.

Z boku stali Emma, jego brat i nieznany mu stary mężczyzna. Benny wyglądał dokładnie tak samo jak podczas ich ostatniego spotkania – zmęczony, nieogolony, w spodniach cargo i lotniczej kurtce – Emma sprawiała wrażenie jako tako wypoczętej i miała białą opaskę nad lewym uchem. Ktoś musiał opatrzyć jej ranę, i jeśli Marc słusznie interpretował oprawione w ramki dyplomy medyczne na gzymsie kominka, wiedział, kto to zrobił.

– Kim pan jest? – zapytał mężczyznę, którego przestał już uważać za antykwariusza.

– Jestem profesor Niclas Haberland. – Stary mężczyzna uśmiechnął się. – Ale dla dobrych przyjaciół, Caspar.

– Jak się tu znalazłem?

– Niech pan podziękuję bratu. To on przywiózł pana do mnie.

Marc spojrział na Benny'ego. Dopiero teraz skonstatował, że niektóre objawy jego dolegliwości ustąpiły. Ciągle było mu niedobrze, a w głowie huczało mu jak na odwiedzanym przez tłumy jarmarku, ale mimo to nie czuł się już aż tak kiepsko jak przed wypadkiem. Zastanawiał się, co takiego dał mu profesor.

– Jechałem za wami – wyjaśnił Benny niepytany.

– Dlaczego?

– Ty wiesz dlaczego.

Marc przytaknął i poczuł ukłucie w karku. Miał nadzieję, że przez upadek w piwnicy odprysk nie przesunął się bliżej rdzenia kręgowego i nie uciska jakiegoś nerwu.

*Tak, wiem dlaczego. Właśnie z tego powodu przyjechałem do ciebie.*

– Poprosiłeś mnie o pomoc, palancie, a dobrze wiesz, jaki to wywołuje u mnie skutek.

– Uciekłeś w cholerę.

– Wiesz, tak właściwie, to mam coś bardzo pilnego do załatwienia. Ale kiedy już siedziałem w samochodzie, ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. W końcu ciągle jesteś moim bratem, obojętnie, co między nami zaszło.

– Patrzcie państwo, co za przypadek! – szydziła Emma, wyglądając przez okno. – Najpierw chce nas zabić, a potem nagle pojawia się jak na zawołanie we właściwym czasie we właściwym miejscu.

Marc nie zareagował na jej słowa.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał brata.

– Chyba nie sądzisz, że straciłem intuicję?

Marc chciał pokręcić głową, ale w porę przypomniał sobie o ucisku na nerw.

– Chciałeś zobaczyć się z Sandrą. Było bardzo prawdopodobne, że pierwszym miejscem, od którego zaczniesz jej szukać, będzie wasz dom.

Marc zdecydował się jednak zebrać resztki sił i z największym trudem podniósł się z grubych poduszek. Przez moment wydawało mu się, że pokój wiruje wokół niego, najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem w przeciwnym kierunku. Ale kiedy tylko usiadł prosto, ku swojemu zdziwieniu po krótkiej chwili poczuł się dużo lepiej. Jego zmysł równowagi powoli wracał do normalności, nudności również osłabły.

– W każdym razie pojechałem do Eichkamp i zobaczyłem pod domem garbusa, w którym spała ta wariatka tutaj. – Benny pogardliwie wskazał na Emmę. – Najpierw trochę odczekałem, ale kiedy po dwudziestu minutach ciągle nie wychodziłeś, wszedłem do środka i znalazłem cię w piwnicy.

Marc spojrzał najpierw na Benny'ego, potem na Emmę i wreszcie na okno znajdujące się w końcu pomieszczenia, służącego chyba profesorowi jednocześnie za salon i pracownię. Dom nie mógł być dużo większy niż ich „willa”, prawdopodobnie był to jakiś letni dom w lesie. Przemawiało za tym wyglądające na własnoręcznie porąbane drewno obok kominka i to, że za oknem nie było widać nic poza drzewami.

– Co z adwokatem? – zapytał Marc i złapał się za tył głowy. Miał guza, około pięć centymetrów nad opatrunkiem zakrywającym ranę, przez którą wszedł odprysk.

– Jakim adwokatem? Nikogo tam nie było.

Marc poczuł ucisk w żołądku.

– A scenariusz? Leżał na biurku!

– Posłuchaj, stary, kiedy znalazłem cię nieprzytomnego na podłodze, nie miałem głowy, żeby się tam rozglądać. Wyniosłem cię na górę, zapakowałem do samochodu i zawiozłem do lekarza. I teraz definitywnie jesteśmy kwita.

Skrzyżował ręce na piersiach, a Emma szyderczo pociągnęła nosem, jakby chciała splunąć na podłogę.

– Nie wierzę w ani jedno pana słowo – powiedziała.

– A ja tak – wtrącił Haberland, który śledził z fotela tę wymianę ciosów. A teraz rzucił Benny’emu pytające spojrzenie.

– Śmiało, profesorze, zwalniam pana z tajemnicy lekarskiej. – Benny uśmiechnął się i podciągnął suwak w kurtce lotniczej. – Niech pan wygłosi swój referat, a ja w tym czasie wyjdę na dwór zapalić.



# Rozdział 53

Marc poczuł, jak w pokoju nagle się ochłodziło, kiedy brat otworzył znajdujące się za nim drzwi i do środka wtargnęło świeże powietrze. Musieli znajdować się daleko za miastem, skoro było tak zimno. Cyfrowy zegar na sekretarzyku pokazywał jedenastą z minutami przed południem, ale na zewnątrz panowała już minusowa temperatura.

Haberland poczekał, aż Benny wyjdzie na werandę i zamknie za sobą drzwi. Potem zaproponował Emmie krzesło obok siebie i zaczął dopiero, kiedy usiadła z niechętnym wyrazem twarzy.

– Benjamin jest moim pacjentem. – Profesor spojrział na Marca. – I chyba również dlatego przywiózł pana do mnie, a nie do szpitala. W krótkim czasie, w którym miałem okazję przebadać go w klinice jako niezależny konsultant, stałem się dla niego kimś w rodzaju powiernika. A poza tym niezbyt cenię sobie publiczność, dlatego mieszkam tu, w lesie, na uboczu, z dala od reszty świata. – Znów się uśmiechnął i zaczął masować skronie.

– Pamiętam pana orzeczenie – powiedział Marc. – Był pan przeciwny jego zwolnieniu, mam rację?

Haberland uniósł rękę w uspokajającym geście, przez co rękaw jego marynarki nieco się zsunął. Marc nie był pewny, ale zanim profesor znów obciągnął rękaw do nadgarstka, wydało mu się, że widzi wypukłą bliznę.

– Moim zadaniem nie było decydować, czy pana brat powinien zostać zwolniony, czy nie. Ja jedynie zdiagnozowałem u niego zaburzenie, którego do tej pory nikt nie rozpoznał i które niemal uniemożliwia mu normalne życie. To zaburzenie tłumaczy niektóre z jego ekstremalnych reakcji, jak na przykład tendencje samobójcze. – Potem zwrócił się bezpośrednio do Emmy. – Pytała pani, dlaczego za panią pojechał. Benjamin cierpi na to, co potocznie określa się jako syndrom pomocnika. Choruje na HSP.

Emma uniosła pytająco brwi.

– Nadwrażliwa osobowość. Gdyby pani teraz wyszła do niego na dwór i podała mu rękę, mógłby wyczuć pani nastrój, samopoczucie. Mało tego, przeżywałby pani stan psychiczny. Benjamin żyje życiem innych ludzi. I dlatego musi im pomagać, czy tego chce, czy nie.

– Nonsens.

– Nie, to prawda – powiedział stanowczo Marc, który już po kilku słowach profesora poczuł się rozszyfrowany. Lekarz opisał nie tylko jego brata, ale również jego samego. Wtedy, kiedy rozpadł się zespół, dobrze wiedział, co dzieje się z jego młodszym bratem, i dlatego po pierwszej fazie miłosnego zauroczenia szukał z nim kontaktu. Ale w tamtym czasie Benny przestał pojawiać się w domu, ignorował jego telefony, a w końcu nawet rzucił szkołę, aby nie mieć z nim żadnych kontaktów.

Haberland dalej mówił do Emmy, starając się w jak najbardziej przystępny sposób objaśnić jej złożone problemy medyczne.

– Wiem, że zabrzmiało to trochę ezoterycznie, ale z pewnością zdarzyło się pani zasłonić oczy, ponieważ na przykład jakaś scena filmowa była tak okrutna, że nie chciała pani jej oglądać.

Profesor poczekał na potwierdzające skinienie Emmy.

– A więc pani też potrafi odczuwać cierpienie innej osoby. Większość z nas przyzwyczaja się do tego,

dzień w dzień mając do czynienia z nieprzyjemnymi obrazami. Przystajemy dostrzegać marznącego włóczkę na ulicy, odwracamy się od zaślinionej kobiety w metrze, która bełkocze coś bez sensu. Po dziesiątym horrorze już nie zasłaniamy oczu. – Zrobił przerwę. – Większość ludzi obojętnieje. Ale Benny jest inny.

Emma patrzyła w okno, pod którym brat Marca właśnie próbował zapalić papierosa. Jego włosy rozwiewał wiatr, odwrócił się więc plecami do drzew przed werandą, żeby lepiej osłonić płomień zapalniczki.

– Benny tego nie potrafi – powiedział Haberland i też spojrzął w okno. – Z nim jest coraz gorzej. Kiedy przejeżdża koło szpitala, zastanawia się, ilu ludzi tam właśnie umiera. Kiedy zamyka oczy, wyobraża sobie wszystko, co w tej chwili dzieje się na świecie, o czym rano przeczytamy w gazetach. Widzi maltretowane niemowlę, które od szarpania zapadło w śpiączkę, żołnierza, któremu na torturach ściskają genitalia, konia, który umiera z pragnienia w transporcie do tunezyjskiej rzeźni. Niczego, co widział, słyszał i czuł, nie jest w stanie zapomnieć. – Haberland nie spuszczał wzroku z Marca. – Zupełnie jak pan, mam rację?

W pokoju zrobiło się ciemniej, ponieważ niebo bardziej się zachmurzyło.

– Nie, w moim przypadku nie jest aż tak źle. U mojego młodszego brata było to zawsze wyraźniejsze niż u mnie. Prawdopodobnie dlatego udawało mi się równoważyć syndrom pomocnika moją pracą.

W przeciwieństwie do Benny'ego z czasem nauczył się wypierać nawet te najstraszniejsze obrazy. A najlepszym dowodem tego było to, że po jakimś czasie zrezygnował z uganiania się za bratem. Próbował różnych sposobów, żeby znów się do niego zbliżyć i uwolnić ze szponów Valki; wszystko daremnie. Tama, którą Benny zbudował, aby odgradzić się od brata, była tak szczelna, że Marc dowiedział się o jego pierwszej próbie samobójczej dopiero po kilku miesiącach. Wtedy udał się nawet do sądu opiekuńczego, chciał się zorientować, czy istnieje jakaś możliwość ustanowienia nad nim opieki kuratora albo skierowania go na leczenie psychiatryczne. Powiedziano mu, że dopóki jego brat nie stanowi zagrożenia dla innych ludzi, może robić ze swoim życiem, co chce. Mimo to Marc czuł się później winny, ponieważ, być może, nieświadomie, ze zwykłego wygodnictwa za wcześnie się poddał. Czas spędzany z Sandrą był o niebo mniej skomplikowany, niż gdyby miał u swego boku Benny'ego.

Głos jakiegoś ptaka przerwał potok jego myśli. Kiedy Marc spojrzął w okno, Benny'ego już tam nie było.

– Okay, ale w takim razie jak to się stało, że taka chodząca łagodność chciała mnie zabić? – zapytała agresywnie Emma.

Marc pokręcił głową.

– Benny nie ma w sobie najmniejszych skłonności do przemocy.

– Co? Właśnie postrzelił mnie w ucho! I zmusił pistoletem, żebym przyjechała tu, do tej dziczy.

– Strzał na pewno padł przez pomyłkę – wyjaśnił Marc. – Za nic nie chciałby pani zranić. Nie byłby do tego zdolny.

– Niestety, to nie do końca tak – skorygował Haberland, znowu unosząc rękę. – Między innymi z tego powodu tak długo pozostawał w przymusowym odosobnieniu. Jak każda chwiejna osobowość Benny cierpi również na olbrzymie wahania nastroju, które grożą mu wręcz rozpadem. To tak jak u osób cierpiących na depresję maniackalną. Z sekundy na sekundę jego nastrój może się zmienić o sto

osiemdziesiąt stopni i całe cierpienie, które pański brat tłumił w sobie przez lata, szuka ujścia na zewnątrz. Wystarczy niewielki bodziec, żeby wyładować nagromadzony potencjał przemocy. Na sobie samym albo na innych.

– No proszę – triumfowała Emma i znów sięgnęła po swoją komórkę, którą, jak widać, Benny jej oddał. Miała dość tej rozmowy i wolała nagrać na pocztę głosową najnowsze informacje.

Marc zignorował rwący ból w głowie i karku i z trudem wygrzebał się z poduszek. Ku jego zdziwieniu udało mu się to już za pierwszym razem.

– Dobrze, profesorze – powiedział i opuścił rękaw. – Nie mam pojęcia, co mi pan wstrzyknął, i chyba nawet nie chcę tego wiedzieć. W każdym razie to bardzo miło z pana strony, że się pan nami zajął. Ale muszę już iść. Niestety, nie mam czasu na dyskusje o psychologicznych problemach w naszej rodzinie.

Haberland spojrział na niego badawczo. Nagle przez jego twarz przebiegł cień smutku, a głos przycichł.

– Czy jednak nie powinien pan poświęcić temu trochę czasu?

Poryw wiatru zatrzęsł szybą w oknie i Marc znów poczuł, że temperatura w pokoju spadła, tylko że tym razem nikt nie otworzył drzwi.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Brat przywiózł pana wprawdzie do mnie, ponieważ chciał, żebym obejrzał ranę na pańskiej głowie...

– Ale? – zapytał Marc.

– ...ale ja nie jestem lekarzem ogólnym, jestem psychiatrą – dokończył zdanie Haberland. W jednej chwili postarzał się o całe lata. – Być może mógłbym panu pomóc ustalić, co się teraz z panem dzieje.

Haberland podszedł do wieszaka stojącego obok biurka, zdjął z niego ocieplaną wełnianą kurtkę i włożył na siebie.

– Chodźmy – powiedział do Marca, jakby Emmy w ogóle nie było w pokoju. – Zrobimy sobie krótki spacer.

# Rozdział 54

Jezioro tworzyło łuk w kształcie litery U wokół małego domku profesora. Kiedy wyszli tylnymi drzwiami na świeże powietrze, drapieżny ptak właśnie zataczał koła nad wzburzoną wodą. Stary pies natychmiast popędził do brzegu, wpadł w wodę i spłoszył kaczki i łabędzie. Ptaki rozdarły się wniebogłose, gwałtownie zamachały skrzydłami, ale szybko doszły do wniosku, że nowi goście nie stanowią dla nich zagrożenia, i szybko się uspokoiły.

– Spokój, Tarzan! – Haberland przywołał psa. Jasnobrązowe zwierzę z białym pyskiem tak spokojnie leżało w swoim koszyku, że Marc zwrócił na nie uwagę, dopiero kiedy ziewając, zerwało się na równe nogi, aby towarzyszyć swojemu panu podczas spaceru.

– Ludzie ciągle robią błąd i dokarmiają dzikie zwierzęta – powiedział profesor, nieruchomo wpatrując się w wodę. Emma została sama w salonie, co Marca trochę zdziwiło, ponieważ lekarz nie wyglądał na kogoś, kto szybko obdarza zaufaniem obcych. Z drugiej strony, w jego oczach było coś, co świadczyło o tym, że ma za sobą coś dużo gorszego niż to, co mogłoby go dzisiaj ewentualnie spotkać ze strony rannej kobiety i byłego pacjenta.

– Zakłócamy tym naturalny łańcuch pokarmowy, przyzwyczajamy je do nas. A to źle – kontynuował Haberland.

– Ludzie robią to z miłości do zwierząt – powiedział Marc, który razem z Sandrą często rzucał kawałki starego chleba łabędom pływającym po Wannsee.

– Tak, ale mimo wszystko nie powinno się tego robić. – Haberland podciągnął zamek błyskawiczny wełnianej kurtki. Kurtka była krótka i nawet nie zakrywała marynarki. – A robienie czegoś złego nigdy nie jest dobre.

Szli dalej wzdłuż brzegu i Marc zastanawiał się, czy rozmowa naprawdę dotyczy dzikich zwierząt. Bądź co bądź do niedawna żył, kierując się mottem, że cel uświęca środki. Haberland na pewno wiedział też o fałszywych zeznaniach, które przyczyniły się do umieszczenia Benny'ego w zakładzie zamkniętym.

– Sprawia pan wrażenie mocno zdezorientowanego. – Haberland przeszedł do tematu.

Ścieżkę nad brzegiem, która teraz łagodnie się wznosiła, oddzialał od jeziora szeroki pas trzciny.

– To prawda. – Marc wdychał wilgotne pachnące powietrze lasu, który rósł po prawej stronie ścieżki.

– Przestałem ufać moim wspomnieniom.

Przekazał profesorowi krótki zarys tego, co go do tej pory spotkało, i zakończył najnowszymi wydarzeniami w piwnicy jego dawnego domu.

– I co pan sądzi? Zwariowałem?

Haberland przystanął i popatrzył za Tarzanem, który co rusz próbował utorować sobie drogę przez trzcinę do jeziora i poddawał się, kiedy źdźbła zaczynały kłuć go w pysk.

– Potrafi pan wątpić w swoje doznania. U chorych umysłowo zazwyczaj to się nie zdarza. Przeważnie starają się raczej usprawiedliwiać swój stan nieprzekonującymi teoriami. Tak jak Emma, na przykład.

Marc spojrzał mu w oczy. Obłoki ich oddechów spotkały się.

– Myśli pan, że jest chora?

– W tak krótkim czasie tylko znachor mógłby postawić diagnozę. Ale mimo to, w przeciwieństwie do pana, pani Ludwig nie zadaje sobie decydującego o wszystkim pytania.

– Czy zwariowała?

Haberland skinął głową.

– Kiedy pan spał, długo z nią rozmawiałem. W czasie rozmowy Emma wydawała się rozgorączkowana, zdenerwowana, roztargniona i właściwie szukała tylko dowodów, które usprawiedliwiałyby jej teorie spiskowe.

– A więc myśli pan, że jest paranoiczką?

– A pan tak nie uważa?

Przeszli obok ławki, która widziała już lepsze czasy. Jej oparcie było zbutwiałe, wydawało się też, że siedzisko nie wytrzyma większego obciążenia. Haberland postawił stopę na krawędzi zewnętrznej deski i usunął zlepione liście, które zebrały się pod podeszwą buta.

– A więc zakładając, że jest pan całkowicie zdrowy, pomijając zewnętrzne obrażenia i przebarwienia oczu, które, nawiasem mówiąc, bardzo mnie niepokoją, nie wykazuje pan zaburzeń psychosomatycznych. Dom, jezioro, las, wszystko jest realne i naprawdę rozmawiamy ze sobą. Jak więc pan wytłumaczy dotychczasowe zdarzenia?

Powoli przywłókł się do nich Tarzan. Dopiero teraz Marc zauważył, że sędziwy pies stara się nie obciążać jednej z zadnich łap.

– Być może już kiedyś skasowano mi pamięć? – snuł przypuszczenia. – Być może za pierwszym razem nie wszystko poszło, jak trzeba, i nagle zacząłem przypominać sobie fakty ze starego życia?

– Możliwe. – Haberland z powątpiewaniem wyduł usta. – Albo dzieje się coś całkiem przeciwnego.

Pochylił się, rzucił patyk w kierunku, skąd przyszli. Tarzan tylko spojrzał na niego zmęczony.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Marc.

– Niechętnie o tym mówię, ale ja też cierpiałem kiedyś przez krótki czas na niemal całkowitą amnezję. Straciłem pamięć z powodu głębokiej traumy, którą chciałem za wszelką cenę wyprzeć. – Profesor roztarł nadgarstki. – Droga, którą musiałem przebyć, aby odzyskać pamięć, była jednym wielkim koszmarem. Ale nauczyła mnie jednego.

– Czego?

– Że często prawda jest przeciwieństwem tego, co nam się wydaje.

Odwrócił się i ruszył za psem, który zdecydował, że czas wracać do domu. Marc wahał się przez chwilę, potem przyśpieszył kroku, żeby do niego dołączyć.

– Boi się pan, że pana pamięć została zmanipulowana. Wymazana. Być może nawet już po raz drugi – powiedział Haberland, nie patrząc na niego. – A co, jeśli została skasowana dopiero w tej sekundzie? W tej chwili?

Zimny dreszcz przeszedł Marca.

– Jak miałyby to przebiegać?

– No cóż, nie jestem pewny, w jaki sposób klinika Bleibtrea wywołuje sztuczną amnezję u swoich pacjentów. Do tej pory utrata pamięci jest ciągle niezamierzonym skutkiem ubocznym. Ale mogę sobie wyobrazić, że poddają wytypowane osoby terapii szokowej. A czy to nie jest dokładnie to, co pana właśnie spotyka? Jedno traumatyczne zdarzenie, które goni następne?

– Ale po co ktoś miałby coś takiego robić?

Znajdowali się już prawie obok domu. Za werandą było słycać głosy, według wszelkiego prawdopodobieństwa były to głosy Emmy i Benny’ego, którzy mimo wzajemnej niechęci przemogli się i prowadzili rozmowę.

– Żeby pan o czymś zapomniał. Pytanie tylko o czym?

Marc zamknął oczy i przypomniał sobie sekwencję ze snu, z którego dopiero co się obudził.

„Nie chciałam, żebyś się dowiedział. Przynajmniej nie tak wcześnie”.

– Nie wiem – powiedział zgodnie z prawdą.

– To niech pan sobie przypomni. – Profesor zatrzymał się i przenikliwie zmierzył go wzrokiem. – Niech pan sobie przypomni, o czym chce pan zapomnieć!

– Ale jak, jak mam...

Zegarek na ręku Marca zabręczał. Sięgnął do kieszeni kurtki, a potem uderzył się w czoło.

– Co się stało? – zapytał Haberland. Wydawało się, że jego pies również patrzy na niego pytająco.

– Muszę wziąć tabletki, ale ciągle leżą w schowku na rękawiczki w moim samochodzie.

– Jakie tabletki?

Marc dotknął opatrunku na karku.

– No właśnie. – Haberland zrobił krok i stanął za jego plecami. – Dobrze, że mi pan przypomniał.

– Co?

– Wcześniej, kiedy badałem zewnętrzne obrażenia na pańskiej głowie, pozwoliłem sobie zmienić opatrunek. Po co pan go nosi?

– Mam odprysk tkwiący w szyi.

Profesor uniósł brwi z niedowierzaniem.

– Jest pan pewny?

– Oczywiście. Ej, co pan robi?

Marc nie zdążył zareagować, kiedy stary mężczyzna jednym ruchem zerwał przyklepionego łośosiego koloru, przytrzymujący na ranie jałowy gazik.

– Wprawdzie nie może pan nic zobaczyć, ale śmiało, niech pan dotknie tego miejsca.

*Po co? Constantin powiedział mi, że rana musi być sterylna.*

– No, śmiało. – Teraz Haberland sam poprowadził jego rękę i Marc aż się wzdrygnął. Nie z bólu, ale ze zdziwienia, że nic nie wyczuwa. Nic, poza gołą zdrową skórą.

– Nie ma pan tam żadnej rany. – Haberland potwierdził jego koszmarne przeczucie.

*Nie ma żadnego odprysku tkwiącego w szyi.*

– I nie wygląda na to, żeby kiedykolwiek tam był.

# Rozdział 55

Śnieg spadł bez ostrzeżenia. Ale był zbyt lekki i puszysty, żeby mógł poleżeć dłużej. Na pożegnanie Haberland poradził im, aby jak najszybciej wyjechali z lasu. Samochód z wypożyczalni z letnimi oponami, którym Benny tu przyjechał, utknąłby na wąskich leśnych drogach, gdyby napadało więcej śniegu. A należało się tego spodziewać, jeśli wierzyć profesorowi, który przy pożegnaniu jeszcze bardziej nerwowo rozcierał nadgarstki niż na początku ich rozmowy.

Wprawdzie Marc nie rozumiał tej jego wrażliwości na pogodę, ale rzeczywiście już po kilku metrach Benny musiał włączyć światła mijania i przyspieszyć ruch wycieraczek. Dziesięć minut później można było odnieść wrażenie, że samochód oderwał się od pokrytej liśćmi ziemi i przebija się przez gęste warstwy chmur nad Berlinem.

– O czym tak długo rozmawiałeś z profesorem? – zapytał Benny, nerwowo bębniąc palcami w kierownicę. Jego głos zdradzał z troską i lekką podejrzliwość.

– Bez obawy. Nie dowiedziałem się o tobie niczego, czego bym już wcześniej nie wiedział.

Potem opowiedział bratu o kolejnej tajemniczej sprawie, która wyjaśniła się podczas spaceru.

– Nie ma odprysku? – zdziwił się Benny.

– Nie ma – potwierdził Marc i odwrócił się tak, aby Benny mógł zobaczyć jego kark.

– Poza tym profesor powiedział, że gdyby tam był, to z pewnością nie przepisuje się wtedy immunosupresorów. Raczej antybiotyki, żeby zwalczyć ewentualny stan zapalny.

Benny pokręcił głową z niedowierzaniem.

Samochód kołysał się na wyboistej dróżce. Marc nie miał pojęcia, gdzie się teraz znajdują. Dopiero kiedy skręcili w opustoszałą, ale trochę szerszą drogę, widoczność się poprawiła i Marc domyślił się, przez którą część Berlina przejeżdżają. Już kiedyś był tu razem z bratem. Lata temu, kiedy nawet nie przeczuwał, że może między nimi zapanować taka nienawiść. Gdzieś tu niedaleko musiała znajdować się nieczynna żwirownia, w której utopili samochód ojca.

– Kwadrans przed pierwszą po południu trzynastego listopada. Jedziemy od strony Müggelsee w kierunku starówki w Köpenick – usłyszał Emmę dyktującą do komórki. – Na przekór wszystkim ostrzeżeniom Marc Lucas chce jechać do Sakrow, do domu swojego teścia, profesora Constantina Sennera.

*Constantin.*

Udało mu się odciąć od głosu Emmy, kiedy zamknął oczy. Pomyślał o mężczyźnie, któremu ufał bardziej niż sobie samemu; z którym dzielił wszystkie stany skupienia swojej emocjonalnej świadomości: radość, smutek, złość, troskę, euforię i mroczną depresję.

Podziwiał Constantina, niewzruszonego człowieka z jasno wytyczonymi celami, człowieka, którego konserwatywnej postawy politycznej nie rozumiał, ale którego szanował ze względu na jego zasady i miłość okazywaną każdemu, kto cokolwiek znaczył dla jego jedynej córki. Przyjaciel, powiernik i mentor. A teraz wyglądało, że jest inicjatorem planu, który jawnie miał go doprowadzić do obłądu.

– Dlaczego Haberland żyje samotnie? – usłyszał za sobą głos Emmy. Otworzył oczy.

Odłożyła komórkę i nachyliła się do przodu.

– Czy już kiedyś słyszała pani coś o łamaczu dusz? – Benny odpowiedział pytaniem na pytanie. Jego głos brzmiał mniej wrogo, a to, że Emma zagadnęła go sama z siebie, wskazywało, że przewyciężyli wzajemną niechęć. Najwidoczniej słowa Haberlanda nie przeszły tak całkowicie bez echa.

– O kobietach, które zostały uprowadzone i za życia pogrzebane we własnych ciałach, a potem znów odnalezione? – Spojrzał w lusterko wsteczne. – Nie? Tym lepiej dla pani.

Marc odwrócił się do Benny'ego i po raz pierwszy poczuł, że już nie przeszkadza mu opatrunek na szyi. Przyjemne, ale jednocześnie napawające lękiem uczucie.

– Co wspólnego ma z tym Haberland?

– To zagmatwana historia, o której wspomniał mi tylko podczas jednej z sesji terapeutycznych. Rozegrała się na drugim końcu miasta, mniej więcej tam, gdzie chcesz teraz pojechać.

Minęli drogowskaz pokazujący kierunek na A 113. Po drugiej stronie ulicy, pod wiatą przystanku autobusowego, zgromadziło się kilkoro ludzi, szukając osłony przed śniegiem, ale wiatr wiał niemal prostopadle do drogi i do chodnika, oszczędzając tylko tych, którzy stali w środku grupy. Chociaż Marca grzały podgrzewane siedzenia, a gorące powietrze z nawiewu dmuchało mu prosto w pierś, czuł się równie bezbronny jak tamci przechodnie. Ale zimno, na które on był wystawiony, różniło się od tego na dworze. Pochodziło z jego wnętrza.

*Constantin.*

Dwa razy w tygodniu chodził na zmianę opatrunku. Dwa razy w tygodniu odczuwał to jako szczególną troskę, kiedy teść zajmował się nim osobiście, zamiast zostawić to zajęcie pielęgniarce. Marc żył w strachu przed porażeniem poprzecznym, poradzono mu unikać gwałtownych ruchów, nie mógł uprawiać sportu, dotykać rany, musiał trzymać ją z daleka od wody, co sprawiało, że branie prysznicza przeradzało się w ćwiczenie równowagi.

I wszystko okazało się kłamstwem, wszystko tylko w jednym celu.

*Nie ma odprysku – nie ma rany. Nie ma rany – nie ma powodu, żeby regularnie brać leki.*

A więc dlatego aptekarz nie miał tych leków. Tabletki, które powinien codziennie łykać, nie były żadnymi immunosupresorami, lecz prawdopodobnie lekami wyłączającymi jego mózg, paraliżującymi jego działania, albo wręcz wywołującymi zmianę osobowości. Silne psychotropy, jak mu wytknął Stoya, policjant z komisariatu.

Marc wyciągnął z kieszeni kurtki plastikową torebkę z niezapłaconymi lekarstwami i wyjął z niej aspirynę. Co prawda czuł się lepiej niż kilka godzin temu, ale główne symptomy – zawroty głowy, nudności i ciężkie jak ołów powieki – nie ustąpiły.

– Co właściwie dał mi Haberland? – zapytał brata i zastanawiał się, jak zareagowałby jego żołądek, gdyby połknął tabletkę bez popicia wodą.

– Nic.

Benny skręcił w prawo na wjazd na autostradę. Wycieraczki wściekle walczyły z płatkami śniegu, które nie przylepiały się do przedniej szyby, a mimo to skutecznie przesłaniały widok.

– Kochany profesor nie miał w swojej chałupie niczego, co by się nadawało – wyjaśnił, patrząc na torebkę w rękach Marca. – Ostatni paracetamol dostała ta twoja przyjaciółka z tyłu.

Ale paster? I ślad po ukłuciu w zgięciu łokcia? – chciał zapytać Marc, ale przypomniał sobie, że w



klinice Bleibtrea pobrano mu krew. Przygotowania do eksperymentu z pamięcią, w którym nigdy nie brał udziału, chociaż wydawało się, że tkwi w nim po uszy.

*Czy czuję się trochę lepiej, ponieważ ustępuje działanie proszków? Czy widzę wyraźniej, odkąd ich nie biorę? Czy miałem tylko krótkotrwałe objawy odstawieniowe i teraz mój stan się poprawia?*

Jechali na północ opustoszałą autostradą. W przeciwieństwie do deszczu, który regularnie niczym zakrzepica zatykał ruch w żyłach stolicy, pierwszy śnieg w roku zawsze działał oczyszczająco. Na ulicach panował niewielki ruch, i jeśli człowiek był odważny albo pewnie prowadził samochód, mógł jechać szybciej niż w godzinach szczytu. Światła innych pojazdów przed i za nimi były tak dalekie, że ledwo je było widać.

Widok za szybą był tak rozmyty, jak to, co widział Marc, patrząc w głąb siebie. W dalszym ciągu nie miał najmniejszego pojęcia, jaką rolę w inscenizacji tego szaleństwa odgrywała Sandra, która, jak wszystko na to wskazywało, dostarczyła nawet projekt scenariusza. Scenariusza, który uprzedzał wszystkie przeżyte przez niego traumatyczne wydarzenia. Jak to było możliwe? Dlaczego w ich sypialni stało łóżeczko dla niemowlęcia? I dlaczego chciała zmienić testament, jak twierdził tajemniczy adwokat? Z drugiej strony – czy w ogóle był jakiś testament? Czy też był równie nierealny jak klinika, która na jego oczach rozplynęła się w powietrzu.

I nawet ten niewidzialny drogowskaz prowadzi mnie znów do Constantina, wywnioskował Marc w myślach. W końcu ogłoszenie kliniki Bleibtrea znalazł w czasopiśmie, które leżało w poczekalni ojca Sandry.

### *Uczenie się zapominania*

Ale czego?

*Co jeszcze stanie się dzisiaj, trzynastego listopada?*

Ciągle miał w pamięci słowa profesora Haberlanda: „Niech pan sobie przypomni, o czym chce pan zapomnieć”!

Jak to zrobić?

Komórka Benny’ego zapikala i wyrwała Marca z jego rozważań.

– Co jest? – zapytał, kiedy zobaczył, jak bratu zrzęda mina, kiedy przeczytał SMS i odłożył telefon do przegródki pomiędzy siedzeniami.

– Nic, to tylko zmiana planów.

– Co masz na myśli?

– Nie mogę dłużej ci towarzyszyć, Marc. I tak straciłem już za dużo czasu.

– Czasu na co?

Benny uśmiechnął się smutno.

– Nie musisz tego wiedzieć. Pożyczyłem pieniądze od niewłaściwych ludzi i...

Z tyłu rozległ się krzyk Emmy. Jednocześnie Marc poczuł, jak siła hamowania wciska go w pas bezpieczeństwa, i odruchowo wyciągnął ręce przed siebie.

– Cholera, co za kretyn?! – krzyknął Benny i zatrąbił wściekle. O wiele za późno, żeby osiągnąć coś więcej niż tylko krzywy uśmiezek na twarzy kierowcy, który właśnie zajechał im drogę.

Marc zmartwił.

Samochód, który zmienił pas tuż przed nimi i z karkołomną prędkością zmierzał w stronę zjazdu na Tempelhofer Damm, był pudełkową limuzyną, jakie tysiącami zjeżdżają z fabrycznej taśmy. Tablica rejestracyjna była oświetlona, ale brud i mokry śnieg uniemożliwiły jej odczytanie. Jednak Marc nie miał wątpliwości, kto właśnie ich wyprzedził: żółte volvo, które Emma sfotografowała przed komisariatem.

I miał niemal stuprocentową pewność, że osoba na siedzeniu obok kierowcy, która odwróciła się do nich, była jasnowłosą kobietą.

# Rozdział 56

Za nim! – wrzasnął Marc i złapał za kierownicę. Benny nawet nie zdążył zaprotestować, kiedy samochód zjechał raptownie na prawo. Siła, z jaką zostali przed chwilą wyrzuceni do przodu, była porównywalna z siłą zderzenia, ale to tylko Benny nacisnął na hamulec, aby właśnie do niego nie dopuścić.

– Co robisz?! – krzyknął prawie jednocześnie z Emmą, która na szczęście była przypięta pasami.

– Sandra – powiedział Marc i pokazał przed siebie.

Tu, w centrum miasta, było cieplej niż nad Müggelsee, śnieg topniał już przy zetknięciu z asfaltem i widoczność była znacznie lepsza.

– Gdzie? – Benny nie miał już wyboru i wjechał na zjazd do T-Damm.

– Tam, w volvo.

– Całkiem ci odbiło.

– Proszę cię! – Marc sam słyszał rozpacz w swoim głosie. – Zrób mi tę przysługę.

Jego brat pokręcił głową, zupełnie jakby nie mógł zrozumieć, po co się w to pakuje, ale przyśpieszył.

Pędzili Tempelhofer Damm w kierunku Platz der Luftbrücke obok zamkniętego lotniska.

– Może pan mieć rację! – potwierdziła Emma, która mocno trzymała się uchwytu nad drzwiami. Volvo wepchnęło się przed autokar, który zajął dla siebie dwa z trzech pasów ruchu. Jakby tego było mało, około stu metrów przed nimi szosa zwężała się, ponieważ drogę tarasowała stojąca ciężarówka.

Na razie volvo zniknęło im z pola widzenia, na dodatek nie było możliwości kontynuowania jazdy. Mimo to Benny pędził z niezmienną prędkością w stronę stojących w korku samochodów.

– Stój! – krzyknął Marc i przygotował się na najgorsze. Ale zamiast zwolnić, jego brat ostro skręcił kierownicą i wjechał na chodnik. Emma znów zaczęła krzyczeć, Marc nie poszedł w jej ślady tylko dlatego, że sparaliżowało go zdumienie. Jeszcze kilka chwil temu musiał popędzać brata, a teraz Benny szykował się, żeby ich wszystkich pozabijać. Kiedy znaleźli się na wysokości wjazdu na lotnisko, odzyskał mowę.

– Przestań, to nie jest tego warte.

Benny spojrzął w lusterko wsteczne, potem jego wzrok znów przeniósł się do przodu.

– Tak dla waszej informacji. To nie jest pościg.

– A co?

– Ucieczka.

Marc odwrócił się.

*Cholera, a to co znowu?*

Motocyklista jadący za nimi był oddalony zaledwie o dwie długości ręki i tak samo jak Benny mało przejmował się ruchem ulicznym. Zamiast kasku miał na głowie czarną narciarską kominiarkę i niebieskoszarą chustę zakrywającą usta. Mężczyzna jechał lekkim motorem krosowym, trzymał kierownicę jedną ręką, a drugą przyciskał coś do ucha.

– Kim on jest, do diabła?

Benny sięgnął po swoją komórkę, na którą właśnie chyba przyszła kolejna wiadomość, wykorzystał

lukę w szeregu parkujących pojazdów i wrócił na jezdnię. Ich prześladowca z zasłoniętą twarzą zrobił to samo.

– To jeden z ludzi Valki – powiedział Benny i po krótkim rzucie oka na wyświetlacz odłożył telefon na poprzednie miejsce.

– Valki? Wciąż pracujesz dla tego psychopaty?

W tej sekundzie zobaczył błysk, gdzieś z boku, na zewnątrz samochodu. Benny przejechał właśnie setką na czerwonym świetle, co było dla Marca wystarczającą odpowiedzią na jego pytanie, zwłaszcza że motocyklista za nimi również nie zwrócił uwagi na błysk fotoradaru.

– Tam, przed nami! – zawołała Emma i pokazała na żółte volvo, które ponownie pojawiło się w zasięgu wzroku.

Jechali teraz Mehringdamm w kierunku centrum i spowalniały ich jedynie liczne samochody dostawcze, które coraz częściej były zaparkowane w drugim rzędzie.

Dwadzieścia sekund później już tylko jeden smart dzielił ich od żółtego kombi, wydawało się też, że znikł motocykl, co Marc zauważył dopiero, kiedy przestał słyszeć za sobą terkot przypominający maszynę do szycia.

– Zgubiliśmy go? – zapytał, kiedy znów zignorowali czerwone światło, tym razem, żeby skrócić w prawo w Leipziger Straße. W tym czasie śnieg przestał padać.

– Nie – powiedział Benny, a Emma znów krzyknęła, ponieważ nagle z bocznej uliczki wypadł motor, a mężczyzna w kominiarce znalazł się po ich prawej stronie na wysokości bocznego okna.

– On ma broń! – krzyknęła i skuliła się. Benny nadepnął na hamulec, zanim mężczyzna zdążył strzelić, i tym razem to rzeczywiście siła uderzenia rzuciła wszystkich do przodu. Ciężkiemu samochodowi terenowemu za nimi nie udało się tak szybko zareagować i całą swoją masą pchał ich teraz przed sobą na jezdni.

– Jasny gwint! – krzyknął jeszcze Marc, ale było już za późno. W ułamku sekundy, kiedy samochód się obracał, przypomniał sobie ostatnie chwile wypadku z Sandrą: huk pękającej opony, samoistny gwałtowny skręt kierownicy i coraz bardziej zbliżającą się grupę drzew, chwilę potem, kiedy pokazała mu zdjęcie, na którym nie potrafił nic rozpoznać.

Potem coś zazgrzytało, nie we wspomnieniu, ale w rzeczywistości. Potrącili motocykl, a jadący nim mężczyzna zniknął im z boku pod chłodnicą. Po dłuższym przeraźliwym zgrzycie i pisku, gorszym niż odgłos dziesięciu paznokci skrobiących po suchej tablicy, samochód wreszcie się zatrzymał. Po trwającym chwilę szoku Benny pierwszy otworzył drzwi, po nim Marc, podczas gdy Emma, drżąc, ale cała i zdrowa, nawet nie ruszyła się z tylnej kanapy.

– Gdzie on się podział?

Benny i Marc popatrzyli na siebie, nic nie rozumiejąc.

Motor leżał w poprzek pod maską samochodu i tam się zaklinował. Po motocyklicie zginął wszelki ślad.

Natychmiast zebrała się wokół gromada gapiów i z obu kierunków utworzył się korek trąbiących samochodów.

Marc poszedł na tył, aby się upewnić, czy mężczyzna nie został wyrzucony pod następny pojazd.

– Oszalałeś, ty idioto?! – krzyknął na niego kierowca terenówki, który właśnie oceniał wgniecenie na

chromowanym grillu. Mężczyzna miał na oko czterdzieści kilka lat i był ubrany tylko w dres do joggingu i luźny sweter. Na nogach miał kalosze w kolorze wojskowej zieleni.

– Posrało was, czy jak?

Marc zignorował go, ale nie schylił się, żeby sprawdzić, czy motocyklisty nie ma pod ich samochodem, tylko zdumiony wlepił wzrok w bagażnik samochodu Benny'ego, którego kłapa otworzyła się od uderzenia.

*Co to ma znaczyć?*

Obok torby z płótna żaglowego walą się rozmaite broń: dwa noże, pistolet, strzelba typu pump action i, jeśli dobrze widział, na plastikowym worku, w którym przelewała się krwista ciecz, leżały nożyce ogrodowe.

Ale zanim Marc wyciągnął po nie rękę, ktoś szarpnął go do tyłu.

– Zostaw to! – krzyknął Benny.

– Co to ma znaczyć?

Marc pokazał na bagażnik, którego kłapę jego brat przyciskał teraz dwiema rękami.

– No właśnie, co to ma znaczyć? Dlaczego tak nagle hamujecie, barany?! – wrzeszczał za nimi człowiek w dresie. – Co to za pedalskie gówno?

Daleko z tyłu słychać było cichy dźwięk syreny policyjnej, zbliżający się od strony Potsdamer Platz.

– Spadaj, ja to załatwię – powiedział Benny i zatrzasnął kłapę bagażnika.

Marc skonsternowany nie odrywał wzroku od zgniecionego tyłu samochodu.

– Wyjaśnię ci to później, przysięgam. Ale teraz nie ma czasu.

Benny spojrzał na skrzyżowanie, na którym skręciło volvo, zanim zablokował je wypadek.

– Na Friedrichstraße zawsze jest korek. Może jeszcze ją złapiesz.

Brat musiał powtórzyć to jeszcze raz, wreszcie Marc się ocknął i ruszył w pościg na piechotę.

# Rozdział 57

Nie biegł zbyt długo, ponieważ już po chwili ją zobaczył.

*Sandra.*

Kierowca volvo wypuścił ją z samochodu, żeby jedną przecznicę dalej wjechać na wielopoziomowy parking, którego neon umieszczony nad wjazdem informował o trzystu siedemnastu wolnych miejscach. Sandra czekała na światłach. Miała na sobie kremowej barwy zimowy płaszcz z kołnierzem ze sztucznego futra i wspierała ręce na biodrach, jakby bolało ją w krzyżu.

*Albo jakby jej brzuch był za ciężki.*

Marc ruszył w jej stronę i właśnie pokonał pół przecznicy, kiedy na cyfrowym wyświetlaczu parkingu pojawiła się liczba trzysta szesnaście.

*Co ona tu robi? I z kim przyjechała? Czy to był Constantin?*

Zapaliło się zielone światło dla pieszych i Sandra weszła na jezdnię. Nie wyglądało na to, żeby się śpieszyła. Idąc, szukała czegoś w swojej o wiele za dużej torebce. Przy każdym kroku jej złotożółte włosy podskakiwały na ramionach i Marcowi wydawało się, że jest już bardzo blisko niej i czuje zapach jej szamponu, chociaż dzieliło ich od siebie dobre pięćdziesiąt metrów.

– Sandra! – zawołał, ale tylko grupka nastolatków, która właśnie wyszła ze sklepu z telefonami komórkowymi, zwróciła na niego uwagę i zareagowała drwiącymi komentarzami. Przycisnął dłoń do pachwiny, oddychał głęboko, żeby zniwelować klucie w boku i kiedy przemożna potrzeba zrobienia sobie chwili przerwy stała się nie do zniesienia, olśniło go, dokąd idzie Sandra.

*Sandra idzie na zakupy. Oczywiście. Bo to przecież już niedługo.*

Okno wystawowe butiku z artykułami dla dzieci, który znajdował się po drugiej stronie ulicy, miało już zimową dekorację. Mała armatka śnieżna wystrzeliwała grube sztuczne płatki na wystawione kojce i wózki, a przed wejściem olbrzymi bałwan w różowym pajacyku przyciągał klientelę zainteresowaną zakupami dla dzieci.

Sandra zwolniła, teraz była tuż przed nim. Wyciągnął rękę, chciał dotknąć jej włosów, pogłaskać po małym wzgórku z tyłu głowy, który zawsze musiał uciskać, kiedy dostawała migreny. Chciał pomasować jej kark, przyciągnąć do siebie i spojrzeć w oczy, które udzieliłyby odpowiedzi na wszystkie jego pytania. Ale w końcu odważył się jedynie dotknąć jej ramienia i zawołać ją po imieniu. Zrobił to głośniejsz, niż zamierzał, ochrypłym głosem, który nawet dla niego zabrzmiał obco.

– Sandra!

Odwróciła się raptownie. W pierwszej chwili próbowała jeszcze zachować spokój. Zastanawiała się, czy ma się uśmiechnąć, czy przywitać. Potem górę wzięła strach, kąciki ust zaczęły drżeć i Marc niemalże usłyszał jej myśli.

*Czego on chce ode mnie?*

Cofnęła się o krok i otworzyła usta, ale to Marc przemówił pierwszy:

– Przepraszam, bardzo przepraszam.

Uniósł rękę w przeproszającym geście.

Przestraszona kobieta, która z przodu w ogóle nie przypominała Sandry, tylko pokręciła głową.

– Nie, nie, ja wcale nie chciałem... – wyjąkał Marc i pokazał na jej torebkę, którą o wiele za stara i za mocno umalowana jak na Sandrę blondynka kurczowo ścisnęła pobielającymi palcami. – Strasznie mi przykro, wziąłem panią za kogoś innego, przepraszam.

Cofnęła się tyłem o kilka kroków i dopiero, gdy znalazła się w bezpiecznej odległości od obcego mężczyzny, odwróciła się. Marc ciągle za nią patrzył i powtórzył przeprosiny, kiedy po raz ostatni rzuciła mu przez ramię spojrzenie, zarezerwowane zazwyczaj dla włóczęgów i bezdomnych. Minęła dziecięcy butik, do którego nawet nie zajrzała, i wtopiła się w grupę japońskich turystów wysiadającą właśnie z autokaru na skrzyżowaniu z Friedrichstraße.

– Tak mi przykro – wyszeptał Marc w kierunku, gdzie zniknęła nieznajoma, zupełnie jak czyjeś imię, którego człowiek nie umie już sobie przypomnieć.

*Tak mi przykro.*

Popatrzył pod nogi, zauważył, że stoi w kałuży wody z topiącego się śniegu, spojrzał na mokre, drżące palce, nad którymi stracił kontrolę. Marc odczuwał niedobór cukru we krwi, a mimo to nie był głodny. Był śmiertelnie zmęczony i jednocześnie pobudzony, jak po wypiciu dzbanka kawy na pusty żołądek. I chciało mu się płakać. Z powodu swojej żony, swojego życia, siebie samego, ale wentyl bezpieczeństwa jednak nie puścił.

Tracę zmysły, po raz pierwszy sformułował tę myśl w formie stwierdzenia, a nie pytania. Potem zamknął oczy, ukrył twarz w dłoniach i było mu całkowicie obojętne, co sobie pomyśla przechodnie, którym stał teraz na drodze.

A może wcale ich nie było? A może nie stał z zamkniętymi oczami na chodniku i nie słyszał kakofonii wielkiego miasta.

*Być może leżę w łóżku w klinice? Obok mnie nie stoi parkomat, ale stojak z kroplówką; nie mam dzinsów, tylko cewnik, a szum ruchu ulicznego jest odgłosem pracy mojego respiratora?*

Marc bał się otworzyć oczy, bo obawiał się najgorszego, że będzie musiał spojrzeć w oczy prawdy, która zdemaskuje jego życie jako jedno wielkie kłamstwo. Ale kiedy wreszcie się przezwyciężył, odchylił głowę do tyłu jak małe dziecko, które próbuje złapać językiem płatek śniegu. Dzięki temu pierwszy szok nie był tak duży, ponieważ chmury na szarym jak beton niebie jak na razie odwróciły jego uwagę od rusztowania. Ale wtedy zafurkotała plandeka, którą wiatr przycisnął do ściany biurowca.

*To niemożliwe.*

Eksplozja wspomnień wywołała wewnętrzny dygot. Marc aż się zatoczył, chociaż przecież nawet nie ruszył się z miejsca.

Powoli, jakby wciąż miał odprysk w szyi, obrócił się dookoła własnej osi. Zeskanował okolice jak kamera 3D, zapisując w pamięci dane, które niewyobrażalnie spotęgowały jego dezorientację. Widział butik z artykułami dziecięcymi, wypożyczalnię samochodów, księgarnię medyczną, wjazd do podziemnego garażu, obok którego kołysała się na wietrze nadmuchiwana maskotka sklepu z telefonami komórkowymi. Przypominał sobie wszystkie szczegóły, które już wczoraj oglądał z innej perspektywy.

*Siusiając. Na szóstym piętrze.*

A potem, kiedy zatoczył pełne koło i znów znalazł się w pozycji wyjściowej, a stojąca za nim Emma ostrożnie położyła mu rękę na ramieniu, znalazł ostatni dowód. Zauważył wypolerowany mosiężny szyld

z dyskretną informacją, że we wnętrzu budynku znajduje się szpital psychiatryczny:

„Klinika Bleibtreua”

Znów tam była.

A on stał przed jej imponującym wejściem.



# Rozdział 58

Emma zauważyła ją w tym samym momencie, ale zareagowała szybciej niż on. Marc poczuł, jak ręka, która spoczywała na jego ramieniu, obojętnie się z niego zsunęła. Następnie zobaczył plecy Emmy. Szła w stronę obrotowych drzwi wejścia do kliniki. Stawiała kroki jeden za drugim, jakby powodowana jakimś hipnotycznym rozkazem.

– Emma, nie! – chciał jeszcze krzyknąć Marc, ale było za późno. Dwaj mężczyźni otworzyli szklane boczne drzwi przylegające do obrotowego wejścia i wyszli na zimno z paczką papierosów i zapalniczkami w ręku. Emma przecisnęła się obok nich i wślizgnęła do środka przez uchylone drzwi, zanim znów się zatrzasnęły.

Marc nie miał wyboru. Poszedł za nią.

Na pierwszy rzut oka hol wejściowy budynku sprawiał wrażenie strefy check in na lotnisku. Czerwony dywan prowadził do aluminiowego kontuaru, za którym na gości czekała młoda kobieta w służbowym uniformie. Rozmawiała z siwowłosym mężczyzną, który stał przy kontuarze i wyglądał, jakby kurczowo trzymał się filiżanki z kawą. Muzyka klasyczna zapewniała przyjemną atmosferę.

– Ale to naprawdę nie jest pana zadaniem, panie profesorze. – Marc usłyszał głos młodej kobiety, kiedy powoli zbliżał się do Emmy, która przystanąła w połowie drogi, a więc jakieś dziesięć metrów przed recepcją, i spojrzała do góry. Tak samo jak cała klinika, również lobby było typowym przykładem marnotrawienia przestrzeni i energii. Atrium sięgało trzeciego piętra i dopiero tam zaczynały się pomieszczenia biurowe. Szklane ściany wywoływały wrażenie, że człowiek stoi w ogromnym akwarium, z którego spuszczone woda. Każdy krok odbijał się echem od sufitu i ścian, jak w kościele.

– Sprzęt ciągle nawala, wczoraj nie mogliśmy wejść do Internetu – mówiła słodkim głosem recepcjonistka, wskazując monitor komputera. Ani ona, ani jej rozmówca do tej pory nie zwrócili na nich uwagi.

– Musimy stąd zniknąć – szepnął Marc i złapał Emmę za rękę. Jej dłoń była zimna i wilgotna.

– Widzisz, mówiłam ci. Ona tu jest. Klinika wcale nie znikła. – Emma była za bardzo przejęta, żeby ściszyć głos. – Podali ci zły adres, Marc. Chcieli cię zwabić do wykopu. Właśnie o tym rozmawiali, kiedy ich podsłuchałam.

Mówiła coraz głośniej i w końcu zwróciło to uwagę blondynki za kontuarem.

– Czy mogę państwu w czymś pomóc? – zagadnęła słodkim głosikiem. Siwowłosy mężczyzna również się odwrócił. W jego oczach można było zauważyć lekkie niezadowolenie, że ktoś przeszkodził mu we flircie z młodszą o czterdzieści lat recepcjonistką. Ale to jego niezadowolenie trwało tylko tyle czasu, ile potrzebowała filiżanka, żeby wślizgnąć mu się z rąk i stłuc na marmurowej podłodze.

– Dzięki Bogu! – krzyknął, z trudem łapiąc oddech, a w jego głosie wyczuwało się zarazem zdumienie i ulgę. Potem sięgnął po swoją komórkę. – Pani Ludwig znów tu jest. Powtarzam, pani Ludwig...

Marc coraz gwałtowniej ciągnął Emmę za rękę, ale ona sprawiała wrażenie, jakby wrosła w ziemię. Nie mógł poruszyć jej nawet o milimetr.

*Z powrotem do wyjścia. Wyośmy się stąd. Z kliniki.*

Kiedy tak tracił cenne sekundy, siwowłosy mężczyzna zdążył już do nich podejść. Ciężko dyszał, jakby cały dostępny zapas sił zużył na pokonanie krótkiego odcinka dzielącego kontuar do miejsca, w którym stali. Na znak dobrej woli uniósł lekko obie dłonie.

– Jak się pani czuje? – zapytał.

Oczy Emmy napęłniły się łzami.

– Pamięta mnie pan? – spytała lękliwie.

Mężczyzna był teraz oddalony od niej zaledwie o dwa kroki i Marc puścił dłoń kobiety, aby w razie potrzeby mógł się sam wycofać.

– Ależ oczywiście – odpowiedział. – Wszędzie pani szukaliśmy.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zanim jeszcze aluminiowe drzwi windy znajdującej się po przekątnej na prawo za nimi całkiem się otworzyły, wypadło z niej trzech pielęgniarzy. Tym razem Emma była zbyt osłupiała, żeby stawić opór. W ciągu kilku sekund przycisnęli ją do podłogi i unieruchomili ręce na plecach. Jedno uderzenie serca później została uspokojona zastrzykiem.

Marc nie miał szansy jej pomóc i zastanawiał się, dlaczego do tej pory go oszczędzili, dlaczego tolerowali go tu, w holu recepcyjnym kliniki, jako niemego obserwatora i kiedy podzieli los Emmy.

Wzdrygnął się, kiedy po jego prawej stronie pojawił się cień. Potem zorientował się, że to siwowłosy, który zrobił coś, czego jego umysł zaprogramowany na ucieczkę w ogóle się nie spodziewał. Mężczyzna wyciągnął do niego rękę i podziękował.

– Bardzo pan nam pomógł i oszczędził dużo kłopotów. To prawdziwe błogosławieństwo, że sprowadził ją pan tu z powrotem.

– Z powrotem?

Marc popatrzył na pielęgniarzy, którzy posadzili Emmę na wózku inwalidzkim i wtoczyli do windy.

– Mam nadzieję, że nie sprawiała panu zbyt dużych kłopotów?

– Kłopotów? – Marc znów powtórzył jak echo.

Na ulicy zatrał samochód, ale Marc odebrał to jak sygnał z innej galaktyki.

– Wczoraj ciężko zraniła dwóch naszych pielęgniarzy, kiedy chcieli złapać ją na ulicy. W czasie ataków paranoi ma skłonności do przemocy. Gdzie pan znalazł naszą pacjentkę, panie...?

Siwowłosy mężczyzna rozczarowany cofnął rękę, której Marc jeszcze nie zdążył uścisnąć.

– Lucas – wyjąkał Marc odruchowo. – Marc Lucas. – Złapał się za kark. Następny automatyczny odruch, chociaż nie miał już opatrunku.

– Ach tak, teraz sobie przypominam. Był pan kiedyś u mnie na badaniu.

– Pan mnie zna? – Marc akcentował każdą sylabę z jednakową siłą.

– Tak, oczywiście. Kiedy miał pan ten wypadek? Sześć tygodni temu?

Wszystko wokół Marca zaczęło wirować.

– Kim pan jest? – zapytał mężczyznę, którego nie widział nigdy w życiu. Ani jego uśmiech, który odsłaniał olśniewające koronki, ani wysokie czoło, ani znamię w kształcie gwiazdy na szyi tuż pod brodą nie budziły najmniejszych wspomnień.

– Och, pan wybaczy – powiedział mężczyzna. – Myślałem, że pan wie, gdzie się znajduje. – Uśmiech znikł z jego twarzy. – Nazywam się profesor Patrick Bleibtreu.

# Rozdział 59

Nikt mu nie przeszkodził. Nie stanęła mu na drodze żadna masywna postać, nie szarpały go niczyje ręce, żadne ramię nie założyło mu nelsona i nie przycisnęło twarzą do ziemi. A przecież nie mieliby z tym najmniejszych trudności. Był za słaby, niezdolny do stawiania oporu. W jego głowie kłębiły się tysiące myśli.

Jeśli ten człowiek rzeczywiście był kierownikiem kliniki, to kogo spotkał wczoraj po południu? Kto zabrał go samochodem sprzed basenu w Neukölln i poddał wielogodzinnym badaniom?

Obrotowe drzwi wypuły go z powrotem na świat zewnętrzny, ale Marc czuł się, jakby jego dusza została w atrium kliniki Bleibtreua i czekała obok siwowłosego mężczyzny, wiedząc, że do niej wróci.

Odwrócił się i spojrzał w górę. Dokładnie tutaj stał wczoraj. Ale nie była to Französische Straße, lecz jedna przecznica dalej.

*Chcę mnie wykończyć. Ktoś chce, żebym stracił pamięć, i w tym celu posługuje się tanimi sztuczkami.*

Maybach jechał wczoraj Französische Straße i tam skręcił na wielopoziomowy parking, który prawdopodobnie był połączony podziemnym przejściem z biurowcem po tej stronie ulicy.

Marc zaśmiał się histerycznie. Nigdy nie widział od zewnątrz prawdziwej kliniki Bleibtreua, a plandeka przed oknami skrywała zagadkę. Wyłącznie okna toalety nie były zasłonięte, ale z nich roztaczał się widok tylko na fragment skrzyżowania, który nie budził w nim podejrzeń.

*Co teraz? Co zrobić teraz?*

Marc chwiejnym krokiem szedł bez celu chodnikiem. Walczył z niewidzialnym wrogiem, nie potrafił odróżnić dobra od zła i nie znał powodu, dlaczego to wszystko się dzieje.

A może za tą całą historią kryje się Sandra? Może jakiś doradca od PR-u namówił ją do tego spisku, ponieważ film odniósłby większy sukces, gdyby wyszło na jaw, że jest oparty na autentycznych wydarzeniach.

*Tylko że najpierw powstał scenariusz, a rzeczywistość wydarzyła się później!*

Ze wszystkich hałasów, które dochodziły do jego uszu na Französische Straße, znów wyrwał go z zamyślenia klakson samochodu. Słyszał go już w lobby kliniki, ale tym razem był o wiele bliższy.

Spojrzał w bok i za kierownicą trąbiącego samochodu rozpoznał brata.

– Wsiadaj! – Benny zatrzymał się obok niego i uchylił boczną szybę brudnego małego auta. – No już. Nie mamy czasu do stracenia!

# Rozdział 60

Wydawało się, że samochód należał do młodej kobiety albo do rodziny z małym dzieckiem. Kilka słoni maskotek przyciskało przysawki na stopach do tylnych szyb, a w kieszeni magnetofonu tkwiła kasetka ze słuchowiskiem *Pszczółka Maja*.

– Tylko go wypożyczyłem – wyjaśnił Benny, mimo że Marc o nic nie zapytał. Od kwadransa żaden z nich nie powiedział ani słowa, ale teraz brat z sekundy na sekundę robił się coraz bardziej gadatliwy. – Odstawię potem grata z powrotem na parking, serio. Kiedy zjawiły się gliny, nie mogłem czekać. A więc zwiąłem i zorganizowałem dla nas to autko.

Marc skinął głową, nie mówiąc słowa. Nie mógł się skoncentrować, ponieważ głos Benny'ego nie był jedynym głosem w samochodzie. Inny głos właśnie śpiewał po angielsku coś o miejscu, do którego powinno się razem iść i które jest znane tylko jednej osobie. Dopiero po dobrej chwili zorientował się, że muzyka dobiega z radia. Wyłączył je i złapał za klamkę od drzwi.

– Zatrzymaj się! – powiedział cicho.

Benny popukał się w czoło.

– Porąbało cię?

– Nie chcę mieć nic wspólnego z mordercą.

– Znowu zaczynasz gadać jak czubek? Nikogo nie zabiłem!

Z umiarkowaną prędkością skręcili na rondo wokół Kolumny Zwycięstwa. Benny odetchnął głęboko. W poło śmierdziało wymiotami i tanimi perfumami. Prawdopodobnie ktoś próbował zneutralizować jeden zapach drugim.

– To w jakim celu wybrałeś się na przejażdżkę z zakrwawionym workiem na śmieci i podręcznym składem broni? – zapytał Marc.

– Broń nie jest moja.

– A czyja?

– Valki.

– Co zrobiłeś?

– Nic, tylko pożyczyłem pieniądze.

– Na co?

– Na murowany interes, ale teraz to nie ma znaczenia. Poprosiłem Valkę, żeby przelała je na konto mojego wspólnika. Ale interes nie wypalił, zostałem zrobiony w balona.

– A co to za kasa w torbie?

Benny rzucił przelotne spojrzenie na tylne siedzenie, gdzie leżała zabrudzona krwią torba z płótna żaglowego.

– Część zatrzymałem. Valka przemycił mi ją do kliniki. Ale brakuje mi drugiej połowy, żeby móc wszystko spłacić.

Benny trzymał kierownicę tylko jedną ręką. Drugą masował nogę, którą dodawał gazu.

– I teraz masz jego kilerów na karku?

– Coś w tym rodzaju. Valka chciał mi darować dług, jeśli wykonam dla niego pewną robotę.

Zmienili pas i ominęli studenta, który szukał miejsca do zaparkowania na StraÙe des 17. Juni. Do uniwersytetu i następnego ronda były jeszcze jedne światła.

– Jaką robotę?

– Dziennikarz, Ken Sukowsky, zbierał informacje na temat Valki. Zbierał za dokładnie. Miałem go zabić i obciąć mu palce. A może w odwrotnej kolejności. Potem miałem natychmiast wyjechać z miasta.

– Spojrzał w lusterko wsteczne. – Cholera, od paru godzin powinienem być w Amsterdamie. Teraz jestem skończony.

– Dlaczego?

Benny westchnął.

– Bo tylko blefowałem. Wczoraj wieczorem byłem u Sukowsky'ego. Ostrzegłem go. Potem chciałem obskoczyć wszystkich i się pożegnać. Wiesz, wszystkich, którym coś zawdzięczam. Przyjaciół, znajomych, którzy mi pomagali, kiedy nie było ze mną najlepiej. Tak jak profesor.

Sięgnął do bocznej kieszeni kurtki i wyjął wymiętą kartkę. Z listy dziesięciu nazwisk trzy pierwsze były przekreślone, na końcu widniało nazwisko Haberlanda. Marc stwierdził, że nie ma go na tej liście.

– To był prawdziwy powód, dlaczego z wami pojechałem. Kiedy byłeś z Haberlandem na spacerze, część forsy Valki położyłem na kuchennym stole. Był jednym z niewielu, którzy rzeczywiście się o mnie troszczyli. Doktor na nie zasłużył.

A więc o to chodziło. Powoli wszystko zaczynało nabierać sensu.

– Tak jak Leana? – zapytał Marc.

Zatrzymali się na światłach i Benny spojrzał na niego zdumiony.

– Czy twojej pielęgniarce również podziękowałeś forszą Valki?

– Tak, dałem jej piętnaście tysięcy – przytaknął Benny po dłuższej przerwie. – Myślałem, że uda mi się wyjechać z miasta, zanim Eddy będzie chciał ją odebrać. Ale wtedy skrócił mi termin.

– Co było w tym zakrwawionym worku? – zapytał Marc, wciąż jeszcze nieufnie.

– Świński łeb. Mój prezent na pożegnanie dla Valki. Miał go znaleźć w bagażniku, kiedy mnie już od dawna nie będzie w kraju.

Światło zmieniło się na zielone i można było odnieść wrażenie, że spowodowało to pęknięcie tamy, która do tej pory uniemożliwiała Benny'emu mówienie. Teraz wszystko wręcz się z niego wylewało: szczegółowo opowiedział, jak to wczorajszej nocy nadział się na kontrolę drogową i o mały włos policjantka nie znalazła w jego bagażniku broni, którą miał zabić dziennikarza, a na koniec wspomniał nawet o zamordowanej dziewczynie w swoim mieszkaniu.

– I wtedy zjawiłeś się ty razem z tą paranoiczką, nie mogłem przez to w porę zwać i teraz mam na karku ludzi Valki.

Benny skręcił w prawo i w ostatniej chwili zjechał z ronda na Ernst-Reuter-Platz. Pognali Bismarckstraße w kierunku Deutsche Oper.

– Dlaczego nigdy nie przyszedłeś do mnie, kiedy miałeś problemy finansowe?

Marc szukał w kurtce opakowania z tabletkami i doszedł do wniosku, że musiały zostać w poprzednim samochodzie. Teraz nie zostało mu nic innego, jak mieć nadzieję, że nudności się nie nasilą.

– Pomijając drobny fakt, że ostatnio nie byliśmy ze sobą zbyt blisko? – Benny rzucił mu krótkie

spojrzenie i zaśmiał się. – Nie masz dziewięćdziesięciu tysięcy euro.

*Wielki Boże. Aż tyle?*

– Na miłość boską, na co ci taka kupa kasy?

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

Marc znów starał się nie podnosić głosu. Kłótnie z bratem jeszcze nigdy nie przyniosły nic dobrego. Im silniej ktoś próbował go naciskać, tym bardziej Benny się zamykał.

– Ale dlaczego Valka? Cholera, znam ludzi, którzy nie wywiercą ci od razu wiertarką dziury w kolanie, jeśli spóźnisz się z ratą pożyczki – powiedział spokojnie.

– Czyżby? Jeśli mówisz o swoim teściu, to mogę się tylko roześmiać.

– Dlaczego?

– Splajtował.

– Co?

Kolejne światła zmieniały się z żółtego na czerwone. Dla Benny'ego był to tylko znak, żeby jeszcze przyspieszyć, chociaż wszystkie inne samochody obok nich zahamowały.

– O czym ty mówisz? – zapytał Marc skonsternowany.

– Plajta. Czy to słowo ma jeszcze inne znaczenie?

Benny spojrział w lusterko wsteczne, jakby się bał, że znów ktoś za nimi jedzie. Ale kiedy Marc obejrzał się do tyłu, nikogo nie zauważył.

– Nie wyszło mu z klinika, przeliczył się. Nie czytasz gazet?

*Nie. W ostatnich tygodniach nie interesowało mnie, co dzieje się na świecie.*

– Poza tym jeden z jego chirurgów przeszczepił wadliwą zastawkę serca, czy coś takiego. Nie było w tym winy Constantina, ale i tak ma proces. Podobno stracił nawet willę, do której właśnie jedziemy. – Benny spojrział z boku na Marca. – Bo chyba tam chcesz jechać, czy może już nie?

# Rozdział 61

Ludzki umysł jest w stanie wyprzeć nawet niezbite oczywistości, z którymi każdy człowiek musi kiedyś się zmierzyć: starość, chorobę, wyniszczenie, własną śmierć. Każdego z nas wszystko to czeka, a mimo to wydaje się nierealne. Ktoś inny tasuje karty, którymi gramy, i choć często rozpaczamy z tego powodu, to ostatecznie jesteśmy wdzięczni łasce systemu. Bo czyż szlibyśmy dalej drogą życia, gdybyśmy mogli wejrzeć w przyszłość?

Takie pytanie zadał sobie Marc, kiedy zatrzymali się przed willą teścia. Benny został w samochodzie i obiecał czekać na niego na podjeździe, nawet jeśli nie był za bardzo przekonany do planu, który ich tu sprowadził.

– Czego szukasz? – zapytał, kiedy Marc wysiadał z samochodu.

– Prawdy – odpowiedział Marc.

Czy Constantin chciał wpędzić go w obłąd z powodu swoich długów? Czy chciał ubezwłasnowolnić Marca, dzięki czemu jako jego opiekun przejąłby dochody ze sprzedaży scenariusza? Tak czy owak, Marc chciał odzyskać swoje życie, nawet jeśli miałyby to być życie wdowca. Był przekonany, że Constantin stoi pomiędzy nim a prawdą. Musiał z nim porozmawiać. Doprowadzić sprawę do końca. Takiego lub innego.

Załomotał do drzwi. Dawniej Constantin zawsze chował zapasowy klucz w hangarze na łodzie, na wypadek gdyby kiedyś nie mógł dostać się do środka. Ale te nieostrożne czasy już dawno minęły. Po włamaniu, trzy lata temu, przez które Sandra straciła ich pierwsze dziecko, zaangażował eksperta od spraw bezpieczeństwa. Od tamtej pory działał monitoring wideo, który dyskretnym sygnałem dźwiękowym wewnątrz domu anonsował gości. A klucze do drzwi wejściowych zastąpiono odciskami palców domowników. Ale dzisiaj Marc nie musiał przycisnąć palca wskazującego do zimnego czytnika umieszczonego przy wejściu. Ponieważ drzwi były już otwarte. Kiedy zapukał, uchyliły się prawie na całą szerokość.

– Halo, jest tu kto?

Marc wszedł do holu i już tu poczuł zmianę, chociaż wydawało się, że wszystko stoi na swoim miejscu: bezpośrednio przy wejściu mały stolik, na którym można położyć telefon komórkowy i klucze, duże marmurowe kule po obu stronach schodów. I ogromne lustro w srebrnej ramie, w którym odwiedzający wydawali się wyżsi i szczuplejsi, niż rzeczywiście byli. Zazwyczaj już w wejściu gościom udzielała się przyjemna atmosfera, jednak dzisiaj Marc nie uległ temu nastrojowi. I to nie tylko dlatego, że teść nigdy nie zostawiał otwartego domu.

Ale dlatego, że usłyszał obce głosy.

Mężczyzny i kobiety. Sprawiali wrażenie wesołych i spoufalconych ze sobą. Prowadzili rozmowę na pierwszym piętrze.

– Halo, to ja! – zawołał Marc na schodach. Bez odpowiedzi. Tylko cichy chichot, a po nim długi monolog mężczyzny.

Wszedł po schodach, po których kiedyś co drugą niedzielę wchodzili razem z Sandrą. Dwa razy w

miesiącu Constantin zapraszał rodzinę na herbatę. Po przedwczesnej śmierci jego żony wszyscy spodziewali się, że zerwie z tą tradycją, ale on ją kontynuował. I tak w dalszym ciągu jeździli do niego, żeby na górze, w bibliotece, przed jednym z trzech kominków, jakie były w domu, gawędzić o wydarzeniach z ubiegłych dni. Co drugą niedzielę. Aż do wypadku.

Kiedy Marc postawił nogę na ostatnim stopniu, głosy stały się wyraźniejsze.

– Constantin?! – zawołał ochryple. Od wielu godzin nic nie pił i jego język w jego ustach sprawiał wrażenie obcego ciała.

Korytarz rozchodził się w dwie strony. Na lewo znajdowały się sypialnie dla gości, na prawo gabinet do pracy i połączona z nim biblioteka, skąd dobiegały głosy. Marc był teraz tak blisko, że mógł zrozumieć strzępki rozmowy.

– Nie zrobiłabym tego – zaprotestowała wesoło kobieta.

– Naprawdę? Nie byłbym tego taki pewny? Przypomnij sobie jeszcze raz jakieś swoje najbardziej zawstydzające przeżycie – odpowiedział mężczyzna.

– Och, to było niedawno na pływalni, ale naprawdę nie mogę ci o tym opowiedzieć.

To było niesamowite, że para dotąd nie zareagowała, chociaż kilkakrotnie zaznaczał swoją obecność. Dlatego postanowił teraz robić jak najmniej hałasu i przekradł się na prawą część ciemnego korytarza.

Im bliżej był drzwi do gabinetu Constantina, tym wyraźniejsze stawały się głosy zniekształcone przez ciche elektrostatyczne trzaski. Drzwi znajdowały się mniej więcej pośrodku korytarza, naprzeciwko małej łazienki dla gości.

– Kłamczucha. – Mężczyzna za drzwiami zaśmiał się.

– Nie, mówię serio, nic więcej sobie nie przypominam.

– No trudno.

Marc wstrzymał oddech, nacisnął ciężką kłamkę, otworzył drzwi i zamarł.

Gabinet, w którym para rozmawiała w tak ożywiony sposób, był całkowicie zdemolowany. Stojąca lampa leżała przewrócona na rozprutej skórzanym kanapie. Perski dywan, złożony jak ogromna chustka do nosa, leżał rzucony przed pustym regałem. Wszystkie książki, obrazy, zdjęcia w ramkach i dzieła sztuki, które dawniej tam stały, leżały porzucane na podłodze.

Marc rozejrzał się, szukał rozmawiającej ze sobą pary i znalazł ją za zakurzoną szklaną szybą. Telewizor leżał przewrócony za szczątkami akwarium, z którego wyciekła słona woda. To cud, że stare urządzenie jeszcze działało i nie skończyło jak rozliczne ryby na parkiecie.

– Co państwo o tym sądzą? Wasze zdanie jest dla nas ważne! – powiedział mężczyzna na ekranie, który wyglądał jak karykatura prezentera telewizji śniadaniowej. Miał wesoły krawat, wesołą marynarkę i wesoły uśmiech. Kamera znów odjechała i pokazała całość studia oraz jego koleżankę z platynowymi blond włosami.

– Nie, o tym naprawdę nie chcę pamiętać.

– A widzisz?

Obraz migotał co dwie sekundy i czuło się swąd spalenizny. Przewód zasilający telewizora był uszkodzony i lekko iskrzył w kontakcie z wyciekającą wodą.

Marc uznał, że lepiej nie dotykać grata, i spojrział na biurko, jedyną oazę spokoju pośrodku całego spustoszenia. Niewzruszone, jakby stworzone dla męża stanu, który na mahoniowym lakierowanym blacie



ma zamiar podpisywać zmieniające świat umowy, pozostało na swoim miejscu, frontem do okna z widokiem na jezioro.

Marc stąpał po rozbitych kieliszkach, nogą odsunął na bok przewrócony globus, który kiedyś służył za minibar, i zastanawiał się, co powinien zrobić.

Nie było możliwości, żeby samemu sprawdzić cały dom, w którym samych pokoi gościnnych było aż sześć, czy nie czai się w nim jakieś niebezpieczeństwo. Gdyby włamywacz ciągle znajdował się w środku, byłby zdany na jego łaskę. Z drugiej strony, nie miał już powodu, żeby przebywać tu dłużej. W tym chaosie nie mógł nawet znaleźć pilota do telewizora, żeby wyłączyć tę paplaninę, a co dopiero mówić o odpowiedziach, które mogłyby rozświetlić ciemności jego psyche.

– No dobrze, ale co będzie, jeśli coś się nie uda?

– Okay, a co wy, drodzy widzowie, o tym myślicie? Dzwońcie do nas na numer, który widzicie na ekranie.

Marc chciał już wyjść, kiedy jego wzrok padł na leżącą na podłodze szufladę wyrwaną z biurka. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak wszystkie pozostałe. Dopiero przy dokładniejszym przyjrzeniu się widać było wzbudzającą niepokój różnicę.

– Czy wzięlibyście w tym udział, czy raczej nie? Głosujcie teraz!

Marc ukląkł i odczytał liczby, które ktoś nagryzmolił na niej od spodu dziecięcym charakterem pisma.

23.11

Wyznaczona data narodzin jego dziecka.

– Na zakończenie proszę wybrać jeden na „tak” lub dwa na „nie”.

Odwrócił szufladę. W jej wnętrzu pozostał jeden dokument, który przykleił się do dna. Drżącymi palcami wyjął szarzielony wyciąg bankowy z prywatnego konta Constantina.

– Ale teraz przechodzimy do reportażu redakcji programu *Akta 09*, który dostarczył nam nasz nieoceniony kolega ze stacji Sat-1 Ulrich Meyer i który z pewnością będzie miał wpływ na Państwa opinię.

W ostatnich dniach wypłacano coraz większe sumy. Konto było na minusie, a w ostatniej kolumnie widniała adnotacja „zablokowane”.

Marc spojrział na telewizor.

W tej chwili nie było różnicy pomiędzy jego wewnętrznym spustoszeniem a spustoszeniem pokoju, w którym klęczał. Wydawało się, że również jemu ktoś powyciągał i opróżnił wszystkie szuflady umysłu. I za nic nie potrafił przez to ponownie uporządkować pojedynczych myśli. Wszystko wiązało się ze sobą: Sandra, Constantin, dziecko. Ale nic nie miało sensu. Ani długi Constantina, ani dewastacja jego gabinetu, ani głos jego żony, która właśnie głośno i wyraźnie wypowiedziała jego imię.

# Rozdział 62

Marc wpatrywał się, nic nie rozumiejąc, w ekran, który pokazywał zbliżenie Sandry. Jej włosy były przepocone i nieuczesane, oczy przekrwione i zapuchnięte. Wyglądała na zrozpaczoną i wyczerpaną. Ale chociaż jeszcze nigdy nie widział jej w tak złym stanie, była to ewidentnie jego żona.

Teraz nastąpiło cięcie, kamera najechała na nieporadnego w ruchach reportera, który wydawał się trochę za młody jak na dziennikarza śledczego programu informacyjnego. Niedostatek osobistego uroku nadrabiał głębokim głosem.

– Do tej pory klinika Bleibtrea uchodziła za prestiżowy prywatny szpital specjalizujący się w leczeniu zaburzeń psychosomatycznych. Ale w ostatnich dniach opinię publiczną zbulwersował niezwykle eksperyment. Eksperyment jest prowadzony w budynku znajdującym się za moimi plecami, najprawdopodobniej bez niezbędnego urzędowego zezwolenia!

Kamera przejechała najpierw przez dobrze znane mu rusztowanie przed kliniką i pokazała mosiężny szyld przy wejściu. W tle było słycać komentarz reportera.

– MME – eksperyment z pamięcią, tak nazywa się program, w którym uczestnikom kasuje się pamięć, rzekomo po to, aby mogli wymazać najgorsze wspomnienia ze swojego życia. Pomysł jest oczywiście kuszący. Wypadki, kłopoty sercowe, tragedie – co by było, gdybyśmy raz na zawsze mogli zapomnieć to wszystko, co nas gnębi.

Na ekranie znów pojawił się reporter. Teraz szedł ulicą, przy której znajdowała się klinika. Zaciekawieni przechodnie odwracali się do niego i do kamery.

– Ale co się stanie, jeśli coś się nie uda? Tak jak w przypadku pacjenta, którego akta trafiły w nasze ręce.

Marc wzdrygnął się. Na ekranie telewizora ukazał się zaczerniony miejscami dokument. Nazwiska lekarzy zostały zamazane, ale jego, Marc Lucas, widniało niemal w każdej linijce, również jego zdjęcie w prawym górnym rogu karty chorobowej było w całości widoczne.

– Tak, to są akta mojego męża – potwierdziła coś niewyobrażalnego Sandra, a z jej głosu przebijała jeszcze większa rozpacz niż wcześniej. – Proszę podać jego nazwisko i opublikować zdjęcie, być może dzięki temu odzyska pamięć.

Teraz kamera uchwyciła nie tylko twarz Sandry, lecz jej całą postać. Leżała w szpitalnym łóżku. A jej brzuch był jeszcze większy.

Marc zaczął bezgłośnie płakać.

– Nie wiem, z jakiego powodu, ale był tam na leczeniu. A teraz mój mąż nie może sobie niczego przypomnieć.

Znów cięcie, następnie najazd kołyszącej się w rytm kroków ręcznej kamery na recepcję kliniki Bleibtrea, gdzie niedawno została obezwładniona Emma. Nagle przed obiektywem pojawiła się ręka, nastąpiła przepychanka, a po chwili ukazał się przekrzywiony obraz lobby.

– Niestety kierownik kliniki nie chciał odnieść się do zarzutów. Naszej ekipie telewizyjnej zakazano wstępu i przebywania na terenie budynku.

Reportaż kończył się ujęciem Sandry w klinice.

– On nic nie pamięta – powtórzyła. – Nie pamięta mnie. Nie pamięta naszego dziecka. – Po jej policzkach spływały łzy. – Dobry Boże, on nawet nie wie, że wystąpiły komplikacje.

*Komplikacje?*

Jego żona mówiła teraz prosto odo kamery.

– Marc, jeśli to usłyszysz, przyjdź do mnie.

Zaczęła szlochać.

– Proszę cię, z naszym dzieckiem jest coś nie tak. Muszą wywołać wcześniejszy poród.

Na tym materiał się kończył, za to wrócił obraz ze studia i niesamowity trajkot duetu prezenterów. Uśmiechali się, jakby właśnie skończyli połączenie na żywo z corocznego festiwalu piwa Oktoberfest.

– Tak, możecie nadal głosować – śmiał się mężczyzna. – Czy pozwolilibyście skasować sobie pamięć, żeby nie wspominać już złych przeżyć?

– Albo... – włączyła się kobieta – ...mówicie, nie, to nie dla mnie, jak widać na przykładzie Marca Lucasa. Nawiasem mówiąc, jego żona rodzi dziś po południu. Właśnie teraz ich dziecko powinno przyjść na świat przez cesarskie cięcie w klinice Sennera, i to rzeczywiście tragiczne, że ojciec...

Marc wstał, zasłonił uszy i próbował własnym krzykiem zagłuszyć prezenterów, żeby nie wpaść w jeszcze większy obłęd.

W tej sekundzie na podjeździe rozległ się strzał.

# Rozdział 63

Kiedy dotarł na dół, zdążył zobaczyć, jak jego brat uderza głową w słup ogrodowej latarni. W jakiś sposób udało mu się uciec z samochodu i wyrwać broń napastnikowi. Strzelba leżała pół metra dalej, obok ozdobnego krzewu. Jej właściciel właśnie próbował z całej siły kopnąć Benny'ego w nerki.

Marc nie miał pojęcia, czy był to motocyklista, który wcześniej ich ścigał, czy nowy zbir nasłany przez Valkę. Mężczyzna nie miał na twarzy kominiarki, poza tym jego postura była zbyt masywna jak na osobę, która pasjonuje się sportowymi motocyklami.

Benny'emu nie udało się podnieść i próbował na czworakach wyczołgać się ze strefy zagrożenia. Bezskutecznie. Napastnik kopnął go z tyłu między nogi i Benny złożył się jak scyzoryk. Wtedy zbir pochylił się nad nim.

Tymczasem Marc bezgłośnie skradał się wokół samochodu, w którym brakowało przedniej szyby. Dzieliły go jeszcze dwa metry od broni, którą kiler musiał przestrzelić szybę. Zamierzał jeszcze bardziej skrócić dystans, kiedy nalany oprych, śmiejąc się, odwrócił głowę w jego stronę.

– Czy ja wyglądam jak jakaś głupia dziwka? – zapytał.

Marc podniósł obie ręce w górę.

Teraz, kiedy zobaczył jego twarz od przodu, poznał człowieka, który chciał zabić jego brata.

– Cześć, Valka!

Był jeszcze grubszy, niż go zachował w pamięci.

– No i popatrz, drogi przyjacielu. Zespół znów jest w komplecie.

Eddy uśmiechnął się pewny siebie i sprawdził magazynek pistoletu. Inaczej niż „pompka” obok krzaka, do której po każdym strzale trzeba na wkładać nowy nabój, broń Benny'ego miała ich wystarczający zapas w magazynku.

– Wielka szkoda, że z powodu tej dziwki wystawiłeś nas wtedy do wiatru.

– Od kiedy znów sam brudzisz sobie ręce? – zapytał Marc. Z jego ust wydobywała się para, ale nie czuł zimna ani wiatru wiejącego od jeziora. Od wewnątrz rozgrzewał go strach.

– Odkąd twój brat spróbował wyruchać mnie, starego wyjadacza – odpowiedział Valka i przy każdym słowie na „w” kopał Benny'ego w bezbronną twarz. O dziwo, Benny osłaniał ramieniem tylko partie brzucha, a nie twarz. Z ust i nosa leciała mu gęsta krew.

– O, jeszcze jeden fan Eddy'ego Murphy'ego! – zawołał Marc, zanim szalenięc zdążył kopnąć po raz trzeci.

Valka zdziwił się.

– Co ty gadasz?

– To cytat z filmu: „Nigdy nie próbuj wyruchać lepszego od siebie wyjadacza”, albo jakoś podobnie. Z *Nieoczekiwanej zmiany miejsc*, ale to nieważne. W każdym razie całkiem zgrabnie tego użyłeś, Valka.

Eddy wykrzywił twarz w uśmiechu, potem spojrział w dół na ludzki kłębek u swoich stóp.

– I dla tego tu mądrali dałeś się zamknąć w wariatkowie?

– Pocałuj mnie w dupę! – wyrzęził Benny, co kosztowało go utratę jedyńki.

W oddali zabuczała syrena barki towarowej, która torowała sobie drogę w kierunku Glienicker Brücke. Marc rozejrzał się. Działki w tej okolicy były tak duże, że stojąc przy wjeździe, nie widziało się domów. Nikt nie przyjdzie im na pomoc. A strzelba leżąca przed nim nadawała się tylko do tego, aby dać nią komuś w łeb. Valka stał trzy długości samochodu dalej; zanim Marc zdołałby pokonać bodaj połowę tej odległości, cały magazynek tkwiłby już w jego piersi. Marc wiedział o tym tak samo jak Eddy, który nawet nie zadał sobie trudu, żeby wycelować w niego pistolet. Przyklęknął, a metalowy czubek jego kowbojskiego buta znalazł się zaledwie o milimetr od prawego oka Benny'ego. Złapał go za włosy i podniósł jego głowę ze zwirowej drogi, tak że ubrudzone krwią usta znalazły się na wysokości jego ust.

– Okay, Benjamin, jesteś gotowy na śmierć? – zapytał łagodnie i przyłożył mu pistolet pod brodę.

Nie mówił teraz jak prostak, tylko jak psychopata, którym był.

Ku przerażeniu Marca jego brat ostatkiem sił skinął głową, jak ktoś, kto już pogodził się z losem.

Szepnął przy tym coś do Valki tak cicho, że słowa rozplynęły się na wietrze i w szumie drzew. Krwawa ślina spływała mu po brodzie i nie wiadomo dlaczego, zanim Benny zamknął oczy, pojawiło się w nich coś jakby wdzięczność.

– No dobra, to idź do piekła, ty psycholu! – powiedział Eddy.

I wtedy, zaraz potem jak Marc postanowił rzucić się w objęcia pewnej śmierci, zamiast stać tutaj bezczynnie, Valka zrobił coś całkowicie irracjonalnego.

Protekcjonalnie poklepał Benny'ego po twarzy. Następnie wstał, szerokim łukiem odrzucił pistolet i poszedł zwirową drogą do bramy wjazdowej, ani razu się nie odwracając.

# Rozdział 64

**D**laczego to zrobił? – Marc musiał przekrzykiwać wiatr, który z prędkością tornada zacinał go w twarz. Valka rozbił przednią szybę strzałem ze strzelby i na szczęście podziurawił tylko pusty fotel obok kierowcy, ponieważ Benny w ostatniej chwili zanurkował w bok pod deskę rozdzielczą.

– Dlaczego Eddy tak po prostu odszedł? – Marc spojrzął do tyłu, gdzie jego brat leżał z podkurczonymi nogami w poprzek siedzenia i wycierał usta dolnym skrajem T-shirtu.

– Nie mam pojęcia. Chyba to jest mój szczęśliwy dzień.

Benny zaczął się dławić, odwrócił się na bok i zwymiotował na wycieraczkę. Minęła chwila, zanim mógł mówić dalej.

– Myślę, że nie chciał sobie brudzić rąk. Jego ludzie na pewno mnie znajdą – stęknął. – Tak czy inaczej, jest już po sprawie.

Marc pokręcił głową, nie mogąc do końca zrozumieć, co się stało.

– Zaraz będziemy na miejscu! – krzyknął głośno.

Jakby tego wszystkiego było mało, znów zaczął padać śnieg z deszczem, który znacznie ograniczył widzialność. Samochody, przechodnie, znaki na jezdni i domy na poboczu – wszystko się rozmywało się przed jego oczami w mętne plamy.

– Dokąd jedziemy? – spytał Benny, próbując unieść głowę.

– Do kliniki Sennera.

Jadący z tyłu rodzinny van ponaglał ich, migając światłami, ale mimo najlepszych chęci Marc nie mógł jechać szybciej.

Zdjął zeszywniałe palce z kierownicy, pochuchał na nie i sprawdził, czy w wewnętrznej kieszeni nadal znajduje się pistolet, który odnalazł w pośniewowej kałuży. W pistolecie był nawet jeszcze magazynek.

– Cholera, gdzie my jesteśmy? – Benny próbował oprzeć się na łokciu, ale szybko osłabł i znów osunął się na siedzenie. Osiedle, przez które prowadziła teraz Kladower Damm, doskonale mogłoby udawać malowniczą bawarską wioskę, tak było czyste i wysprzątane. Knajpy nosiły nazwy Pod Truposzem lub Wiejski Dzban, a wież kościelnych było tyle co zagród dla koni. Nic dziwnego, że ludzie, którzy przyjechali tu na cotygodniowy targ, wybałuszali oczy na widok podziurawionego śrutem samochodu, jakby to był jakiś cud świata.

Marc puścił kierownicę i otarł dłońmi moką twarz. W deszczu było coraz więcej śniegu i Marc jeszcze bardziej zwolnił.

– Muszę ci coś powiedzieć – usłyszał stęknienie Benny'ego. Spojrzął we wsteczne lusterko.

– Wtedy, kiedy odszedłeś z zespołu, a ja połknąłem proszki...

– Tak, to było nie w porządku z mojej strony, wiem. Powinienem bardziej się o ciebie troszczyć.

– Nie, nie o to chodzi. – Benny zakaszłał. – To nie było z twojego powodu.

– A z czyjego?

– Chodziło o Sandrę.

Jego słowa uderzyły Marca w twarz takim samym chłodem jak deszcz. *O Sandrę?*

– Nie tylko ty się w niej zakochałeś, Luke.

Marc odwrócił się w jego stronę.

– Spoko, bez obawy – uspokoił go Benny. – Między nami nigdy do niczego nie doszło, chociaż na początku się jeszcze wahała.

Marc zeszywniał, jeszcze mocniej zacisnął palce na kierownicy i starał się uporządkować przelatujące mu przed głowę myśli.

*A więc to było powodem.*

To dlatego na początku ich związku Sandra tak długo trzymała go w niepewności. Nie mogła się zdecydować pomiędzy nim a jego bratem.

– Czemu mi to mówisz?

Benny odpowiedział niemrawo.

– Żebyś więcej nie zaprzętał sobie mną głowy. Prawdą jest, że wtedy Sandra bardzo szybko zakochała się w tobie. Ja raczej nie byłem w jej typie. Mały, potrzebujący pomocy brat, który na krótko zawrócił jej w głowie. Spotkaliśmy się trzy razy, potem było dla niej jasne, że to ty jesteś ten właściwy. Pogodziłem się z tym, ale potem po prostu nie dałem rady przebywać blisko was.

*Czyżby to miało znaczyć...*

Puzzle, jeden po drugim, układały się w całość.

*...że powodem pierwszej próby samobójczej Benny'ego były kłopoty sercowe?*

– Nigdy nie zostawiłbyś mnie na łasce losu, Luke. To ja zerwałem kontakt, aż...

Zawiesił głos, a Marc zapytał:

– Aż...?

– Cholera, aż pewnego dnia Sandra przypadkiem znów stanęła na mojej drodze. To było wtedy, kiedy pierwszy raz spodziewała się dziecka.

Marc z wysiłkiem łapał powietrze.

*Przed trzema laty? Czy to Benny był powodem jej dziwnego zachowania? Czy to z nim spotkała się wtedy w ulicznej kawiarni w Neukölln?*

– Może trudno to sobie wyobrazić, ale wtedy wiodło mi się jeszcze gorzej niż teraz. – Benny znów wypluł trochę krwi. – Od razu zauważyła, że jestem w dołku, i automatycznie przypisała sobie winę, że się staczam. Jakby obwiniła siebie o to, że pokochała ciebie. – Zaśmiał się głucho. – Głupota. To wszystko wyłącznie moja wina.

Jego głos stawał się coraz bardziej miękki, niemal rozmarzony i Marc powoli zaczynał rozumieć.

*Cholera, on ciągle ją kocha. Jeszcze teraz.*

– Jesteście do siebie bardzo podobni, Marc. Ona chciała mi pomóc i wynagrodzić swoje rzekome błędy. Obawiałem się, że nawet zastanawiała się nad waszym związkiem i zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście podjęła wtedy właściwą decyzję. Cholera, w ciąży Sandra była jednym kłębkim hormonów. Na pewno dobrze znasz jej wahania nastrojów.

– W dalszym ciągu nie rozumiem, co właściwie chcesz mi powiedzieć.

– To bardzo proste. W tamtym czasie kilka razy umówiłem się z Sandrą i po każdym spotkaniu czuła się coraz gorzej. Z tobą nie mogła o tym porozmawiać. W końcu chodziło o wasz związek, a poza tym

wiedziała, jak wyglądają nasze stosunki. Więc w końcu poszukała pomocy u ojca. Chciała go poprosić, żeby mi pomógł, dając pieniądze lub wykorzystując swoje kontakty.

Marc znów odwrócił się do tyłu. Jego brat rzadko wyglądał tak żałośnie jak w tej chwili.

– Rozumiesz teraz? – zapytał ochryple Benny. – Gdyby nie ja, nie straciłaby pierwszego dziecka. Ponieważ wtedy, w dniu włamania, byłaby u ciebie, a nie w willi u ojca.

Marc czuł, że już za długo wstrzymuje oddech, i łapczywie wciągnął lodowate powietrze. Potem zakaszłał i razem z kaszlem uwolnił się częściowo od napięcia, które nagromadziło się w ostatnich minutach.

– Zapomnij o tym. – Marc strącił kilka odłamków szyby z siedzenia pasażera, następnie położył pistolet Benny'ego w zasięgu ręki na wypadek następnego ataku. – To nie twoja wina.

– A jednak.

– Nie. To był przypadek. Kaprys losu. A jeśli już, to obaj zawiedliśmy.

Po chwili, kiedy Marc, milcząc, zastanawiał się nad wyznaniem brata, stanęli na czerwonym świetle. Wiatr zmienił kierunek, wykorzystał więc czas, aby wytrzeć chusteczką brwi, usta i nos.

– Wtedy chyba wszystko zrobiliśmy nie tak, jak trzeba, co nie? – zapytał Marc.

Benny stęknął twierdząco.

– A dzisiaj? – Spojrzał w lusterko. – Czy dzisiaj pójdzie nam, jak trzeba?

– Nie wiem, zawsze możemy zapytać radiową wyrocznię – zażartował mimo bólu Benny.

*Radiowa wyrocznia.*

Już samo to słowo uruchomiło rój starych wspomnień, gęsty jak płatki śniegu, które znów, wirując, wpadały do samochodu.

Jeśli się nie mylił, ostatni raz bawili się w to tej nocy, kiedy utopili w jeziorze samochód ojca.

– Mam to zrobić? – zapytał Marc.

– Tak! – krzyknął Benny i zakaszłał. Być może również się śmiał, ale trudno było odróżnić, czy to kaszel, czy śmiech. Właśnie skręcili w Heerstraße.

– Okay, pytanie brzmi: „Kochana radiowa wyrocznio, jak dzisiaj wszystko się skończy?”

Przyśpieszył do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i na ślepo majstrował przy odbiorniku.

*Reklama.*

– Nie mamy czasu, szukaj dalej!

Marc włączył automatyczne strojenie i trafili najpierw na radiostację nadającą jazz, a potem na muzykę klasyczną. Po nich jakaś gadanina albo leciały wiadomości. Udało się dopiero za siódmym razem.

*I know, I know what's on your mind, śpiewał wysoki i dźwięczny męski głos. And I know it gets tough sometimes.*

– No, musisz to głośno powiedzieć – zawołał Benny.

*Wiem, co myślisz. Czasem jest ciężko.*

Marc odwrócił się.

– Wiesz, kto to śpiewa?

Jego brat miał zamknięte oczy i z żalem wzruszył ramionami. Rany na jego napuchniętej twarzy pozwalały się domyślić, że musi cierpieć okropny ból.

– A ty? – zapytał ledwo słyszalnie.



Dotarli do oblodzonego mostu nad Hawelą. Na moście samochód wpadł w poślizg. Marc zwolnił, chociaż za wszelką cenę chciał jak najszybciej znaleźć się w klinice. Tam, gdzie Benny'ego mogliby opatrzyć.

*I gdzie Sandra właśnie wydaje na świat ich dziecko?*

Był niemal szczęśliwy, że ma okazję zająć umysł dziecinną zabawą w radiową wyrocznię. Dzięki temu nie musiał dłużej myśleć o tym, że właśnie zmierza do szpitala, gdzie jego zmarła żona za chwilę będzie rodzić.

– Już mam to na końcu języka – powiedział, kiedy zaczął się refren.

*Cause it's all right, I think we're gonna make it.*

Marc otarł ramieniem twarz. Wydawało się, że skóra, wargi, a nawet język nie chcą się już poruszać. Ale właśnie dojeżdżali. Jego oczom jak przez mgłę ukazał się wieżowiec.

Klinika Sennera wyznaczała granicę pomiędzy Spandau a Charlottenburgiem. Większość budynków kompleksu miała po dwa, maksymalnie trzy piętra i były ledwie widoczne z Heerstraße, ponieważ ukrywały się za gęstym szpalerem drzew. Tylko czternastopiętrowy nowy blok kliniki, w którym ulokował się hotel dla rodzin pacjentów i kuracjuszy, sterczał jak fallus i służył kierowcom za punkt orientacyjny. Najpóźniej tutaj trzeba było włączyć kierunkowskaz, jeśli chciało się dojechać na koncert na leśnej scenie.

*I think it might just work out his time.*

– Słyszysz, co on śpiewa? Wszystko będzie dobrze. Damy radę.

*All right.*

Marc wiedział, że był to głupi, bezsensowny i dziecinny przesąd, a mimo to ucieszył się, że radiowa wyrocznia dała im pozytywną odpowiedź.

Zjechali z Heerstraße i skręcili w prywatną drogę dojazdową. Tablice przypominały o maksymalnym zwolnieniu tempa jazdy. Oświetlenie było już włączone.

– No, dobrze, ale jak się nazywa ten piosenkarz? – Benny znów zakaszłał i teraz nie zabrzmiało to już jak śmiech.

*A jeśli Valka jednak go trafił?*

Strach o brata zburzył nedorzeczną euforię.

– Nie wiem – powiedział cicho Marc. Droga coraz bardziej się zwężała i wiodła na parking dla gości.

– Cholera, wiesz, co to znaczy.

Marc przytaknął w milczeniu. Oczywiście znał reguły. W końcu sam je wymyślił ponad dwadzieścia lat temu. Radiowa wyrocznia była ważna tylko wtedy, kiedy znało się wykonawcę. Inaczej przynosiła nieszczęście.

– No tak, to nie jest dobry znak, ale zaraz sobie przypomnę...

*Criss, Christoph, Chris Jons, Christopher...*

Marc już prawie sobie przypomniął, kiedy gdzieś na podłodze zadzwoniła komórka. Zdziwiony spojrzął pod nogi.

– Hej, mały, ktoś ma do ciebie interes.

Schylił się i sięgnął po nokię z migającym wyświetlaczem. Zamknięta koperta informowała o nadejściu SMS-a.

– Musiał mi wtedy wypaść – powiedział Benny.

Marc wzdrygnął się, potem stężyły mu wszystkie mięśnie.

– Co jest? – zapytał go z tyłu brat, ale Marc jak sparaliżowany wpatrywał się w telefon w swojej dłoni.

*To nie może być prawda. Tylko nie to...*

Benny włączył funkcję pokazywania nagłówka wiadomości i Marc przez dwie sekundy widział nadawcę i treść.

„Gdzie jesteście? Benny, pośpiesz się, to będzie już za chwilę. Nie możemy zacząć bez Marca! Constantin”.

Marc patrzył, nic nie rozumiejąc w lusterko wsteczne, gdzie czekał go następny szok. Najpierw zobaczył tylko rękę brata, która wyciągała się w stronę uchwytu nad drzwiami. Potem w polu widzenia pojawiła się twarz Benny’ego.

Benny rzucił się do przodu, sięgnął przez przestrelone oparcie fotela obok kierowcy, ale Marc był szybszy. Nadepnął na hamulec, dzięki czemu broń ześlizgnęła się z siedzenia. Samochód obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, przejechał poślizgiem jeszcze pół metra i stanął przed znakiem zakazu zatrzymywania.

Marc sięgnął w dół, wyłowił pistolet i przystawił lufę do zakrwawionego czoła swojego brata.

# Rozdział 65

**N**ie zbliżaj się! – krzyknął Marc. Kiedy wysiadł z samochodu, gumowe podeszwy jego adidasów ślizgały się na mokrym bruku. – Zostań tam, gdzie jesteś, ty nędzny zdrajco!

Śmierdziało benzyną, chłodzenie małego samochodu huczało jak przepełniony odkurzacz i Marc poślizgnął się.

Zrezygnował z trzymania brata na muszce i najszybciej, jak mógł, ruszył w górę podjazdu.

Brukowany podjazd kończył się przed skromnym budynkiem z płaskim dachem, przed którym parkowały dwie karetki. W przeciwieństwie do kliniki Bleibtreua nie wpakowano tu pieniędzy prywatnych pacjentów w rozwiązania architektoniczne ani w wystrój wnętrz, za to Constantin wydał je na najnowocześniejszy sprzęt i najlepiej wykształcony personel. Dlatego na pierwszy rzut oka hol wejściowy nie różnił się od holu publicznego szpitala: aluminiowa lada recepcyjna, kiosk z nieodzownymi stojakami na gazety i książki, ściana z tablicami informacyjnymi obok wózków inwalidzkich i trochę dalej wejście do kawiarni dla odwiedzających.

*Gdzie? Dokąd mam iść?*

Marc odwrócił się i wpadł na pusty wózek inwalidzki, który młody pielęgniarz odstawił na chwilę, aby porozmawiać z portierem. O mało co by się przewrócił, gdyby nie przytrzymał się lady recepcyjnej.

– Gdzie on jest?! – krzyknął Marc i uniósł broń. Pielęgniarz zbladł i cofnął się, trzymając w ręce sztywną podkładkę do pisania. Za plecami Marca zrobiło się głośno, usłyszał wołania, gorączkowe kroki, różne inne okrzyki. Trzaskały drzwi, z dworu wdarło się zimne powietrze, ale to wszystko nie działało się w jego świecie.

– Constantin Senner. Gdzie się ukrył?

Portier, krępy mężczyzna z nabiegłymi krwią oczami i potrójnym podbródkiem, uniósł obie ręce i odjechał do tyłu na swoim krześle na kółkach, jakby wydawało mu się, że może nieco złagodzić impet pocisku, jeśli zrobi dość miejsca pomiędzy sobą a szaleńcem. Cały się trząsł, otworzył usta, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Był tak samo niemy jak film reklamujący klinikę, który właśnie szedł na okrągło na płaskim ekranie nad ich głowami.

– Gdzie?

– Na bloku operacyjnym – wychrypiał w końcu portier. Wytarł spocone czoło rękawem uniformu z taniego materiału. – Blok numer trzy, trzecie piętro.

– Okay, niech pan teraz wezwie policję, rozumie pan? Do tego momentu ma być... Cholera, a to co znowu?

Marc przerwał i spojrzał w górę. Na Constantina. Reklama pokazywała właśnie, jak jego teść oprowadza po klinice grupę zaciekawionych pacjentów. Szczęśliwą rodzinę, która w zastępstwie widzów miała się przekonać o zaletach ekskluzywnego leczenia.

Marc zamrugał nerwowo.

Do tej pory nigdy nie widział młodej kobiety i roześmianego dziecka. Za to innych aktorów, którzy grali męża i dziadka, tak. Starszy, który właśnie z uznaniem mierzył wzrokiem salę operacyjną,

przedstawił mu się jako profesor Bleibtreu. A drugi był miłośnikiem twardego łóżka polowego w piwnicy i nie uznawał jednoosobowych pokoi. Na wideo nagle pojawił się krzepki pielęgniarz, wiozący do kawiarni siwowłosego mężczyznę na wózku inwalidzkim, i również tych dwóch Marc widział nie po raz pierwszy. Jadący na wózku, wtedy w przebraniu bezdomnego, wetknął mu wiadomość od zmarłej żony, a twarz wysokiego pielęgniarza już wczoraj wydała się Marcowi znajoma, kiedy mężczyzna nie chciał go wpuścić do jego własnego biura. Prawdopodobnie znał aktora jeszcze z innych telewizyjnych spotów reklamowych.

– To nie jest tak, jak myślisz.

Marc odwrócił się gwałtownie i zobaczył przed sobą twarz brata. Benny zbliżał się ostrożnie, przy czym unikał obciążania prawej nogi.

– Spadaj!

Lufa pistoletu powędrowała w jego stronę.

– Opuść broń i pozwól mi wyjaśnić.

– Nie, spieprzaj stąd!

Teraz byli sami w holu, od strony ulicy tłoczyli się ciekawscy, przyklejając twarze do szyb, prawie wszyscy dzwonili gdzieś z komórek.

– Chodź, zaprowadzę cię do Sandry. – Benny pokiwał do niego i wyciągnął rękę. – Chodź – powtórzył niemal bezgłośnie błaganie.

Marc przełknął ślinę i wytarł twarz. Nogi zaczęły mu dygotać i zrobiło mu się niedobrze. Był tak bardzo wyczerpany, że ledwo mógł utrzymać pistolet w ręce.

– Kłamiesz – powiedział z płaczem.

– Nie – odrzekł Benny. – Chodź, jeszcze nie jest za późno.

# Rozdział 66

Chirurgia jaskry, koloproktologia, chirurgia nieinwazyjna, gastroenterologia, onkologia – w ostatnich latach Constantin znacznie rozszerzył zakres usług medycznych w swojej klinice. Budynek zaplanowany pierwotnie jako instytucja specjalizująca się w zabiegach chirurgicznych mieścił teraz jeszcze reumatologię, centrum medycyny estetycznej oraz oddział porodowy, na który właśnie prowadził go brat.

Wejście na trzecie piętro zajęło im dużo czasu. Benny zdradzał objawy wstrząśnienia mózgu, poza tym powłóczył nogą. Mimo to Marc przystawił mu pistolet do pleców. Benny wystarczająco długo udawał przed nim różne rzeczy, najpierw odrzucenie, potem chęć pomocy, braterską przyjaźń, a teraz być może również swoje obrażenia.

Dotarli na najwyższe piętro płaskiego budynku i otworzyli szklane drzwi, za którymi znajdowała się porodówka.

„Centrum okołoporodowe” informował biały napis na niebieskiej tabliczce. Strzałka pokazywała na prawo.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Marc, kiedy weszli do korytarza.

Na oddziale porodowym, który zwiedzał kiedyś z Sandrą, wisiały na ścianach kolorowe zdjęcia; fotografie szczęśliwych noworodków i jeszcze bardziej szczęśliwych rodziców składających podziękowania lekarzom i pielęgniarkom. Tam, gdzie to możliwe, postarano się, aby wystrój budynku jak najmniej przypominał szpital. Ściany pomalowano na pomarańczowy kolor, personel ubrano w kitle ozdobione haftowanymi motywami z bajek Disneya, w korytarzach słychać było cichą muzykę klasyczną.

Poród nie jest chorobą, powtarzał zawsze Constantin. Ale wyglądało na to, że ta dewiza nie dotarła do tej części oddziału.

– To nie jest porodówka – powiedział Benny.

– Nie?

Spojrzał na następną tabliczkę: „Sala operacyjna, III oddział intensywnej terapii dla noworodków”.

– Tutaj trafiają trudne przypadki.

*Dobry Boże, on nawet jeszcze nie wie, że wystąpiły komplikacje.*

– Jakie trudne przypadki?

Marc nie otrzymał odpowiedzi, ponieważ w tej chwili tuż przed nimi otworzyły się drzwi i wyjechało z nich szerokie szpitalne łóżko. A na nim jego żona.

# Rozdział 67

Sandra.

Była blada jak śmierć, miała na w pół przymknięte powieki, obie dłonie złożone jak do modlitwy na ogromnym brzuchu. Z rąk wychodziły rurki do aparatury medycznej przymocowanej do łóżka. Pielęgniarka jechała z nią dalej korytarzem.

– Stać! – krzyknął Marc i podbiegł do łóżka, żeby jeszcze raz się upewnić. Ale to nie było złudzenie, tak samo jak wczoraj, kiedy się pomylił, otwierając drzwi do swojego mieszkania.

Sandra.

Poznał wargi, które tak często całował, i brwi wygięte w łuk, których dotykał tak często, że spędzony na tym czas można by liczyć w godzinach.

– Kim pan jest? – zapytała przestraszona pielęgniarka i sięgnęła po pager, kiedy zobaczyła w jego ręce broń.

– To ja, Marc – odpowiedział, wpatrując się w Sandrę.

*Czy to naprawdę ja? Stoję tu i patrzę w oczy mojej zmarłej żony? Czy też w ogóle mnie nie ma i żyję tylko w urojonym świecie strachu?*

Marc zaczął płakać i wyciągnął rękę do Sandry, wskazującym palcem rozchylił jej wargi, jakby chciał jej pomóc wydobyć głos, ponieważ wydawało się, że otwarcie ust kosztuje ją nadludzkie siły. W końcu, kiedy w jego odczuciu minęła wieczność, usłyszał zbawienne słowa.

– Kocham cię, Luke.

Poczuł bezgraniczną ulgę.

– Tak bardzo cię kocham – powtórzyła bełkotliwie Sandra. Miała szklane spojrzenie i uśmiechała się jak po narkotykach.

Łzy napłynęły mu do oczu. Uniósł ręce, w geście bezradności odwrócił się do brata, który patrzył na nich oboje w milczeniu. Potem bezwiednie upuścił broń na podłogę, położył obie ręce na metalowej ramie łóżka, które pielęgniarka znów pchała korytarzem. Nie był zdolny do sformułowania choćby jednego z milionów pytań, które jednocześnie przysły mu do głowy: Dlaczego jeszcze żyjesz? Co ze mną zrobiliście? Co się dzieje z naszym dzieckiem?

– Dlaczego? – W końcu tylko to jedno pytanie przeszło mu przez usta.

– Proszę zostawić ją w spokoju. Zaraz dostanie narkozę. Muszę zawieźć ją na salę operacyjną.

Marc ledwie słyszał, co mówi do niego pielęgniarka, ale jej nie przeszkadzał. Szedł obok i pochylał się nad Sandrą, która bezdźwięcznie poruszała wargami.

– Co? – zapytał. – Co mówisz?

– Przepraszam.

– Za co przepraszasz?

Spojrzał do przodu. Jeszcze tylko kilka metrów dzieliło ich od szklanych wahadłowych drzwi, za którymi zaczynała się strefa sterylna.

– Posunęliśmy się za daleko.

– Z czym? Co wyście zrobili?

Głos Sandry ucichł. Środki medyczne sparaliżowały jej ciało, odebrały świadomość. Jeszcze tylko wyszeptała:

– Ale nie mieliśmy innego wyboru. Rozumiesz? Nie wolno ci było pamiętać.

Ostatkiem sił próbowała się unieść, ale pielęgniarka bardzo delikatnie pchnęła ją z powrotem na łóżko. Marc poczuł ucisk na ramieniu, następnie ujrzał rękę, która odciągnęła go do tyłu. Od żony, której łóżko wjechało przez śluzę na blok operacyjny.

– Nie wolno ci było pamiętać – powtórzyła rozpaczliwie Sandra, zanim zniknęła.

*Na zawsze.*

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Marc miał poczucie, jakby ostatecznie stracił żonę.

– Chodź ze mną – usłyszał za plecami głos mężczyzny, którego ręka ścisnęła jak imadło jego ramię. – Przyszła właściwa pora, żebym ci wszystko wytłumaczył.

Marc odwrócił się i spojrzał prosto w twarz swojego teścia przeoraną zmarszczkami zgryzoty i zmęczenia. Jeszcze nigdy Constantin nie wyglądał tak staro.

# Rozdział 68

Ona żyje!

– Tak.

– To znaczy, że nie mieliśmy wypadku?

Constantin, Marc i Benny przeszli do przestronnego gabinetu lekarskiego, do którego zaprowadził ich ojciec Sandry. Stali oddaleni jeden od drugiego, jak tylko się dało, tworząc wierzchołki niewidzialnego trójkąta prostokątnego.

– Mieliście, ale nikt w nim nie zginął. Sandra wyszła z niego z niewielkimi zadrapaniami. Natomiast twoja poduszka powietrzna... – Benny oddychał ciężko, otarł krew z ust, zanim zaczął mówić dalej – ... poduszka się nie otworzyła. Uderzyłeś głową w boczny słupek i natychmiast straciłeś przytomność.

Benny przyciągnął sobie obrotowe krzesło na kółkach i usiadł plecami do szklanych drzwi, w których szyby sięgały do podłogi. Za nimi znajdował się obszerny taras, ciągnący się przez całą szerokość frontowej ściany budynku.

– Przywieźliśmy cię tu, do kliniki – powiedział Constantin, który podobnie jak Marc stanął przy biurku. – Kiedy się obudziłeś, nie mogłeś przypomnieć sobie niczego z ostatnich godzin przed wypadkiem. To była szansa.

– O czym ty, do diabła, mówisz? Jaka szansa?

Wzbierała w nim zimna wściekłość.

– Musieliśmy za wszelką cenę postarać się, aby podtrzymać twoją częściową amnezję aż do dzisiaj. Ale było dla nas jasne, że trauma powypadkowa nie jest na tyle duża, aby na trwałe wyrugować z pamięci wspomnienie wypadku. A więc zdecydowaliśmy się dostarczyć twojemu mózgowi coś, czym mógłby się zająć.

– I upozorowaliście śmierć Sandry?

– Wierz mi, że to wszystko nie przyszło nam łatwo. Kilka razy chcieliśmy to przerwać. Przede wszystkim moja córka.

Marc przypomniał sobie zdjęcie złotego volvo, które Emma zrobiła przed komendą policji.

„Kłócili się. Tylko dlatego sfotografowałam tę scenę”.

– A co z kliniką Bleibtreua? Czy ona w ogóle istnieje?

– Tak, Patrick jest moim dobrym przyjacielem. Często zajmuje się pacjentami mojego szpitala. Także ciebie zbadał, kiedy się tu obudziłeś. Patrick wyjaśnił nam, że przypuszczalnie twoja amnezja nie potrwa długo. Ale nie chciał oficjalnie przyjąć cię do swojego programu, co mogę zrozumieć. Obecnie prowadzi naprawdę poważne badania, a to, co tu robimy, jest w najwyższym stopniu nieetyczne. Ale przynajmniej oddał nam do dyspozycji jedno piętro swojej lecznicy.

*Czyli że Emma rzeczywiście jest tylko pacjentką!*

Marc nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Jego najbliższa powierniczka, osoba, która najwięcej mu pomogła, była zbiegłą ze szpitala paranoiczką. Przypuszczalnie faktycznie podsłuchiwała rozmowę pomiędzy Constantinem a prawdziwym profesorem Bleibtreuem i wyciągnęła z niej pochopne wnioski.



Uciekła z kliniki, żeby go ostrzec, popadając w tym samym czasie w coraz intensywniejszą psychozę paranoidalną

– Ciągłe nie rozumiem. Po co te ogromne nakłady sił i środków? – Marc przycisnął dłonie do rozpalonych policzków. Zaszlochał, z trudem wykrztuszał z siebie słowa.

– Ponieważ tu chodzi o śmierć i życie. Wierz mi, nie chcieliśmy sprawić ci bólu. Żałoba miała tylko na celu odwleczenie w czasie procesu powrotu pamięci. I w pierwszych tygodniach funkcjonowało to całkiem dobrze. Ale potem zaczęły ci się śnić ostatnie minuty przed wypadkiem i zdaliśmy sobie sprawę, że jest już tylko kwestią czasu, kiedy to pojdziesz i będziesz potrafił dopowiedzieć sobie resztę.

*Benny.*

– A więc wyłożyliśmy w mojej poczekalni czasopismo ze sfingowanym ogłoszeniem.

*Uczenie się zapominania.*

– W końcu potrzebowaliśmy jeszcze tylko jednego dnia. Dwudziestu czterech godzin, w ciągu których miałeś sobie jeszcze nie przypomnieć. Nie mogliśmy szybciej przygotować operacji, poza tym, gdyby dziecko przyszło na świat jeszcze wcześniej, ryzyko byłoby zbyt duże.

Marc wahał się jeszcze przez krótką chwilę, potem już nie wytrzymał i przeskoczył przez biurko, za którym stał jego teść.

– Co miałem zapomnieć?! – wrzasnął i uderzył go pięścią w twarz. Constantin zatoczył się w tył, a Marc złapał go za gardło.

– Powiedz mi! – krzyknął, zaciskając ręce.

– Marc! – zawołał stojący za nim Benny. – Puść go.

Oczy Constantina wyszły z orbit, policzki nabiegły mu krwią, ale nawet nie podniósł ręki, żeby się bronić.

– W ten sposób nigdy się nie dowiesz! – Głos Benny’ego brzmiał spokojnie, prawie obojętnie, i być może ten dziwny brak emocji przywrócił Marcowi rozum. Jeszcze raz ścisnął Constantina za gardło, a potem go puścił.

Constantin z trudem chwycił powietrze, złapał się za pokrytą plamami szyję i zaczął się dławić.

– Odpowiedz wreszcie na moje pytania albo cię zabiję!

Jego teść kaszlał z głową pochyloną do dołu. Potem się wyprostował, wziął z biurka jakąś teczkę z dokumentacją i podszedł do szklanej gablotki w metalowych ramach, która wisiała na ścianie. Włączył halogenową lampę za mleczną szybą, wyjął zdjęcie z teczki i przyczepił do negatoskopu.

– To jest silnie powiększony obraz z ultrasonografu.

Marc nie widział nic poza czarnymi i białymi plamami, o których nie miał pojęcia, czy są groźne, czy nie. A mimo to poznał zdjęcie.

Ostatnio widział je na kilka sekund przed wypadkiem – w ręku Sandry.

*Dlatego odpięła pasy! Żeby wziąć z tylnego siedzenia to zdjęcie z ultrasonografu. Tylko po co?*

– Widzimy tu żołądek i okolicę jamy brzusznej twojego nienarodzonego syna. A to tutaj... – Constantin ponownie zakasłał i ostrożnie postukał palcem w zacienione miejsce na kliszy – ...to jego wątroba. Wyraźnie widać tu problem.

Rzucił Marcowi zatroskane spojrzenie.

– Dziecko nie ma dróg żółciowych.

– Co to oznacza?

– Cierpi na tę samą chorobę, na którą zmarł twój ojciec, Marc. Tylko dużo bardziej rozwiniętą. Płyn żółciowy nie ma ujścia. Niemowlę przyjdzie na świat z niesprawną czynnościowo wątrobą.

– Co... co można na to poradzić?

– Niewiele. Bez wątroby człowiek jest niezdolny do życia.

Marc miał uczucie, że kręci się wokół własnej osi, chociaż nie poruszył się nawet o milimetr.

– Chcesz powiedzieć, że mój syn musi umrzeć?

Constantin skinął twierdząco głową.

*Ale w takim razie po co to wszystko? Dlaczego robią cesarskie cięcie dziesięć dni wcześniej, niż planowano?*

W klinice Bleibtrea badał go aktor, tylko dla pozorów. Trwające długie godziny testy, pobranie krwi, te bezsensowne psychologiczne kwestionariusze, które musiał wypełnić – wszystko tylko po to, aby zyskać na czasie, żeby przygotować przez ten czas całą szaradę, skasować pamięć w jego komórce i zmienić zamek oraz tabliczkę z nazwiskiem na drzwiach jego mieszkania. Ale po co? Żeby inni aktorzy amatorzy podawali się za kierownika jego biura, za skutego kajdankami adwokata albo za niego samego? Sfingowany scenariusz, automatyczna sekretarka z głosem Sandry, sfalszowane wyciągi bankowe, wideo w willi Constantina, które wyglądało jak reportaż programu informacyjnego, ale w rzeczywistości było fałszerstwem – czy to wszystko miało skierować jego wspomnienia na fałszywe tory i jednocześnie ściągnąć go w odpowiednim czasie tu, do kliniki? Ale po co?

– Wiem, co teraz myślisz. – Constantin próbował dotrzeć do Marca, który jak odurzony wpatrywał się w podświetlone zdjęcie. – Cóż innego mogliśmy z tobą począć? Jak cię okłamać? Leczyć cię na wymaginowany odprysk w pobliżu rdzenia kręgowego, żebyś brał tabletki wspomagające proces wypierania? Ale tu chodziło o śmierć i życie, rozumiesz, mój chłopcze? Czy myślisz, że sprawiało mi to przyjemność, kiedy wymieniłem twoją kartę SIM albo włączyłem tę cholerną lampę w kształcie delfina, tylko po to, aby namieszać ci w głowie? Schować się za drzwiami twojej toalety, a potem zamknąć w łazience, kiedy szukałeś mnie w swoim mieszkaniu? Wierz mi, nie ja to wszystko wymyśliłem. Wynająłem pewną agencję, zajmującą się aranżowaniem takich fikcyjnych sytuacji: zazwyczaj urządzają dobrze płatne zabawy w podchody dla dorosłych. Nie wiedzieli, o co tak naprawdę chodzi, i chyba trochę przesadzili. Scenariusz, który znalazłeś w Eichkamp, adwokat w twojej piwnicy, mój zdewastowany gabinet i wreszcie meble w waszym domu. To był błąd. Nie ulega wątpliwości. Ale pod koniec nie mieliśmy wyjścia, rozumiesz to, czy nie? Na Boga, to jest twój syn! Mój wnuk!

Do Marca docierały tylko fragmenty potoku słów. Jego myśli zagłuszały co trzecie słowo chirurga.

*Nie. To wszystko nie ma sensu. Dlaczego mam nie pamiętać o śmiertelnej chorobie mojego syna, jeśli i tak nie ma dla niego żadnej szansy?*

Chyba, że... to olśnienie trafiło go jak cios.

– Wy potrzebujecie dawcy!

Constantin spojrział na niego zdumiony.

– No tak, to przecież oczywiście. Myślałem... – Przeniósł wzrok na Benny'ego. – Czy jeszcze mu nie powiedziałaś?

Brat Marca pokręcił głową, a w jego oczach pojawił się głęboki smutek.

– Gadanie zostawiam tobie. Ja jestem tu tylko od czarnej roboty.

– A więc chcesz dokonać przeszczepu? – wtrącił się Marc.

– Tak, ale szansa, że znajdzie się noworodek odpowiedni na dawcę wątroby jest zerowa, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Czyli potrzebujesz kogoś, kto ma takie same geny jak mój syn?

Constantin przytaknął ostrożnie.

– Wystarczy dawca ze zgodnością grupy krwi.

– Kogoś, komu można wyciąć kawałek wątroby, żeby pasował wielkością do ciała noworodka?

– Tak.

Klik. W jego świadomości otworzyła się pierwsza zapadka, pierwsza prawda.

– Jak szybko po urodzeniu potrzebny jest narząd?

– Natychmiast.

– Po jakim czasie po śmierci dawcy można jeszcze przeszczepić wątrobę?

Constantin spojrział nerwowo na zegarek.

– Najwyżej po kilku godzinach.

Klik. Klak. Dwie kolejne zapadki, dwie następne prawdy. Zostało ostatnie pytanie.

– Czy przeżyję operację?

– Nie – powiedział Constantin. – Przykro mi. Dlatego nie mieliśmy wyboru. Właśnie tego nie wolno ci było zapamiętać.

Zapisał pager Constantina, który ostatni raz skinął głową, jak na potwierdzenie zawarcia transakcji.

– A więc dobrze, możemy zaczynać.

Podszedł do krzesła, na którym siedział Benny, położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

– Mam nadzieję, że mogę na tobie polegać? Prosty strzał w głowę. Śmierć mózgu, ale serce musi jeszcze bić. Zrób to tak, jak ci pokazywałem.

Benny przytaknął, z kieszeni kurtki wyjął pistolet i odbezpieczył, podczas gdy Constantim wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

# Rozdział 69

„Czy sam nie powtarzasz zawsze, że cel uświęca środki? Czy to nie jest twoje życiowe motto?

– „Czyś ty zwariowała? Cel nigdy nie uświęca śmierci”.

Wspomnienie tej sprzeczki przed wypadkiem zagłuszyło szum krwi, którą coraz szybciej pompowało serce Marca.

A więc to był ich plan.

Nie mogli zabić go wcześniej, ponieważ po narodzinach dziecka potrzebowali jego wątroby.

Haberland we wszystkim miał rację.

„No cóż, nie jestem pewny, w jaki sposób klinika Bleibtrea wywołuje sztuczną amnezję u swoich pacjentów. Do tej pory utrata pamięci jest ciągle niezamierzonym skutkiem ubocznym. Ale mogę sobie wyobrazić, że poddają wytypowane osoby terapii szokowej. A czy to nie jest dokładnie to, co pana właśnie spotyka? Jedno traumatyczne zdarzenie, które goni następne?”

– Odwróć się – rozkazał Benny. Jeszcze raz sprawdził magazynek. Potem zaciągnął lamelową żaluzję w oknie. Resztki dziennego światła wpadały teraz tylko przez drzwi prowadzące na taras.

– Już do końca zwariowałaś. – Marc całkiem stracił poczucie czasu. Na dworze znowu padał śnieg, toteż miasto wyglądało stąd jak pokryte brudną cukrową watą. Wszystko było nierzeczywiste i jednocześnie realne.

– Proszę, odwróć się. W tej chwili odbierają dziecko. Nie zostało nam już dużo czasu, ono musi być natychmiast operowane.

– Ale dlaczego? Czy to wszystko było naprawdę konieczne?

Chciał spojrzeć bratu prosto w oczy, ale ten spuścił wzrok. Benny'emu też drżała ręka, chociaż to on miał broń i on był panem sytuacji.

– Ty oczywiście szukałbyś kompromisu – powiedział. – Sandra nie chciała ryzykować.

„Nie chciałam, żebyś się dowiedział”.

– Naprawdę nie ma innego wyjścia.

Marc w rozpaczę ukrył twarz w dłoniach.

– Do jasnej cholery, Benny, przecież mnie znasz. Czy uważasz, że nie poświęciłbym się dobrowolnie?

– Zrobiłbyś to?

Pod Markiem ugięły się nogi.

*Czy zdobyłbym się na odwagę? A może rzeczywiście bym uciekł?*

– Znasz mnie. Jesteśmy braćmi!

– Wiem, ale nie mogę inaczej. – Benny pociągnął nosem. Stał w półmroku obok biurka i Marc nie mógł widzieć łez spływających po jego policzkach. Sam też zaczął płakać, kiedy powoli, jak na zwolnionym filmie, odwrócił się do ściany. Wpatrywał się w gablotkę z ultrasonograficznym zdjęciem swojego syna. Pierwsze i ostatnie zdjęcie swojego dziecka. Potem zamknął oczy.

– Dlaczego nie można po prostu przeszczepić kawałka mojej wątroby? – zapytał. – Dlaczego w ogóle ktoś musi umrzeć?

– Widzisz? Szukałbyś pośredniego wyjścia. Byłeś zbyt dużym ryzykiem dla naszego planu.

Klatka piersiowa Marca unosiła się i opadała jak u pacjenta w stanie hiperwentylacji. Oblewał się potem, kiedy próbował myśleć o swoim synu, którego nigdy nie weźmie w ramiona, nigdy nie zaprowadzi do szkoły, którego nigdy nie zobaczy kąpiącego się w morzu, któremu nigdy nie wetknie pieniędzy na randkę z pierwszą dziewczyną. Nigdy nie będzie po prostu cicho stał i obserwował jego miarowego oddechu w czasie snu. Ale pewność, że jego dziecko może przeżyć tylko dzięki niemu, nie zagłuszyła strachu przed śmiercią. Nie był bohaterem. Po prostu był tylko osłabionym, całkowicie wyczerpanym człowiekiem odczuwającym przeraźliwy lęk przed śmiercią.

„Przecież i tak nie uda ci się jej zapobiec”.

„A jednak to zrobię, możesz mi wierzyć”, przypomniał sobie rozmowę z Sandrą na krótko przed wypadkiem.

– Naprawdę bardzo sobie życzyłem, żebym nie musiał tego zrobić. Cholera – wyszeptał jego brat. – Życzyłem sobie, żebyś do mnie nie przyszedł i żebym ciągle cię nienawidził. Tak mi przykro.

Wtedy czarne punkciki przed oczami Marca przestały tańczyć i jego duszę dotknęło ostatnie piękne wspomnienie rozmowy z Sandrą.

– „Gdyby jedno z nas umarło – nie przerywaj, daj mi dokończyć – wtedy ten, kto odszedł, da drugiemu znak.

– Ma zapalić lampę?

– Żebyśmy wiedzieli, że mimo to nie jesteśmy sami. Że myślimy o sobie, nawet jeśli się nie widzimy”.

– Benny – powiedział Marc, otwierając z powrotem oczy.

– Hm?

– Nie musisz tego robić.

– A jednak.

– Nie, sam to zrobię.

– Nie da rady.

Jego słowa były przytłumione, jakby jego brat trzymał przy ustach chustkę do nosa.

Marc odwrócił gwałtownie, ale było już za późno.

Jego brat zdążył już odciągnąć kurek i trzymał pistolet w obu dłoniach. Celując prosto we własne usta.

# Rozdział 70

Nieeee!

Wszystkie zmysły Marca były tak napięte w śmiertelnym strachu, że był przekonany, że od huku popękają mu bębunki w uszach.

Ale nie było ani huku, ani krwi, ani resztek mózgu, które zabrudziłyby zasłony w oknach wychodzących na taras. Tylko metaliczne kliknięcie, jak w tanim długopisie, jednak nawet to okazało się trudne do zniesienia.

Prawdopodobnie amunicja nie była najlepszej jakości i wilgotna spłonka nie zareagowała na uderzenie iglicy. Albo pocisk w ogóle nie wszedł do komory, ponieważ piach albo brud zablokowały podajnik nabojów. Być może przyczyną nie było też to, że Valka wrzucił wcześniej pistolet do kałuży, tylko istniał jeszcze jakiś inny powód, że pocisk nie przeszył mózgu Benny'ego i nie rozerwał na strzępy sklepienia czaszki. Przynajmniej nie za pierwszym razem.

Benny gwałtownie przeładował broń i wycelował po raz drugi.

– Nieeee!

Marc czuł się jak w jednym z tych koszmarnych snów, w których człowiek porusza się tylko w miejscu i nie może zrobić kroku, aby uciec przed niebezpieczeństwem. Z trudem, jakby ciągnął za sobą ogromny ciężar, dowlókł się do brata. Wydawało się, że czas się cofa albo przynajmniej stoi w miejscu. Marc jeszcze nigdy tak wolno nie poruszał się w przestrzeni.

W rzeczywistości nie trwało to nawet pół sekundy, kiedy Marc dotarł do biurka, chwycił ciężką mosiężną lampę i jej podstawą uderzył brata w piszczel.

Benny runął na podłogę, łapiąc się rękami za nogę i rycząc z bólu.

– Ty idioto! – wrzeszczał. – Ty przeklęty idioto!

Marc sięgnął po pistolet, który upadł mu pod nogi.

– Dlaczego?! – wrzasnął prawie tak samo głośno jak jego brat. – Dlaczego chcesz to zrobić?

– Czy ty ciągle nic nie rozumiesz? – Benny kołysał tułowiem jak autystyk. Zacisnął mocno oczy, z których płynęły łzy, i krzyczał w zaciśniętą pięść. I wtedy wszystko nabrało wreszcie sensu.

– Ty też to masz!

– Co?

Benny powtórzył jeszcze raz. Pojedynczo wypluwał słowa, ślina spływała mu na nieogolony podbródek, a jedna z jej nitek ciągnęła się do piersi.

*Oczywiście.*

*Ja też to mam.*

# Rozdział 71

Marc spoglądał na taras i patrzył na swoje odbicie w oknie, za którym tańczyły płatki śniegu.

To było oczywiste, jeśli się już wiedziało: zażółcone oczy, zmęczenie, coraz silniejsze bóle głowy i kończyn, swędzenie. Wszystko to było oznakami marskości wątroby.

Leżący przed nim Benny próbował podciągnąć się na krzesło.

– Twoja wątroba jest do dupy – wysapał. – Nie tak bardzo, jak twojego syna, bo on już od urodzenia nie ma przewodów żółciowych. Tobie zostało trochę więcej czasu, ale też już nie tak wiele, Marc. Rozumiesz?

Nie, nie rozumiał. Wprawdzie jego mózg rejestrował wszystkie fakty, jednak umysł wzbraniał się przed powiązaniem ich w jedną całość.

– I ty chcesz się poświęcić? – zapytał, nie posiadając się ze zdumienia.

– Nie mamy innego wyboru!

Benny wreszcie usadowił się na krześle i wyczerpany wczepił się palcami w oparcie.

– Uszkodzenie wątroby waszego dziecka zostało wykryte na długo przed wypadkiem. Na ultrasonografie, podczas rutynowego badania w klinice Sennera – wyjaśnił pośpiesznie. – Constantin doznał szoku. Nie zdradził się z tym ani przed tobą, ani przed Sandrą. Mieliście się dowiedzieć dopiero, kiedy znajdzie odpowiedniego dawcę.

– Ciebie!

Benny skinął głową.

– Najpierw szukał w oficjalnych bankach dawców organów i umieścił dziecko na liście oczekujących. Ale jakie jest prawdopodobieństwo, że umrze niemowlę? Noworodek z tą samą grupą krwi?

*Zerowe.*

– A więc Constantin sprawdził wszystkich krewnych, którzy wchodzili w rachubę jako dawcy.

Marc przytaknął. Chociaż wszystko się w nim buntowało, jego umysł zaczął powoli wyciągać prawidłowe wnioski. A więc to dlatego Constantin namówił go na kompleksowe badania; wtedy, trzy tygodnie przed wypadkiem. Zmęczenie, nudności i bóle kończyn – Constantin odkrył przyczynę tych objawów, ale zataił ją przed nim.

– Nasz ojciec zostawił ci w spadku uszkodzenie wątroby, a ty przekazałeś je dalej, twojemu dziecku, Marc. Jestem jedynym krewnym, którego to ominęło. – Benny zaśmiał się. – Co za ironia losu, że łańcuch został przerwany właśnie na mnie, co?

Kiedy brat przekonywał go usilnie, niemal go zaklinając, Marc przypomniał sobie tajemnicze słowa pielęgniarki Benny'ego, Leany Schmidt, które teraz nabrały sensu:

„...zachowanie Benny'ego zmieniło się dzień po wykonaniu rezonansu magnetycznego... Normalnie prześwietlamy mózg, szukając anomalii, ale Benny'emu zeskanowano tylko jamę brzuszną... Postarałam się o wyniki... Jest całkowicie zdrowy”.

– Chcesz umrzeć dla mnie? – zapytał Marc i już samo to pytanie zabrzmiało koszmarnie.

Benny z wysiłkiem próbował wstać z krzesła.

– Dla ciebie i dla dziecka. Taki jest plan. Constantin wtajemniczył was w dniu wypadku, podczas waszego spotkania w willi.

*O czym nie powinienem pamiętać.*

– Czy naprawdę nie wchodzi w grę inny dawca? – zapytał bezradnie Marc.

– Nie. – Benny popatrzył na niego ze smutkiem. – Ani legalnie, ani na czarnym rynku. Próbowałem wszystkiego.

A więc na to potrzebowałeś pieniędzy, przebiegło Marcowi przed głowę. Dziewięćdziesiąt tysięcy euro. Benny zapożyczył się u Valki, żeby nielegalnie kupić narząd. Żeby ratować życie Marca i jego dziecka. Ale mu się nie udało.

– Marc, spójrz na mnie. – Benny rytmicznie uderzał się pięścią w brzuch. – Mam zdrową wątrobę i – inaczej niż Sandra – odpowiednią grupę krwi. Nieprędko znajdziesz coś takiego jeszcze raz. Rozumiesz, co to oznacza?

Przytaknął. Jego brat był idealnym dawcą. Dlatego z dnia na dzień zmienił tryb życia, zaczął uprawiać sport i zdrowo się odżywiać. Wszystko po to, aby przygotować się do czekającej go operacji. I dlatego Valka niedawno puścił go wolno. W ostatniej chwili Benny musiał go wtajemniczyć w swój plan, prawdopodobnie dopiero wtedy, kiedy Eddy wyciągnął go z samochodu i zmasakrował w ogrodzie willi Constantina. Valka odstąpił od egzekucji, ponieważ wiedział, że Benny i tak niedługo umrze. Po co brudzić sobie ręce, skoro ofiara sama to załatwi?

– Sandra cię kocha – powiedział cicho Benny. – Constantin również. Zaaranżowali to, żeby nie stracić wszystkiego naraz. Ciebie i dziecka. A więc proszę, bardzo cię proszę, oddaj mi teraz pistolet – dodał niemal błagalnym tonem. – Pozwól mi doprowadzić sprawę do końca.

Marc cofnął się o krok. Chociaż wspomnienie ostatniego spotkania w willi Constantina przed wypadkiem jeszcze nie całkiem wróciło, teraz już dokładnie wiedział, o co po tej wizycie kłócili się w samochodzie.

– „Ale chyba wiesz, że nie mamy innego wyboru, prawda?”

Z rozpaczony Sandra zgodziła się na morderczy plan, który miał uratować dziecko i męża. Marc był temu przeciwny, protestował jeszcze w drodze powrotnej i gdyby nie doszło do wypadku, z pewnością udaremniłby drugą próbę samobójczą brata.

– Dlaczego tak to skomplikowaliście? – zapytał rozpaczliwie.

– Jak już powiedziała Sandra: sprawy wymknęły się spod kontroli. Z jednej strony Constantin chciał podtrzymać twoją amnezję, żebyś nie zapobiegł mojej śmierci. Z drugiej strony musiał przygotować cię do operacji. Właśnie dlatego musiałeś tak często chodzić na zmianę opatrunku.

– Ale dlaczego po prostu nie podał mi narkotyków albo mnie nie porwał?

– Constantin? – Benny z trudem uniósł się na krześle. – Być może twój teść jest pozbawiony skrupułów, ale nie jest przestępcą, przeciwnie. Chciał cię ratować i na początku myślał, że załatwi to jednym kłamstwem. Zamknie cię w umysłowej niewoli, z której będzie ci dużo trudniej się wyrwać niż z niewoli fizycznej, rozumiesz? Poza tym nie mógł pozwolić ci tak po prostu zniknąć. Musiałeś najpierw odwołać swoje zeznanie złożone przed komisją lekarską. Inaczej nigdy nie wypuściliby mnie z wariatkowa. – Benny zakaszłał. – Oczywiście tak beznadziejnie się w tym zapętlił, że kiedy nagle pojawiła się Emma, zapanował całkowity chaos. W scenariuszu nie było zbiegłej wariatki. Nikt się



czegoś takiego nie spodziewał. Tak samo jak tego, że ty akurat mnie będziesz prosił o pomoc. Cholera, Marc, chciałem wykorzystać ostatnie godziny przed śmiercią, żeby się pożegnać, ale nagle zwałiliście mi się na kark, ty, Valka i ta paranoiczka. – Głos zaczął mu się łamać. – W pewnym momencie Sandra nie chciała już brać w tym udziału i błagała Constantina, żeby to przerwać i powiedzieć ci o wszystkim. Ale on przestał zachowywać się racjonalnie. Pod koniec działali już tylko pod wpływem paniki i strachu. – Benny przełknął ślinę. – Strachu o ciebie, strachu o dziecko. Rozumiesz wreszcie?

*Tak. Niestety.*

Chcieli wywołać u niego traumę, ale nie zabić. Wszystko po to, żeby go ochronić. Miał zapomnieć, aby mógł żyć.

– I co dalej? – zapytał Marc, będąc ostatecznie u kresu swoich fizycznych i psychicznych sił. – Jak to wszystko ma przebiegać?

# Rozdział 72

Benny uśmiechnął się smętnie i spojrzał przelotnie na zegarek.

– Wątroba jest jedynym narządem w organizmie człowieka, który można podzielić – powiedział po krótkiej przerwie. – Twój syn dostanie lewy, a ty prawy, większy płat wątroby. Tak mi wyjaśnił Constantin. Powinno się udać, tylko trzeba zrobić to szybko! A więc, proszę...

Wyciągnął rękę po broń.

– No już, chcę to mieć za sobą. Teraz moje samobójstwo będzie miało przynajmniej jakiś sens.

– Nie pozwolę ci na to.

– Oni już wszystko przygotowali. Twój syn czeka na sali operacyjnej. Jeśli nie umrę, nie ma szansy na przeżycie. I ty też nie!

– Być może – odpowiedział Marc i zacytował starego człowieka, którego poznał kilka godzin wcześniej. Jediną osobę, która zawsze była z nim szczerą. – Ale robienie czegoś złego nigdy nie jest dobre.

Benny spojrzał na niego zdziwiony.

– Jeden umiera, dwóch żyje. Co w tym złego?

– Przecież śmierć nie jest matematycznym równaniem! – krzyknął Marc.

Jego brat przewrócił oczami.

– Nie możesz tego zrozumieć, tak? Chcesz powodu. Dobrze, uważaj. Dam ci go.

Benny odgarnął do tyłu przepocone i zlepione krwią włosy.

– Pamiętasz jeszcze tamten dzień w maju?

*Włamanie, poronienie Sandry.*

Pytanie zmroziło Marca do szpiku kości.

– Do czego zmierzasz?

– To byłem ja.

– Co?

– Wygadałem się wtedy Valce, że u ojca Sandry można się nieźle obłowić.

– Nie?!

– Tak. Przysięgam, nie chciałem, żeby się tam włamali. Ja tylko się z niego śmiałem, że taki bogaty stary dziad może być na tyle głupi, żeby nie zabezpieczyć dobrze swojego domu. W czasie któregoś z naszych spotkań Sandra powiedziała mi o zapasowym kluczu w hangarze na łódzie, na wypadek gdybym kiedyś potrzebował schronienia, a nikogo nie byłoby w domu.

Oczy Marca przesłoniły łzy.

– Cholera, ona chciała mi pomóc i dlatego straciła dziecko. Wasze dziecko. Naprawdę próbowałem, ale nie mogłem dłużej żyć z poczuciem winy. Dlatego podciąłem sobie żyły.

Na krótką chwilę Marc stracił grunt pod nogami. Właśnie po raz drugi udaremnił samobójstwo człowieka, który był odpowiedzialny za śmierć jego pierwszego dziecka. Ogarniające go fale wściekłości i bólu zlały się ze sobą.

*Czy Haberland się myli? Czy zrobienie czegoś złego może się jednak okazać dobre?*

Pomyślał o swojej pracy z młodzieżą, o Julii, którą uratował dzięki psychologicznej sztuczce i jednocześnie posłał z powrotem do piekła, i zrozumiał, że zasada, którą kierował się przez całe życie, została wystawiona na najgorszą z prób.

*Czy w ostatecznym rozrachunku cel rzeczywiście uświęca środki?*

– Wtedy od razu przyznałem się Sandrze do winy – powiedział Benny. – Ale ona nie chciała złożyć doniesienia na policję. – Przełknął ślinę. – Ze względu na ciebie. Miałeś się nigdy nie dowiedzieć o prawdziwej przyczynie jej wątpliwości. A poza tym wiedziała, że moja nienawiść do siebie samego jest dla mnie największą karą.

„Czasem tragedia z niesłychaną siłą spaja ludzi, którzy się kochają”, Marc przypomniał sobie słowa Constantina.

To dlatego po poronieniu Sandra wróciła do niego. I dlatego Sandra i Constantin oboje zaaprobowali propozycję Benny’ego, że poświęci się dla brata i dziecka.

– Proszę – błagał Benny. – Pozwól mi naprawić zło, które wyrządziłem tobie, dziecku. I Sandrze.

Usta Marca zaczęły drżeć, kiedy pomyślał o konsekwencjach wyboru, wobec którego teraz stanął. Jeśli nie dopuści do samobójstwa Benny’ego, ryzykował własne życie. I jednocześnie przypieczętowuje tym śmierć swojego dziecka.

Uniósł broń, sprawdził bezpiecznik i odciągnął zamek, aby wprowadzić do komory następny nabój. I wtedy stało się to, czego się spodziewał. Jego brat zagryzł zęby, zignorował przeraźliwy ból i stanął na zranionej nodze. Następnie skoczył do przodu, aby wyrwać Marcowi pistolet. Ale ten zrobił unik w prawo i rzucił się do drzwi na taras. W ostatniej chwili udało mu się złapać klamki, bo Benny trzymał go za rękaw kurtki.

Potyając się, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wyrzucił pistolet wysokim łukiem ponad balustradą, podczas gdy Benny szarpnął go do tyłu.

Upadli na ziemię i leżeli obok siebie, ciężko dysząc. Wyczerpani, wykończeni, poranieni.

Marc chciał się odwrócić od brata, ale nie potrafił. Nieznane mu wcześniej uczucie rozrywało go wewnątrz na dwie części. Mieszanka ojcowskiej żądzy zemsty i braterskiej miłości. W końcu spojrzał w ciemnobrązowe, mokre od łez oczy Benny’ego i nie wiedział, co powiedzieć, ale nie dane mu już było się nad tym zastanowić, ponieważ na to, co tym razem nastąpiło, w ogóle nie był przygotowany. Wszystko stało się o wiele za szybko.

Benny walnął go łokciem w twarz, zerwał się na równe nogi i kulejąc, ruszył do otwartych szklanych drzwi. Ciągnął za sobą zranioną nogę, jęczał z bólu, kamienne płytki tarasu były śliskie, a Marc nie miał szansy go dogonić. Jego brat, który właśnie zbierał się do skoku przez balustradę, pozostawał w nieosiągalnej dla niego odległości.

# Rozdział 73

To było zamierzone. Benny przeskoczył poręcz jak wycieńczony płotkarz, z prawą nogą wysuniętą do przodu. Jednocześnie zamachał rękami, jakby chciał pożegnać się z ogołoconą z liści wierzbą płaczącą w parku, której koronę budynek kliniki przewyższał o parę metrów. Wypiął pierś do przodu i przez chwilę wyglądał jak spadochroniarz na krótko przed otwarciem czaszy spadochronu.

I wtedy zaczepił lewą stopą o brzeg balustrady.

Oblodzone pręty zadudniły głucho. Wydawało się, że Benny jeszcze podczas skoku chce się odwrócić, sięgał do tyłu prawą ręką, i wtedy potwierdziło się przypuszczenie Marca: to nie był przypadek. Benny wyhamował skok, chciał odwlec upadek i jeszcze w ostatniej sekundzie złapać się poręczy.

*Ale po co?*

Gwiazdy tańczyły przed oczami Marca, kiedy na ugiętych nogach wyszedł z pomieszczenia na deszcz ze śniegiem.

Ręka Benny'ego ześlizgnęła się z poręczy, ale zdążył chwycić się metalowej tralki. Teraz wisiał na jednej ręce za barierką i wierzgał nogami. Próbował, również drugą ręką znaleźć oparcie, ale metalowe krzyżulce były tak oblodzone, że jego dłonie ciągle się ześlizgiwały.

*Chce się podciągnąć. Rozmyślił się.*

Marc pośpieszył mu na pomoc, gumowe podeszwy jego adidasów ślizgały się na mokrych kafelkach. Tymczasem palce Benny'ego całkiem zsunęły się z tralek i teraz obejmował dwiema rękami wąską listwę ozdobną.

Kiedy Marc wreszcie dobiegł do niego, trzymał się już tylko końcami palców.

Marc wychylił się przez poręcz, spojrział pionowo w dół i zrozumiał, dlaczego Benny zrezygnował w połowie skoku.

*Za wysoko.*

Wybrał na skok złą stronę.

„Śmierć mózgu, ale serce musi jeszcze bić. Zrób to tak, jak ci pokazałem”.

Już przy trzech piętrach było wątpliwe, czy narządy przetrwają upadek bez stłuczeń. Ale tu było dużo wyżej, ponieważ przed wschodnim skrzydłem Constantin kazał zrobić głęboki wykop pod przybudówkę, podziemny garaż lub basen rehabilitacyjny. Z góry nie dało się ocenić, w jakim celu zrobiono wykop, ale skutek upadku z tej wysokości jak najbardziej.

*Benny roztrzaska się tam na miazgę.*

Zwłaszcza że fundament wykopu został wyłożony stalowymi matami. Nie było tam ani jednego krzaka, trawy ani ziemi. Na dole nie było nic, co mogłoby złagodzić upadek.

– Cholera – wyszeptał Benny. Starał się nie poruszać, aby nie spaść. Z jego zimnych palców odpłynęła krew, było widać, że długo tak nie wytrzyma.

– Pomogę ci – powiedział Marc. Od strony tarasu nie mógł nic zrobić. Przeszedł przez balustradę i balansował na małym występie muru, o który zaczepił się Benny. Gumowe podeszwy jego adidasów ślizgały się na mokrym kamieniu.

– Okay – powiedział i złapał brata za ramię.

Drugą ręką mocno chwycił za tralkę balustrady.

– Mam cię – skłamał. Był zmęczony, osłabiony i wszystko go bolało. Marc ledwo sam mógł się utrzymać, nie mówiąc już o podciągnięciu brata i przrzuceniu go przez balustradę.

– Cholera, jestem za głupi nawet, żeby umrzeć – powiedział Benny. Marc rzucił mu wymuszony uśmiech i ponownie skłamał:

– Będzie dobrze!

– Daj sobie spokój.

– Byłbym ostatnim dupkiem.

– Puść mnie albo obaj spadniemy.

Śliska sztuczna tkanina, z jakiej zrobiona była przemoczona kurtka Benny'ego, wyślizgiwała się z rąk Marca, ale szybko odzyskał chwyt. Na razie.

Popatrzył w dół, szukał pomocy, ale przy tej pogodzie okolica wokół kliniki była jak wymarła. Ambulans z czerwonym krzyżem na białym dachu stał bezużytecznie zaparkowany pięćdziesiąt metrów dalej.

– Przykro mi – usłyszał głos brata, podczas gdy on sam wciąż wpatrywał się w dach karetki. Przez głowę przeleciała mu nedorzeczna, głupia i całkowicie absurdalna myśl. Nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Cross!

– Co Cross? – zapytał Benny.

– Radiowa wyrocznia. Piosenkarz nazywał się Christopher Cross.

Benny spojrział do góry i na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech. Nagle nie wyglądał już jak ktoś, kto wisi na stromej skale i walczy o życie. Chociaż całe jego ciało było jednym napiętym mięśniem, sprawiał wrażenie spokojnego. Widać było, że pogodził się z losem.

– Puść mnie – poprosił ostatni raz.

*All right.*

Marc skinął głową.

Potem zebrał wszystkie siły, chwycił brata dwiema rękami, chociaż teraz sam niczego się nie trzymał. Ale potrzebował tylko kilku centymetrów, aby przynajmniej kawałeczek poderwać Benny'ego. Nie wyszło mu tak, jak by chciał, ale lepiej się nie dało. Po prostu nie miał już więcej siły.

Nie było to optymalne i nadal istniało ryzyko. Ale w końcu, w ostatnim ułamku sekundy, wewnętrzny głos powiedział mu, że plan się powiedzie, jeśli odbije się od występu muru i razem z bratem runie w dół.

# Rozdział 74

Dzisiaj

Ogień w kominku nie stracił magnetycznej mocy. Kiedy Haberland snuł swoje opowieści, Marc ledwo mógł oderwać od niego wzrok, a płomienie wydawały mu się teraz nawet jaśniejsze niż na początku jego najścia.

Początkowo trzymał jeszcze broń wycelowaną w starego człowieka w fotelu. Ale kiedy ten zupełnie niewzruszony coraz bardziej dobitnie kontynuował swój wywód, położył pistolet na stoliku i w końcu o nim zapomniał. Teraz, kiedy Haberland skończył i patrzył na niego wzrokiem pełnym wyczekiwania, Marc poczuł ulgę i jednocześnie strach.

*Właśnie tak to przebiegało. Dokładnie tak było.*

Haberland opowiadał tak obrazowo, że wspomnienia przesuwały się przed jego oczami jak film.

– Czy mogę prosić o szklanekę wody? – zapytał, ponieważ zaschło mu w ustach. Już od wielu godzin nic nie pił. Czuł, że jego gardło jest szorstkie i jakby pokryte pyłem. Za to dziwnym sposobem dużo innych negatywnych odczuć zeszło na dalszy plan. Jedyne wybity bark, połamane żebra, ruszające się zęby wysyłały jeszcze silnie stłumione sygnały do ośrodka bólu.

Haberland zachował się tak, jakby nie usłyszał pytania Marca.

– A więc zgadza się pan ze mną, że rzeczywiście wszystko to pan przeżył?

Marc ociężale skinął głową.

– W takim razie co pana skłania do myślenia, że mógł pan postradać rozum?

Haberland z zainteresowaniem pochylił się do przodu.

– Proszę, to pan musi mi to powiedzieć. Ja nie wiem, co się ze mną dzieje.

Omiijając go wzrokiem, Marc spojrzał na kominek, w którym strzelały w górę jasne płomienie, potem na okno, za którym wciąż było tak ciemno, jak w chwili, kiedy tu przybył.

– Skąd pan to wszystko wie? – zapytał cichym, prawie nieobecnym głosem i wrócił pamięcią do jednego z pierwszych zdań, którymi Haberland przywitał go dzisiejszej nocy.

„Bardzo chciałem, żeby pan przyszedł wcześniej. Teraz nie mamy już zbyt wiele czasu”.

– Czy pan też był tylko aktorem wynajętym przez Constantina?

– Nie. – Haberland uśmiechnął się dobrodusznie. – Wręcz przeciwnie. Razem z Emmą byliśmy jedynymi osobami, które nie zostały wtajemniczone. Benny przyprowadził pana do mnie tylko po to, żebym obejrzał pańskie obrażenia. Poza tym chciał wykorzystać okazję, aby się ze mną pożegnać.

Wyjął gruby zwitek banknotów z wewnętrznej kieszeni marynarki i pokazał go na moment Marcowi, zanim znów schował pieniądze.

– Sądzę, że Benny nie był zadowolony, kiedy odkryłem, że nie ma pan w ciele tego odprysku pod opatrunkiem. – Na twarzy Haberlanda pojawił się szeroki uśmiech. – Nie zauważył pan, jaki był nerwowy, kiedy odjeżdżał pan stąd po naszym spacerze nad jeziorem? Brat bardzo się bał, że w istotny sposób mogłem dopomóc pańskiej pamięci. Ale nie wiedziałem nic o znowie.

Marc zastanawiał się, potem pokręcił głową z powątpiewaniem. Nagle poczuł w pokoju antyseptyczny środek czyszczący.

– Nie wierzę w to. Bo jeśli nie ma pan z tym nic wspólnego, skąd pan wie z takimi detalami, co przeżyłem w ciągu ostatnich godzin?

– Godzin? – zapytał lekarz.

Spojrzał na mały cyfrowy zegar na biurku.

11.04. Dokładnie ta sama pora, kiedy po raz pierwszy odwiedzili go wczoraj przed południem.

Marc zamrugał zmieszany.

– Popsuty? – zapytał ze wzrokiem utkwionym w zegarze.

Haberland pokręcił przecząco głową.

*Ale... to niemożliwe, to jest...*

Próbował wstać, ale nie udało mu się wygrzebać z grubych poduszek leżących na kanapie. Ręce mu zdrętwiały, wydawało się, że krew przestała krążyć prawidłowo. Odwrócił głowę do drzwi.

– Jak się tu dostałem? I jak... – spojrzał w dół na bezwładną rękę, którą nie mógł poruszać tak, jakby chciał – ...przeżyłem upadek?

*Z dziesięciu metrów? Na stalową matę? Bez pomocy lekarskiej?*

Haberland uśmiechnął się dobrodusznie.

– Powoli zaczyna pan zadawać właściwe pytania. Widzi pan, przecież mówiłem, że sam pan znajdzie na wszystko odpowiedź.

„Czy słyszał pan kiedyś jakąś opowieść i potem żałował, że dowiedział się, jak się skończyła?”

Nagle przeszło Marca uczucie, że musi zerwać ze skóry wyimaginowaną pajęczynę. Zakurzone nici, które pokryły nie tylko jego ciało, lecz również umysł, i zasłoniły prawdę, którą tak usilnie chciał do końca poznać. Prawdę, która skoncentrowała się w jednym jedynym pytaniu:

– Czy ja istnieję?

Haberland znów się uśmiechnął i złożył dłonie. Potem, kiedy w kominku przewróciło się drewniane polano i trysnęły jaskrawoczerwone iskry, powiedział wreszcie:

– Tak. Nie ma co do tego wątpliwości. W przypadku przygód Benny’ego musiałem trochę improwizować. Zrekonstruowałem je na podstawie rozmów, które brat prowadził z panem w ciągu ostatnich godzin, i dlatego jakieś fakty mogą być zafałszowane. Ale wszystko to, co opowiedziałem o panu, naprawdę pana spotkało. Jest pan realną osobą.

Zrobił przerwę, potem powiedział cicho:

– Ale ja nią nie jestem.

Lodowate zimno wtargnęło do pokoju, tak jak wczoraj, kiedy Benny wyszedł na werandę, aby zapalić papierosa.

Myśl o bracie sprawiła, że Marcowi napłynęły łzy do oczu.

– Czy pan wie, co się mówi o ostatnich sekundach życia? – zapytał Haberland, rozcierając pokryte bliznami nadgarstki.

Marc przytaknął.

– Mówi się, że człowiekowi jeszcze raz przelatuje przed oczami całe jego życie, a przynajmniej jego część. Przeżycia, które na trwałe wywarły wpływ na psychikę umierającego. Zdany egzamin, ślub,

narodziny dziecka, ale również przeżycia negatywne, jak...

Zamilkł nagle.

*Jak wypadek?*

– Oczywiście, jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś przeszedł na drugą stronę i stamtąd wrócił, ale ludzie, których reanimowano, opowiadają, że w stanie śmierci klinicznej rozmawiali z osobami, które dla nich bardzo wiele znaczyły – kontynuował Haberland.

*Jak Sandra, Constantin, Benny i...*

Profesor przytaknął intuicyjnie, jakby potrafił czytać w myślach Marca.

– Naukowcy odkryli, że te ostatnie chwile i jasność, do której człowiek ponoć zmierza, tak naprawdę są jedynie reakcją biochemiczną zachodzącą w naszym obumierającym mózgu.

Ogień buchnął płomieniem jeszcze jaśniejszym niż wcześniej podczas ich rozmowy. Marca piekły oczy. Wydawało się, że wszystko wokół stało się zarazem jaśniejsze i bardziej przejrzyste.

– Kim pan jest? – zapytał.

– Jestem tylko wspomnieniem.

Profesor wstał z fotela i nagle Marc przestał czuć ołowiany ciężar, który do tej pory przyciskał go do kanapy. Wstał bez większego wysiłku.

– No chodź, Tarzan. – Haberland zdjął z wieszaka stary rozpinany sweter i pochylił się do psa. Zmęczone zwierzę uniosło pysk, przeciągnęło się i wygramoliło z rattanowego kosza stojącego przed oknem.

Marc spojrzał najpierw na ogień, potem na lekarza, który głaskał psa po głowie.

– A więc to wszystko było na próżno? – zapytał Marc. – Całe cierpienie, wszystko nadaremnie?

Haberland podniósł na niego wzrok.

*Czy byłoby lepiej, gdybym jednak pozwolił spaść Benny'emu?*

– Nie wiem. Nie potrafię wejrzeć w przyszłość. Nikt tego nie potrafi. Mogę panu powiedzieć tylko to, co już istnieje w pana wspomnieniach.

Marc skinął głową. Film dobiegł końca. Końcówka ostatniej taśmy spadła ze szpuli.

– Ale pan zna moje myśli.

*Robienie czegoś złego nigdy nie jest dobre.*

Podłoga cicho zaskrzypiała, kiedy Haberland drobnymi krokami poczłapał do drzwi na werandę ze swoim starym psem na smyczy. Z tyłu sprawiali wrażenie zmęczonych, ale zadowolonych.

Wydawało się, że na dworze robi się jaśniej i Marc stwierdził, że nagle zapach kominka stał się bardziej intensywny. Ale mogło to być tylko urojenie. Kolejna reakcja biochemiczna w jego mózgu, tak jak widok profesora, który trzymając klamkę w ręku, jeszcze raz odwrócił się do niego.

– Chodźmy – powiedział. – Zrobimy sobie krótki spacer.



# Berlin / obecnie

## Cel i środki

Dzisiaj w klinice Sennera w Berlinie Charlottenburgu zostały odłączone urządzenia podtrzymujące życie człowiekowi, którego los w ostatnich tygodniach budził w społeczeństwie głębokie współczucie.

Marc Lucas razem ze swoim bratem Benjaminem w niewyjaśnionych jak dotąd okolicznościach spadli z dachu kliniki, w której Marc Lucas zmarł potem po dziesięciu dniach przebywania w śpiączce farmakologicznej. Wskutek upadku nabawił się ciężkich obrażeń wewnętrznych, które ostatecznie doprowadziły do jego śmierci, stwierdzonej dzisiaj o godzinie 11.04.

Wydaje się cyniczną ironią losu, że śmierć Lucasa pomogła uratować dwa ludzkie życia. Gdyby Lucas nie spadł pierwszy na ziemię, nie złagodziłby upadku brata, który wprawdzie nabawił się licznych złamań kości, ale przeżył, nie doznając wewnętrznych obrażeń. Dzięki temu możliwy okazał się przeszczep jednego z narządów wewnętrznych Benjamin Lucasa. Lewy płąt jego wątroby uratował życie pewnego noworodka. W tym przypadku chodziło o dziecko zmarłego Marca Lucasa, które urodziło się ze śmiertelnym uszkodzeniem wątroby zaledwie kilka minut przed upadkiem ojca.

Ze względu na tajemnicze okoliczności wypadek bada teraz prokuratura. Wiele wskazuje bowiem na to, że samobójstwo mogło zostać wykorzystane do nielegalnego pobrania narządu, zwłaszcza że dyrektorem kliniki jest Constantin Senner, ojciec Sandry Lucas, żony zmarłego. Sala operacyjna była już przygotowana do transplantacji, zespół lekarzy specjalistów czekał w pogotowiu na przeprowadzenie trudnej operacji noworodka. Dziecko umieszczono na liście oczekujących na dawcę już wiele tygodni temu.

W dodatku krążą pogłoski o drugim zespole transplantologów czekających na Marca Lucasa, który rzekomo również wymagał przeszczepu wątroby. To świadczyłoby na korzyść teorii prokuratora o samobójstwie, ponieważ za życia Benjamin Lucas nie mógłby przekazać obydwu połówek wątroby. Jeśli jednak, popełniając samobójstwo, chciał uratować życie jednocześnie bratu i nienarodzonemu dziecku, dlaczego skoczył razem z Markiem Lucasem?

Poufne źródło w prokuraturze powątpiewa, czy oskarżenie w ogóle zostanie wniesione.

„Zgromadzenie dowodów w sprawach dotyczących tego rodzaju rodzinnych dramatów jest zawsze bardzo trudne. Constantin Senner mógłby z pewnością zostać pozbawiony prawa do wykonywania zawodu za nieetyczne zachowanie,

ale chirurg i tak zamierzał sprzedać swoją klinikę z powodu kłopotów finansowych i zakończyć praktykę lekarską”.

A więc należy wątpić, czy tło tego zdarzenia zostanie kiedykolwiek do końca wyjaśnione. Najistotniejsza wiedza najprawdopodobniej została utracona raz na zawsze wraz ze śmiercią Marca Lucasa, a jego brat od czasu opuszczenia oddziału intensywnej terapii powołuje się na prawo do odmowy składania zeznań. Wydaje się, że przynajmniej on dobrze zniósł pobranie części narządu, które w Niemczech jest dozwolone wśród krewnych. Natomiast nic nie wskazuje na to, aby jakkolwiek winą miano obarczyć Sandrę Lucas, która i tak została już dość ukarana. Straciła męża i do tej pory nie jest pewne, czy *lobus sinister*, czyli lewy płat wątroby szwagra, nie zostanie odrzucony przez organizm jej dziecka. Zważywszy okoliczności, niemowlę czuje się w miarę dobrze, ale na ostateczną prognozę jest jeszcze dużo za wcześnie.

Ken Sukowsky

## Proces przeciwko szefowi mafii berlińskich bramkarzy

**Berlin:** Dzisiaj przed sądem okręgowym zaczyna się proces Eduarda Valki, szefa zorganizowanego kryminalnego środowiska bramkarzy z nocnych klubów. Jest oskarżony między innymi o zamordowanie Magdy H., nieletniej Bułgarki zmuszanej do prostytucji. Ponadto zarzuca mu się podżeganie do zabójstwa dziennikarza naszej gazety, który zbierał informacje na temat Valki i jego kryminalnych machinacji. Biorąc pod uwagę niezbite dowody, prokuratura liczy na szybki wyrok.

# Wiele lat później

Światło wpadało pod ukośnym kątem przez okna zabezpieczone przed otwarciem przez niepowołane osoby. Ich szprosy rzucały na podłogę długie cienie. Chociaż sala dla pacjentów była regularnie wietrzona i sprządana, w powietrzu tańczyły drobniutkie cząsteczki kurzu, sprawiając, że promienie słoneczne przypominały kształtem stożek światła z reflektora teatralnego.

– Ona jest bez kontaktu – powiedział dobrze zbudowany ordynator, a kiedy to mówił, pomiędzy jego wąskimi zębami przez chwilę mignął miętowy cukierek. Bezskuteczna próba zamaskowania faktu, że jednak nie do końca rzucił palenie.

– Jak długo jest w tym stanie? – zapytał Marc Lucas i oparł w nogach łóżka nieporęczny tubus, którą musiał sam taszczyć tu przez całą drogę.

– Wieczność.

Ordynator odszedł krok na bok i rzucił badawcze spojrzenie na kroplówkę, za pomocą której starszej pani podawano właśnie elektrolity. Plastikowa rurka była jeszcze napełniona w całości.

– Kiedy ją do nas przywieziono, chyba jeszcze tu nie pracowałem, ale według karty chorobowej jej psychoza była już w zaawansowanym stadium.

– Hm – chrząknął Marc, potem wziął kobietę za rękę, która spoczywała na wykrochmalonym prześcieradle. Dłoń była w dotyku spierzchnięta i ciężka.

– Kto ją tu skierował? – zapytał ordynatora.

– Jej matka. Jeśli już mnie pan o to pyta, to dużo wcześniej sąd opiekuńczy musiał ustanowić kuratora. Sytuacja całkowicie przerosła tę dobrą kobietę. Pierwszy błąd polegał na tym, że najpierw umieściła córkę w klinice Bleibtreua, chyba zna pan tę starą historię?

Marc udał, jakby usłyszał o niej pierwszy raz.

– Nie? W tamtym czasie prasa dużo o tym pisała. Nieważne, w każdym razie tam nasiliły się u niej ataki paranoi, które po części miały podłoże schizoidalne. Na początku leczenia uważała się za tłumaczkę, chociaż w rzeczywistości nie znała ani jednego języka obcego. Potem pewnego dnia uroiła sobie, że jest częścią tajnego eksperymentu z pamięcią, który rzeczywiście był prowadzony w klinice Bleibtreua, ale wyłącznie na ochotnikach. Ale kiedy przypadkiem podsłuchiła rozmowę dwóch lekarzy, wyciągnęła fałszywe wnioski, poczuła się zagrożona i uciekła. Na szczęście szybko została złapana, a jej matka zadbała o umieszczenie jej w dobrze strzeżonym zakładzie zamkniętym z prawdziwego zdarzenia.

Ordynator z zadowoleniem rozgryzł cukierek. Najwidoczniej podobało mu się, że jego klinika miała wtedy lepszą renomę niż prywatny zakład.

– Nie możemy jej wyleczyć, ale przynajmniej teraz wie, że nie jest tłumaczką i nikt nie chce jej skrzywdzić, mam rację, pani Ludwig? – Ordynator niezgrabnie pogłaskał ją przez koc po nodze.

Można było sądzić, że stara pacjentka zupełnie nie zdaje sobie sprawy, co się wokół niej dzieje. Spała z otwartymi oczami, oddychała wyłącznie ustami.

Wygląda na bardzo chudą, pomyślał Marc. Jest prawie kompletnie wyniszczona.

Całkiem inaczej, niż ją sobie wyobrażał.

– Niech pan posłucha, panie kolego. – Ordynator chrząknął. – Nie chcę pana urazić, ale nie widzę

możliwości, aby pan do niej dotarł. Ona jest wyjątkowo nieufna w stosunku do obcych.

– Właściwie nie jestem obcy – powiedział Marc i zdjął pokrywkę z tekturowej rury. – Czy pani mnie słyszy?

Zadając to pytanie kobiecie, jednocześnie odwrócił tubus, żeby ostrożnie wytrząsnąć jego zawartość.

Brak reakcji.

– A to co takiego? – zapytał ordynator chwilę później, kiedy Marc zakończył swoje przygotowania. Podeszedł do ściany i wyciągnął ręce do płótna, które młody człowiek prowizorycznie tam przytwierdził.

– Pamiątka rodzinna – odpowiedział Marc i od tej chwili był już całkowicie skoncentrowany na pacjentce.

– Proszę tu spojrzeć. – Odsunął się, aby jej puste spojrzenie bez przeszkód padało na obraz. – Coś pani przyniosłem.

– Dom Haberlanda? – Ordynator przeczytał drobny napis w dolnym prawym rogu obrazu. Odwrócił się. – Widzę tylko białą powierzchnię.

Marc Lucas nie zwracał na niego uwagi. Stał teraz w głowach łóżka, tuż obok starej kobiety, która mimo ciężkiej choroby psychicznej do końca nie straciła łagodnego wyrazu twarzy.

– Mój wuj Benny mówił mi, że obraz bardzo się pani spodobał – wyszeptał tak cicho, żeby ordynator nie mógł go usłyszeć. – Pani jedna zrozumiała, co on przedstawia, wtedy, kiedy zobaczyliście go w jego mieszkaniu. Później Benny was tam zawiózł – do tego domu w lesie. Czy pani to jeszcze pamięta?

Żadnej zmiany. Ciągle brak reakcji.

– Widzi pan, mój młody przyjacielu! – W głosie ordynatora dał się słyszeć triumf. – Na nikogo nie reaguje.

Marc Lucas skinął machinalnie głową.

– Zostawiam to pani – wyszeptał jej do ucha. – Znów tu przyjdę. W następny weekend. Może będzie pani miała ochotę porozmawiać ze mną o moim ojcu.

*O człowieku, który podarował mi życie, w każdym rozumieniu tego słowa.*

– Myślę, że pani mu wtedy bardzo pomogła.

Marc dalej przemawiał do niej szeptem, chociaż wyraz twarzy Emmy nie wykazywał najmniejszej oznaki, że go rozumie.

– W każdym razie pani go lepiej знаła niż ja.

Odgarnął jej włosy z czoła i odszedł na bok. Wydawało się, że duch Emmy Ludwig nie przebywa w tym samym pomieszczeniu co on. Rysy jej twarzy się nie zmieniły i pozostały bez wyrazu, kiedy nieruchomo patrzyła na białe płótno.

Nie zareagowała również, kiedy na pożegnanie ścisnął jej dłoń; nie popatrzyła za nim, kiedy wychodził w towarzystwie ordynatora.

Nawet nie zamrugała, kiedy dużo, dużo później po jej policzku spłynęła pierwsza bezradna łza.

## Uczenie się zapominania

My, grupa wsparcia, szukamy osób, które brały udział w eksperymencie

psychiatrycznym z pamięcią. Być może również Pani/Pan byliście kiedyś pacjentami i nie potraficie sobie przypomnieć doświadczeń, którym zostaliście poddani. Jeśli macie choćby najmniejsze wątpliwości dotyczące Waszych wspomnień, prosimy, odwiedźcie stronę naszej grupy w Internecie:

[www.mpu-berlin.org/anfrage/](http://www.mpu-berlin.org/anfrage/)

Pod tym adresem możecie sprawdzić, czy byliście kiedyś uczestnikami eksperymentu z pamięcią.

Dziękujemy.

# Jak zrodził się pomysł napisania ODPRYSKU

Zanim zacząłem pracę nad *Odpryskiem*, w moim życiu zdarzyło się wiele rzeczy, o których najchętniej bym zapomniał. Na przykład, kiedy niewyspany, otumaniony zmianą czasu, podczas pobytu w USA pogubiłem się we własnym pokoju hotelowym. Chciałem pójść do łazienki, a niespodziewanie znalazłem się na korytarzu. Drzwi były oczywiście zamknięte, naturalnie klucz do pokoju leżał na nocnym stoliku, a musicie wiedzieć, że nie jestem zwolennikiem spania w pizamie. Z reguły wystarcza mi krótki T-shirt, z naciskiem na krótki.

Jazda wypełnioną po brzegi windą, przerażone spojrzenie recepcjonistki, chichot portiera, który odprowadzał do pokoju półnagiego Niemca – wtedy bez zmrużenia oka połknąłbym tabletkę na amnezję, aby tylko zapomnieć o tym przykrym zdarzeniu.

Wtedy. Zanim zacząłem pisać *Odprysk* i zanim bliżej zająłem się tym tematem.

Powiedzcie szczerze. Czy wzięlibyście pigułkę, która pozwoliłaby zapomnieć o odrzuconej lub niespełnionej miłości, gdyby taka była?

Zastrzyk powodujący amnezję po wyjątkowo bolesnych albo jeszcze gorzej – wyjątkowo tragicznych wydarzeniach?

Być może pomyślicie teraz, że pytanie – a w związku z tym cały wątek *Odprysku* – należy do tematyki science fiction. Ale tak nie jest. Naukowcy (i niestety również przestępcy) już od dawna dysponują substancjami, które mogą wymazać wspomnienia z naszej pamięci krótkotrwałej – i nie mówimy tu tylko o urwanym filmie po nadmiernym spożyciu alkoholu. Weźmy na przykład taki flunitrazepam, który zyskał wątpliwą sławę jako tak zwana pigułka gwałtu. W połączeniu z innymi środkami odurzającymi sprawia on, że ofiary gwałtu nie pamiętają nic z tego, co je spotkało.

Ale badania nad środkami, które kasują pamięć długotrwałą, również nie stoją w miejscu. Biolodzy z Nowego Jorku i Rehovot w Izraelu wynaleźli substancję czynną, która blokuje ważną proteinę tkanki nerwowej, kiedy wstrzyknie się ją do kory mózgowej. Powoduje to całkowitą amnezję.

Mark Bear z Massachusetts Institute of Technology prowadzi badania ukierunkowane znacznie bardziej konkretnie. Chce się pozbywać wyłącznie złych wspomnień, nie dotykając dobrych. „Czy to nie byłoby piękne?”, pyta w „Spieglu” numer 14/2008 z 31.03.2008 w artykule zatytułowanym *Język mózgu*. (Bardzo interesujący artykuł Jörga Blecha o aktualnym stanie badań naukowych, do którego prowadzi link na mojej stronie internetowej [www.sebastianfitzek.de](http://www.sebastianfitzek.de)).

Bear wychodzi z założenia, że traumatyczne przeżycia drażnią tkankę nerwową głębiej niż przeżycia pozytywne, i poszukuje substancji farmakologicznej, która skoncentruje się wyłącznie na tym głębszym „grawerunku”.

Ja sam jestem w szczęśliwym położeniu, ponieważ jak do tej pory nie doświadczyłem tak ciężkich traumatycznych przeżyć jak Marc Lucas w książce, którą właśnie trzymacie w ręku. Dlatego nie chcę wydawać sądu o ludziach, którzy, będąc w rozpaczy, z tęsknotą oczekują umyślnie wywołanej amnezji. Ale podczas pisania *Odprysku* coraz bardziej i bardziej dochodziłem do przekonania, że nie chciałbym

oddać ani jednego z moich wspomnień. Ani o dniu, kiedy dostałem wiadomość, że zostanie wydana moja pierwsza książka, ani o nocy, kiedy umarła moja matka. Myślę, że człowiek jest sumą własnych wspomnień i jeśli istnieje jakikolwiek sens, dla którego znaleźliśmy się na tym świecie, to chyba tylko taki, aby podczas naszej ziemskiej wędrówki zgromadzić tych wspomnień jak najwięcej.

# Zanim zapomnę...

*Stało się już prawie tradycją, że w moich podziękowaniach najpierw zwracam się do czytelników. Czyli do Was.*

*Aby być całkiem szczery, podczas pisania w ogóle o Was nie myślę. Do tej pory otrzymałem tysiące maili na adres fitzek@sebastianfitzek.de (na które, nawiasem mówiąc, naprawdę odpowiadam osobiście, nawet jeśli czasem trwa to trochę dłużej), które często są ze sobą sprzeczne. To, co jeden uznaje za dobre, dla drugiego jest głupie, i odwrotnie. Dlatego zawsze trzymam się jednej zasady, jak w przypadku mojego pierwszego thrillera Terapia – po prostu piszę historię, którą chętnie sam bym przeczytał. I właśnie dlatego odczuwam ogromną wdzięczność, jeśli na końcu nie jestem sam; wdzięczność, że istnieją ludzie tacy jak Wy, którym moje książki towarzyszą w życiu. Właśnie za to dziękuję i mam nadzieję, że spędziliście kilka ciekawych godzin. Jeśli nie... znam adres dobrej kliniki w Berlinie, gdzie mogą Wam pomóc szybko zapomnieć o tej powieści...*

*Zadedykowałem tę książkę mojemu bratu Clemensowi Fitzkowi. Jesteśmy oddaleni od siebie o siedem lat życia i osiem godzin drogi wiecznie zatłoczoną autostradą między Charlottenburgiem i Köpenick. Ale chociaż widzimy się tak rzadko, mam uczucie, że łączy mnie z Tobą nieskończenie głęboka więź. Bardzo Ci dziękuję, nie tylko za rady z dziedziny medycyny.*

*Oczywiście dotyczy to również ciebie, Sabine. Ty również udzieliłaś mi wielu cennych fachowych wskazówek, bez których bym sobie nie poradził.*

*Szczególne podziękowanie jestem winien doktorowi Markusowi Schuchmannowi, który dał mi cenne medyczne rady w pewnej taniej berlińskiej restauracji, gdzie schroniliśmy się przed zaczynającym padać deszczem. Niestety nie mogę tu zdradzić dziedziny, w której jesteś ekspertem, aby nie uprzedzić z góry zakończenia thrillera. Za to następnym razem będzie nie tylko hamburger, przysięgam!*

*Sandro – dziękuję scenarzyście, który napisał dla Ciebie główną rolę w filmie mojego życia. Nawet jeśli muszę sobie teraz poradzić ze skutkami ubocznymi, na przykład z tym, że z pozoru drobnym spostrzeżeniem wywracasz do góry nogami zakończenie mojej książki – i dzięki temu jest ona dużo lepsza!*

*BB – cieszę się, że wtedy nie utopiliśmy samochodu twojego ojca w jeziorze. Chociaż niewiele brakowało. Dzisiaj dziękuję Ci za przeżycie, które mogłem opisać w Odprysku. I mam nadzieję, że Twój niczego nieświadomy ojciec nigdy o tym nie przeczyta.*

*Gerlinde – jesteś naprawdę szalona, ale cudowna w swoim szaleństwie. Wiele się zmieniło, ale twoja bezinteresowna przyjaźń i wsparcie pozostały. Nie jestem w stanie dostatecznie wyrazić wdzięczności za nie (i za to, że podsunęłaś mi pomysł z radiową wyrocznią).*

*Zsolt Bács, w moim ostatnim podziękowaniu poświęciłem Ci zbyt mało miejsca, chociaż udzieliłaś mi jednej z najbardziej pomocnych wskazówek przy pisaniu thrillera Klinika, kiedy w pewnym miejscu nie wiedziałem, co dalej. Jestem ci za to coś winien. Ale pomyśl o Świętym Mikołaju: jedna duża rzecz*



wystarczy.

Czasem rzeczywiście trafiam na ludzi, którzy wyglądają bardziej niewinnie niż ja, a w rzeczywistości są jeszcze bardziej zwariowani. Na przykład Thomas Zorbach i jego team vm-people. Ten, kto potrafi namówić swoich kolegów, żeby na moich wieczorach autorskich położyli się w lodówkach dla nieboszczyków (Oliver Ludwigs – wielkie dzięki), zasługuje na szczególne podziękowania.

W ogóle ludzie, którzy ze mną współpracują, dzień w dzień muszą być przygotowani na najgorsze. Moja redaktorka, Carolin Graehl, doznała szoku, kiedy po powrocie z urlopu podsłuchiwała rozmowę telefoniczną Andrei Ludorf (która zajmuje się moimi wyjazdami na wieczory autorskie), kończącą się słowami: „...dobrze, zaraz postaram się o wózek inwalidzki dla Sebastiana Fitzka”. Strach Carolin był nieuzasadniony – nie miałem wypadku. Wózek był mi potrzebny jako rekwizyt podczas spotkania z czytelnikami (lepiej nie pytajcie, po co).

Christian Meyer, bardzo dobry przyjaciel, który właściwie chciał mi tylko towarzyszyć na wieczorze, musiał mnie wwieźć na tym wózku na scenę. Przedtem zmusiłem go, żeby włożył szpitalny fartuch i maskę chirurgiczną.

Dziękuję Wam wszystkim za te szaleństwa.

Podchodź poważnie do tego, co robisz, ale siebie samego nie traktuj tak serio. To zdanie jest moim ulubionym mottem życiowym i jak żadne inne pasuje do Manueli. Wykonujesz wspaniałą, profesjonalną i perfekcyjną robotę (jesteś moim dobrym duchem!) i jednocześnie śmiejesz się z każdej mojej głupoty. Ale przede wszystkim dziękuję Ci za twoją przyjaźń!

Jeśli podczas najbliższego wieczoru autorskiego będę wyglądał jak strongman, to cała wina spoczywa na Karlu Raschka, byłym trenerze fitness Graziano „Rocky” Rocchigianiego, który z niepojętego dla mnie powodu uważa, że musi ze mnie zrobić ironmana. Wyciska ze mnie siódme poty, tak że pod koniec każdego treningu nie mam już siły, aby odmówić następnego. I za to Ci dziękuję, Kalle. Gdyby nie Ty, wciąż leżałbym spasiony i rozleniwiony na kanapie. Mówiąc innymi słowami – byłbym przynajmniej szczęśliwy.

Sabrino Rabow – wspaniale wykonujesz pracę polegającą na kontaktach z prasą, i to dzięki Tobie przez te wszystkie lata moja kryminalna przeszłość nie wyszła na jaw. (To oczywiście żart!). Za to i za twoją przyjaźń dziękuję Ci z całego serca!

Na pomysł napisania Odprysku wpadłem podczas rozmowy z neurochirurgiem, profesorem doktorem Samii, który w swojej klinice w Hanowerze zaskoczył mnie zdaniem: „Większość ludzi szuka nowych sposobów i technik, jak łatwiej i szybciej zapisać w mózgu zdobytą wiedzę. Ale tylko nieliczni zajmują się tym, jak nauczyć się zapominać”. Uczenie się zapomniania. Profesorze Samii, dziękuję Panu, za ten wspaniały cytat.

Wymienione dalej osoby zasłużyły na miejsce w wiecznym Hall of Fame moich podziękowań:  
Doktor Hans-Peter Übleis i Beate Kuckertz.

*Dziękuję Wam, że takiemu uwielbiającemu się bawić chłopczykowi jak ja daliście możliwość wyszaleć się w Waszym wydawnictwie. Jakie inne zresztą wydawnictwo pasowałoby lepiej do moich thrillerów niż Droemer – w końcu jest to anagram słowa Moerder (morderca)!*

*Carolin Graehl i Regine Weisbrod. Do diabła, już po pierwszej wersji myślę zawsze: „Wszystko w porządku, już nic tu nie trzeba zmieniać”.*

*I wtedy zjawiacie się Wy i swoją redakcją poprawiacie książkę tak bardzo, że samemu z trudem udaje mi się w to uwierzyć. Jesteście wspaniałe. Jeśli ludziom nie podobają się moje thrillery, na pewno nie jest to Wasza wina. Jestem o tym przekonany i nic nie zmieni mojej opinii.*

*Wydaje się, że niektórzy ludzie biorą nogi za pas, jeśli muszą dłużej ze mną pracować. Zaczęło się od mojej pierwszej redaktorki, doktor Andrei Müller, która mnie odkryła i której będę za to wdzięczny po wsze czasy – dotyczy to również szefa marketingu, Klause Klugego, który teraz też zwiął do konkurencji. Niedługo się przekonasz, jakie będziesz miał problemy z tak nieznanymi autorami jak Dan Brown i Ken Follett :-)*

*A mówiąc serio, cieszę się z twoich sukcesów i dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.*

*Znam już tak wiele osób w wydawnictwie, które swoją codzienną pracą robią wszystko, aby moje książki były czytane, że spokojnie mógłbym skopiować tutaj pełny spis telefonów wewnętrznych. Jeśli w zastępstwie składam podziękowania wszystkim na ręce Andrei Ludorf, Andrei Fischer, Dominika Hubera, Suzanne Klein, Moniki Neudeck, Sybille Dietzel, Iris Haas, Andrei Bauer, Georga Regisa, Andreasa Thielego, Katrin Engelberg i Heide Bogner, w żadnym wypadku nie zamyka to listy osób, którym się one należą.*

*Poza tym dziękuję Claudii von Hornstein, Christine Ziehl, Uwemu Neumahrowi i wszystkim pozostałym członkom drużyny AVA International, mojej agencji literackiej, a przede wszystkim Romanowi Hockemu, agentowi, który zrobił ze mnie pisarza, a mimo to nie poleciłbym go nikomu innemu. Bo wtedy miałby mniej czasu dla mnie!*

*To samo odnosi się do Tanji Howarth. Jeśli macie książkę i chcielibyście rzucić ją na rynek w Wielkiej Brytanii i w Ameryce – weźcie pigułkę na amnezję i zapomnijcie numer jej telefonu. Tanja należy do mnie!*

*A teraz przechodzimy do ostatnich miejsc, które postaram się załatwić jednym zdaniem. (Nie, nie, żartuję, po prostu nie mam już za dużo miejsca. Jesteście dla mnie wszyscy ważni, mówię szczerze. Ale podziękowania są już za długie. A i papier jest coraz droższy...)*

*A więc, dziękuję: Ivowi Beckowi, Davidowi Groenewoldowi, Olivierowi Kalkofemu, Arno Müllerowi, Jochenowi Trusowi, Thomasowi Koschwitzowi, Dirkowi Stillerowi, Ivánowi Sáinz-Pardo, Peterowi Prangiemu, Christianowi Beckerowi, Stefanowi Bäumerowi, Dagmarze Miska, Christophowi Menardiemu (dziękuję za twoje nazwisko), Kossiemu, Fruttiemu, Alznerom, Simonowi Jägerowi, Michaelowi Treutlerowi i oczywiście mojemu ojcu, Freimutowi Fitzkowi, który jak nikt inny ukształtował we mnie miłość do literatury. Następna książka będzie dla Ciebie! Ale za to też nie*

*będziesz sobie mógł nic kupić.*

*No tak, czy jeszcze o kimś zapomniałem? Z pewnością i niestety nie mogę zwalić winy na pigułkę. Jeśli po lekturze tej książki nie jesteście już tacy pewni, czy pamiętacie wszystko ze swojego życia – na przykład, czy być może nawet sami braliście udział w eksperymencie z amnezją – istnieje strona internetowa, na której możecie się tego dowiedzieć:*

*[www.mpu-berlin.org/anfrage](http://www.mpu-berlin.org/anfrage)*

*Wejdźcie kiedyś na nią. Naprawdę warto!*

*Na koniec chcę jeszcze odnieść się do pytania, które ludzie często mi zadają, a mianowicie czy moje książki są oparte na prawdziwych wydarzeniach. Szczerze? Nie mogę sobie przypomnieć...*

*Sebastian Fitzek  
Berlin, marzec 2009*